



Migotania

Gazeta Literacka

Nr 2 (87) 2025 kwartalnik

Fundacja

ŚwiatłoLiteratury

*„dla wierszy najgorzej jest gdy
ich autor kłamie
gdy zmyśla fałszując swoje
życie wiersze to czują”*

Stanisław Gostkowski, Prawda

POLECAMY

- poezja m.innymi: Alina Biernacka, Kazimierz Brakoniecki, Jack Kerouac
- Bogusław Żyłko, Rosyjski uczone pisze wiersz o ks. Jerzym Popiełuszcze
- Jerzy Lengauer, „Zatynkowanie”, ESEJ
- Ewa Leśniewska, Książki mają swoje losy, ESEJ, cz. 2

- Christian Medard Manteuffel, REFUGIUM NIEBA I ZIEMI, Te przeklęte Bramy Ulro!
- Mirosław Majewski, Rozmowa z Franciszkiem Bielaszewskim, ROZMOWA
- Małgorzata Dorna Wendrychowska, Wybrane miejsca autobiograficzne
Pera Gustawa Dahlberga. SZTUKA
- Marek Wawrzekiewicz, Okruchy (10)

BigCityYShowSomePitYWithitsEYEintheSKY



Stanisław Gostkowski

Prawda

*dla wierszy najgorzej jest gdy ich autor kłamie
gdy zmyśla fałszując swoje życie wiersze to czują
stają się garbate ze wstydu w nogach złamane
od pogardy dla podmiotu wymiotują na każdym
rogu kończącego się dystychu są kapryśne często
chorują leżą w klinikach umierają na uwięź
przedwczesnej starości czasami ich trupa z okazji
rocznic politycznych wyciągają na trybunę by tłum
mógł do syta brodzić we krwi poronionych metafor*

W numerze prezentujemy prace Pera Oscara Gustawa Dahlberga

Plakat poetycki: Zbigniew Joachimiak

Gazeta literacka ISSN 2083-2494 Fundacja Światło Literatury Gdańsk 2025

POECI
WYSTĘPNI

Nie, nie chodzi o jakieś grzechy główne, których się nie odpuszcza. Chodzi o to, jak poeci występują, jak publicznie prezentują swoją twórczość.

W dawnych czasach poeci mieli wzięcie u publiczności i nie musieli się do nich szczególnie umizgiwać. Publiczność, a szczególnie jej damska część z podziwem chłonęła namaszczone miny, zataczające się głosy, długie namysły zapowiadające narodziny genialnej myśli itd., itd. W przypadku natrafienia na szczególnie niewdzięczną i niesforną publiczność poeci dysponowali specjalnymi środkami perswazji – a mieli do tego i warunki i predyspozycje.

Występowałem ongiś jako młody poeta w jakiejś świetlicy przyzakładowej w Pabianicach, a towarzyszył mi Andrzej Brycht. Czytałem w upojeniu swoje wiersze, ale na salę weszło czterech młodzieńców pod wpływem i zaczęło głośno i nieprzychylnie komentować mój występ. Andrzej władczym ruchem ręki przerwał moje czytanie i zwrócił się do nich z perswazją:

- A co wy....., bo jak....., to się....., Na wszelki wypadek się przedstawiam: Andrzej Brycht jestem, chodzę w półciężkiej, byłem wicemistrzem Śląska. Jak jeszcze raz usłyszę, to tak..... Proszę dalej, panie redaktorze.

W miejsca wykropkowane należy wstawić odpowiednie słowa.

Dziś poeci nie są tak dobrze wysportowani, nie mają świeżej przeszłości bokserkiej i dlatego zapewne muszą używać innych sposobów. Opisać kilka z nich, a poetów dla większej przejrzystości podzielię na kategorie.

Poeta – inscenizator.

Jest to poeta uważający, że wzmocni wymowę wiersza czyniąc zeń scenkę dramatyczną. Z najwybitniejszym przedstawicielem tego gatunku spotkałem się parę lat temu w Parku Europa w pobliżu Wilna.

Zapowiedziano występ poetki litewskiej mieszkającej od trzydziestu lat w Australii. Poetka podniosła się i majestatycznym, cedzonym krokiem przemierzyła się w okolicy mikrofonu. Następnie położyła się na wznak. Leżała długo i w miarę upływu czasu traciła na apetyczności, której i tak nie miała w nadmiarze. Kiedy publiczność zaczęła się zastanawiać nad wezwaniem lekarza, poetka wstała i mdłym głosem długo szemrała wybitny zapewne utwór w jakimś niepojętym języku. Jej zejście z estrady słuchacze skwitowali ulgą i oklaskami.

Inny poeta – tym razem polski – wywołany do występu staje przed mikrofonem i milczy. Publiczność myśli najpierw, że poeta zapomniał wiersza. Potem, że osiągnął stopień opilstwa nie pozwalający mu na zidentyfikowanie miejsca, w jakim się znajduje. Potem, że zasnął na stojąco, bo zmęczyła go droga na estradę. A poeta po dwóch minutach tej krepującej ciszy otwiera oczy i mówi:

- Milczenie tyle samo znaczy, co słowo... I schodzi z estrady.

Poeta niepodległy.

Jest to poeta nie podlegający upływowi czasu. Wychodzi przed słuchaczy i czyta – jeden wiersz, drugi, siódmy, dziesiąty. Jest niewrażliwy na głośne ziewania, szmery, komentarze, rozmowy i przytupywania innych, czekających w kolejce poetów. Zatrzasnął się w kryształ własnej twórczości i nie ma z nim żadnej komunikacji. Typ powszechnie znienawidzony.

Poeta interpretator.

Przypadek ciężki, nie poddający się żadnym kuracjom. Jest to poeta, który czyta swój wiersz i w trakcie tego czytania wyjaśniający jego drugie i trzecie dno. Oznacza to, że autor albo uważa słuchaczy za stado baranów nie będących w stanie pojąć głębi jego utworu, albo wątpiący w jego doskonałość – skoro wymaga komentarza uzupełniającego. Zarówno wiersz jak i komentarz wygłaszane są tym samym głosem, w tej samej tonacji, co powoduje, że publiczność gubi się ostatecznie i nieodwracalnie.

Poeta trzeźwy inaczej.

Typ ten charakteryzuje się wielością gatunków i jest możliwy do opisanego w dłuższym traktacie. Obfituje w kategorie i podgatunki różnorodne – od pospolitych po fenomenalne. Literatura na ten temat jest bardzo bogata, istnieją poważne prace naukowe – od magisterskich po habilitacyjne, ale i tak nie ogarniające całości zagadnienia, które ma tendencję dynamicznie wzrastać. Obserwacja tego gatunku dostarcza niezapomnianych wrażeń, a opowieści przekazywane są z pokolenia na pokolenie. Istnieją grupy, ale są też przypadki absolutnie indywidualne. O jednym z nich ułożono zagadkę:

- Znajdź 21 szczegółów różniących trzeź-

wego poetę (tu nazwisko) od tegoż poety pijanego.

Właściwa odpowiedź: nie ma ani jednego takiego szczegółu.

Poeta – późny Rubens.

Jest to kategoria zarezerwowana dla poetów płci żeńskiej. Poetka taka wychodzi przed publiczność i dziewczęcym głosem czyta wiersze o ulotnych, dziewiczych wzruszeniach, pochyla się na rozkwit macierzanki, wstuchuje w szmer leśnego strumyka, marzy o niewinnym pocałunku, spowija się w zioła i kwiatuszki i unosi nad łąkami. A ma babsztyl 98 kilogramów, rozwiódła się z dwoma mężczyznami i pod tatara może wypić litra.

Poeta zbiorowy.

W czasie większych imprez tradycyjnie organizuje się tzw. nocy poetów lub inne zbiorowe wieczorki czytania wierszy – poeci czytają dla poetów i resztek publiczności. Prowadzący imprezę oblegany jest przez kolegów, którzy domagają się występu w pierwszej kolejności. I wiedzą co robią. Bo z upływem czasu publiczność topnieje, a poeci, którzy już zaliczyli występ udają się do pobliskiej kawiarni, restauracji lub innej przystosowanej do tego sali, aby tam oddawać się swemu ulubionemu zajęciu. W końcu zostaje trzech: prowadzący, poeta przedostatni i ostatni. Prowadzący zostaje, bo musi, ostatni – bo czeka na swoją kolej, przedostatni – bo ostatni jest jego kolegą. Wieczór się kończy, trójka biegnie tam, gdzie są wszyscy, ale tam wszystko już wypito i zjedzono.

Ale nic to, ostatni kiedyś będą pierwszymi.

Pozostało mi jeszcze do opisanego 11 gatunków i rodzajów. Być może dalszy ciąg nastąpi – bo tutaj nie mam już miejsca.

MAREK WAWRZKIEWICZ



SPIS TREŚCI DO NUMERU 2/87/2025

Marek Wawrzkiwicz, Poeci występní, FELIETON.....	str.2
Dariusz Pawlicki, Zwierzęta pośród ludzi, ale i ludzi wśród..., ESEJ.....	str.3
Alina Biernacka, wiersze	str.8
Maria Jentys-Borełowska, Wizje fantastów, czy nasze jutro? ŻYCIE I KSIĄŻKI.....	str.10
Kazimierz Brakoniecki, wiersze.....	str.14
Grzegorz Jacek Brzustowicz, Jeszcze jeden zajazd na Litwie, ESEJ.....	str.16
Dariusz T. Lebioda, Bromberg (fragment), PROZA.....	str.19
Christian Medard Manteuffel, REFUGIUM NIEBA I ZIEMI, Te przekłete Bramy Uro! ESEJ.....	str.22
Jack Kerouac, wiersze, tłum. Andrzej Szuba.....	str.27
Maria J. Fraszewska, Konfrontacja olbrzymiej wrażliwości, ESEJ.....	str.28
Anna Sikora, wiersze.....	str.34
Mirosław Majewski, Rozmowa z Franciszkiem Bielaszewskim, ROZMOWA.....	str.36
Marian Lech Bednarek, małe prozy.....	str.40
Bernard Łach, wiersze.....	str.42
Bogusław Żytko, Rosyjski uczony pisze wiersz o ks. Jerzym Popiełuszcze.....	str.44
Johann Wolfgang von Goethe, wiersze, tłum. Karol Wapniarski.....	str.46
Jan S. Smalewski, spod sceny i ekranu, TEATR.....	str.48
Julia Kłoda, wiersze.....	str.49
Marian Lech Bednarek, wiersze.....	str.50
Jakub Ciećkiewicz, Kaskader, PROZA.....	str.52
Małgorzata Sokorska, wiersze.....	str.55
Krystian Rdzanek, wiersze.....	str.56
Poezja Macedońska.....	str.58
KSIAŻKA KWARTAŁU	
Kazimierz Brakoniecki, Zamiast autobiografii, Anna Frajlich.....	str.60
Dorota Sobiecka, wiersze.....	str.62
OMÓWIENIA.....	str.65
Jerzy Lengauer, „Zatynkowanie”	
Maria J. Fraszewska, Saga rodziny..	
Milijan Despotović, Duchowe doświadczenie prawdy	
Lech Galicki, wiersze 2 strony.....	str.70
Marek Jastrzq̄b, Obłęgorek, FELIETON.....	str.72
Łucja Dudzińska, wiersze.....	str.73
Z PÓŁKI MATEUSZA WABIKA.....	str.74
Mateusz Wabik recenzje:	
- Labirynt tematów jako schron przed masowością, Fraszewska	
- Przewodnik z pominięciami, NOTA	
- Poezja zwyczajna, Pastuszewski	
- Polska i świat w perspektywie narodowo-katolickiej	
- Ostatnie ślady, Zagajewski	
RECENZJE.....	str.78
Stanisław Chczyński, Repetytorium: wtórczy duchowe	
Irmina Kosmala, Spóznione morze, Drzewucki,	
Jerzy Lengauer, „Mewy krzyczą nad kałużą”	
Katarzyna Boruń-Jagodzińska	
Sylvia Kanicka, Słowami można wyrażać własne spostrzeżenia,	
Mirosław Majewski i jego proza	
Dariusz T. Lebioda, Rzeźnicki nóż,	
Dariusz T. Lebioda, Obsesja i uwięzienie	
Andrzej Walter, Poezja to dziwna choroba	
Andrzej Walter, Współczesny Trubadur	
Piotr Skowronek, Poezja instant	
Roman Warszawski, Aleksander Wielki żywcem zabalsamowany	
Zbigniew Kresowaty, ANON GENUINE POLE	
Krzysztof Szymoniak, Zielnik pilski, FOTOGRAFIA.....	str.92
Małgorzata Dorna Wendrychowska, Wybrane miejsca autobiograficzne Pera G. Dahlberga. SZTUKA.....	str.96
Marek Wawrzkiwicz, Okruchy (10).....	str.99
Gdański Klub Poetów, informacja.....	str.102
Informacja o Konkursie.....	str.102
strona redakcyjna.....	str.103
MIGOTANIA, JESZCZE WIĘCEJ	
Małgorzata Dorna (Wendrychowska),	
STAROŚĆ W SALONIE SZTUKI (3), FELIETON.....	str.104
Ewa Leśniewska, Książki mają swoje losy, ESEJ, cz. 2.....	str.106

Dariusz Pawlicki

ZWIERZĘTA POŚRÓD LUDZI, ALE I LUDZIE WŚRÓD LUDZI

I.

Najwcześniej popularność zwierząt domowych – na pewno jeśli chodzi o Europę, ale prawdopodobnie i Świat – dało się zauważyć na Wyspach Brytyjskich, szczególnie w Anglii. I jest to jedna strona medalu. Tę drugą – stanowią odbywające się tam nadal (początek 3 dekady XXI w.) polowania na lisy*. Taki oto – w sumie ograniczający się do owych skrajności – był mój obraz funkcjonowania Brytyjczyków pośród zwierząt. Ale zacząłem pisać ten esej, a w związku z tym zaznajamiać się z rozmaitymi dokumentami, i wizerunek ów zaczął szybko i diametralnie zmieniać się.

II.

Biblia mówi: „Wszelkie zaś zwierzę na ziemi i wszelkie ptactwo powietrzne niechaj się was boi i lęka. Wszystko, co się porusza na ziemi i wszystkie ryby morskie zostały oddane wam we władanie. Wszystko, co się porusza i żyje, jest przeznaczone dla was na pokarm, tak jak rośliny zielone, daję wam wszystko” (Biblia Tysiąclecia, wyd. IV; Rdz., 9, 2-3). Bóg wypowiadając powyższe słowa, powierzył władzę nad Ziemią człowiekowi. I on z władzy tej korzystał nieograniczenie i bez wahań. Współcześnie takim władcą absolutnym, przynajmniej w świecie Zachodnim, człowiek już się jednak nie czuje. Ale to tylko dlatego, że widząc wokół siebie mnóstwo śladów swego ptactwa, powoli uzmysławia sobie, że nie spisał się jako zarządca: często jednak przyznaje się do tego jedynie w zaciszu domowym. Amerykanin Henry D. Thoreau miał rację pisząc (1845-47) w Walden, czyli życiu w lesie, że człowiek „zna Naturę tylko jako rabuś”.

Do niedawna czuł się więc człowiek panem życia i śmierci zwierząt. Bez żadnych skrupułów, jeśli tylko stan finansów pozwalał mu na to, zjadał ich mięso. W krajach chrześcijańskich nie miał z tym żadnych problemów od strony moralnej. Etyka nie wzbraniała mu tego. Natomiast religia wprowadzała ograniczenie w postaci dnia bezmięsnego (eufemizm skrywający przyzwolenie na spożywanie ryb, drobiu, skorupiaków, czyli... mięsa.). Choć wyjątki, jeśli chodzi o wegetarianizm, zdarzały się. Przykładem może być Leonardo da Vinci. Uważał on bowiem, że „człowiek i zwierzęta są właściwie przewodem i kanałem pokarmu, grobem zwierząt, gospodą umarłych, pochwą rozkładu, tworząc sobie życie z śmierci innych”. Leonardo z całą pewnością ortodoksyjnym chrześcijaninem nie był. Biorę pod

uwagę i to, że był nim tylko oficjalnie dla uniknięcia niemiłych, a może i groźnych, konsekwencji.

W innych częściach świata wegetarianizm (właśnie on, a nie jaskrość) był (i jest) zjawiskiem częstym, wynikającym z panujących w nich systemów religijnych.

Oczywiście o biedzie, jako istotnym czynniku, nie można zapominać.

Mnie jednak interesuje Europa, jako tło zjawiska mającego za temat stosunek człowieka do zwierząt, ale na płaszczyźnie etycznej. Nie zajmuje mnie więc np. ochrona zwierząt – jaka miała miejsce w średniowieczu – w rozumieniu zawarowania prawa do polowania na jelenia szlachetnego, tura czy żubra dla władcy. Tak, aby miał do zabijania/ubijania coś, co było większe od... zająca. W tym wypadku poza moim zainteresowaniem pozostaje też – choć niewątpliwie jest to ważne – ochrona konkretnych gatunków zagrożonych wyćpieniem/wyginieciem.

*

W owej Europie – niewielka, ale tylko obszarowo, Wielka Brytania (z napomknieniami na temat Irlandii) zajmuje miejsce szczególne. W niej bowiem dostrzegłem początek zjawisk (pamiętajac oczywiście o Leonardzie da Vinci i nielicznym gronie innych niemięsożernych humanistów), które zaowocowały zdecydowaną zmianą w podejściu do zwierząt: nie widzeniu w nich wyłącznie dostarczycieli mięsa, skór, sierści itd., itp. Natomiast dostrzeganiu w nich także mniejszych braci, odczuwających, tak jak człowiek, głód, ból, strach...

Ale dlaczego Wielka Brytania? Dlaczego właśnie w niej „[...] od drugiej połowy XVIII w. obecność udomowionych psów i kotów przestała budzić niepokój, a przyczyniła się do zwiększenia poczucia przytulności i ciepła ogniska domowego”***? Oczywiście psy towarzyszyły człowiekowi od wieków. Ale było to towarzystwo nastawione na użyteczność: strzeżenie domostw i zwierząt na pastwiskach, udział w polowaniach. Ale zwiększenie „poczucia przytulności i ciepła ogniska domowego”, co to, to nie. A do tego jeszcze koty cieszące się złą sławą, zwłaszcza te czarne...

*

W wieku XVIII na Wyspach Brytyjskich dał o sobie znać kult natury (Kenneth Clark w Cywilizacji. Własnym punkcie widzenia pisze wręcz o „nowej” religii). I szybko zdobył sobie na nich wielką popularność. Inspirującą rolę w szczególnym potraktowaniu natury odegrały idee, m. in. te mówiące o zjednoczeniu się z naturą, jakie nawiedzi-

→ ty Jeana Jacquesa Rousseau (1712-1778), podczas wielokrotnych i inspirujących polegniwań w łodzi na szwajcarskim jeziorze Biel/Bienne. Nieco wcześniej pewnych istotnych impulsów, w tym samym duchu, ale w przeciwieństwie do Szwajcara sformułowanych w bardziej filozoficznym języku, czyli mniej przystępnym, dostarczył twórca rodzimy – to znaczy brytyjski – mam tu na myśli Szkota Davida Hume'a (1711-1776). Zaowocowało to największym wkładem Brytyjczyków w kształtowanie towarzyszącego człowiekowi pejzażu – chodzi o ogrody/parki w stylu angielskich charakteryzujących się m. in. w diametralnym zerwaniem z geometrycznością, cechującą ogrody francuskie, a wprowadzeniem „naturalnej” naturalności w postaci, przykładowo, krętych, wijących się alejek. Ale to był tylko początek bardzo konkretnych zmian w kulturze, i to nie tylko tej angielskiej. Naturalizm dał bowiem o sobie znać także w odniesieniu do literatury XVIII w.; kłaniają się prekursorzy romantyzmu, poeci z grona tzw. poetów cmentarnych: Thomas Gray (1716-1771), autor słynnej „Elegii napisanej na wiejskim cmentarzu”, jak również William Collins (1721-1759).

Umiłowanie natury przejawiało się także w formie uwielbienia dla postaci nazywanej „Szlachetnym dzikusiem”, będącym także jednym z efektów wpływów Rousseau'wskich. Na szczęście Brytyjczycy nie zostali nigdy, jak miało to miejsce w przypadku np. Francuzów, silnie zaczerpnięci ideą moralnego, gdyż nieskażonego cywilizacją dzikusa prowadzącego – jakoby – szczęśliwe życie na łonie natury. Może stało się tak dlatego, że mieli pośród siebie – na szczęście –

trzeźwo myślącego, nieznoszącego obłudy Samuela Johnsona (1709-1784). A ten, gdy pewnego razu próbowano go przekonać, co do szczęśliwości życia na Morzach Południowych, odpowiedział:

„Nie pozwól sobie, aby ci narzucano podobny absurd. To smutne sprawy. Gdyby byk potrafił mówić, mógłby równie dobrze zawołać: «Oto mam wokół siebie trawę, a przy sobie krowę; jakaż istota może być ode mnie szczęśliwsza!»”.

*

Ale może owe zmiany – sięgam jeszcze głębiej w historię – zainicjował na Wyspach Brytyjskich pewien Holender (mający m. in. francuskich przodków). Dostrzegam podstawy, aby tak właśnie sądzić. A mam na myśli Bernarda de Mandeville'a (1670-1733), lekarza, pisarza politycznego, filozofa, satyryka. Choć w roku 1690 opublikował on pracę *De brutorum operationibus*. Bronił w niej poglądu Kartezjusza, który zwierzęta, nie mające jego zdaniem duszy i nie odczuwające bólu, strachu, traktował jak żywe maszyny.

W 1691 r. Mandeville przybył do Anglii. Bardzo szybko, i to perfekcyjnie, opanował angielszczyznę. W 1714 r. wyszła drukiem jego *Bajka o pszczołach* (*Fable of the Bee*) będąca satyrą na ówczesną sytuację polityczną w Anglii. Ale nie tylko o tym była to praca. Są w niej bowiem fragmenty dowodzące gruntownej zmiany poglądów

Holendra (niekiedy traktuje się go, jako Anglo-Holendra) odnośnie mechanistycznych poglądów wspomnianego francuskiego filozofa. Jedna z takich wypowiedzi brzmi tak:

„Kiedy stworzenie dało równie przekonujące, równie jasne dowody przerażenia, które je ogarnia, cierpienia i bólu, które odczuwa, czyż jest jakiś uczeń Kartezjusza na tyle nawykły do krwi, by za sprawą współczucia nie zanegować filozofii tego próżnego filozofa?”.

Bernard de Mandeville tylko przez początkowy okres życia nie był wegetarianinem. Na jego pogląd w tej materii, także w ogóle na stosunek do zwierząt, decydujący wpływ wywarł francuski filozof i wybitny astronom, a przy tym ksiądz katolicki, Pierre Gassendi (1592-1655). Wprawdzie nigdy nie przeszedł on na dietę wegetariańską (wypominał to sobie), choć mięso jadał rzadko, ale los zwierząt nie był mu obojętny: po prostu współczuł im. Wyobrażał sobie, że w przyszłości, gdy ponownie nastanie Raj, ludzie i zwierzęta – złączeni są przecież, chociażby, posiadaniem duszy – żyć będą w pokoju, a nie dybać na siebie. Taki wpływ wywarła na idee Gassendiego lektura Biblii (wyczytał w niej to, co uszło uwagi bądź zupełnie inaczej było interpretowane przez pokolenia) i tekstów neoplatoników z początków nowej ery.

Z kolei Bernard de Mandeville, za spr-



wą swej *Bajki o pszczołach* wpłynął grun-
townie na Josepha Ritsona (1752-1803)***.
Ów angielski antykwariusz, autor rymowanek
dla dzieci, zdecydowany i bezwarunkowy
wegetarianin, był zaangażowany całym ser-
cem (jeśli jest to przesada, to niewielka) na
rzecz nie zabijania zwierząt i nie sprawiania
im cierpienia. Na dodatek był niewątpliwie
pionierem praw zwierząt.

Wymienione powyżej, wprawdzie nie-
liczne, ale bez wątpienia wyjątkowe, posta-
cie przygotowały grunt pod zmiany, które
stopniowo zaczęły następować. Początko-
wo były ledwie zauważalne, ale...

*

Odwołując się do przekonań Bernarda
de Mandeville'a odkopuję głębokie funda-
menty, na których stopniowo, kondygnac-
ja na kondygnacji, wznoszono budowlę
w postaci zmian w podejściu Brytyjczyków
do innych niż ludzie istot żywych. Najpraw-
dopodobniej fundamenty te – przynajmniej
jeśli chodzi o Wielką Brytanię – głębiej sięgać
już nie mogą: niżej jest już tylko liła skała
w postaci bezwarunkowych przekonań na
temat bezwzględnej podległości człowieko-
wi świata zwierząt. Z wszystkimi tego, dosko-
nale znanymi, konsekwencjami.

*

Na przełomie XVIII i XIX w. na Wyspach
Brytyjskich, ale przede wszystkim w Anglii,
zaczęto coraz częściej podnosić sprawę
nieetyczności jedzenia mięsa, a tym samym
zabijania zwierząt. Więcej było jednak mó-
wienia niż działania. I wegetarianizm ciągle
był zjawiskiem marginalnym. Ale tylko do
czasu: także w tym wypadku okazało się,
że kropla drąży przystoiową skałę.

Angielskie klasy średnia i wyższa (w tym
arystokracja) mięso jadały chętnie i bez
ograniczeń. Liczni przedstawiciele drugiej
z tych klas brali przy tym czynny udział w
polowaniach organizowanych na ziemi, której
byli posiadaczami. Z kolei chłopi i robotnicy
mięsa nie jedli w ogóle bądź sporadycznie.
Z tym, że jego ogranicznikiem była jego
cena: tylko i wyłącznie ona. Niekiedy kłu-
sowali, co w gruncie rzeczy jest odmianą
myślistwa, tyle, że o charakterze wyłącznie
użytkowym; bez otoczki sportowej i towarzy-
skiej, na którą nie ma warunków.

Interesujące jest, że wśród brytyjskich
– przede wszystkim jednak angielskich – we-
getarian (w pewnych przypadkach także
wegan) było wielu znamienitych poetów
romantycznych. George Gordon Byron
(1788-1824) czy Percy Bysshe Shelley (1792-
1822) są tego przykładami. Ów radykalizm
„jedzeniowy” tęczył się/współgrał w ich
przypadku z radykalizmem w kwestiach
politycznych, społecznych, obyczajowych,
niekiedy także religijnych. Nie mogę oprzeć
się, w związku z tym wrażeniu, że niekiedy
kierowali się chęcią zaszokowania rodaków,
podkreślenia także w ten sposób swej przy-
należności do bardzo nielicznej mniejszości:
poczucie własnej wyjątkowości nie było im
bowiem obce.

Wspomniany Shelley, na dietę bezmię-
sną przeszedł na początku marca 1812 r.
I wegetarianinem pozostał do śmierci (ta
nastąpiła w wyniku utonięcia). A (już) w 1813
r. opublikował traktat pt. *W obronie die-
ty naturalnej* (*Vindication of Natural Diet*),
w którym przedstawił, i umotywował, swój
zdecydowany sprzeciw wobec zabijania
zwierząt w celach konsumpcyjnych. Pod-
kreślił w nim przewagę uprawy roślin nad
hodowlą, także ze względów ekonomicz-
nych, które zaprezentował.

Na jego poglądy w powyższej mate-

rii, pośredni wpływ wywarły przemyslenia
starożytnych (ówczesne szkolnictwo kon-
taktom tego rodzaju sprzyjało). Takich jak
Pitagoras, Hezjod, Sokrates, Platon, Owidiusz,
Plutarch. Warto w tym miejscu przywołać
np. poglądy wegetarianina Pitagorasa,
który był zdania, że zwierzętom należy się
szacunek i ochrona, z tego tytułu, iż one
i ludzie mają tę samą duszę. Ta zaś jest
nieśmiertelna i podlega metempsychozie.
Wspomnę jeszcze, odnośnie tego greckiego
mędrca, że do lat 40. XIX w., kiedy to ukuto
termin „wegetarianizm”, w języku angielskim
wegetarian nazywano „pitagorejczykami”.
I właśnie dlatego tytuł jednej z ód Shelleya
brzmi: „Do diety pitagorejskiej”.

Ale bezpośredni wpływ na Percy'ego
Bessy'ego Shelleya jeśli chodzi o niejedze-
nie mięsa, miał niejaki John Frank Newton
(1767-1837), intensywnie zaangażowany
w działalność na rzecz popularyzacji we-
getarianizmu. Był on także wyznawcą zara-
tusztrianizmu, co miało bezpośredni wpływ
na jego stosunek do zwierząt. W 1811 r.
ukazała się książka, przez niego napisana,
*Powrót do natury: czyli obrona reżimu wa-
rzywego* (*The Return to Nature; or, a De-
fence of the Vegetable Regiment*). Praca
ta miała na celu zaznajomienie z poglądami
(opartymi na badaniach) lekarza Williama
Lambe'a (1765-1847), który z kolei był we-
ganinem.

III.

Warto zwrócić uwagę na rolę literatury,
zwłaszcza poezji na przełomie XVIII i XIX w.,
w procesie stopniowej zmiany w podejściu
Brytyjczyków do natury, ze szczególnym
uwzględnieniem zwierząt. W tym miejscu
przywołam Roberta Burnsa (1759-1796),
szkockiego poetę narodowego. Twórca
ten, mieszkaniec wsi, piewca wolności, za-
angażowany w kwestie społeczne, wrażliwy
na piękno surowego szkockiego krajobrazu,
jest autorem m. in. słynnego wiersza „Do
myszy. Z okazji zniszczenia jej nory przy orce
w listopadzie 1785”. Małe stworzenie po-
wszechnie uważane za szkodnika – zdaniem
Roberta Burnsa będącego także rolnikiem
– ma prawo do życia, do swego miejsca
na Ziemi. Faktem jest, że utwór ów można –
a może nawet należy – odczytywać również
jako współczucie wobec ludzi usuwanych
ze swej ojcowizny, jako też protest wobec
mającej miejsce niesprawiedliwości, wyraz
utożsamiania się z biednymi i jednoznaczne-
go opowiedzenia się po ich stronie. Ale na
pierwszym miejscu, co istotne, jest pochyle-
nie się nad losem zwierząt zdanych na łaskę,
a przede wszystkim niełaskę, człowieka.

Jedna ze zwrotek „Do myszy [...]” brzmi
tak:

Przykro, iż na tej
człowieczej przewodzie
Cierpią Natury jednoczące władze
Iż, kiedy pługiem o norkę zawadzę,
Nie zauważysz,
Żem też śmiertelny i twój
w każdej pladze
Ziemski towarzysz!

(tł. Stanisław Barańczak)

Wielkim wrażliwcem, a nawet nadwraź-
liwcem, był kolejny przedstawiciel warstw
niższych społeczeństwa brytyjskiego, poeta
John Clare (1793-1864). Ten angielski bez-
rolny chłop pozostawił w swych wierszach
świadectwa, wręcz nabożnego stosunku
do Natury (to słowo pisał zawsze z dużej
litery). Traktował ją jako odrębny byt za-

śługujący na szczególny szacunek. To jego
podejście wynikało z dostrzegania nieko-
rzystnych zmian zachodzących na ówcze-
snej angielskiej wsi. Te zaś były rezultatem
postępującej szybko industrializacji Anglii, jak
też komasacji gruntów i intensyfikacji pro-
dukcji rolnej. Zmiany te, rejestrowane przez
Clare'a w wierszach, odbywały się kosztem
biedaków i natury. Jego wiersz „Borsuk” (*The
Badger*) na każdym (chyba) robi wrażenie.
I każdy trzyma stronę bohatera tego utworu,
wypędzonego z lasu. I przez ludzi, i poszczu-
tego przez nich psy, zagonionego na skraj
wsi. Długo się tam bronił, choć na powrót
do lasu i zachowanie życia, nie miał już
szans. Dlatego trzy ostatnie wersy „Borsuka”
brzmiały tak:

Lecz sfera raz spuszczonej
nie ma dłań litości
Wreszcie skopany zbity
bez ruchu już leży
Na drodze pozostaje trup
borsuczy świeży

(tł. Jacek Wiśniewski)

Utworu tego, jak dotąd, nie jestem
w stanie – a nie jest on bardzo długi –
przeczytać jednym ciągiem. Coś chwytam
mnie zawsze za gardło i zmusza do zrobie-
nia przerwy, nie za każdym razem w tym
samym miejscu.

*

Na ocieplenie wizerunku zwierząt, na
uwrażliwienie na ich los, często opłakany,
wpłynęła – tak to widzę – powstała na Wy-
spach Brytyjskich, głównie jednak w Anglii,
pod koniec XIX w. i w pierwszych 3 deka-
dach wieku XX, literatura dziecięca (nie tyl-
ko w tym względzie oddziaływała ona na cały
świat). Mam na myśli zwłaszcza czworo au-
torów. Ze względu na chronologię, zacznę
od Angielki Anny Sewell (1820-1878) au-
torce *Czarnego Księcia* (*Black Beauty*, wyd.
I w 1877 r.). Tytułowym bohaterem jest koń
opowiadający historię swego życia. *Czarny
Książę* w zamiarze autorki miał być publi-
kacją przeznaczoną dla osób dorosłych,
przede wszystkim posiadaczy koni; mającą
spowodować poprawę losu, niejednokrotnie
okrutnego, wierzchowców i ich roboczych.
I to autorce udało się z powodzeniem. Do-
piero nieco później książka zaczęła trafiać
na półki z książkami dla dzieci. I już na nich
pozostała; też z korzyścią dla zwierząt.

Szkot Kenneth Grahame (1859-1932)
jest autorem nastrojowej powieści *O czym
szumią wierzby* (*The Wind in the Willows*),
pierwsze wydanie w 1908 r.), opowiadającej
o przygodach Ropucha i jego przyjaciół:
Kreta, Szczurka i Borsuka. A do tej czwórki
bardzo szybko czuje się sympatię. Dzieci
więc miły i mają z kim się identyfikować.

Helen Beatrix Potter (1866-1943), An-
gielka, napisała i pięknie zilustrowała, cykl
niewielkich rozmiarowo książek mających za
bohaterów zwierzęta. Ich pierwsze wydania
ukazały się pomiędzy rokiem 1902 (*Piotruś
Pan* [*The Tale of Peter Rabbit*]), a 1930
(*Prosiaczek Robinson* [*The Tale of Little Pig
Robinson*]). (Warto wspomnieć, że H. B. Potter
wniosła też istotny wkład w ochronę krajo-
brazu Krainy Jezior w północnoangielskim
hrabstwie Kumberland).

Alan Alexander Milne (1887-1956), an-
gielski pisarz jest autorem najbardziej chyba
popularnej na świecie książki dla dzieci (ale
nie tylko dla nich). Mam na myśli oczywiście
Kubusia Puchatka (*Winnie the Pooh*, wyd.
I w 1926 r.) mającego za bohaterów, oprócz
tytułowego Puchatka, Prosiaczka, Mamę

→ Kanguzycę z Maleństwem, Kłopotuchego, Sowę, Królika z jego krewnymi i znajomymi. Kontynuacją tych przygód jest *Chatka Puchatka* (*The House of Pooh Corner*, wyd. SI w 1928 r.). Pojawia się w niej dodatkowo Tygrys.

Książki dla dzieci czworga wspomnianych autorów, wciąż są czytane; pojawiają się także ich kolejne filmowe adaptacje. Ale oba utwory A. A. Milne'a wyróżniają się pod względem popularności ich bohaterów – podobizny Kubusia i jego przyjaciół są bowiem wykorzystywane na rozmaite, wciąż nowe sposoby (mające przynieść – jakże by inaczej – jeszcze większe dochody).

IV.

W zaznajamianiu społeczeństwa Zjednoczonego Królestwa Wielkiej Brytanii i Irlandii (oficjalna nazwa od 1801 r.) z wegetarianizmem (niekiedy także z weganizmem), towarzyszyło równocześnie podnoszenie kwestii stosunku człowieka do zwierząt. Mające na celu m. in. uwzględnienie tych relacji w brytyjskim systemie prawnym.

„Od początku XIX w. w Wielkiej Brytanii miało miejsce kilka prób wprowadzenia prawa chroniącego dobrostan lub prawa zwierząt. W 1800 r. sir William Pulteney optował za zakazem szczucia byków”, lecz napotkał opór ze strony rządu. W 1809 r. lord Thomas Erskine (1750-1832) „zapropomował ustanowienie prawa chroniącego bydło i konie przed złośliwym okaleczaniem, celowym okrucieństwem i bólem”. Tym razem swój sprzeciw wyraził nie tylko rząd, ale i Izba Lordów.

Warto zaznaczyć, że pierwsze próby prawnego ograniczenia – no bo nie wypełnienia – znęcania się nad zwierzętami na Wyspach Brytyjskich, miały miejsce podczas trwania wojny z Francją, najpierw rewolucyjną (1792-1802); potem zaś napoleońską (1805-1815). A w konflikt ten Wielka Brytania była bardzo zaangażowana. Na niepowodzenie wspomnianych prób nie wpłynęło owo zaangażowanie (choć najpewniej im nie sprzyjało), ale całkowita nowość tematyki poruszanej, najpierw w kręgach rządowych.

Dorota Betlewska-Gutowska wspomina w eseju „Pan Bóg i ekscentrycy”****, że w 1821 r. „jakiś ziemianin przedstawił w Izbie Gmin projekt ustawy zakazującej maltretowania koni. I co? Salwy śmiechu. Deputowani kpili, że może też chronić psy i koty. Postulatом tym towarzyszyły tak głośne wybuchy wesołości, że reporter «Timesa» nie mógł usłyszeć, co kto mówił. Dla dziewiętnastowiecznych elit takie pomysły były czymś niepoważnym, wariackim”. Ale jak, na szczęście, okazało się, tylko do czasu...

Podkreślam ów niezwykły – tak, niezwykły – fakt: pewien poseł do Parlamentu uznał, że należy postawić tamę okrucieństwu wobec koni: od jakiegoś gatunku zwierzęcia należało zacząć, a konie powszechnie lubiano. Reakcja pozostałych posłów była taka, jaka była. I mając na uwadze to, że było to w roku 1821, nie powinna, tak naprawdę dziwić. Było to bowiem coś niezwykłego, zdecydowanie wykraczającego poza przyjętą i akceptowaną normę.

Tym „jakimś” postem okazał się być Irlandczyk Richard Martin (1754-1834). Nie zraził się porażką poniesioną w 1821 r. A ponieważ był człowiekiem konsekwentnym, wręcz upartym, któremu w kontaktach pomagało duże poczucie humoru, udało mu się doprowadzić do uchwalenia przez Parlament, i to już w roku następnym,

„Ustawy zapobiegającej okrucieństwu i niewłaściwemu traktowaniu bydła” (*An Act to Prevent the Cruel and Improper Treatment of Cattle*), zwanej także „Ustawą Martina”. Weszła ona w życie jeszcze w tym samym roku. „Był to pierwszy w świecie anglojęzycznym znaczący i stosowany w praktyce dokument dotyczący ochrony zwierząt. Zgodnie z nim za bicie, znęcanie się lub jakiegokolwiek niewłaściwe traktowanie konia, klaczy, wałacha, muła, ośła, wołu, krowy, jałówki, młodego wołu, owcy albo innego bydła groziło do 5 funtów albo do 2 miesięcy więzienia” [za pl.wikipedia.org/wiki/Prawa_zwierząt: 14.01.2024 r.].

Jeszcze we wspomnianym 1822 r. Richard Martin doprowadził do skazania na grzywnę Billa Burnsa za okrucieństwo wobec ośła (owo zwierzę zostało nawet doprowadzone przed oblicze sądu; stan w jakim się znajdowało było przesądzającym dowodem). I była to pierwsza osoba (na świecie?) ukarana za taki właśnie czyn w stosunku do zwierzęcia.

W 1835 r. uchwalono kolejną ustawę odnoszącą się do sposobu traktowania zwierząt. A następne – w latach: 1849, 1876, 1911 i w kolejnych...

Uchwalenie za sprawą R. Martina wspomnianej ustawy – był to bowiem bat na okrutników – niewątpliwie wpłynęło na założenie w 1825 r. Królewskiego Towarzystwa Zapobiegania Okrucieństwu Wobec Zwierząt (*Royal Society for the Prevention of Cruelty to Animals*). W jednej z sal londyńskiej, głównej siedziby tej organizacji, wisi obraz z epoki przedstawiający posiedzenie sądu, na którym zapadł wyrok skazujący Billa Burnsa we wspomnianej sprawie.

W 1838 r. w Richmond, hrabstwo Surrey (obecnie w granicach Wielkiego Londynu) została otwarta szkoła „Concordium” nazywana również „Domem Alcolta” (*Alcott House*)****. Obok niezwykle nowatorskiego systemu kształcenia i programu, szkołę tę, na tle ówczesnego – nie tylko angielskiego – szkolnictwa, wyróżniało i to, że uczniowie (o nauczycielach nie wspominając) nie spożywali produktów pochodzenia zwierzęcego. Ta pionierska placówka oświatowa istniała do 1848 r. Osoby zaangażowane w jej powstanie, a potem w funkcjonowanie, miały kluczowy wpływ na powołanie do życia w Wielkiej Brytanii w 1847 r. Towarzystwa Wegetariańskiego (*Vegetarian Society*). W 1853 r. w jej szeregach było 889 osób, a w 1897 r. już około 5000.

IV.

Czy w tym samym, wspomnianym powyżej okresie, jakieś wątpliwości odnośnie jedzenia mięsa były podnoszone na ziemiach polskich? Z tego, co wiem, temat taki, nie tyle nie był podnoszony, co w ogóle nie istniał w świadomości społeczeństwa polskiego (zwłaszcza jego elit). Choć indywidualnych przypadków nie można oczywiście wykłuczyć.

A czy podnoszono na ziemiach polskich – w analogicznym okresie, jak ten omawiany w przypadku Wysp Brytyjskich: koniec XVIII w. i XIX w. – kwestię zapobiegania okrucieństwu wobec zwierząt (o ich dobrostanie już nie wspominam)? Nie napotkałem na takowe wzmianki. Nawet w związku ze słynną na całą Europę – polskie źródła bardzo to podkreślają – tzw. Akademią Smorgońską, działającą na historycznej Wileńszczyźnie, gdzie w okrutny sposób tresowano niedźwiedzie (w pewnym okresie także małpy), tak, aby tańczyły w rytm wykonywanej muzyki. Ta „znęcania” funkcjonowała od II poł. XVII w. I została zlikwidowana po upadku

powstania listopadowego w związku z udziałem w nim właściciela dóbr, w których ona się znajdowała. I tylko dlatego.

Ktoś mógłby odpowiedzieć: Społeczeństwo polskie, jako takie, we wspomnianym okresie pochłonięte było staraniami o utrzymanie niepodległości, a następnie walką o jej odzyskanie. Uśmiechnąłbym się, może nawet pobłażliwie, słysząc to. No bo owo powszechne, jakoby, zainteresowanie polskimi sprawami narodowymi uważam za mił. I za nic innego. W większości był to bowiem brak zainteresowania, co najwyżej, dumanie – i to z dużej odległości – na ten temat. Czynn timer zaangażowana w tę walkę była zawsze nieliczna mniejszość. Liczby uczestników zrywów narodowych jednoznacznie tego dowodzą (pod tym względem zdecydowanie wyróżnia się powstanie wielkopolskie 1918-1919 r.).

Inna osoba mogłaby wskazać na podejmwane na przełomie XVIII

i XIX w. próby ograniczenia poddaństwa i przyznania chłopom wolności osobistej. Zakończyły się one niepowodzeniem w związku z likwidacją państwa polsko-litewskiego, a nieco później w wyniku przekształcenia Księstwa Warszawskiego w Królestwo Kongresowe. Ostatecznie chłopci zostali uwłaszczeni i uzyskali wolność osobistą na dawnych ziemiach Rzeczypospolitej etapami w wyniku działań zaborców. Najpierw w zaborze pruskim: 1808-1850; następnie w austriackim: 1848, a w zaborze rosyjskim: 1861 (tzw. ziemie zabrane) i 1864 (Kongresówka).

Kwestia chłopska z wielu powodów zaślugała na pozytywne załatwienie. Tym bardziej, że zdarzało się, iż relacje między ludzkie – nim sprawa chłopska zaczęła być w ogóle podnoszona – sięgały wręcz dna. No bo jak inaczej oceniać – a nie były to incydentalne zdarzenia – wliczanie chłopów poddanych do inwentarza żywego przez swych panów. To znaczy traktowanie ich, tak jak było i konie; łącznie ze sprzedażą. W takiej sytuacji np. jedzenie bądź niejedzenie mięsa plasowało się na odległym miejscu na liście spraw, którymi należało się zająć, a następnie je załatwić. I tak też się stało. Ale (chyba) nade wszystko z powodu braku zainteresowania.

Odnosnie wspomnianego powyżej zniesienia poddaństwa chłopów, a także ich uwłaszczenia, a mając równocześnie na uwadze kwestię stosunku do zwierząt na Wyspach Brytyjskich, nie można pominąć milczeniem faktu, że w 1772 r., na terenie Anglii i Walii niewolnictwo zostało uznane za nielegalne. Natomiast w 1807 r. w całym Imperium Brytyjskim został zakazany handel ludźmi, a w 1833 r. instytucja niewolnictwa została zniesiona na prawie całym jego obszarze, a w 1843 także w pozostałej jej części.

*

Ale powracając do tematu stosunku człowieka do zwierząt: w Księdze IV *Pana Tadeusza*, w opisie polowania, znajdują się dwa następujące wersy:

Ryknął niedźwiedź i echem napelnił las cały.

Ryk okropny, boleści, wściekłości, rozpacz;

Tyle tylko współczucia dla zwierząt jest w kanonicznym utworze literatury polskiej. W innych książkach, już nie koniecznie tworzących kanon, a napisanych w języku polskim w wiekach XVIII i XIX, nie jest go więcej, a prawie zawsze nie ma go wcale.

W 1933 r. ukazało się I wydanie *Łyska z pokładu Idy* Gustawa Morcinka – wzru-

szającej historii konia ciężko pracującego w kopalni. I mającego w niej już pozostać do końca życia.

*

Od 23 kwietnia 1928 r. obowiązywało w Polsce Rozporządzenie Prezydenta RP z 22 marca 1928 r. o ochronie zwierząt. Tym samym przestały obowiązywać odpowiednie artykuły Kodeksu Karnego Rzeszy Niemieckiej z 1871 r. i rosyjskiego Kodeksu Karnego z 1903 r.

W rozporządzeniu z 1928 r. znajduje się np. sformułowanie, że „[z]nęcanie się nad zwierzętami jest wzbronione”. Najwyższa kara jaką w nim przewidziano, to grzywna wysokości 2000 zł bądź sześć tygodni aresztu, albo obie kary łącznie. Rozporządzenie owo w swej treści było tak nowatorskie i wybiegające w przyszłość – to oczywiście jest żart (najpewniej niestosowny) – że zostało zastąpione kolejnym dokumentem dopiero po 69 latach. To znaczy Ustawą z 21 sierpnia 1997 r. mającą m. in. przeciwdziałać przypadkom okrucieństwa wobec zwierząt. Ustawa ta, od tamtej pory była kilkakrotnie nowelizowana. W zależności od tego, kto w Parlamencie uzyskiwał przewagę: czy obrońcy zwierząt, czy tychże zwierząt hodowcy.

DARIUSZ PAWLICKI



* Polowania na lisy przez nieuzbrojonych ludzi posiadających wierzchowców, przy użyciu specjalnie do tego szkolonych psów myśliwskich, na terenie Szkocji zostały zakazane w 2002 r., w Anglii i Walii – w 2005 r. W Irlandii Płn. polowania te odbywają się nadal (stan z początku 2025 r.).

** Magdalena Ożarska, „Dorothy Wordsworth i zwierzęta. O dziennikach z Alfoxden i Grasmere z perspektywy Human-Animal Studies”; w: *Nowe oblicza romantyzmu brytyjskiego. Eseje na dwusetlecie*, pod red. Małgorzaty Łuczynskiej-Holdys i Moniki Coghren.

*** Bernard de Mandeville swą „Bajkę o pszczołach” zdecydowanie wpłynął na Woltera odnośnie uwrażliwienia jego na los zwierząt.

**** Dorota Betlewska-Gutowska, „Pan Bóg i ekscentrycy”; „Twórczość”, 12/2017.

***** Założyciele „Concordium” odwoływali się do poglądów, nie tylko tych dotyczących nauczania, amerykańskiego pisarza i pedagoga Amosa Bronsona Alcott (1799-1888).

Alina Biernacka

Czy przed śmiercią trzeba czytać Marka Aureliusza?

Czy przed śmiercią trzeba czytać Marka Aureliusza?
 A może tylko słuchać Strawińskiego
 i patrzeć na drzewa?
 Śmierć, choć jest pewnikiem, prowadzi przecież teatr,
 a ten musi przynosić zyski.
 Stąd wybór sztuk, pisanych pod publiczność,
 gwałtowne zakończenia, zupełnie nie pasujące
 do toku akcji.
 Śmierć nie zatrudnia dramaturgów,
 sama pisze farsy i kiczowate dramaty.
 To nas zaprasza na castingi –
 To my dobijamy się o role,
 choć nie czytaliśmy scenopisu.
 Czy przyjdzie nam zginąć w zaułku,
 jak wenecki hulaka,
 czy utopić się z rozpacz po stracie
 rodowej siedziby?
 Istnieje rodzaj zabawy w zadawanie pytań śmierci –
 Biorący w niej udział zgadują treść zakończenia,
 jednak po trzech nieudanych próbach
 muszą dać fant, a ten zależy od fantazji prowadzącej.
 Bywa, że jest to utrata bliskiego, lub wysłanie donosu
 na samego siebie do odpowiednich służb.
 Dotąd nie zdarzył się wypadek odgadnięcia końca –
 być może śmierć, znana z wisielczego humoru,
 nagle zmienia przewidziane zakończenie.
 Chociaż jest pomawiana o stronniczość,
 podlega jednak osądowi sponsorów –
 niestrudzonych naganiaczy, którzy używając kołatek
 kierują ludzi do z góry upatrzonych pułapek logicznych.

Pieniądze według prezydenta Trumpa

Pieniądze, według prezydenta Trumpa,
 stoją na szczycie piramidy, która symbolizuje
 człowieczeństwo.
 Bezinteresowna pomoc chowa się w piwnicy –
 dawno została uznana za szkodnika.
 A co z braterstwem?
 Siedzi w komórce, żyje z datków i z tego,
 co mu rzucą przechodzący kongresmeni.
 Nie lepiej się ma szacunek – ten jest uwięziony
 w płowej czuprynie prezydenta.
 Stamtąd mierzy ogół groźnym spojrzeniem,
 przywołuje do porządku narody, które chwilę
 nieposłuszeństwa mają opłacić rozbiorami.
 Pieniądze zdają sobie sprawę ze swojej
 wiodącej roli, zamówiły więc hymn
 i teraz opłaceni muzycy mają za zadanie
 wbić go w głowę całej ludzkości.

Oswojony czas

Oswojony czas stara zachowywać się
zgodnie z wymaganiami tresera.
Minuty zastygają w uważnej układności,
doba nie ociąga się i trwa z dokładnością
do setnej sekundy.
Czas nocny biegnie bezgłośnie,
dzienny wzbija się do góry jak polujący
jastrząb.
Jednak istnieje czas przeszły – ten nie poddaje się
treserowi – rozlacza ciemne pejzaże,
szokuje gwałtownością wylądowań,
pokazuje nieme filmy z młodości,
albo drugorzędne dreszczowce, niby próby
wrózenia z wnętrzości zwierzęcych.
Czas przyszły udaje, że nie rozumie komend,
przypomina balon z nadmiernie ogrzanym
powietrzem.
Znika i nie sposób go wyśledzić.
Pewnie gdzieś wyląduje, tylko czy w całości?
Czas odkupienia jest dedykowany
twórcom wojen, masowym mordercom
i tym niszczycielom, którzy dla własnej
chorej ambicji, rozwiązują worek z wiatrami,
niby chciwi towarzysze Odysa.

O układaniu

Czy ludzie, jak kwiaty w wazonie,
mogą być układani czyjąś ręką?
Oczywiście! I dzieje się to częściej,
niżby można się spodziewać.
Układanie kwiatów czy ludzi stanowi zawód,
do którego dołączają zaklinacze koni
i treserzy małp.
Autokraci umieją ponadto zmuszać do porządku
całe rzesze poddanych.
W Egipcie działało się to przy pomocy bogów,
obecnie tą rolę przejęły media, śledzące
każde zachowanie.
Układanie ludzi, niby kart używanych do pasjansa,
było stosowane od niepamiętnych czasów.
W sprzeczności rozlepiano na murach
fotografie pokrzywdzonych.
Listy protestacyjne od milionów ludzi
odbijały się o ściany rezydencji despotów.
Układanie ludzi w efektowne bukiety
zejdzie na dalszy plan, kiedy dzikość
przejmie rolę pana świata i będzie przesuwawała
na mapie całe państwa, zamieniając je
w terytoria zależne od kaprysu drapieżnika.

Maria Jentys-Borelowska

ŻYCIE I KSIĄŻKI (10)

WIZJE FANTASTÓW CZY NASZE JUTRO?

(ŚWIAT W POWIEŚCIACH DYSTOPIJNYCH)

Ludzie od zarania dziejów marzyli o państwie idealnym, takim, w którym żyłoby się bezpiecznie i szczęśliwie. Mimo iż przy każdej próbie urzeczywistnienia go okazywało się - w mniej lub bardziej dramatyczny sposób - że jest to marzenie nieiszczalne, wielcy myśliciele i twórcy wszechczasów z podziwu godną ufnością ożywiali je i rozwijali w swych dziełach filozoficznych, politycznych, historycznych, społecznych, a wreszcie literackich. Dziś zaliczamy owe fantazje do literatury utopijnej, bardzo już bogatej i różnorodnej, w dodatku od pewnego czasu mającej swoje przeciwstawne - na zasadzie awersu do rewersu - dopełnienie w literaturze antyutopijnej (dystopijnej).

Przypomnijmy sobie w tym miejscu kilka najbardziej znanych wizji społeczeństwa (lub państwa) idealnego, czyli ziemskiego raj: biblijny Eden, państwo Platona z dialogu *Politeia* (ok. 380 r.p.n.e.), wyspa Utopia z rozprawy Tomasza Morusa *De nova insula Utopia* (1515), Państwo Stońca z powieści Tommaso Campanelli pod takimż tytułem (1602), mityczna kraina Bensalem z *Nowej Atlantyd* Francisca Bacona (1620), rajska Wyspa Nipu z powieści Ignacego Krasickiego *Mikołaja Doświadczńskiego przypadki* (1776), świat bez wojen, chorób i niesprawiedliwości z utopii George'a Herberta Wella *Ludzie jak bogowie* (1923), wreszcie wyspa szczęśliwości z ostatniej powieści Aldousa Huxleya pt. *Wyspa* (1962), którą pisarz - patrz niżej! - skontrował własny, o trzy dekady wcześniejszy, dystopijny, a więc mroczny i przerażający *Nowy wspaniały świat*.

Wiele można by wymienić jeszcze znakomitych utopii (zarówno powieściowych, jak coraz liczniejszych ekranowych), ale czas skupić się na antyutopiiach (dystopiiach), które zdominowały literaturę *science fiction* i *fantasy* drugiej połowy XX wieku. Zaczniemy od objaśnienia nazw. Słowo *utopia* pochodzi od greckiego *ou tópos* - nie jest znany [kraj taki]. Wedle definicji słownikowej (wziętej z PWN-owskiego *Słownika wyrazów obcych* z 1995), utopia to „nieiszczalny pomysł, mrzonka, nieliczący się z obiektywnymi możliwościami realizacji ideał społeczeństwa szczęśliwego; także ideologia postulująca stworzenie takiego społeczeństwa”. Wedle *Podręcznego słownika terminów literackich* Michała Głowińskiego *et consortes*, z roku 1996, utopia to „gatunek literatury dydaktycznej, biorący swą nazwę od tytułu dzieła T. Morusa (1516), w którym przedstawiony został obraz życia idealnej społeczności na wymyślonej wyspie Utopii. Utwory tego gatunku, mające zwykle formę powieściową, ukazują wzorowo zorganizowane społeczeństwa, rysują projekty sprawiedliwych państw i niezawodnie działających instytucji, lokalizując je bądź na nieodkrytych jeszcze lądach, bądź w odległej przyszłości.”

Antyutopia zaś, czyli przeciwieństwo utopii, to - według tegoż słownika - „utwory dające negatywny obraz przyszłości, pokazujące świat nieludzki, biurokratycznie

zorganizowany, w którym prawa jednostki są ograniczone przez totalitarne mechanizmy”.

Wyobrażenia ziemskich rajów przemienity się w literaturze XX wieku w przerażające obrazy ziemskich piekieł. Stało się tak za sprawą zbrodniczych systemów totalitarnych, które zawałdowały kilkoma państwami Europy oraz Eurazji, a obecnie oplątują Chiny i Koreę Północną.

Jedną z najważniejszych i najgłośniejszych antyutopii czy - jak mówi się dzisiaj - dystopii w literaturze, która wyprzedziła *Nowy wspaniały świat* Huxleya oraz *Rok 1984* Orwella, była powieść *MY*, napisana w roku 1921 (rok przed powstaniem Związku Radzieckiego!) przez rosyjskiego pisarza i budowniczego okrętów JEWGIE- NIJA ZAMIATINA (1884-1937) i wydana po raz pierwszy w Nowym Jorku w roku 1924, następnie w 1927 w Pradze i w postaci samizdatów rozkolportowana po całej Rosji; w Polsce ukazała się w 1985 (nielegalnie), 1989 i 2020.

Akcja powieści *My* rozgrywa się mniej więcej w XXX stuleciu, w PAŃSTWIE JEDYNYM, utworzonym po Wojnie Dwustuletniej. Ogrózione od reszty świata Zielonym Murem (lasami i zaporą ze szkła żarzącego), jest ono z pozoru rajem na Ziemi. Wszyscy obywatele traktowani są jednakowo, nie ma tu bogatych i biednych, wybitnych i przeciętnych. Każdy otrzymuje od Państwa dom, pracę, żywność oraz odzież. Każdemu przyznawane są też Godziny Osobiste, podczas których może spacerować, i Godziny Seksualne, kiedy wolno mu zaopiekować potrzeby naturalne. Życie w Państwie normuje Dekalog Godzinny, który tak rozplanowuje dni mieszkańców, by nie mieli czasu na rzeczy zbędne (jak np. myślenie, odczuwanie miłości itp.). Większość obywateli Państwa Jedynego jest tak dogłębnie zindoktrynowana, że z ochotą poddaje się temu reżimowi, jednak istnieje też grupa indywidualistów, którzy nie chcą pozostawać szczęśliwymi za cenę wolności. Odrzucają wszystkie zasady narzucone im przez Państwo. Nie chcą być własnością kraju, w którym żyją, pragną dobrowolnie podejmować decyzje o tym, kiedy wstają, kiedy jedzą i kiedy się kochają, jaki zawód wykonują oraz jak i gdzie mieszkają. Nie życzą sobie szklanych domów, w których są poddawani nieustannej kontroli Opiekunów. Chcą mieć własne rodziny i własne żony, które będą mogły rodzić im dzieci wedle własnej chęci i woli, a nie wedle ogólnego przydziału. Nie godzą się na Dzień Jedynomyślności, jakim jest dzień wyborów, żądają prawa do demokratycznego głosowania. Chcą mieć prawo do własnych marzeń i snów, które są źródłem twórczych inspiracji, a nie przejawem choroby psychicznej, jak każe im mniemać Państwo. Wyobrażają to dla nich dobro, a nie zagrożenie. Domagają się likwidacji Urzędu Opieki jako miejsca, gdzie składane są donosy jednych na drugich. Ci

obywatele jednak skazani są na zaturę.

Bohater powieści, A-503, jest na początku obywatelem „prawomyslnym”. Nie wątpi, że idea Państwa Jedynego jest słuszną i niepodważalną. Wszystkie idee starożytności, jak wolność, demokracja, poszanowanie indywidualności jednostki, uważa za szkodliwe fanaberie. Kiedy jednak zakochuje się w I-330, coś się w nim budzi. Już nie chce być bezwonną częścią jednolitej masy, pragnie sam stanowić o swoim życiu. Nie ma jednak dość siły, by walczyć o siebie. Indoktrynacja, jakiej był poddawany przez całe lata, pozbawiła go siły woli, charakteru, osobowości. Zamieniła w bezwonną mechanizm. Miłość wprawdzie ożywiła go, uczłowieczyła, lecz nie odmieniła w sposób istotny i gruntowny. W krytycznym momencie, w obliczu zagrożenia karą, górę biorą zakorzenione głęboko idee Państwa Jedynego i A-503 kapituluje. Wybiera dotychczasowe, bezmyślne i bezwolne, życie pionka w grze rozgrywanej przez Państwo Jedyne. Oddaje wolność i prawdziwe (a więc trudne) szczęście za szczęście pozorne; za wątpliwą wygodę. Państwo zwycięża. Z dzisiejszej perspektywy powieść Zamiatina - przypomnijmy: napisana rok przed utworzeniem Związku Sowieckiego! - to nie tylko fantastyczno-groteskowy obraz pierwszego państwa totalitarnego, ale i mająca wszelkie znamiona realności wizja naszego przyszłego świata, którego zarysy już wyłaniają się z chaosu dążeń, interesów i działań wielkich potęg światowych. Coraz więcej znaków na Ziemi i Niebie zdaje się wskazywać na to, że po raz kolejny - wbrew doświadczeniom nazizmu, faszyzmu i komunizmu - zmierzamy ku TOTALITARYZMOWI, czyli ku ZAGŁADZIE LUDZKOŚCI. Wystarczy przyjrzeć się temu, co czynią Chiny (m.in. Punkty Oceny Obywateli) i Rosja, co dzieje się w Europie, Azji, obu Amerykach i Afryce, a na co zwracają naszą uwagę obserwatorzy i komentatorzy przemian politycznych, gospodarczych, społecznych (patrz np. *Koncern Autokracja. Dyktatorzy, którzy chcą rządzić światem* Anny Applebaum) oraz pisarze, w tym dystopiści. Warto więc przy okazji sięgnąć po liczącą wiek i prawie całkiem zapomnianą powieść Jewgienija Zamiatina, który swoją wizję PAŃSTWA JEDYNEGO wysnuł z obserwacji RZECZYWISTOŚCI, w której żył, nie zaś z fantazji pisarza-dystopisty. Zdaniem anonimowego czytelnika internetowego powieść ta „dzięki intuicyjnemu zrozumieniu irracjonalnej strony totalitaryzmu” przewyższa *Nowy wspaniały świat* Huxleya.

A oto i ona, głośna i ważna antyutopijna powieść angielskiego pisarza ALDOUSA HUXLEYA (1894-1963) pt. *BRAVE NEW WORLD* - w polskim wydaniu *NOWY WSPANIAŁY ŚWIAT*. Ukazała się w 1932 roku, a więc jeszcze przed drugą wojną światową, przed wybuchem hitleryzmu, przed zrzućeniem bomby atomowej na Hiroszimę i Nagasaki, ale już jako odbicie niebywalego rozwoju cywilizacyjnego (technologicz-

nego, przemysłowego), podważającego wszystkie dotychczasowe zasady myślowe, społeczne, obyczajowe, moralne; jako – jakże trafna! – przepowiednia i – jakże zasadna! – ostrzeżenie. Postępując się konwencją powieści science fiction, Huxley pokusił się o próbę konfrontacji idei wolności z zasadami porządku; pragmatyzmu z władztwem wyobraźni; indywidualizmu z kulturą społeczeństwa masowej. Stworzył przerażającą wizję społeczeństwa roku 2541 – sześćset trzydziestego drugiego roku nowej ery Pana naszego Forda – które osiągnęło stan doskonałego zorganizowania i urzeczywistniło ideał powszechnej szczęśliwości. Stworzył Republikę Świata, rządzącą się trzema zasadami: zasadą w s p ó l n o ś c i („każdy jest dla każdego”); zasadą i d e n t y c z n o ś c i (wszyscy mają takie same upodobania i poglądy, a przedstawiciele warstw niższych nawet tak samo wyglądają, gdyż są klonami; nazwiska także noszą prawie takie same, gdyż na dwumiliardową populację Republiki Świata przypada tylko dziesięć tysięcy nazwisk); zasadą s t a b i l n o ś c i, która wynika z zachowania dwóch poprzednich zasad i kontrolowania oraz tępienia zachowań odbiegających od normy. Nikt w tym światowym raju nie może stanowić o sobie, nie ma prawa myśleć po swojemu, kochać, pragnąć, marzyć, bo od niemowlęstwa był w a r u n k o w a n y g e n e t y c z n i e i p s y c h o l o g i c z n i e, tak aby bezrefleksyjnie i bez żadnej możliwości wyboru polubił swoje „nieuniknione przeznaczenie społeczne”. Jest tu także praktykowane warunkowanie m o r a l n e, a najpotężniejszą siłą wszech czasów w zakresie umoralniania i socjalizacji jest hipnopedie. („Sześćdziesiąt dwa tysiące czterysta powtórzeń przeradza się w jedną prawdę. Idioci!” – mówi buntujący się odmieniec, Bernard Marks).

Nie ma tu matek ani ojców, nawet nazwy te nie istnieją w języku mieszkańców Republiki Świata, bo żywiorództwo zostało całkowicie zastąpione przez sztuczne zapłodnienie oraz klonowanie. Wiedzą o nim tylko nieliczni wtajemniczeni, słowa „matka”, „ojciec”, „narodziny” są słowami wstydliwymi, ba, gorszącymi. Dzieci się nie rodzą – są „wybutlowane”.

Dezaprobatę budzą też wszelkie uczucia wyższe, jak miłość czy przyjaźń, każdy jest tu bowiem dla każdego, seks wszystkich ze wszystkimi jest społecznie akceptowany i pożądanym jako dobra rozrywka. Praktykowane są orgie-porgie, a także dziecięce gry miłosne. Niepożądane, zgoła dziwaczne i szokujące są takie doznania, jak poczucie winy, wyrzuty sumienia, żal, tęsknota. Toteż na wszelki wypadek, dla wyrugowania podobnego rodzaju destrukcyjnych odczuć, karmi się wszystkich obywateli porcjami s o m y. Na każdy smutek – gram, dwa gramy, trzy gramy somy. Rozdaje się ją masowo i wszyscy się nią bezustannie faszerują, można rzec – ćpają te „tabletki szczęścia” jak narkomani, aby broń Boże nie doświadczyć jakiegóż przykrości.

Manipulatorzy, mający za zadanie stać na straży idealnego funkcjonowania Republiki, niszczą za pomocą somy r z e c z y w i s t o ś ć. Obywatele mogą brać somę, kiedy chcą, a naćpani stają się oderwani od rzeczywistości, od jakiegokolwiek podłoża, a więc i bezwolni jak dzieci.

Rzecz jasna nie istnieje w Republice Świata ani Bóg, ani też słowo „Bóg”. Dawno poszło do lamusa. Zamiast niego funkcjonuje Ford, Pan Nasz Ford (czasami zamieniany na Pan Nasz Freud). Mówi się: Na Forda!, O, Fordzie!, pisze A.F. 632.

Przeszłość – zabytki kultury, architektury, książki – są skrzętnie niszczone. Mieszkańcy



nowego wspaniałego świata nie chcą ani przeszłości, ani żadnej mitologii. W myśl maksymy: „Jeden sześcienny centymetr i znika ponury sentyment”. Nie chcą też starości. Ludzi po sześćdziesiątce *robi się* na młodych, to żadna sztuka, tak że umierają młodziuteczcy.

Wolność nie jest pożądana. Zarządca Ośrodka Rozrodu i Warunkowania w Londynie Centralnym (gdzie rozpoczyna się i w dużej części rozgrywa akcja powieści), Jego Fordowska Wysokość Mustafa Mond głosi: „Wolność jest nieefektywna i przykra. Wolność to okrągły kołek w kwadratowej dziurze; Historia to bujda”. Dom rodzinny nazywa „nie dość wyjątkowym więzieniem”. Ludzie nie są tu równi, lecz – stosownie do uwarunkowania – podzieleni na kasty, na wspaniałe alfy i bety, gorsze gammy i delty, nędzne epsylony itd. Nikt nie jest niezadowolony ze swego losu, bo uwarunkowanie genetyczne i psychologiczne razem z somą każe czuć się szczęśliwym.

A jednak w tej idealnie zorganizowanej i perfekcyjnie wyjątkowej społeczności Republiki zdarzają się jednostki niepokorne, nie do końca uwarunkowane, wymykające się manipulacji i hipnopedii. Należą do nich: wspomniany Bernard Marks, niby przedstawiciel kasty alfa-plus, ale jakiś nieudacznym (fizycznie i psychicznie) i wciąż zbuntowany; pracownik propagandy, propagandowy „literat” Watson Helmholtz, którego zaczynać nadchodzi wspaniałe twórcze niepokoję; pielęgniarka Lenina Crowne, która zaczyna odczuwać nieodparte cięgoty miłosne do jednego – kto to widział?!? – mężczyzny. Gdy dochodzi między nimi wszystkimi do spotkania z Dzikusem z Rezerwatu, spokój w Republice ulega poważnemu zakłóceniu.

Na obrzeżach Republiki Świata bowiem istnieje Rezerwat, w którym ludzie żyją we-

dług starych, naturalnych zasad. Jednym z mieszkańców Rezerwatu jest John (Dzikus), syn kobiety c y w i l i z o w a n e j, która niegdyś przybyła tutaj ze swym również c y w i l i z o w a n y m partnerem na wakacje, lecz musiała pozostać wśród Dzikusów ze względu na dziecko, które wydała na świat sposobem t a m niedopuszczalnym. John wyrósł więc i wychował się w Rezerwacie, tam poznał ideę Boga, a z tekstów Szekspira – ze starego wydania Szekspirowskich tragedii, które jego matka, Linda, dostała od kochanka – dowiedział się o istnieniu takich ludzkich potrzeb i praw, jak potrzeba indywidualności, prawo do przeżywania cierpienia i miłości, do samodzielnego myślenia, do decydowania o sobie. Kiedy sprowadzono go – za sprawą Bernarda Marksa – do Londynu, odkrył, że ten wspaniały nowy świat jest mu całkiem obcy, niepodobny do pełnego porwających uczuć i namiętności świata, jakiego oczekiwał i pragnął. Uciekł więc, wybierając samotność i cierpienie. A gdy żądni sensacji mieszkańcy Republiki osaczyli go w jego samotni, otumanili somą i wciągnęli w gigantyczną orgię-porgię, odebrał sobie życie.

Za pośrednictwem postaci Dzikiego Huxley ugodził w mechanistyczną cywilizację „trwałej szczęśliwości”, w której ludzie obywają się bez wielkich uczuć, nadających życiu głęboki sens, wyrazisty smak i pełnię barw, bez autentycznych wartości (moralnych, emocjonalnych, społecznych, intelektualnych) i uwarunkowanych nimi dramatów. Przestrzegł przed światem KONSUMENTÓW o standardowych potrzebach, automatów, manekinów, istot dwuwymiarowych, bez wnętrza. A więc przed światem – powtórzmy – przerażającym.

Druga ważna antyutopia XX-wieczna, znana szeroko powieść z gatunku science

political pt. NINETEEN EIGHTY-FOUR – w polskim przekładzie ROK 1984 - ukazała się w Anglii, kraju swego powstania, siedemnaście lat po antyutopii Huxleya, a więc po drugiej wojnie światowej, w roku 1949. Jej autor, GEORGE ORWELL (właściwie Eric Arthur Blair, 1903-1950), pisarz i dziennikarz, który znał z autopsji faszyzm hiszpański, pokusił się o wykreowanie wizji świata nieludzkiego, a już realnie istniejącego w państwach opartych przez komunistów i stonowujących całkiem prawdopodobne zagrożenie dla reszty świata. Gdy dziś, trzydzieści z górą lat po rozpadzie sowieckiego imperium i po ujawnieniu zbrodni stalinowskiego reżimu, czyta się Orwellovską antyutopię, nie sposób nie stwierdzić, że angielski pisarz przejrzał na wskroś system stworzony po Rewolucji Październikowej przez psychopatycznego kremlowskiego dyktatora i z tej wiedzy wysnuł swoją opowieść o Oceanii rządzącej się prawami ANGSOUC – angielskiego socjalizmu; o WIELKIM BRACIE, który PATRZY zewsząd i wszystko widzi; o PARTII, kontrolującej życie obywateli Oceanii za pośrednictwem POLICJI MYŚLI; o O'Brienie – członku PARTII WEWNĘTRZNEJ, strażniku Rewolucji, kacie i „przyjacielu” swych ofiar, troszczącym się usilnie o to, by wyzbyły się wszystkich myśli, uczuć i pragnień poza miłością do WIELKIEGO BRATA (Partii); a przede wszystkim o Winstonie Smith, 39-letnim urzędniku Ministerstwa Prawdy, który ośmiela się wypowiedzieć wojnę narzuconemu mu sposobowi życia, a więc w gruncie rzeczy samemu WIELKIEMU BRATU. Zaczyna od popełnienia myślozbrodni: podczas karygodnej wtórczki po dzielnicy proli (proletariuszy) kupuje zeszyt i zaczyna w nim zapisywać swoje prawdziwe wrażenia, myśli i odczucia, nie wyłączone nienawiści do WIELKIEGO BRATA. W pełni świadomy, że w każdej chwili może zostać zdemaskowany i aresztowany przez wszechobecną Policję Myśli (mającą do dyspozycji nieprzeliczone zastępy agentów i niezliczone teletekany), następnie „ewaporowany” (czyli unicestwiony doszczętnie, do wpisu metrykalnego włącznie), nie może oprzeć się potrzebie życia w zgodzie ze sobą i z oczywistą dlań prawdą faktów. Jego praca w Ministerstwie Prawdy bowiem, polegająca na nieustannym fałszowaniu przeszłości, teraźniejszości i przyszłości, budzi w nim coraz większą wstręt. Zatem ryzykuje życie, aby pozostać sobą – człowiekiem. Z początku sam jeden przeciw POTĘDZE (Partii, Wielkiemu Bratu, systemowi), nieoczekiwanie zyskuje sojuszniczkę, a zarazem przyjaciółkę, kochankę, bliską sobie istotę, niepokorną, niezależną, szczerą i autentyczną do końca, młodą kobietę Julię, która chce dzielić z nim niepewny los. Oboje wiedzą, że są absolutną własnością Partii, że ich życie ma sens o tyle, o ile jest częścią życia Partii, że każdy ich ruch, każdy gest, nawet najdrobniejszy grymas twarzy jest pod kontrolą TELEKRAŃÓW, a POLICJA MYŚLI nie spuszcza ich z oczu ani na ułamek sekundy, to jednak nie cofają się przed popełnianiem kolejnych myślozbrodni oraz wykroczeń przeciw zasadom rządzącym w Oceanii. Zaczynają spotykać się potajemnie w różnych miejscach, które wynajduje Julia, wreszcie wynajmują pokój w domu antykwariusza, znajdującym się w dzielnicy proli, aby tam cieszyć się swoim ludzkim szczęściem, w nadziei, że Policja Myśli nieprędko wpadnie na ich trop. Łudzą się, że na razie są bezpieczni. Jakże są naiwni! Ani przez moment nie byli sami. Antykwariusz okazał się szpiclem i judaszem, O'Brien, któremu zaufali, wysokim funkcjonariuszem Partii Wewnętrznej, niebawem ich prześladowcą, sędzią i katem.

Brutalnie rozdzieleni, trafiają osobno do

lochów Ministerstwa Miłości, czyli do miejsc, w którym nie ma mroku, bo - jak w celach łubianki - palą się tam bez przerwy żarówki o rażąco jaskrawym świetle. Następnie szczegółowy opis „reedukacji” Winstona Smitha przez O'Briena, wypisz wymaluj sadysty-psychopatę rodem z Czeki.

Tyle tylko że opisywana potworność dzieje się nie w Moskwie Stalina i nie w siedzibie NKWD na Łubiance, lecz w Londynie, głównym mieście Pasa Startowego Jeden, trzeciej pod względem zaludnienia prowincji Oceanii. Londyn jest w części ruiną (po nalotach sprzed 30 lat), wciąż zresztą nękaną nalotami rakietowymi, świadczącymi o trwającej wojnie. Oceania to jedno z trzech supermocarstw, na które po wielkiej wojnie został podzielony świat. Powstała w wyniku wchłonięcia Imperium Brytyjskiego przez Stany Zjednoczone. Drugie supermocarstwo to Eurazja – czyli Rosja z Europą „w swych otchłannych bebeczach”. Trzecie to Wschódazja. Trzy supermocarstwa są w stanie permanentnej wojny, której celem jest zdobycie taniej siły roboczej. Sojusze między nimi zmieniają się z chwili na chwilę i nigdy nie wiadomo, kto z kim walczy przeciw komu.

W Oceanii panuje ANGSOUC – socjalizm angielski. Jego nienaruszalne zasady to: nowomowa, dwójmyślenie, zmienność przeszłości. Wielki Brat to Wódz i Strażnik Rewolucji, która dokonała się przed laty i prowadzi do przemiany świata. Jest go pełno na ogromnych plakatach, z których Wielki Brat patrzy, ale czy istnieje naprawdę, nie wiadomo. Nikt go nigdy nie widział. Jest najpewniej jedynie symbolem Partii.

Oceanię rządzi cztery ministerstwa: Ministerstwo Prawdy (czyli kłamstwa), Ministerstwo Pokoju (czyli wojny), Ministerstwo Miłości (czyli nienawiści i zbrodni), Ministerstwo Obfitości (czyli głodu). W nowomowie (czyli mowie maksymalnie zredukowanej): Miniprawd, Minipax, Minimiło, Miniobfi. Partia składa się z Partii Wewnętrznej (3 % populacji) i Partii Zewnętrznej (12 % populacji). Reszta mieszkańców to prole (85 % populacji). Tylko oni, prole, są wolni i mogą robić, co chcą, bo Policja Myśli się nimi nie interesuje. Są zbyt mało świadomi, żeby chcieć się buntować. Metody rządzenia to m.in. organizowanie Minut oraz Dni Nienawiści do nieistniejącego wroga (któremu wszakże przydaje się wszystkie znamiona realności), pojenie członków Partii Zewnętrznej Dżinem Zwycięstwa itp.

Winston Smith nie może znieść takiego świata i takiego życia. „Dziś istnieje strach, nienawiść i ból, nie ma zaś godności uczuć ani żadnych głębokich, skomplikowanych tragedii” – mówi sobie zdesperowany i jego ręka sama pisze w pamiętniku: „Nienawidzę Wielkiego Brata” – pięć razy pod rząd. Jest samotny od wczesnego dzieciństwa, jego rodziców pochłonęła jedna z wielkich czystek w latach 50., a jeszcze wcześniej rzucono bombę atomową na Colchester. Praca jego to „aktualizowanie” wydanych już numerów gazet, czyli fałszowanie przeszłości, praca zaś jego kolegi Syme to niszczenie słów, redukowanie ich do niezbędnego minimum. Syme mówi: „naczelnym celem nowomowy jest zawężenie zakresu myślenia”. Jego też dopada i unicestwienia Policja Myśli.

Winston nie może pogodzić się z faktem, że Partia zanegowała nie tylko świadectwo zmysłów, ale i samo istnienie świata zewnętrznego. Postanawia bronić – bez względu na cenę – tego, co jest oczywiste i prawdziwe. Zapisuje w pamiętniku: „Wolność oznacza prawo do twierdzenia, że dwa i dwa to cztery. Z niego wynika reszta”. Jego oprawca O'Brien doprowa-

dzi go jednak niewypowiedzianymi torturami do stanu, a którym Winston zaprzeczy sobie – świadectwu własnych oczu, uszu oraz rozsądkowi. Zgodzi się, że dwa i dwa to może być trzy, pięć itd. Jako członek Partii Wewnętrznej O'Brien wie, że jeśli ktoś pragnie rządzić nieprzerwanie, musi umieć burzyć w poddanych poczucie rzeczy-wistości. A zatem zmienność przeszłości i dwójmyślenie to kwintesencja angosocu. Dwójmyślenie jako „łożony system myślowego oszustwa”. Winston nie może zrozumieć, dlaczego Partia czyni to, co czyni. Wciąż zadaje sobie i śledczemu to pytanie. Odpowiedź O'Brien brzmi: „Nasz świat jest dokładnym przeciwieństwem idyotycznych, hedonistycznych utopii, jakie wymyślali dawni reformatorzy. Świat strachu, zdrady i cierpienia, świat depczących i deptanych, świat, który w miarę rozwoju staje się nie mniej, lecz bardziej okrutny. Postęp w naszym świecie oznacza postęp bólu. [...] Nasza [cywilizacja] zbudowana jest na nienawiści. Wkrótce wyeliminujemy wszystkie uczucia oprócz strachu, wściekłości, triumfu i samoupodlenia. [...] Nikt nie będzie odczuwał lojalności wobec nikogo i niczego prócz Partii. Nie będzie kochał nikogo prócz Wielkiego Brata”. Zniszczone zostanie – mówi dalej O'Brien – „wszystko co ludzkie, ale zawsze istnieć będzie upajająca władza, coraz potężniejsza i coraz bardziej wyrafinowana. I zawsze, w każdej sekundzie da się odczuć rozkoszny dreszcz zwycięstwa, jaki budzi deptanie pokonanego wroga. Przyszłość to wielki buł depczący ludzką twarz, wiecznie!” - oznajmia kat ofierze.

Będący u kresu sił Winston znajduje w sobie dość godności, by sprzeciwić się oprawcy, ale nie na długo. Psychopatyczny sadysta odbiera mu – zachowaną prawie do końca – miłość do Julii i tym samym miadży go i unicestwia. Dopóki kochał, był Smith człowiekiem. Bez miłości staje się żywym trupem, pustą skorupą. Tak samo jak Julia, dumna, śmiała młoda kobieta, którą uśmiercono niszcząc jej miłość do Winstona.

Od czasu ukazania się powieści Huxleya i Orwella minęły lata, świat odetchnął z ulgą, odrąbawszy tę bestię nazizmu i komunizmu, ale oto znów zagraża nam globalne niebezpieczeństwo - Chaos i Absurd w postaci czystej. Przekonajmy się, jak je postrzega KRZYSZTOF BIELECKI, polski pisarz współczesny, średniego pokolenia (urodzony w roku 1960, debiutował w 1980). Jego fantastyczna powieść *END&FIN COMPANY*, napisana w roku 1985, wydana w 1992, dotyczy - najogólniej mówiąc - stanu wojennego w Polsce 1981-1983, jednak zawiódłby się czytelnik, który by poszukiwał w niej czegoś na kształt świadectwa czy kroniki tamtych groźnych lat. Przedstawione w utworze kosmiczne MIASTO DZIEWIĘĆDZIESIĄTE DZIEWIĄTE ze swym niepodzielnym władcą BARDZO WIELKIM WOLNOMYŚLI-CIELEM ENDEM to schemat świata chaosu i absurdu w stanie czystym. Takiego świata, jakim w oczach niezaangażowanego sercem, rozumem i wyobraźnią Polaka była Polska (i nie tylko Polska) w pierwszej połowie lat osiemdziesiątych XX wieku.

Odwadźni i myślący mieszkańcy Miasta - oznajmia narrator w pierwszych słowach owej parodystyczno-alegorycznej opowieści - lękali się o jego przyszłość, gdyż leżało „w wulkanicznym epicentrum wszystkich dotychczasowych dokonań ludzkości: technicznych, etycznych i pozostałych, w każdej chwili grożąc eksplozją i zagładą, czyli końcem”, sąsiadowało z potężnym i tajemniczym ETNYM i było rządzane „nierozsądnie,

niegodziwie i nieprawdziwie. End bowiem, jako Bardzo Wielki Wolnowymyśliciel, „odtrącił rzeczywistość i podał Rękę zmyśleniu, zbrałał się z Kosmosem, kosmiczną Fikcją i kosmiczną Katastrofą”, i dokonał radykalnych zmian: zlikwidował Czas i zarządził redukcję człowieka do pustej i nieczłowieczej formy. Zrobił więc to, co jako KONIEC (End) miał zrobić (razem ze swoim pomocnikiem FINEM, także Końcem).

Na szczęście nie stało się tak jak w apokaliptycznym Eliotowskim motcie powieści:

This is the way to world ends

This is the way to world ends

This is the way to world ends

Not with a bang but a whimper.

Autor, dobrotliwy demiurg, sięgnął do otwartej studni czarów i znalazł tam ratunkowe KOŁO PRZEMIAN:

„Ale też fantastyczne jest twierdzenie o końcu czegokolwiek. Jakby nie było nieskończonej wędrówki kosmicznej... Jakby nie było otwartej studni czarów, przemian, Rewolucji... Jakby nie było wiecznego Koła,

wewnątrz którego błądzi człowiek... Jakby nie było wiecznego Koła, które zataczając coraz szersze kręgi, pochłania coraz więcej początków i końców...”¹.

I tego Wiecznego Koła Przemian trzymajmy się niczym przystawionej brzytwy, skoro utopiści przegrywają z dystopistami, a ci nie dają nawet cienia nadziei na prawdziwie WSPANIAŁY NOWY ŚWIAT.

MARIA JENTYS-BORELOWSKA
WARSZAWA, W MAJU 2025 R.



¹ K. Bielecki: *End & Fin Company*. Oficyna Wydawnicza Akapit, Katowice 1992 s. 214.

Kazimierz Brakoniecki

JEZIORA NAJBLIŻSZE

Żonie-Ko-Hance

1. Kortowskie

Domowina wodnej przestrzeni starta naszymi
dzielnicowymi stopami i kolanami, plaża zwana Kamień
z rosochatymi wierzbami jak czarownicami herezji,
z trzinami, drobnymi jak zmarszczki pogody falami,
z marnym słońcem, po którym stale śmigały chmury,
a nam marzły wargi ruchliwe jak płetwy uklejek:
wyskakiwaliśmy z wody na rzadki słońca promień,
ścigając się po polach brukwi, kapusty, marchwi
albo chociaż ziaren wysypywanych z żytnich kłosów,
żeby nie wracać do domu, żeby się rozgrzać żabimi skokami,
chude to obojczyki i smarki długie jak warkocze z kwarcu,
domowina mętnej i chłodnej wody ze szczupakami
jak starcze nogi pomostu, którego nikt nie żałował zimą.

Kilku zażartych pływaków umarło, kilku jeszcze żyje,
w Polsce albo i Niemczech;
jak i ja topielec w jeziorze pamięci
z szeroko otwartymi oczami
nurkujący w śmierci.

2. Ukiel

Ukiel –
jezioro mojej podświadomej namiętności
do podwodnych, podziemnych i nadniebnych plemion;
latem wydobyłem z jeziora bystry kamyk
jako amulet warmińskiego buddy nosiłem go wszędzie;
nie wiem czy mi pomógł ale stał się karmą wierszy;
we śnie udowodnił mi że domaga się pochówku
w tych samych wodach płodowych materii i duchów.

Stoję na brzegu, który zrujnowana chata pilnuje
błędne pastwisko z gnijącym powietrzem,
cypel osik i pokrzywy przemielonej pamięci,
z jednej strony wymię zatoki do Likus i Gutkowa,
z drugiej biologiczny czyściec do Łupstychu.

Prowadzę na smyczy ślepego psa Tutu bo jest stąd i znikąd,
jak każda istota oślepiona rachunkami życia i śmierci,
rozmyślam o dziadach Kozłowskich braciach,
jeden w błotach Prypeci we wrześniu 39 tonął
na oczach drugiego zrzucając z siebie broń i plecak,
drugi podawał karabin trzymając się brzozę:
nie pomogło zawarczało mętne gnojowisko,
wciągając żołnierza w torbiel nieistnienia.

Teraz sam wpadam po kolana w błotną dziurę,
ale słabą jak puls nieżywej żaby i korzeni,
wyrywam nogę, podciągam się, psa trzymam,
amulet został w błotnej podświadomej materii
i ruszam dalej w górę stoku, gdzie zbiegowisko buków
(Buk nie Bóg!), dębów, klonów i nieochrzczonych liści,
brunatne lustro wody zastyga w pogańskie poidło
przyłożone do warg ziemi, która zaczyna oddychać
płucem panteistycznym Spinozy, Emersona i Herdera.

3. Pluszne

To nie tylko zdawkowa tajemnica,
co się odsłania jak kielich pejzażu,
ani turkusowe wody wakacyjne,
oblepione daczami pańskie wille,
ale stara wieś Pluski wynarodowiona
i skazana na odbicia szarego mydła słońca.

Nie zawsze tak było, Warmiaków poznałem,
kanciastych jak ceglane mury szkoły wiejskiej
na powojennej ulicy w Olsztynie,
ale i tych spod Wilna także jeziornych i leśnych,
bo tam, gdzie stygnie ojczyzna było podobnie,
gęste bory, suche gościńce i zahukany horyzont.

Nieraz pływałem nurkując w jeziorze,
nie bojąc się potopionych żołnierzy rosyjskich z I wojny,
ani szwabskich samolotów ryjących w mule swoje lotniska,
czułem się jak nad romantycznym jeziorem Narocz,
o którym opowiadała mi kresowa matka,
zanim popłynęła rdzawą barką po Amur Darii
w poszukiwaniu utraconej armii Andersa.

Pisał o tym nieoswojonym pejzażu Aleksander Rymkiewicz,
poeta Żagarów z uniwersyteckiego Wilna,
przyjaciół Miłosza, który go lekcewał:
odwiedzał Warmię jako tropiciel busoli miejsca,
miał kształtną głowę, siwe włosy, nieme oczy,
jestem teraz w jego katastroficznym wieku
i dziwię się, że po wodzie można wierszami chodzić,
wybijając przerębel w chybotałej pamięci kosmosu.

6. Skanda

W mrocznych zagłębieniach lasu
parowy, a w nich plastry bełkotu,
które wypełniają nadęte żaby i legendy;
na wzniesieniu, gdzie strzeliste sosny,
śpiewa krztusząc się obłokami słoneczne światło,
pajęczyny rosy na mruczających blachach
porzuconych w zaroślach samochodów.

Na szczycie rozwidlonej cienkiej sosny
balansuje w wietrze rozpostarte gniazdo
na konarach siedzą dwa młode kruki cicho,
kiedy nadlatuje od strony jeziora Skanda
(w sanskrycie to bóg wojny,
w pruskim to topiel- kipiel)
z ochrypłym ostrzeżeniem rodzicielskim
para Kruków: mazurski Erwin i białoruska Świetłana
żeglujący nade mną z obawą, że zajmę ich terytorium,
którego środek jest tutaj, a granice nigdzie.

Królestwo za pruskiego kruka!
Bez obaw przyjaciele dwulotni, dwunożni, dwugłowi,
i ja herbu Obrycki-Prus z Atlantydy Północy jestem,
mimo że nie krukiem ani orłem, legendą ani mitem,
lecz utopionym w jeziorze martwym słowem i krewnym:
bagnista ziemio, mroczna woda jeziorna
oto i ja jak inni przychodzę i odchodzę,
wykopując z gockiego grodziska tkankę reinkarnacji,
jak i wy zakorzeniony w piśmie krajobrazu
odeczytanym z kamiennych warg parujących godzin.

4. Łańskie

Potomek chłopów bez ziemi i ziemi bez państwa
uwierzyłem w tożsamość polodowcowego kamienia,
naczytałem się o Bałtach, Kurpiach, Jaćwieży,
o świętych głazach i drzewach, które mają oczy,
ochrzczony w gotyckiej górze w zimowym Barczewie
kilka lat po wojnie, która miała się nie powtórzyć;
przyszedłem nad twoje zalesione i błotne brzegi
już magister po świetlnych naukach w stolicy –
stanąłem nagi i zdrowy ekstatyczny,
Jezus-Dionizos-Budda- Kosmopoeta sakralny,
chrzest z ziemi, wody i nieba na wezwanie wiersza,
który toczy się krwią z podświadomości ziemi.
Byłem, jestem, będę poezji zwierzęciem.
Ja odzyskany pruski Słowianin.

7. Naterskie

Lato na pożegnanie
wrzuciło do wody piorun
i odeszło.

Kochaliśmy się całą noc
i noc stała się błyskawicą
z naszych ciał,
które pokryła łuska łaski

i kiedy rzuciliśmy się o światło
do chłodnej wody –
złączeni i nierozdzielni
syrena i lewiatan –
poczuliśmy jak oddycha
w nas żywe dziecko.

8. Wulpińskie

Można się w nim zatracić,
choć jest widzialne;
może być niebezpieczne,
jeśli cię zauroczy:

w przemiennej pogodzie pór roku
w łódce, na plaży, w chacie,
opiewaj wolność i miłość
dopóki żyjesz.

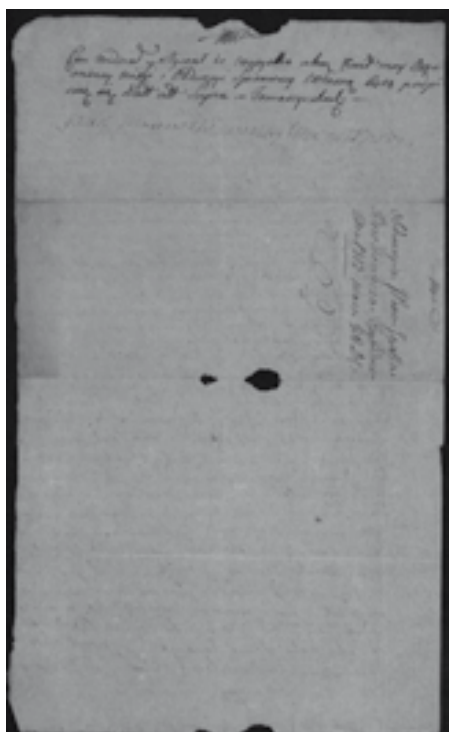
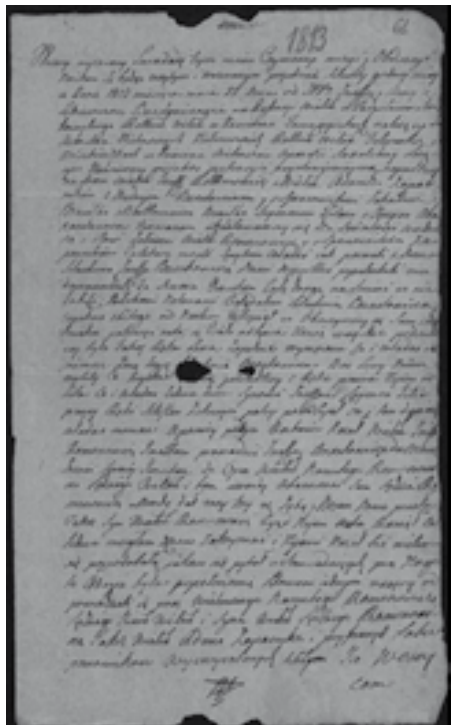
9. Czerwonka

W takiej płytkiej i ciepłej wodzie
jest głębokie lato,
to wtedy czuję,
że jestem w tobie
rybą i ptakiem –
wpływam, frunę,
wnikam,
składam ikrę tam,
gdzie zaczyna bić źródło.

Grzegorz Jacek
Brzustowicz

JESZCZE JEDEN ZAJAZD NA LITWIE

W końcu 1812 roku na Litwie sytuacja militarna uległa ogromnej zmianie. Przez zniszczony wojną kraj przeciągali maruderzy z rozbitej armii Napoleona, a za nimi pojawili się wkrótce potem kozacy i kolejne oddziały rosyjskie. Od początków 1813 roku w życiu politycznym zaczęli dominować zwolennicy rządów rosyjskich, którzy wcześniej przygłąbi w blasku pronapoleońskiej euforii litewskiego społeczeństwa. Teraz wyraźnie odżyli. Odzyskiwali urzędy, wymierzali wyroki i wracali z niebytu do życia publicznego.



Protokół sporządzony przez woźnego sądowego Jana Justyną Sperskiego. Tomaszyszki 22 maja 1813 roku. Oryg. w: Archiwum Historycznym w Wilnie (Lietuvos valstybes istorijos archyvas), Vilniaus gubernijos bajoro deputatu susirinkimo kanceliarija 1615-1916, ap. 4, nr 353, k. 112-113.

Ten burzliwy i trudny czas dla wyznawców Napoleona, pogłębiany atmosferą nagonki i terroru, trwał do 30 listopada 1813 roku, kiedy zniesiono na Litwie stan wojenny. Był to też okres dogodny na Litwie dla zwolenników rosyjskich, którzy nie zamierzali wyrównywać rachunków przed sądem, ale wymierzać sprawiedliwość samemu. Przykładu dostarcza nam sprawozdanie woźnego sądu wileńskiego Jana Justyną Sperskiego, który przeprowadził dochodzenie i obdukcję obrażeń Józefa Brzustowicza, jego żony Anny z domu Jotkiewicz i ich dzieci, z czego sporządził pisemne sprawozdanie¹ w Tomaszyszkach w dniu 22 maja 1813 roku:

„Woźny wyrażony niżej, świadczę tym moim czynionej rzeczy y obdukcji kwitem, iż będąc użytym i wezwany przy stronie szlachty godnej wiary, w roku 1813 miesiąca maja 22. dnia, od JPP Józefa y Anny z Jotkiewiczów Brzustowiczowie, i w posesyji wielmożnego Władysława Świętorzeckiego rotm(istrza) pow(iatu) wileń(skiego) w zaścianku Jamontyszkach², należące do aktorstwa wielmożnych Kielczewskich rotm(istrzowiców) wileń(skich) folwarku Miskiniszkach w powiecie wileńskim³,

1 Podczas transkrypcji tekstu zachowuję użyte w 1813 roku zapisy, jedynie w nawiasach uzupełniam skróty.

2 Jamontyski położone w parafii Żmujdy w powiecie wilkomierskim, województwie wileńskim. Założone w XVI wieku przez Jomontów. Część majątku poprzez małżeństwo w 1674 roku otrzymali Wężykowie Brzustowiczowie i posiadali do początków XIX wieku. Poza tym w Jamontyszkach były działy rodów szlacheckich: Frąckiewiczów Radziwiłłskich (XVII-XVIII w.), Kapuścińskich (XVI-XVIII w.) na Kapustelach, Żelichowskich (2 poł. XVIII w.) i Robaszewskich (XVIII-XIX w.).

3 Kielczewscy herbu Abdank osiedli na Litwie w osobie Franciszka Skarbka Kielczewskiego stolnika poznańskiego, który w 1688 roku nabył od Święcickich majątek Gursztany w powiecie wileńskim. J.Ciechanowicz, Rody rycerskie Wielkiego Księstwa Litewskiego, Tom III, Rzeszów 2001, s. 277. Rotmistrz powiatu wileńskiego (1795) Benedykt Skarbek Kielczewski (*1766) herbu Abdank, właściciel Wysokiego Dworu (1789-1811), Tałuci (1795) i Miskiniszek (1789) w parafii szeszońskiej, od 1816 roku na folwarku Białty w parafii szyrwińskiej. Przed 1795 rokiem w żadnych nigdy nie znajdował się (...) obowiązkach. Ożeniony z Józefatą Narbut córką strukczaszego lidzkiego 1788-1793 i wileńskiego Michała Narbutta, z którą miał synów Hipolita (*1801) i Stanisława sędziego granicznego z powiatu wileńskiego w 1836 r. Wileńska Kazjonaj palata. Rewizskie skazki dworjan Wileńskiego Województwa, Lietuvos valstybes istorijos archyvas, nr 515, ap. 15, S.v. nr 3, nr 146: Lista Familij Szlachcica Benedykta Kielczewskiego żyjącego w Powiecie Wileńskim z wyszczególnieniem wiele on ma poddanych, gdzie żyje, iakiey rangi, y w iakiey znajdował się lub znajduje się służbie; Cz.Malewski, Rodziny szlacheckie na Litwie w XIX wieku, Warszawa 2016, s. 749; Urzędnicy Wielkiego Księstwa Litewskiego. Spisy, Tom I: Województwo Wileńskie XIV-XVIII wiek, Warszawa 2004, s. 397. Wspomniany w wywodzie szlacheckim rodu w 1819 roku, przeprowadzonym przed Heroldią Wileńską. J.Ciechanowicz, Rody rycerskie, III, s. 277. Folwark Miskiniszki vel Miskieliszki w 1801 roku Kielczewski nabył od generała byłych wojsk polskich Józefa Jelenińskiego. Sprzedaż ogłaszano w grudniu 1801 roku. Kurjer Litewski, nr 101 (1801), k. 4; nr 103 (1801), k. 4. W 1795 roku kawaler, nie będący wcześniej i wtedy w jakiegokolwiek służbie Ignacy Kielczewski (*1758) wedle terażniejszej Lustracy na Zastawny Folwark Gursztany zowiący się z wsiemi, stanowiący Dziedzictwo JP Kanutta Romanowicza. Wileńska Kazjonaj palata. Rewizskie skazki dworjan Wileńskiego Województwa, Lietuvos valstybes istorijos archyvas, nr 515, ap. 15, S.v. nr 3, nr 154: Lista Familij Szlachcica Ignacego Kielczewskiego żyjącego w Powiecie Wileńskim z wyszczególnieniem wiele on ma poddanych, gdzie żyje, iakiey rangi, y w iakiey znajdował się lub znajduje się służbie.

a w parafii szeszońskiej leżącym, (...)”.

Wspomniani w sprawozdaniu Brzustowiczowie byli odłamem znanego polskiego rodu Wężyków i posiadali na Litwie dział w Jamontyszkach od 1674 roku. W czasach napoleońskich miał tutaj też własność rotmistrz wileński Władysław Świętorzecki, z którym związani byli Wężykowie Brzustowiczowie. Jednak po wycofaniu się wojsk napoleońskich i powrocie Rosjan, w zaścianku tym doszło do burzliwych wydarzeń, które miały cechy tradycyjnych szlacheckich zajazdów, czyli samowolnego wymierzania sprawiedliwości. Tak opisał to wydarzenie wspomniany wyżej woźny sądowy:

„(...) uroiwszy zniejaką pretensją nawniejszą, napadłszy na dom, wielmożny Józef Romanowicz z wielmożnym Adamem Zapaśnikiem y Andrzejem Brzustowiczem y s pracowitymi Jakubem Branisko, Bartłomiejem Branisko, Szymonem Pilem y Jerzym Abakanowiczem furmanem, utrantowawszy się dla śmiałości wódeczką (...), sami żołnierze wielmożnego Romanowicza, y s pomocnikami Zapaśnikiem caledare (tych co) mogli językiem władać ich, porwali z domu szlachcica Józefa Brzustowicza, dzieci wszystkie poprzelenkali, nim doprowadzili do dworu Gurnsztan, całą drogę na śmierć omal co nie zabili, okładając kulkami i kolanami”.

W przytoczonej relacji nie wspomniano przyczyny najazdu poza stwierdzeniem o „urojeniu sobie jakiś pretensji”. W każdym razie pod przewodnictwem Józefa Romanowicza, grupa jego pijanych żołnierzy, do których zaliczali się przedstawiciele szlachty, jak Adam Zapaśnik i Andrzej Brzustowicz, przy pomocy kilku chłopów napadli na dwór Józefa Brzustowicza w Jamontyszkach.

Szczególnie intryguje udział w tej akcji przeciwko Józefowi jego krewnego Andrzeja Brzustowicza, którego należy identyfikować z Andrzejem III (*ok.1779), pochodzącym z młodszej linii rodu, zamieszkującej w parafii Szeszo. Natomiast wspomniany Józef pochodził z linii starszej. Jednakże owe „pretensje” do Józefa Brzustowicza miał Romanowicz, a nie krewniak. Ten tylko się wystugiwał Romanowiczowi.

Nie bez znaczenia jest także stwierdzenie woźnego sądowego dotyczącego skierowania do akcji przeciwko Józefowi Brzustowiczowi i jego żonie ludzi, którzy mogli językiem władać ich. Po jednej i po drugiej stronie byli przecież Polacy - Litwini. A jednak były jakieś znaczące różnice językowe. W takim razie Józef Romanowicz wybrał do napadu ludzi, którzy jeszcze posługiwali się językiem poszkodowanych, polskim i litewskim, bo pewnie sam z ojcem był już porządnie zruszczony i preferowali na swoim dworze język rosyjski.

Po spustoszeniu dworu w Jamontyszkach pojmanego Józefa Brzustowicza z rodziną uprowadzono do dworu w Gursztanach. Zapis „doprowadzono” należy rozumieć dosłownie. A odległość pomiędzy miejscowościami Jamontyszki i Gursztany wynosiła piętnaście kilometrów. Podczas tego marszu cały czas bito Brzustowicza, czego potem ślady jako dowód pobicia potwierdzał woźny sądowy:



Protazy. Fikcyjny ostatni na Litwie woźny Trybunału. Ilustracja do poematu A. Mickiewicza, *Pan Tadeusz*. Ostatni zajazd na Litwie.

Zachowanie sędziego Kanuta Romanowicza oraz jego syna Józefa Romanowicza zdradza jakiś konflikt z Józefem Brzostowiczem, ale wcześniej już woźny sądowy wspominał, że Romanowicz „uroił” sobie jakiś uraz. Zachowanie i samodzielne wymierzanie sprawiedliwości świadczą o poczuciu bezkarności, a z drugiej o wykorzystaniu panującej w tym czasie atmosfery represji na Wileńszczyźnie wobec zwolenników napoleońskich. Możliwe, że wyrównywano jakieś zadawnione rachunki.

Finał najazdu, czego świadkiem był woźny sądowy sprawił, że przystąpił do jej opisanego, czyli wstępnego wyjaśniania. Woźny zebrął potwierdzenie wydarzenia u świadków i ustalił kto był sprawcą czynu. Przeprowadził obdukcję i sporządził z tego protokół. A pojawić się mógł na dworze Romanowiczów jedynie w związku z należącym do jego obowiązków dostarczeniem pozwu do sądu.

Ponieważ inna dokumentacja sądowa w tej sprawie nie zachowała się w Archiwum w Wilnie, dlatego zmuszony byłem w tej sprawie przeprowadzić typowe dochodzenie poszlakowe.

Poszkodowany w maju 1813 roku Józef Brzostowicz był wcześniej urzędnikiem dawnej Rzeczypospolitej i wypełniał urząd łowczego oniksztyńskiego (1795). Po ostatnim rozbiore związał się silniej z Jeleńskimi, co szczególnie było widać w okresie narodowego odrodzenia w czasach napoleońskich. Związki te miały także podstawy ekonomiczne, ponieważ oparte na kontrakcie dzierżawy w latach 1805-1807 dóbr Jeleńskich w Głinciszkach. Jeleńscy zaś od końca XVIII wieku przewodzili stronnictwu politycznemu na Litwie. Jeden z właścicieli Głinciszek - Konstanty Ludwik Jeleński zachowywał postawę neutralną i rezerwę od polityki. Natomiast jego brat i następca w Głinciszkach (od 1810) - Józef Jeleński (*1747-1818), wcześniej ciwun

„Oglądałem szlachcica Brzostowicza zupełnie zbitego od karku aż do pięt, a co ich obaczywszy, sam się dziwiłem patrząc na to, iż ciało od bicia, krwi wszystkie podszedłszy było; Jakoś ręka lewa zupełnie wykręcona co i władać nią nie może (...)”;

Pobito też żonę Józefa - Annę:

„Żona tegoż szlachcica Brzostowicza bok lewy kijem wybita i zupełnie krwią podszedłszy i ręka prawa kijem odbita, co i władać zaledwie może”.

Ucierpiał też czternastoletni syn Józefa i Anny - (Antonij) Józef Brzostowicz:

„Synowi Józefowi Szymon Gilio, prawej ręki sztylętem żelaznym palcy poodbił, co i ten dopiero władać nie może (...)”;

Józef Romanowicz całą porwaną rodzinę Brzostowiczów doprowadził do swojego dworu Gursztany, a stąd do swego ojca. Tutaj w obecności sędziego Romanowicza obecny był wspomniany woźny, który teraz stał się naocznym świadkiem kolejnego zajścia:

„(...) a później po tym rozboju, kazał wielmożny Józef Romanowicz gwałtem prowadzić Józefa Brzostowicza, ode majątności swojej Gursztan do oyc wielmożnego Ka-

nutego Romanowicza, sędziego wileńskiego i tam w mojej obecności sam sędzia Romanowicz w mordę dał razy trzy, aż głową i nosem krew poszła. Także syn wielmożnego Romanowicza bijąc kijem rękę rozciął, aż ledwo mogłem krew zatrzymać i kijami kazać bić w cielesne się przypodobają”.

Woźny spisując protokół, zebrął też informacje o wydarzeniu od sąsiadów Brzostowicza. Wszyscy potwierdzili porwanie i pobicie przez sędziego Romanowicza, jego syna i ich ludzi:

„Jakom się pytał u sąsiadujących, przez kogo ta akcja była popełniona, słowem jednym wszyscy odpowiadali się - przez wielmożnego Kanutego Romanowicza sędziego ziemi wileńskiej i syna wielmożnego sędziego Romanowicza, także wielmożnego Adama Zapasznika i przybranych sobie pomocników wyż wyrażonych. Za tym, ja woźny, com widział y słyszał, to wszystko o tem kwit moją czynioną wizytą i obdukcją spisawszy własną ręką podpisuję się. Dat. ult. supra w Tomaszyszkach⁴. Jan Justyn Sperski grodzki wileńskiego powiatu regent⁵”.

⁴ Tomaszyszki zaścianek w powiecie wileńskim koło Meszajgół.

⁵ Jan Justyn Sperski (*?-†1825) rejent grodzki powiatu wileńskiego (1812-1815). Cały jego majątek przeszedł na brata Wincentego Sperskiego podporucznika 47 Jagierskiego pułku wojsk rosyjskich.



trocki (1784), mocno był zaangażowany w obronę dzieła Sejmu Wielkiego. Był także generałem majorem kawalerii 2. Pułku Przedniej Straży Buławy Wielkiej Litewskiej i w 1792 roku uczestniczył w wojnie z Rosją w obronie konstytucji majowej, a w 1794 roku w powstaniu kościuszkowskim⁶.

⁶ B. Gembarszewski, *Rodowody pułków polskich i oddziałów równorzędnych od roku 1717 do 1831*, Warszawa 1925, s. 14.

AJAZD NA LITWIE

→ **ESE** Za Konstytucją 3 Maja 1791 roku opowiedziały się większość szlachty litewskiej. Zaznaczały się jednak w tej kwestii trzy różne stanowiska: zwolenników, przeciwników i obojętnych. Grupa gotowych stać na straży konstytucji i wziąć udział w jej obronie liczyła w Wilnie zaledwie 345 osób, a na Litwie nie przekraczała 800 osób. Z kolei grupa prorosyjskiej Targowicy, jak wiemy przeciwnej postępowej konstytucji, miała mniejsze poparcie i przystępowano do niej niechętnie. Podobno powszechnie wymawiano się z objęcia w niej funkcji konsyliarza⁷. A takim konsyliarzem w tej grupie politycznej został znany już nam z zajazdu na Jamnotyszki - Kanuta Romanowicz.

Romanowiczowie na Wileńszczyźnie reprezentowali w tych czasach przeciwną postawę polityczną do ogółu szlachty. Klanowi rodzinemu przewodził na przełomie wieków XVIII/XIX wspomniany Kanut(a) Seybut Romanowicz (*1759-†po1819) herbu Lubicz, syn Ignacego Romanowicza, który z Teklą Kamieńską miał kilkoro dzieci: znanego nam Józefa, ale też Cezarego (*1802 Wilno), Ignacego (*1802 Szeszole) i córkę Różę Franciszkę (*1807 Wilno). Karierę urzędniczą Kanuta realizował począwszy od stanowiska podkluczego wileńskiego (1789-1792), potem pełnił godności sędziowskie: grodzkiego wilebskiego (1790-1792) i grodzkiego wileńskiego (1795). Należał na Litwie do ścisłego grona przeciwników Konstytucji 3 Maja i był konsyliarzem starodubowskim Generalnej Konfederacji Targowickiej od 14 maja do 11 października 1792 roku. Głośno opowiadał się za wejściem do Polski wojsk rosyjskich w celu rozprawienia się ze zwolennikami konstytucji. A takie poglądy doprowadziły do drugiego rozbioru Polski w 1793 roku. Z powodu działalności w ramach targowicy i wygłaszanych poglądów, Kanuta Romanowicz podczas powstania kościuszkowskiego (1794) został zaliczony do zdrajców narodu polskiego, jak wszyscy targowiczanie⁸.

Oficjalnie napiętnowany Romanowicz musiał być zszokowany wieściami, jakie dotarły do niego podczas insurekcji kościuszkow-

skiej: o powieszeniu w Wilnie i w Warszawie przywódców targowicy oraz skazaniu innych targowicz na wieczną infamie i utratę majątków. Nie tylko w Królestwie Polskim, ale i na Litwie wielu z członków Targowicy zostało aresztowanych. Romanowicz chociaż był na liście „aresztantów wileńskich”, to zdołał gdzieś się ukryć do upadku insurekcji. Pojawił się w swoim majątku w 1795 roku dopiero po upadku powstania i Rzeczypospolitej.

Za pierwszych rządów rosyjskich na Litwie w latach 1795-1812 Romanowicz i inni prorosyjscy zwolennicy na Litwie odżyli, a ich przeciwnicy polityczni popadli w niełaskę. Lecz w 1812 roku ponownie pojawiły się wobec niego głosy krytyczne, gdy na Litwie pojawiła się armia francuska. Utracił wówczas sprawowane urzędy i ponownie ukrył się gdzieś. Może wyjechał do Rosji? Sędzią ziemskim wileńskim został książę Józef Giedrojc. Trwało to jednak krótko - do klęski Napoleona i wojsk Księstwa Warszawskiego w Rosji. Zaraz potem Kanuta Romanowicz ponownie stawiał się gotowy do służby u boku Rosjan. W początkach 1813 roku otrzymał urząd sędziego ziemskiego powiatu wileńskiego i prezydium exdywizora. Tym razem zaczął od wyrównywania rachunków z tymi, którzy mu wcześniej czynili afront.

Romanowiczowie zaliczali się do grona zamożnej szlachty. Kanuta wraz z najstarszym synem i następcą Józefem Seybut Romanowiczem (†po1848) posiadali od końca XVIII i w początkach XIX wieku w powiecie wileńskim Gursztany (1790-1862), Łożniki (1789-1816), Grabiały (1809) i Kiemele (1789-1816). Główna ich siedziba znajdowała się w Gursztanach w parafii szeszońskiej, zakupionych od Kiełczewskich w 1790 roku. Do tego majątku należało kilka wsi i zaścianków. Razem podlegało Romanowiczom na Litwie 1.171 dusz. Do ich pilnowania zorganizował wzorem dawnych magnatów własną milicję, składającą się z drobnej szlachty i chłopów.

Warto wspomnieć też o kolejnym uczestniku zajazdu - Adamie Zapaśniku herbu Zapaśnik, który także nie poniósł konsekwencji. Bez przeszkód wypełniał obowiązki sędziego grodzkiego wileńskiego w latach 1820-1829

oraz spokojnie zamieszkiwał w swej siedzibie w Mimoiłnach (1829)⁹.

Przy dociekaniu przyczyn agresywnego zachowania wobec rodziny Józefa Brzostowicza ze strony Romanowiczów może być przydatna jeszcze jedna informacja. W *Kuryerze Litewskim* 2 lipca 1813 roku wspomniano Władysława Świętorzeckiego wśród ludzi, którzy zjednoczywszy się z nieprzyjacielem (czyli z Francuzami - dop. aut.) jedni z nim się razem wydali, drudzy zaś samowolnie bez pozwolenia rządowego za granicę wyjechawszy, nie powrócili na termin naznaczony Najwyższym ManifeSTEM, pod dniem 12 grudnia 1812 roku, których majątki uległy konfiskacie (...) ¹⁰. To znaczy, że rotmistrz wileński, z którym od wielu lat związany był Józef Brzostowicz, w końcu 1812 roku po klęsce armii francuskiej w wojnie z Rosją emigrował, a jego majątki na mińszczyźnie i wileńszczyźnie skonfiskowano i wystawiono na sprzedaż.

Może wolno domyślać się nam tego, iż z polecenia Świętorzeckiego przed opuszczeniem przez niego kraju jesienią 1812 roku przekazał zarząd nad częścią Jamontyszek Józefowi Brzostowiczowi, a ten przebywał i zarządzał w posesyi wielmożn(ego) Władysława Świętorzeckiego rotm(istrza) pow(iatu) wileń(skiego) w zaścianku Jamontyskach jeszcze wiosną 1813 roku, nie tolerując lub nie wiedząc o decyzji konfiskaty i włączeniu majątku do dóbr Kiełczewskich w Miszkiszkach.

Finału sądowego sprawy nie znamy. W aktach Wileńskiego Sądu Ziemskiego dokumentacja nie zachowała się lub jak przypuszczam, nawet jej nie było. Wydaje się, że do procesu sądowego nie doszło. Wskazuje na to moim zdaniem załączenie przez Brzostowiczów do swoich akt wywodowych kilkadziesiąt lat później nie wyroku, ale jedynie pozwu spisane go przez woźnego sądowego w 1813 roku. Ten nie znany do dzisiaj zajazd na Jamontyszki w 1813 roku, to smutny przyczynek do tego jak niektórym winnym w czasach zawirowań politycznych uchodził czyn „na sucho”, a poszkodowany ponosi największe konsekwencje. Romanowiczowie nie zostali ukarani. Sprawa zajazdu i pobicia Brzostowicza nie zaszkodziła w karierze Romanowiczów. W 1814 roku Kanuta nadal pełnił funkcję sędziego wileńskiego pod boki Rosjan¹¹, a potem jego syn Józef Romanowicz (1827-1830), którego usunięto z urzędu dopiero w czasach powstania listopadowego. Ale po klęsce powstania (1831), został szybko przywrócony do stanowisk i w 1834 roku występował jako sędzia mierniczy. Romanowiczowie bez przeszkód ze strony Rosjan przeprowadzili 25 października 1819 roku wywód szlachestwa i zostali przez nich utrzymani przy prawach stanu szlacheckiego¹², a wiele innych rodów szlacheckich zostało wówczas zdegradowanych.

Nawet były rotmistrz wileński Władysław Świętorzecki skorzystał z amnestii cara Aleksandra I i powrócił na Litwę w 1815 roku. Tutaj ożenił się z Agatą Gilewską i doczekał się dzieci. Natomiast Józef Brzostowicz z żoną i dziećmi nie podnieśli się już majątkowo w następnych latach. Wiadomo, że w 1817 roku mieli problem ze spłatą zaciągniętych pożyczek. To ostatnia o nich informacja. Nawet nie wiadomo, gdzie zniknęli po 1817 roku. Pomimo, że przeszukałem liczne zespoły archiwaliów, do dzisiaj nie odnalazłem po nich żadnego śladu.

GRZEGORZ JACEK BRZUSTOWICZ

9 Cz.Malewski, *Rodziny szlacheckie*, s. 872; Dodatek do gazety *Kuryera Wileńskiego*, nr 42 (1820), k. 4.

10 Dodatek do *Gazety Kuryera Litewskiego*, nr 54 (1813), k. 1-2.

11 Dodatek do gazety *Kuryera Litewskiego*, nr 11 (1814), s. 1.

12 *Urzędnicy Wielkiego Księstwa Litewskiego*, I, s. 717; Cz.Malewski, *Rodziny szlacheckie*, s. 749; J.Ciechanowicz, *Rody rycerskie*, IV, s. 448.



Mapa guberni wileńskiej w XIX wieku

Eleonora Spatz wyszła z domu przy Garten Strasse i zauważyła, że jest jasny dzień, a słońce zbliżające się do zenitu zapowiada wspaniałą aurę. Liście na klonach przy Schubiner Chaussee pożółkły już i wyrzyszcie obijały się pośród czarnych konarów. Z upodobaniem używała niemieckich nazw ulic i teraz w jej myślach też królowały takie formy. Była pewna, że Bromberg pozostanie na zawsze w rękach niemieckich i takie nazwy jak Ogrodowa, Szubińska trafią do lamusa historii. Gdziekolwiek się udawała, zawsze pilnowała, by być punktualnie i teraz wyszła z domu około jedenastej, licząc, że droga do Cafe Kronprinz zajmie jej około czterdziści minut, a jeśli nawet będzie tam prędzej, to poczeka na kochanego Williego. Jakąż dumą napętniał jej serce ten chłopak, tak przystojny i tak wspaniale prezentujący się w czarnym mundurze, ale teraz czuła lekki niepokój, bo nie lubiła ukrywać swoich zamiarów przed mężem. Minęła piekarnię na rogu i sklep firmowy Polaka Stefańskiego, czując wspaniały zapach świeżo upieczonego chleba. Schodziła powoli w dół i już zauważyła wspaniałą willę Louisy Giese-Rafalskiej, w której mieszkaly samotne bydgoskie kobiety. Właścicielka majątku Rupienica, ulokowanego na południowych rogatkach miasta, wybudowała ten dom lat ostatnich dla niewiast, które były rodowitymi bydgoszczankami, pochodziły z dobrych domów i dysponowały określonymi środkami na utrzymanie. Uśmiechnęła się do swoich myśli, bo przecież przez kilka lat pracowała w tym instytucie i dopiero przejęcie go przez Polaków spowodowało, że straciła pracę. Zbliżała się do okazałego budynku z czerwonej cegły, z charakterystycznymi białymi zdobieniami i rozmyślała o właścicielce i jej pannach, spośród których kilka szczególnie zapadło jej w pamięć. Była wtedy intendentką, ale też wykonywała wszystkie polecenia, zaopatrywała dom w produkty spożywcze, towarzyszyła choremu osobom w drodze do szpitala, a także pomagała w przygotowaniach do pogrzebów, które miały najczęściej miejsce na wielkim cmentarzu ewangelickim przy ulicy Wilhelmstrasse, obecnie przemianowanej na Hermann Göring Strasse.

Droga schodziła dość stromo w dół i Eleonora w naturalny sposób przyspieszała kroku, będąc już naprzeciw wielkiego, dwupiętrowego budynku. Z radością zauważyła przy nim dwóch wartowników z karabinami, w hełmach na głowach i mundurach Wehrmachtu. Wkraczając na Brunnenplatz znowu uśmiechnęła się do swoich myśli, bo przecież tutaj poznała swojego męża Johanna, gdy pani Louisa wystąpiła ją na targ świński, by wybrała solidnego wieprzka, a potem zajęła się przygotowaniem szynki i kiebas. To wtedy wpadł jej w oko wysoki mężczyzna, żywo rozmawiający z jakimś sprzedawcą i to wtedy udała, że niechący na niego wpadła. Podtrzymał ją natychmiast i przestrzegł, że na ziemi jest sporo odchodów i gdyby przewróciła się nieopacznie, jej piękna, różowa sukienka straszliwie by ucierpiała. To spotkanie odmieniło jej życie i spowodowało, że w końcu wzięta ślub z Johannem i zamieszkała nieopodal tego miejsca, na górce, przy Garten Strasse. Zawsze, gdy wkraczała na ten plac, patrzyła

na pobliskie skarpy i cieszyła się widokiem wysokiej wieży ciśnień, a nieco dalej charakterystyczną sylwetką wieży Bismarcka. Bodaj w maju 1913 roku poszła wraz z rodzicami na otwarcie tego wspaniałego monumentu i była dumna, że jej tata Helmut, pracujący w Deutscher Ostmarkenverein, przyczynił się do jego powstania. Wszedł do komitetu budowy i wiele razy spotykał się z nadburmistrzem Alfredem Knobloch, z którym też w tej sprawie kilka razy pojechał do Berlina. Szała teraz wolno, przypatrując się okolicznym domom i ludziom, którzy ją mijali i bała się spojrzeć na wzgórze, bo wiedziała, że Polacy z nienawiści do Bismarcka, zburzyli upamiętniającą go wieżę. Ciągle miała w pamięci ów majowy dzień, gdy tata zabrał ją na sam szczyt ogromnego budynku, gdzie w mosiężnej, trzy i pół metrowej misie płonął ogień. Z rozkoszą delectowała się wtedy panoramą Brombergu, wielkimi budynkami, wybudowanymi przez Niemców, ewangelickimi kościołami, zielonkawą wstęgą Brahe i kanałami, które powstały dzięki przychylności króla Prus Fryderyka II, wielkiemu geniuszowi Franza von Brenckenhoffa i modernizatora Ernsta Conrada Petersona. W domu rodzinnym Eleonory kultywowało się pruskie tradycje i z dumą mówiło się o jej mieście, często używając określenia Kleine Berlin. Sprzyjało to rozlicznym lekturom, a szczególnie często młoda dziewczyna zaglądała do „Bromberger Zeitung”, gdzie pojawiano się wiele artykułów o chwalebnej pruskiej historii. Zwiedzając z ojcem i mamą salę w wieży, upamiętniającą Żelaznego Kanclerza, z wypiekami na twarzy patrzyła na jego wielki posąg, odlany z brązu i prezentujący go w stroju kraszera. Wielkie wrażenie zrobiło też na niej dwadzieścia pięć pamiątkowych tablic, ufundowanych przez niemieckie miasta i wielkie osobistości, w tym przez cesarza Wilhelma II i kanclerza Rzeszy Niemieckiej Theobalda von Bethmanna Hollwega. Jak Polacy mogli zburzyć tak wspaniały monument, jak mogli to zrobić? Co to za podły i prymitywny naród?

Rozmyślała o tym, gdy wchodziła na Posener Strasse, a potem przemknęła przez trójkątny Wollmarkt i Friedrichstrasse, na której czuła się dziwnie po długiej nieobecności. Nigdzie nie było już niemieckich nazw, a sklepy galanterijne, które znała z dawnych czasów zmieniły witryny i wystrój wewnętrzny. Tylko tramwaje wciąż kursowały tą wąską ulicą i mijały się z piskiem i dwonieniem w okolicach Hofstrasse. Eleonora wcześniej jednak skrzyła w lewo i krótką nitką Poststrasse dostała się na Friedrichs-Platz, gdzie znowu poczuła się strasznie nieswojo pośród krzykliwych polskich reklam. Na środku nie było już pomnika Fryderyka II Wielkiego, który nie wadził nikomu przez prawie siedemdziesiąt lat i był atrakcją rynku, obok uruchomionych w 1909 roku fontanny i niewielkiego pomnika dzieci bawiących się z gęsią. Ojciec opowiadał jej, że był świadkiem jak Polacy zrzucili ten piękny monument z cokołu i śmiali się do rozpuku. Ileż razy pojawiała się w tym miejscu na sezonowych jarmarkach i zwykłych targach tygodniowych, podczas których plac wypełniał się furmankami i koźmi, a także naprędce sklepionymi stoiskami. Teraz przez

chwilę stanęła na środku rozległej przestrzeni i spojrzała na zegary na obu wieżach polskiego kościoła pojezuickiego. Nie lubiła go, bo miał dziwaczną architekturę i został włączony między kamienice i Muzeum Miejskie. Miała jeszcze dwadzieścia minut czasu do spotkania z Willim, więc postanowiła jeszcze podejść na most i spojrzeć na rzekę, którą tak wielbiła, szczególnie pod Brombergiem, gdzie z przyjaciółkami jeździła kąpać się w krystalicznie czystej wodzie. Jeszcze raz rozejrzała się po rynku, który sprawiał wrażenie obcego, nie należącego do jej przeszłości, straszącego polską pstrokacizną. Brakowało przede wszystkim niemieckich napisów, nazw sklepów, *Damen Confection*, *Mode Bazar*, *Bürger Bierhaus* i nazwisk ich właścicieli: Adolpha Eberle, Simona Schendela, Hermanna Krause i wielu innych. Z rynku zjeżdżała właśnie tramwaj numer jeden, pozabawiony niemieckich napisów i niepodobny do wozów, które zapamiętała z dawnych lat. Weszła w Brückenstrasse i podążyła nią ku mostowi, właśnie naprawianemu po działaniach wojennych z początku września. Chciała podejść do balustrady, ale drogę zastąpił jej spory oddział Wehrmachtu, maszerujący w stronę teatru i Danzigerstrasse. Trochę rozbawił ją widok żołnierzy w hełmach, z granatami u boku i karabinami na prawych ramionach, tak różniących się wzrostem i posturą. W końcu jednak zatrzymała wzrok na najroślejzych piechurach i poczuła dumę, że armia niemiecka znowu jest na ulicach Brombergu.

Popatrzyła na statki płynące środkiem rzeki i pnie drzew spławiane gdzieś daleko, może nawet do samego morza. W końcu, ociągając się trochę, ruszyła ku wejściu do kawiarni, znanej z licznych opowieści osób, które chętnie spotykały się w niej i czasem balowały do późnej nocy. Czuła lekkie podniecenie, ale górę brała ciekawość i przekonanie, że Willi chce jej przekazać coś bardzo ważnego. Przy drzwiach przywitał ją kelner w białym stroju i z uśmiechem zapytał po niemiecku, bez trudu rozpoznając w niej Niemkę:

– Czy mogę pani służyć...?

– Nazywam się Spatz i umówiłam się tutaj z kimś niezwykle ważnym... – odpowiedziała i zaraz zagadnęła – Czy może mnie pan zaprowadzić na waszą słynną werandę, już dawno tam nie byłam...

Kelner skinął głową i poprosił by Eleonora podążyła za nim ku schodom prowadzącym na balkon, z którego rozciągał się wspaniały widok na teatr miejski i na brzeża Brahe, na których królowały wielkie budynki z niezwykle ozdobami. Znała go jako dom towarowy Hohenzollernów, ale teraz pozabawiony niemieckich napisów i witryn pełnił chyba funkcję mieszkalną. Kawiarnia nieco ją oszołomiła, szczególnie główna sala, w której przy bufecie ustawiono ogromny kredens z kryształowymi szymbami, z którymi znajdowały się drogie alkohole i lśniące naczynia, kieliszki i szklanki różnego rodzaju. Poszczególne części lokalu rozdzielały kufy z żelaza przepierzenia, przydające przytulności i sugerujące wielkie bogactwo. Po wejściu na werandę zdi-



wiła się nieco, bo jej wystrój był znacznie skromniejszy, a ubóstwo miały maskować girlandy zieleni, zawieszane naprzeciwko okien. Stoliki miały blaty z marmuru, ale przy nich ustawiono dość prymitywne, białe, metalowe krzesła. Nikogo nie było jeszcze w tym pomieszczeniu, a choć kelner wskazał jej miejsce przy ścianie z kwadratowym stolikiem na rzeźbionej nodze, to wybrała blat w kształcie koła, po drugiej stronie, tuż przy wielkiej witrynie okiennej. Rozsiadła się wygodnie i nakazała, by przyprowadzono do niej młodego SS-Untersturmführera, gdy tylko się pojawi. Rozsiadła się wygodnie, choć przez głowę przemknęła jej myśl, że zawieszony nad rzeką balkon może się nagle zawalić. Szybko jednak odsunęła od siebie tę obawę, słysząc już głos Willego, pytającego na dole o frau Spatz. Kelner doprowadził oficera do jej stolika i stanął w słusznej odległości, gotowy by przyjąć zamówienie. Willi usiadł naprzeciw cioci, zdjął czapkę z trupa główką i położył ją na wolnym krześle, a potem uśmiechnął się promiennie i spytał:

– Na co ciocia ma ochotę...? Bo ja muszę wypić kawę...

– Tak młodzieńcze, ja też chętnie wypiję kawę z mlekiem i jem szarlotkę... – odpowiedziała odwracając się do kelnera.

– To dla mnie to samo... chłopcze przynieś nam dwie filiżanki mokka i dwie szarlotki... – oficer zwrócił się chłodno do kelnera, jakby wydawał mu rozkaz.

Eleonora miała wrażenie, że Willi jest nieco spięty, zdawało jej się też, że ma lekki rumieniec na twarzy, ale przecież jego obowiązki były rozległe i może dopiero co wrócił z jakiejś narady lub akcji. Spała jeszcze, gdy rano wychodził z domu, ale teraz miała go do własnej dyspozycji i czekała

na rozmowę, jakby miał jej objawić jakąś wielką tajemnicę.

Eleonora z dumą patrzyła na Williego, jakże przystojnie wyglądającego w galowym mundurze oficera SS. Pamiętała go przecież jako małego chłopca, przyjeżdżającego do nich na wakacje z Berlina. Towarzyszyła mu w pociągu jadącym do Wirsitz i tam sprawowała nad nim opiekę, martwiąc się, że wciąż wtoczy się na peryferiach miasteczka z kolegą Wernherem, synem tamtejszego landrata. Obaj mieli wtedy poranione kolana i podrapane przedramiona, bo wśliznęli się na drzewa i wspinali się na skalne ścianki, wystające ze wzgórz. Uspakając się dopiero wtedy, gdy chłopiec kładł się do łóżka i od razu zasypiał, przykryty pierzyną, ogrzaną przez nią przy piecu kaflowym. Teraz siedział przy niej mężczyzna, który mógłby uchodzić za najprzystojniejszego na świecie. Miał bujną blond czuprynę, niebieskie oczy i wyraziste kości policzkowe, a jego podbródek kończył się głębokim dołkiem. Usta miał wąskie, jakby stworzone do całowania, nos kształtny, ani za duży, ani za mały, brwi i rzęsy wyraziste, a skórę nieco przyciemnioną, zapewne z racji słońca, mocno operującego we wrześniu tego roku. Jakże cieszyła ją to spotkanie w owianym sławą lokalu, w tej części Brombergu, który najbardziej lubił i który mijała przez wiele lat, podążając z górnego tarasu miasta do Höhere Mädchenschule, ulokowanej przy Schule Strasse. Szczególnie zapamiętała okres po roku 1911, gdy jednostka ta przekształciła się w szkołę dla pielęgniarek, wychowawczyń żłobków i przedszkoli. Miała wtedy wspaniałą przyjaciółkę Margarete, mieszkającą na stacji w Brombergu, z którą chodziła do Teatru Miejskiego, zwiedzała wielki cmentarz ewangelicki z grobami znamienitych Niemców i odbywała wyprawy na skraj miasta, gdzie Brahe miała krystalicznie czystą wodę i dawała ukojenie w upalne lata.

– Ciocia pewnie dziwi się, że jestem w mundurze galowym...? – odezwał się Willi, gdy kelner zrealizował zamówienie, z gracją ustawiając na stoliku aromatyczne kawy i ciasta.

– Coś ty chłopaku kochany... według mnie mógłbyś tak chodzić ubrany codziennie... ktoś wspaniale zaprojektował wasze uniformy... – podjęła dialog Eleonora.

– Przypadkowo wiem, że stworzyli je dwaj artyści Karl Diebitsch i Walter Heck, a produkcją zajęł się Hugo Boss.

Eleonora spojrzała na posrebrzany pas Williego, na którym widniał napis *Meine Ehre heißt Treue* i przeniosła wzrok na czapkę z orłem, którą Willi położył na wolnym krześle. Nie umknęła jej uwagi też i trupia główka, umieszczona na swastyce.

– Wolę mój mundur polowy – ciągnął von Otter – ale dzisiaj musiałem dobrze się zaprezentować, bo miałem spotkanie z wysokimi rangą dowódcami... Nie zdradzę tajemnicy wojskowej, jeśli powiem, że do Brombergu przyjechał SS-Obersturmbannführer Hans Kōlzw, który przywiózł z Berlina specjalne rozkazy naczelnego wodza. Był też szef VI Inspektoratu Selbstschutzu SS-Obersturmbannführer Erich Spaarmann, SS-Sturmabführer Christian Schnug no i mój szef SS-Standartenführer Ludolf Jacob von Alvensleben, jedyny człowiek na świecie, którego się boję...

– To są wasze sprawy chłopcze, ja wierzę w ciebie bezgranicznie... – entuzjazmowała się kobieta – Dzisiaj, jak sąłam na nasze spotkanie, z obrzydzeniem patrzyłam jak Polacy byle jak odmienili nasze miasto... Wszędzie te ich i Żydów krzykliwe reklamy, swarliwe rozmowy w dziwacznym języku i beczelność na każdym kroku...

– SS-Obersturmbannführer Kölzow ma rację, codziennie musimy stawiać Polaków pod ścianami, bo tylko tak zdławimy ich absurdalną dumę... – odrzekł Willi.

– Ty możesz nie pamiętać Brombergu sprzed lat, ale ja wciąż go noszę w sercu... – mówiła kobieta – i dzisiaj jak szłam, uroniłam łzy nad zniszczeniami, których dokonali. Jak oni mogli zburzyć wieżę Bismarcka, ten jakże wspaniały monument, upamiętniający naszego heroicznego ojca narodu... i dlaczego rzucili na ziemię pomniki cesarskie na rynkach i placach...?

– Już odwdzięczyliśmy się im zawiązką za Krwawą Niedzielę i za te zniszczenia także, przy pobliskim kościele pojezuickim. I szybko wróci na rynek pomnik Fryderyka II – podjął wątek rozmowy Willi i nagle zmieniając ton głosu niemal wykrzyknął – podjęliśmy już stosowne decyzje i niebawem wypierdolimy w powietrze ich ukochane symbole... Najpierw synagogę...

– Ach mój ty wyzwoliciele... – powiedziała ubawiona wulgaryzmem Eleonora, napiła się kawy, a potem nabrała łyżeczką nieco ciasta i po przełknięciu potwierdziła – Tak, macie rację, tylko to ich nauczy szacunku dla naszej wspaniałej historii...

– Prowadzimy szereg tajnych operacji, nadzorowanych bezpośrednio przez Reichsführera-SS i każdy ma swoje zadania. Właśnie dlatego też dzisiaj się tutaj spotkaliśmy... – powiedział oficer.

– Mówisz o Heinrichu Himmlerze...? Nie uwierzysz, ale znam jego żonę...

– Jak to... skąd... – zdziwił się Willi.

– Chodiliśmy razem do żeńskiej szkoły... Margarete była moją najbliższą przyjaciółką... Odbyliśmy liczne wyprawy za miasto i raz nawet zaprosiła mnie do swojej wsi, gdzie jej ojciec był bogatym junkrem... – odrzekła raz jeszcze dopijając kawę z filiżanki.

– Nie wiedziałem, że ona stąd pochodzi, ale będę o tym pamiętał, bo może to się przydać. Z drugiej strony, dowiedziałem się od mojego szefa, że Himmler żyje z nią na odległość i ma piękną kochankę Hedwig, zresztą jego sekretarkę...

– O tym nie wiedziałem, bo moje kontakty z Margarete urwały się, gdy jej rodzina wyprowadziła się pod Berlin. Jeszcze do mnie przysłała dwie pocztówki z Reichstagiem i Bramą Brandenburską, ze zdawkowymi pozdrowieniami na odwrotach, a potem nastąpiła cisza. Wiem tylko, że w 1929 roku urodziła ze związku z Himmlerem córkę Gudrun.

– Tak, widziałem tę pyzatkę dziewczynę... strasznie zarozumiiała szczeniara... ojciec wszędzie ją zabiera... – ze śmiechem powiedział Willi, a potem spoważniał i ciągnął dalej – ale wracając do naszego spotkania... Ciocia pamięta mojego kolegę z Wirsitz Werhnera... Jest teraz bardzo ważną osobą w przemyśle zbrojeniowym Rzeszy.

– Co ty mówisz, ten wiecznie zasmarkany Werhni...? – zdziwiła się Eleonora.

– Ha, ha, ha... tak ten smarkacz jest teraz kimś bardzo ważnym, od którego zależy będą losy wojny, szczególnie po trzecim wrześniu, kiedy to angielscy i francuscy zarozumialcy wypowiedzieli nam wojnę...

Nie wierzę, że zdecydują się nas zaatakować, bo tak naprawdę Polska dla nich się nie liczy. Tylko prężą muskuły, wiele gadają, markują, a zapewne w tajemnicy tylko zintensyfikują zbrojenia. Na szczęście nasz Führer jest przewidujący i potrafi korzystać z talentów takich geniuszy jak mój dawny kolega z Wirsitz...

– To on zrobił taką karierę, że współpracuje z samym naczelnym wodzem? – dziwiła się kobieta.

– Tak i teraz ciocia także dostanie swoje zadanie... – powiedział Willi, ścisząc tajemniczo głos – Pamięta ciocia, że jedną noc spędziłem poza waszym domem...

– Martwiłam się o ciebie, bo praktycznie, nie było cię od rana, do rana następnego dnia... – potwierdziła.

– No właśnie, a ja pojechałem w tajemnicy do Wirsitz, by wykonać pewne zadanie najwyższej wagi państwowej... – przytaknął.

Eleonora nieco przeraziła się jego słów i rzuciła okiem poza balkon, na którym się spotkali. Właśnie na rzece pojawił się jakiś spory holownik, ciągnący aż trzy barki i wyrzucający z komina kłęby czarnego dymu. Po lewej rysował się fragment Teatru Miejskiego z pomnikiem nagiej łuczniczki, który tak lubiły z Margarete, a za mostem ginął pośród czarnej chmury wielki budynek domu towarowego „Hohenzollern”, słynącego niegdyś z narożnej rzeźby cesarza z tego rodu, przedstawionego w zbroi rycerskiej. Na niebie wolno przesuwali się podświetlone przez słońce cumulusy, nad tonią unosiły się liczne, swarliwe mewy, a po pobliskim moście przejeżdżały z hałaśliwym dzwonieniem dwa mijające się tramwaje.

– Moja prośba jest taka... – ciągnął mężczyzna – Gdyby ktokolwiek pytał ciocię, czy każdej nocy, od zamieszkania u was, spałem w swoim pokoju, to proszę o potwierdzenie. Nikt, absolutnie nikt, łącznie z moim dowódcą i innymi wojskowymi, nie może

wiedzieć, że jeździłem do tego małego miasta... Musi ciocia też przekonać kochanego wujka Johanna, by w razie jakiegokolwiek pytania, potwierdził, że co noc spałem na Garten Strasse... To bardzo ważne...

Eleonora natychmiast przysięgła, że będzie milczeć jak grób, ale dostrzegła w tej sytuacji możliwość zrealizowania prośby męża, któremu doskwierało już wspólne mieszkanie z Willim.

– Wszystko, co ważne jest dla Rzeszy leży na moim sercu i ufam ci bezgranicznie... – powiedziała i na chwilę zawiesiła głos, by dopiero po jakiejś minucie kontynuować – Ale ja mam też pewną trudną dla mnie sprawę... Jak wiesz wuj Johhan ma kłopoty ze snem i zaczynają mu trochę przeszkadzać twoje późne powroty do domu... To chyba jest za małe mieszkanie dla nas trojga...

– Też już o tym myślałem – odrzekł z promiennym uśmiechem Willi – ale nie chciałbym mieszkać w koszarach, tam jest za duży hałas, stale ktoś biega, wciąż ktoś wrzeszczy... Może ciocia wie, gdzie jest jakieś ładne lokum, opuszczone przez czystych Polaków...?

– Przychodzi mi na myśl mieszkanie państwa Rossów na Jäger Strasse, ulokowanej blisko nas. Polacy przemianowali ją na Strzelecka Strasse. Właściciele wynajmowali duży pokój, ale teraz on jest pusty, a przy nim osobna łazienka i kuchnia. W sam raz dla ciebie kochany chłopaku...

– Dziękuję cioci za tę informację i już jutro odwiedzę to mieszkanie – powiedział, sięgnął po czapkę, zasalutował, unosząc prawą rękę ku górze i udał się do lady, przy kredensie by zapłacić rachunek.

Jeszcze stamtąd machnął jej ręką na pożegnanie i zniknął za załomem ściany. Eleonora powoli dopiła kawę i dojadła ciastko, a potem wstała, przejrzała się w wielkim lustrze, wiszącym na ścianie, poprawiła przekrzywiony kapelusz i ruszyła ku wyjściu z lokalu.

DARIUSZ TOMASZ LEBIODA



Christian Medard
Manteuffel

TE PRZEKŁĘTE BRAMY ULRO! (IMPRESJE)

„Przypuszczam, że jednym z moich motywów w tym teraz literackim przedsięwzięciu jest przekora: a nuż, sięgając do pism nieortodoksyjnych, uda mi się coś powiedzieć o sprawach, które wydają mi się ważne, w języku i intelektualnie zrozumiałym, i dostatecznie obrazowym, żeby zostawił w umyśle ślad i w ten sposób przyczynił się do złamania bram Ulro?”

CZESŁAW MIŁOZ, „ZIEMIA ULRO”^{1*}

1.

Antyczni Bogowie mieli ludzkie postacie, lub byli ludzkimi mutantami. Żyli w sąsiedztwie człowieka, a nawet, jeśli byli niewidzialni, ich siedziba była zbudowana na ziemskiej opoce i dla człowieka fizycznie dostępna. Oczywiście niepojęta była ich mądrość, a śmiertelni mędrcy mogli, co najwyżej, na temat ich mądrości filozofować, ale nie zabiegali o dorównanie nieśmiertelnym. Na tym polegała też mądrość tych mędrców. Sami Bogowie zresztą też nie byli mędrkami absolutnymi. Mieli swoje przestrzenie o nieprzekraczalnych przez śmiertelnych granicach określonych ich mądrością.

Platon był twórcą pierwszej „trójcy”, opierając na ideałach dobra, piękna i mądrości system państwowy, dyktaturę trójjedni doktryn właściwych Bogom. Była to bodaj ostatnia próba zespolenia nadprzyrodzonej genialności, aby los człowieka poddać mądrości absolutnej istot nadprzyrodzonych. Według tej doktryny zdolność poznawcza człowieka nie dostrzega prawdziwego świata; to jedynie obserwacja cieni, których formy są różne w zależności od położenia światła, które je rzuca. *Theōn oudeis philosophēi oud' epithymēi sophòs genésthai, ésti gár.*^{2*} Człowiek mógł filozofować, nawet aspirować do tytułu mędrca, ale Bóg,

^{1*} wszystkie zawarte w tym tekście cytaty ujęte w cudzysłowy, jeśli nie zostały opisane inaczej, są cytatai z „Ziemia Ulro”, PIW, 1982

^{2*} Bogowie nie muszą filozofować ani zabiegać aby mędrkami być, oni nimi są.. (Platon, Symposion 203 e)

Bogowie, byli już nimi; człowiek stworzył ich jako wzór niedościgniony.

Bóg Talmudu mieszkał nie na tej Ziemi; mieszkał w Niebie, w dość nierealnym świecie, a na pewno całkowicie różnym od Ziemi. Jego wielkość polegała na absolutnej władzy nad Ziemią i nad człowiekiem, któremu ją przydzielił. Nierealność miejsca zamieszkania Jahwe powodowała właśnie między człowiekiem, a jego Panem. Wiadomo, były sankcje. Pan Bóg żył w Niebie jak w niebie, a człowiek, który w końcu został przez Boga stworzony na Jego wzór i podobieństwo musiał mieszkać na Ziemi, która na pewno niebem nie była. Człowiek otrzymał wprowadzić obietnicę zamieszkania w Niebie, ale dopiero po śmierci. Za życia przestrzeń ta nie była dla człowieka osiągalna; inna, druga przestrzeń.

Gdy dotkliwe kary nie pomagały musiał zejść zapowiadany już zresztą od dawna wyśłannik z Nieba, aby pojąć niewdzięczność i kłamstwo człowieka dla swojego Stwórcy. Przyszedł Syn Boży, Jezus. Niedostatek życia na Ziemi poznał już w momencie swoich narodzin. I tylko, albo z winy Jahwe, który zdecydował się na ten krok zbyt późno, albo też dlatego, że człowiek był na wskroś zdegenerowany, krótka obecność Syna Bożego na Ziemi zakończyła się w sposób dość na Ziemi typowy dla tych, którzy próbują tutaj stworzyć niebo.

Pozostali w testamencie po Nim niejako do końca fragmenty nauk o sposobie naprawy tego, co człowiek zdążył zepsuć. Ale znów, czy to z powodu zbytniego odeszcia ludzkiego ego od swego niebiańskiego wzorca, czy też z powodu wyłonienia się spośród równych, tych równiejszych, uzurpujących sobie prawo pomazańców, czyli wybranych do przejęcia władzy dusz na Ziemi, czasy od śmierci Jezusa w niczym nie zbliżają Ziemi do Nieba. Wielu sądziło potem, że to Szatan wykorzystał desperację człowieka i przejął rząd nad duszami ludzki na Ziemi, gdy został wyrzucony z raju, a więc jeszcze przed przybyciem Jezusa na ten padół też. Człowiek pozostawiony został sam sobie, mając swobodę działania jak tylko zapagnie, a – miast wskazówek – cisza, aż do bólu. Poeta powie: „Nie przypuszczam, że przyjdzie mi żyć w czasach, kiedy Pan Bóg najdotkliwiej upokorzy ludzi, pozwoliwszy im działać tak, jak tego tylko zapagną.”

Bóg jest mądrością!.. Nie musi o nią zabiegać! Czy to nie wystarczy, aby człowiek, który w swej duszy posiada więcej pychy aniżeli wody w swoim cieple, starał się tej mądrości dorównać, ba – przewyższyć, a jeśli już mądrość Tego Niewidzialnego okazuje się w żaden sposób nieporównywalna, empirycznie nie pojmowana, to z Jego niewidzialności uczynić tezę dla dowodu Jego nieistnienia? Historia naszej cywilizacji potwierdza to w każdej epoce.

Czas dzielący nas od Arystoklesowskiej dyktatury trójjedni do czasu określanego jako czas nowożytny 1800 lat po Chrystusie, to ponad dwa tysiące lat wzlotów i upadków religii i kultur, świętokradczych prób buntu człowieka uzależnionego od burzących to ego id i superego, obwiniającego swego nadprzyrodzonego stwórcę o niedoskonałość, którą ten go obdarzył. W ten sposób zdesperowana dusza ludzka przenosiła człowieka w drugą przestrzeń. Przypadki te stróżę testamentu określali jako antyboskie, heretyckie. Tak doszło do ucieczki Blake'a do utudy zwanej Ulro. Tak

oto przedstawia on człowieka z jego ograniczoną zdolnością widzenia świata:

(...)

I w tej nadobnej przestrzeni

Gwieździste Niebios

Nie sięgają dalej, gną się, zamykają tutaj

Ze wszystkich stron wszystkich i dwa

bieguny kręcą się w swoich

złocistych zaworach.

A jeżeli przeniesie swoją siedzibę,

jego Niebo też się przeniesie,

Gdziekolwiek pójdzie i oplakiwać

go będzie sąsiedztwo.

Takie są przestrzenie zwane

Ziemią, takie są ich rozmiary.

Kuli obracającej się w Pustce,

jest to uluda Ulro.

(Milton, księga pierwsza; tutaj za Czesławem Miłoszem)

Co to jest, co tak boli? Zniewolenie przez moc zwątpienia? Strach przed wypowiedzeniem bluźnierstwa? Herezja jest w nas i boli! Kiedy pojawiła się w nas po raz pierwszy? Czy może: Kiedy uświadomiliśmy sobie jej w nas obecność? Trzydzieści lat temu Czesław Miłosz w swojej pracowni na Niedźwiedzim Szczycie miał wizję Blake'owskiej utudy i postanowił wejść w nią doskonale wiedząc kogo tam spotka. A, mimo że gawędy o tym, co się dzieje w zaświatach, chrześcijaninowi nie przystają na czystej jeszcze kartce papieru zapisał pierwsze zdania: „Długo odkładałem opowieść o niektórych moich duchowych przygodach, napomykając o nich, ale niechętnie i powściągliwie. Aż spostrzegłem, że jest późno...”

Aby o tych spotkaniach w „drugiej przestrzeni” opowiedzieć Miłosz, jak przyzna się do tego wiele lat później^{3*}, puszcza wolno swoje pióro. Pióro potyka się, błądzi manowcami jak polska historia, omija korallowe ostrowy burzanu. „Zresztą pewne cechy inteligencji polskiej, stanu, do którego sam byłem przypisany, we mnie rezydujące, nie mogły mnie nie hamować od środka, tj. natrafiałem wszędzie na strefy zabronione.” Zauważa Miłosz i kluczy dalej. Jest tyle polskiej historii do przeniesienia w te otwierającą się przed nim przestrzeń utudy. Jest już bardzo blisko samego Blake'a, ale spotyka Goethe'go i rozmawia z nim poprzez wspomnienia z lat Skamandra i Awangardy. *Comédie larmoyante* PRL-owskiej rzeczywistości i klatka pawia narodów i papugi z widokiem na wieżę Eiffla. Pióro biegnie poza linie brulionu i szuka miejsca na marginesie: „...trudno trzymając pióro schodzić poniżej poziomu swojej świadomości, bo w tym przynajmniej chce się zachować dla siebie szacunek.”

2.

Tak otrzymaliśmy od Miłosza „Ziemię Ulro”.

Przed Miłoszem roztoczył się zatem taki obraz utudy, jaki przedstawił w swym poemacie „Milton” William Blake w roku 1808. W sensie geograficznym ziemia ta jest płaska, zamknięta naokoło linią horyzontu, a od góry kopułą niebios. Rodzi się romantyzm; był to czas pogardy dla dorobku oświecenia, czas mistycyzmu.

^{3*} Mam tutaj na myśli wyznaczenie Czesława Miłosza z roku 1999, gdy wydawnictwo ZNAK przygotowywało kolejne wydanie jego książki.

William Blake (1757 – 1827) był mistykiem. To fakt, że wizja Ulro nazwanej przez Blake'a Ulro, to wg. kanonów religii chrześcijańskiej herezja. Ale jakże łudzi nas ta wizja autentyczności naszych własnych, ukrytych wyobrażeń świata nadprzyrodzonego. Geneza tego mimowolnego wchodzenia w te utrudę tkwi w chrześcijańskim źródle, które inspirowało Blake'a do poematu „Zaślubiny nieba i piekła”; to źródło, to piękny, wiernochrześcijański w swej oświeceniowej konwencji, „Raj utracony” Johna Milтона. Dramat Szatana w Miltonowskim poemacie wpłynął niewątpliwie na to, że piekło u Blake'a to miejsce wiecznej kazi, lecz i wiecznej energii. Na kanwie tego wyjściowego utworu stworzył Blake dalsze poematy stanowiące jakby szkielet ustrojowy krainy Ulro. To nic, że Blake'owskie Ulro spowite londyńską mgłą, a środkiem płynie Tamiza, że bramy tego miasta wydają się zamknięte, a społeczność tam żyjąca wyizolowana, nierealna, to wizja heretyka. Blake w poematach rozwijających główną myśl „Zaślubin nieba i piekła” stworzył podstawy ideologiczne dla wyjścia poza te zamknięte bramy. Najważniejszy z nich to: „Four Zoas”. Blake określa w nich cztery obszary rządzone przez mityczne postacie: *Urizen*, *Tharmas*, *Luvah* i *Urthona*. Nie jest to nic innego jak Swedenborgski dogmat czwórsobowego Boga z pięcioksięgu, gdzie imię Boga hermafrodyty *Elohim* występuje w liczbie mnogiej. To *Urizen* właśnie jest prawodawcą, superego krainy, jest Rozumem. *Tharmas* to ludzkie ciało, naturalistyczne doświadczenie. *Luvah* – Król Miłości, czasem zwany również *Orc*, to „zbuntowane dziecko” ludzkich emocji. *Urthona*, lub inaczej *Los*, reprezentuje Wyobraźnię i wizjonerską Intuicję. *Urizen*, uosobienie rozumu, pyszni się swoją cechą i z tego też powodu odtacza się od *Tharmas*, *Luvah* i *Urthone*, jest wyzbyty tym samym z duchowości, uczuciowości i wyobraźni i rządzi krainą. Władza Rozumu przekształca dla człowieka świat w piekło za życia. *Urizen* posiada cechy przypisywane szatanowi: samotny i oziębły, posiada potężny umysł, ale ukierunkowany na czynienie zła i rozpacz, jest wreszcie obsesyjnie zawistny wobec człowieka, który miał jednoczyć w sobie wszystkie cztery cechy właściwe Bogu, na którego wzór i podobieństwo został stworzony.

Taka percepcja nadprzyrodzonej mądrości nie była też daleka od tezy Platona z jego programowego dramatu *Sympozjon*, którą przytoczyłem. Blake kształtując osobowość *Urizen*a parafrazuje Arystoklesa. Bóg rządzący w Ulro miał być samą mądrością. *Urizen* Blake'a miał sprostac mądrością temu, który mądrością był. Temu rozumowi było podporządkowane życie w krainie Ulro. Metody jego rządów absolutnych polegały na niekończącej się represji, walce dobra ze złem, sił niebieskich i piekielnych. Dobra to bierność posłuszna Rozumowi, Zło to aktywność wyrastająca z Energii. Była to wszakże kraina nieustannej walki, ciągłym ścieraniem się przeciwieństw. Walka dobra ze złem przedstawiona ze strony dobra jako zastępy *Króla Niebieskiego*, a z drugiej jako siły piekielne była elementem stałym ustroju Ulro i koniecznym dla jasności ideologii tego ustroju. Jedno wyjaśniło konieczność uświadomienia sobie istnienia tego drugiego, jak nie ma jasności bez mroku, czy zdrady bez wiary, a zarazem zwalczało to drugie, uświadamione. Ciemność kontra światłości, świat realny przeciw światu duchowemu.

Mitosz rozpoznaje tę krainę: „Mieszkałem w Ulro na długo przed tym, zanim dowiedziałem się od Blake'a, jak się ta kraina nazywa, ale nie godziłem się na takie miejsce pobytu.”

Blake'owskie Ulro to świat stworzony przez heretyckiego chrześcijanina, jak nazywa Blake'a Mitosz. *Chrześcijanin!* I nic w tym dziwnego bowiem sam Blake zafascynowany był Miltonem, a Mitosz, poskramiając heretyzm Blake'a, cytuje fragmenty jego poematu zatytułowanego właśnie „*Milton*”. To od Milтона, z jego utworu „*Raj utracony*”, jednej z najpiękniejszych poezji wieku oświecenia poświęconych opowieściom Biblii pochodzi obraz Ziemi Uludy. Uludą jest dla Szatana Ziemia, którą – wygnany z raju – ogląda z wysokości:

O ja nieszczęśliwy!
Bowiem gdziekolwiek zwrócę
lot, tam wszędzie
Gniew nieskończony, nieskończona rozpacz!
Gdziekolwiek zwrócę swój lot,
tam wszędzie piekło,
Piekło jest we mnie, a na dnie otchłani
Głębsza, ziejąca otchłani się otwiera
Przy której piekło, gdzie cierpię, jest Niebem.

Szatan, niegdyś równy Bogu, dziś pokutujący banita, rozpacza i przeżywa wygnanie po ludzku: w rozpacz, ale i w nienawiść wobec zwycięzcy:

Czyś wolną wolę i moc miał, by ustać?
Miałeś. Więc kogo lub co chcesz oskarżać,
Jeśli nie miłość, której Niebo wszystkim
Równo udziela? Niechaj więc przekłeta
Będzie ta miłość Jego, bowiem dla mnie
Miłość na równi z nienawiścią znaczą
Wieczną niedolę!

Dramat Szatana wygnanego z raju pozwala Milton przeżyć nam jak dramat człowieka, który utracił wszystko, może tylko poza nadzieją:

Nie wszystko
Jeszcze stracone; wola nie skruszona,
Wieczna nienawiść, myśl o zemście, także
Śmiałość, co każe, by się nie poddawać
Nigdy i nigdy nie korzyć, na koniec
Nie dać się zdeptać.

I powrócę raz jeszcze do jednego z przekładów Mitosza poematu Blake'a „*Milton*”, cytowanego przez Mitosza w „*Ziemi Ulro*”:

(...) ani jedna Chwila,
czasu nie ginie, ani jedno
Zdarzenie w Przestrzeni.
Wszystko zostaje: cała tkanina
Sześciu Tysięcy Lat
Trwa, tak jak trwała. Na ziemi, gdzie Szatan
Upadł i został odcięty, rzeczy
giną i nie ma ich więcej,
Ale nie dla mnie i moich synów.
My każdą chronimy.
Pokolenia ludzi płyną z prądami Czasu,
A przecie rysy ich twarzy ocalone
są na wieki wieków.

Blake nie identyfikował się, poza krótkim okresem przynależności do Kongregacji Swedenborgian, do żadnej z religii chrześcijańskich. Wpływ kościoła anglikańskiego na życie społeczeństwa był jednak tak silny, a praktyki straszenia wiernych wyrafino-

wanymi karami piekielnymi w ówczesnym kościele anglikańskim tak represyjnie wyuzdane, że to one właśnie w wierszach Blake'a pojawiły się jako kult szatana. *Urizen*, tworząc nad Tamizą wymagowaną krainę, zamglone miasto płaczu zamieszkałe przez zdeprawizowane męty, strażników, pijaków i prostytutki, konstruuje ją wszakże w atmosferze starego testamentu. Nie ład, lecz chaos zrodzony z konfliktu percepcji dobra i zła, piękny i brzydoki, bólu i miłości, agresji i deprecjacji ma doprowadzić do *apokatastasis*, do powstania *ludsko-Boskiej rodziny jedności*, a wtedy nawet *Urizen*, to wcielenie Boga-szatana, miałoby być zbawione. *Heretycki chrześcijanin*, a więc jednak chrześcijanin, choć może jest to przydomek zbyt godny, gdy zdamy sobie sprawę, że wielcy reformatorzy percepcji wiary chrześcijańskiej też otrzymywali miano heretyków, ale wniesione przez nich myśli wiary wzmacniały, a o ich heretyzmie nikt już nie wspomina. O heretyckim chrześcijańskim Blake'u Mitosz pisze: **jest**.

Ulro Blake'a to miasto zakłamanie, *Urizen* to antonim Boga-człowieka, Jezusa, który zamiast zakazów przynosił wolność, zamiast kar piekielnych wszechprzebaczenie. Może tylko jego towarzysza życia Blake'a, Catherine, którą nauczył on sztuki czytania, odczuwała jego obcowanie z rajem, a nawet więcej – sama nazywała swoje życie obok niego *życiem w raju*. Może warto tutaj zauważyć, że Blake, który jako zwolennik wolnej miłości uważał, że „*brak umiaru w młodości jest istotnym pierwiastkiem życia*”, był wierny Catherine przez całe wcale nie krótkie ich współżycie.

Spotkał Blake Boga? Jak wielu samozwańczych wybrańców w tych mesjanistycznych czasach? Czy miał On taką osobowość? Czy to ON nakazał poecie pozostawienie potomnym w literaturze krainę *Ulro*? Byłoby to bluźnierstwo! Jane Hirshfield w „*Poezja Mitosza i sacrum*” zauważa: „*Wallace Stevens sformułował słynne określenie aktu wyobraźni jako wewnętrznego oporu przeciwko zewnętrznemu ciśnieniu rzeczywistości. To samo można powiedzieć o życiu duchowym. Nie spokój rządzi nami w chwilach osobistego spotkania z tym, co prawdziwe, a ci, którzy mają wgląd w sprawy boskie – Tejrejasz, Homer, Edyp – zostają oślepieni. Wielkie spotkania w wymiarze duchowym są owocem czegoś więcej niż tylko prostej wiary, bo także ciężaru niepojętego cierpienia, straty i wygnania.*”⁴

3.

„*Ziemia Ulro*” to jednak nie książka o *Urizenie* i jego Ulro. Ulro to utuda, a „*Ziemia Ulro*” to powieść, esej, rozprawa literacka – Mitosz sam nie wie co – może więc poemat prozą o *utraconym raju* podobny czasami do dramatycznych opisów Milтона, a czasami docierającego do „*Uczty*” Platona, choć zapis jest epicki, duch jest poetycki. Zamykam książkę. Po zamknięciu ostatniej strony książka nie poleży długo spokojnie na swoim miejscu na regale. Może już nigdy nie zazna spokoju. Jej pierwsza edycja ukazała się w roku 1977 w Paryżu nakładem Instytutu Literackiego. Mitosz konfrontuje z przedromantyczną filozofią Swedenborga i Blake'a, a postacie, które kocha i które mniej kocha, ale których nazwiska są zapisane w historii kultury naszej realnej Ziemi nie mniej trwale jak miedziane zapisy poezji Blake'a.

⁴ „*Wezwany do pochwalania rzeczy, dlatego że są: poezja Mitosza i sacrum*”; Jane Hirshfield; tł. Magda Heydel, *Apokryf*. – 2001, nr 16, s. 14-15.

→ Kiedy Miłosz rzeczywiście zauważył, że mieszka w Ulro? Przecież nie dopiero wtedy, gdy stwierdził, że musi się stamtąd wydość? Najlichniesze ślady swojej tam obecności pozostawił nam już w „Trzech zimach”, zbiorze wydany w Lwowie w 1936 roku. Ale ten wiersz, który jako pierwszy zwrócił moją uwagę („Obłoki”) Miłosz napisał bodaj w roku 1933 w Wilnie:

Obłoki, straszne moje obłoki,
jak bije serce, jaki żal i smutek ziemi,
chmury, obłoki białe i milczące,
patrzę na was o świcie oczami łez pełnemi
i wiem, że we mnie pycha, pożądanie
i okrucieństwo, i ziarno pogardy
dla snu martwego splatają posłanie,
a kłamstwa mego najpiękniejsze farby
zakryły prawdę. Wtedy spuszcza oczy
i czuję wicher, co przeze mnie wieje,
palący, suchy. O, jakże wy straszne
jesteście, stróże świata, obłoki! Niech zasną,
niech liściwa ogarnie mnie noc.

Podaję ten wiersz w całości. Nie chcę tendencyjnie wyjmować z kontekstu to, co w tym wierszu Blake'owskie. I szkoda mi tego pięknego wiersza, bo może ktoś już o nim zapomni.

Jak bardzo fascynowała Miłosza poezja Blake'a, a może – jak głęboko przenikał on tą poezją, niech świadczy ten fragment z książki pierwszej poematu „Milton” angielskiego poety-mistyka:

„Niebo, nieśmiertelny Namiot,
zbudowali synowie Losa;
I każdy Obszar, który Człowiek
widzi naokoło domu,
Kiedy stoi na swoim dachu
albo w sadzie na górze
Półtora sążnia wysokiej, taki Obszar
jest jego Wszechświatem;
Na jego krańcach Słońce
wchodzi i wychodzi, Obłoki
Chylą się na spotkanie płaskiej
Ziemi i Morza.”

Już trzy lata przed tą duchową przygodą Miłosza na Niedźwiedzim Szczycie, ukazał się jego tom poezji o jakże łatwo rozpoznawalnym tytule „Gdzie wschodzi słońce i kędy zapada” (Paryż: Instytut Literacki, 1974). W 1991 odnajdziemy słowa Blake'a a w kodzie wiersza „Stworzenie świata” ze zbioru „Dalsze okolice”.

Na kartkach, gdzie Miłosz patrząc z wysokości Niedźwiedziego Szczytu widzi rozciągającą się wokół krainę *utudy* i gdy pamięć jego odnajduje tuż za oknami tamte obłoki, jego pióro – rzeczywiście, jakby samo, poza jego kontrolą – pisze: „W roku 1936 ukazał się mój tom wierszy „Trzy zimy”, a więc tak dawno, w kraju tak nieistniejącym, że bliższa bodaj wydaje się teraz epoka romantyczna. Sądzę dzisiaj, że zwiedziłem niezgorzej, w sobie samym, okropności Ulro. Moim nie-szczęściem było zawsze Widmo. Czyli bardzo silne ego, zamykające mnie w państwie Urizena, gdzie za ważne wolno poczytywać tylko to, co ogólne, społeczne, statystyczne itd. Biedna moja Urthona, czyli Wyobraźnia, próbowała mnie wyrwać z więzienia, ale natrafiając wszędzie na zamknięte drzwi, ryła podziemne tunele, aż udawało jej się



niekiedy, np. w „Trzech zimach, mnie do-
paść”.

„Kim byłem i kim jestem teraz, po la-
tach, tutaj na Niedźwiedzim Szczycie, w mo-
jej pracowni nad Pacyfikiem?” Był nikomu
nieznanym emigrantem z Polski, jednym
z tych, do których świat się przyzwyczaił.
Może tego dnia skonstatował jednak, że
zna te Ziemie z autopsji i że chciałby unik-
nąć losu jej mieszkańców. A przecież jeszcze
dwa lata wcześniej we wspomnianym wyżej
w poemacie „Gdzie wschodzi słońce i kędy
zapada” zwierzał się:

Próbowałem zgadnąć inną
ziemię i nie mogłem.

Próbowałem zgadnąć inne niebo i nie mogłem

W toku swej opowieści autor otwiera
się jednak przed nami, rozgarnia coraz
częściej ciężkie warstwy mesjanistycznej
filozofii (gdzie sam – jak zaznacza na kar-
tach książki - źle się czuje) i pozwala nam
z ulgą dojrzeć Polaka bez ojczyzny: „...nie
jestem filozofem, co zawsze jak najsilniej pod-
kreślam. Walczę o prawo używania swego
umysłu poza przyjętymi w Polsce rubrykami,
w skutek czego moje pisarskie przedsięwzię-
cie jest raczej beznadziejne. Jako profesor

mogę przynajmniej występować w rubryce
tzw. „Intellectual History”.

Był jednak poetą, a i wykładowcą lite-
ratury. Ta osobista refleksja skłoniła go do
skonfrontowania nie tylko siebie, ale swoich
idoli (także kilku nie swoich) z tym światem
utudy. „Cóż bowiem mają począć ludzie, dla
których niebo i ziemia jest za mało i nie mogą
żyć, jeśli nie oczekują innego nieba i innej
ziemi? Dla których ich własne życie, takie
jakie jest, pozostaje snem, zasłoną, ciemnym
lustrem i nie mogą się pogodzić z tym, iż
nigdy nie pojmą czym było naprawdę”.

Pierwsza recenzja, słowo wstępne do
pierwszego oficjalnego wydania tej książki
napisał duchowny katolicki, sąsiad Miłosza
już w Paryżu, ks. Józef Sadzik. Kłopotliwa za-
pewne była dla księdza Józefa Sadzika ta
prośba Miłosza o zreferowanie tej, nomen
omen, opowieści duszy poety, bowiem, no
właśnie: gawędy o tym, co się dzieje w za-
światach, chrześcijaninowi nie przystoją. Toteż
podchwytuje on skwapliwie cytowany przez
Miłosza pogląd Ericha Hellera dotyczący spe-
cyfiki romantyzmu niemieckiego, (ks. Józef
Sadzik był świeżo upieczonym dyplomantem
studiów doktoranckich w Fryburgu z dziedziny
filozofii: „Esthetique de Martin Heidegger”⁵)

⁵ Tematem dyplomu był wybitny filozof niemiecki

i konkluduje: „Niezmienne to ważne – „Ziemię Ulro” można poprawnie odczytać tylko pod jednym warunkiem: że nie straci się z oczu statusu ontologicznego mieszkańca smutnej krainy.”

Po latach dość powściągliwie będzie wyrażał się Miłosz na temat tego słowa wstępnego. Nie komentując ani argumentu przywołanego przez księdza Sadzikę, ani trafności badacza niemieckiego romantyzmu dla odniesienia go do romantyzmu polskiego, (dlaczego? wspomnę o tym dalej) pozwolę sobie tutaj na zacytowanie w całości wiersza Czesława Miłosza napisanego też w Berkeley w roku 1973.

OECONOMIA DIVINA

Nie myślałem, że żyć będę
w tak osobliwej chwili.
Kiedy Bóg skalnych wyżyn i gromów,
Bóg Zastępów, kyrios Sabaoth,
Najdotkliwiej upokorzy ludzi,
Pozwoliwszy im działać jak tylko zapragną,
Im pozostawiając wnioski i nie mówiąc nic.
Było to widowisko niepodobne, zaiste,
o wiekowego cyklu królewskich tragedii.
Drogom na betonowych słupach,
miastom ze szkła i żeliwa,
Lotniskom rozleglejszym niż
plemienne państwa
Nagle zabrakło zasady i rozpadły się.
Nie we śnie ani na jawie, bo sobie odjęte
Trwały jak trwa to tylko, co
trwać nie powinno.
Z drzew, polnych kamieni,
nawet cytryn na stole
Uciekła materialność i widmo ich
Okazywało się pustką, dymem na kliszy.
Wydziedziczona z przedmiotów
mrowiła się przestrzeń.
Wszędzie było nigdzie i nigdzie, wszędzie.
Litery ksiąg srebrniały, chwiały się i nikły.
Ręka nie mogła nakreślić znaku
palmy, znaku rzeki, ni znaku ibisa.
Wrzawą wielu języków ogłoszono
śmiertelność mowy.
Zabroniona była skarga, bo
skarżyła się samej sobie.
Ludzie, dotknięci niezrozumiałą udręką,
Zrzucali suknie na placach żeby
sądu zwywała ich nagość.
Ale na próżno tęsknili do
grozy, litości i gniewu.
Za mało uzasadnione
Były praca i odpoczynek
i twarz i włosy i biodra
I jakiegokolwiek istnienie.

Jeśli mogę prosić, to proszę czytelnika o minutę ciszy w głębi własnego ego po przeczytaniu tego wiersza.

Aby być konsekwentnym w moich dywagacjach nad „Ziemią Ulro” i traktować tę opowieść Miłosza jako jego widzenie na Niedźwiedzim Szczycie, lub przynajmniej pe-

Martin Heidegger (1889-1976), a dokładniej: „Esthetique de Martin Heidegger” („Estetyka Martina Heideggera”). Heidegger tworzył podwaliny pod ateistyczną percepcję egzystencjalizmu. W okresie III Rzeszy jego poglądy zbliżyły się do ideologii narodowo-socjalistycznej.

regrynację Miłosza do Blake'owskiej Ziemi Uludy, to muszę też zwrócić uwagę na to, że bramy Ulro były już wytamane, że Ulro Blake'a to miasto z zamglona Tamizą, a Miłosz opisuje nam imperium Ulro ze wschodnią granicą aż na Niewieży. Nie mam najmniejszego zamiaru rozwodzić się nad nacjonalistyczną pikanterią tego aspektu, chociaż takie to teraz modne i można by się komuś przypodobać lub innemu wsadzić zadkę w tyłek, po prostu nie mam wątpliwości, że tam była litewska dusza Miłosza i to nie tylko wtedy, gdy spotyka Gombrowicza czy Mickiewicza, ale także podczas dysput z duchami mędrców Świata Zachodniego.

W czasach Milтона, potem Swedenborga, a potem Blake'a Niebo i Piekło, ich plastyczna wizja, była jedyną drogą do pojęcia wiary. Świat nadprzyrodzony pełen cudów i objawień zdawał się przenikać świat realny, a choć był utudą strach przed władzą szatana miał w psychice człowieka pozycję dominującą. Tak rodził się romantyzm niechętny racjonalizmowi oświecenia. Dla nas, ale i - wydaje się - dla samego Miłosza, najbardziej frapującym poetą uwikłanym w ten świat Ziemi Ulro, jest sam Mickiewicz i przy pewnym aspekcie przedstawienia Mickiewicza przez Miłosza chcę się na chwilę zatrzymać. Dziś dość zwulgaryzowaliśmy w naszych pojęciach o Mickiewiczu jego ignorancję dla „mędrcza szkietka i oka”. Tak, Mickiewicz był bardzo blisko od Blake'owskiego „Raju odzyskanego” i obcowanie Miłosza z duchem naszego wielkiego romantyka na pustyni Ulro jest jak najbardziej uzasadnione, chciałbym jednak zwrócić uwagę na coś, co różni poetycką wyobraźnię Adama od Williama, a nawet od samego Swedenborga. To coś pozwalam sobie zacytować za Dariuszem Lebiódą*: „Duchy Mickiewicza wyrrywają się z przestrzeni powietrznych, nierzeczywistych, ku materii, ale zawsze w sposób heroiczny. Heroizm i tytanizm dla Mickiewicza będzie zawsze łączył się z moralnymi zobowiązaniami człowieka”. (...) „Mickiewicz wziętyby zatem od Blake'a ową wizyjność i zasadę przeciwieństw, które ten poeta z kolei przyjął od Swedenborga. Ale przecież w utworze Mickiewicza było też coś nowego i świeżego – to tak jakby zasady Blake'a i najbardziej wizyjnego strumienia romantyzmu europejskiego autor *Dziadów* przetransplantował na grunt wschodnioeuropejski.” *Duchy pustyni Ulro*, z którymi dyskutuje Miłosz na kartkach swojej książki, łączy rozpaczliwa, jak na konwencję literatury romantycznej przystało, walka o wyrwanie ich ego spod kontroli szkietka i oka. Jeżeli Miłosz nazwał Blake'a chrześcijańskim heretykiem, to miało to być również słuszne dla całej tej galerii postaci filozofów i artystów, sług „Dobrego Boga” a jednocześnie i „Złego Demiurga”. Niejednokrotnie, jak u Dostojewskiego, jego heretyzm, jest nie tylko wątkiem twórczości, ale i obsesyjnym przekonaniem, że Ziemią rządzi diabeł. Taki jest mesjanizm, tak bardzo boski, że aż heretycki. Szczególne cechy ma tutaj mesjanizm polski wynikający zresztą z desperacji narodu pozbawionego ojczyzny. Że aż szkoda, że mało w „Ziemi Ulro” Słowackiego, że wcale Krasickiego czy Norwida. Kosmogonię Swedenborga dzisiejszy świat wyrwany z utudy Ulro nazywa schorzeniem umysłowym, z fantazji Blake'a czynimy maniaki. Mickiewicza, jeszcze w Paryżu w Collège de France, pomawiano za plecami o opętanie psychą.

Czy w takim razie Blake był prekursorem romantyzmu? Jestem tylko jednym z tych ostatnich, którzy jeszcze czytają poezję

6 D. T. Lebioda „Mickiewicz, wyobraźnia i żywioł”, str. 138 i 139.

i chcę odgadnąć inny świat wokół każdego zapisanego słowa. Blake był z pewnością tym, który uświadomił poetom, którzy po nim przyszli, że ten ból tkwi w nich. Wszyscy oni, romantycy, a wielu także potem, sięgali w swej twórczości do wizji Blake'a. Jak Miłosz. I jak ci, którzy po Miłoszu przyjdą.

4.

Dzieło polskiego poety żyjącego na obczyźnie rozeszło się po świecie błyskawicznie w językach: angielskim, niemieckim, francuskim i serbsko-chorwackim. Mieszkańcy mówiący tymi językami też już mieszkali w Ulro, choć nie znali nazwy tej krainy, a i dane im było żyć pod rządami rodzimych Urizenów. Miłosz jest tego absolutnie świadomy. Już w rozdziale 9. wskazuje, że jego książka łączy w jedno przeszłość i teraźniejszość, a wymierzona jest właściwie w przyszłość, jeśli nie jego własną, to innych. Sam Miłosz powie, że pierwotnie miała to być kontynuacja „Zniewolonego umysłu”.

Zaadoptowanie przez Miłosza Blak'owskiego pomysłu dla swojego eseju może być zatem rozumiane jedynie jako „opór przeciwko zewnętrzному ciśnieniu rzeczywistości” lat siedemdziesiątych, ogólniej: czasu poety, czasu przez niego przeżytego i przeżywanego i skierowanego w przyszłość:

(...)

Wodzowie ludzkości, szlachetni
rewolucjoniści
Rzucają kamienie do wody,
patrzą w nurt Jenisieju,
Grają na gitarach, uczą się języków,
Czytają Kapitał, ziewają, czekają.
Pewni zwycięstwa. Człowiek-bóg nadchodzi.
Umysł jego jasny jak dwa i dwa cztery
Zostawia co nieważne i zmierza do celu,
Którym jest władza. Nie królów, cesarów.
Wszystkie lądy i morza. Jego panowanie
Nad śmiertelną istotą na ziemi i w niebie.
Mściciel i wychowawca. Tam,
w swoich stolicach
Zwierzęta otepiałe niech śpią, nie wiedzące,
Co jest przygotowane. Nie jego rzecz litość.
Trenować trzeba będzie gnuśnych i leniwych,
Aż w strachu, posłuszeństwie i nadziei
Stracą ludzką naturę w której mają leże,
Której nigdy nie było. Aż larwa z nich spadnie
I wejdą na wysokość, w bólu przemienieni.

(Czesław Miłosz, Jasny umysł, 1913.

Tekst cytuję wg: Cz. Miłosz, *KRONIKI*, Społeczny Instytut Wydawniczy ZNAK, 1988)

Gdybym o „Ziemi Ulro” pisał wtedy, trzydzieści lat temu, nie miałbym wątpliwości, że jest ta książka adresowana do rodaków poety w dalekiej ojczyźnie, a w postaci *Urizena* doszukiwałem się protestu politycznego, który miał być transferowany do świadomości zniewolonych umysłów poprzez tamte burzliwe dzieje religii chrześcijańskiej XVII i XVIII wieku. Tego rodzaju literatura mogła w Polsce A. D. 1977 zasłużyć co najwyżej na zaszeregowanie do tej gorszej, takiej jak literatura myśliwska lub literatura dla młodzieży, a w dodatku politycznie związana z prawicą. O autorze natomiast powiedziałoby: „w mistycyzm popadł”. Upłynęło już ponad dwadzieścia lat od czasu „Zniewolonego umysłu” (*Instytut Literacki*, 1954) i choć oddźwięk na tę polską

→ w swoim rdzeniu pozycję eseistyki politycznej w wolnym świecie przyjęty był z należnym respektem, w Niemczech Zachodnich krytyka literacka wskazywała na zawarte tam analogie do losu części ich społeczeństwa w NRD, w kręgach rodzimej polskiej emigracji przypisywano Miłoszowi sympatie marksistowskie. Czwierć wieku później poeta przyznaje też bez żenady: „Oczywiście w kotłach przejmujących się polityką byłem znany jako autor „Zniewolonego Umysłu”, mnie jednak problemy komunizmu przestały interesować.”

Chcąc napisać ten tekst dzisiaj, zakłóciłem znów spokój mojego starego egzemplarza książki Miłosza z roku 1982. Czytam jakże anachronicznie dziś brzmiące ostrzeżenie komunistycznej cenzury: „Niniejszy egzemplarz może być sprzedawany wyłącznie w Polsce i w krajach RWPG. Sprzedaż i wysyłka do innych krajów wzbroniona.” To był rok 1982. Nie wiem już jak to się stało, że ta książka była przy mnie tyle lat poza krajem. Kilka książek zabrali mi na granicy, wiele zostało zniszczonych przy próbie ich nielegalnego przemytu. Czytam, właściwie przelatuję wzrokiem po znanym mi tak dobrze tekście. A przecież zauważam ciągle coś, na co wcześniej nie zwróciłem uwagi. Jak choćby to:

Natrafiałem na to przechodząc
ulicą i wydało mi się to
jak wyjawione ludzkie przeznaczenie.

Ale nie miało nazwy i przypominała
mi się inna taka chwila,
dla której słów szukałem, aż
znalazłem po dwudziestu latach.

Zacznę teraz na nowo i dążyć
będę na jawie i we śnie,
tylko że tym razem, jak myślę,
powie stop kończy się czas.

*

Jest rok 1999. Wydawnictwo „ZNAK” przygotowuje kolejne wydanie dzieł sędziwego poety polskiego. Czesław Miłosz sięga pamięcią do tamtej chwili „na Niedźwiedzim Szczycie” w pracowni nad Pacyfikiem:

„Tak więc w latach siedemdziesiątych, kiedy nikt (ani ja) upadku komunizmu nie mógł przewidzieć, zwracałem się ku przyszłości, ta jednak ma to do siebie, że szybko nas dogania i jakiegokolwiek przepowiednie są zbędne. Przeniostem się myślą poza następne sto czy dwieście lat, a tu nie tylko komunistyczny totalizm minął, ale i moja wzmianka o moich prawdopodobnych ustrojach teokratycznych znalazła karykaturalne potwierdzenie w państwach wojującego islamu. Tak czy owak, zagłębienie w przyszłość nie jest istotną treścią książki.”

Milkną moje własne rozmyślenia nad dziełem wielkiego poety. Jest noc. Wrzawa wielkiego niemieckiego miasta zdaje się zagłuszać niewybredne epitety zwaśnionych obozów politycznych wolnej Polski, walczące o moją duszę. Co to jest, co tak boli? Z tej mrocznej ciszy wraca do mnie jedna z sekwencji zapisana przez pióro Miłosza:

„Dla Wyobraźni zgoda na ten świat jest nierozumna i nieuprawniona, natomiast rozumne i uprawnione jest oczekiwanie na jego koniec. Ponieważ ostateczne żniwo

zawsze dokonuje się tu i teraz, siedemdziesięcioletni Blake, bynajmniej nie rozczarowany jego odwlekaniem się w czasie, umierał śpiewając hymn Jezusowi.”

Próbowałem wychwycić ten moment, gdzie pisząc „Ziemię Ulro” Miłosz odszedł od pierwotnego zamiaru stworzenia z tej książki dalszego ciągu „Zniewolonego umysłu”. Nie udało mi się! On nie odszedł od „Zniewolonego umysłu”! „Ziemię Ulro” odnalazłem jako impresję poetycką tamtego eseju. Miłosza peregrynacja przez bramy Ulro nie była dla niego ucieczką w z tej krainy, a Miłosz tych bram nie rozbijał, zostawił je otwarte. Było już za późno. Mimo rozpaczliwych prób nie znalazł już punktu zaczepienia w świecie realnym, który dokonał się tu i teraz z końcem XX wieku wraz z uwolnieniem umysłów na tych ziemiach przez niego niegdyś opuszczonych. Zostawił nam piękną poezję i imię na pomnikach.

Umarł jakby przenikając przez otwarte bramy w zamglone Ulro śpiewając hymn uludy wraz z duchami wielkich mistyków bliższych mu ponad ten świat, który stał mu się obcy.

„(...) Nagle zamilknie warsztat demiurga.

Nie do wyobrażenia cisza.

I forma pojedynczego ziarna wróci w chwale.

Sądzony byłem za rozpacz, bo nie
mogłem tego zrozumieć.”

Gdy odkładałem dziś po raz ostatni tę zniszczoną już książkę na półkę, staje się ona dla mnie jedynym miejscem, gdzie znajdę zawsze tego poetę. Miłosz pozostawił bramy Ulro otwarte.

CHRISTIAN MEDARD MANTEUFFEL
FRANKFURT N. M., 2017

RYBAletke





Jack Kerouac

przełożył Andrzej Szuba

WIERSZ

Jeśli nie zakorkuję butelki,
wino może się wylać –
A co jeśli zakorkuję?

CHORUS 55

To znaczy
że wszystko
ma jakiś dom
do którego idzie
Światło ma okna
żelazne balkony
jak w Nowym Orleanie

Ma także całą przestrzeń
I ja mam okna
żelazne balkony
jak w Nowym Orleanie

Ja też mam całą przestrzeń

I St Louis

Światło podąża za rzekami
Ja podobnie

Światło gaśnie, ja mijam

X X X

To bez sensu,
ulewny deszcz
tonie w morzu!

CHORUS 32

Piękne szykowne
Dziewczęta
Ale piękni chłopcy
Naprawdę cierpią.

Wapienny deszcz plami
Czerń żwiru szkła dachu
Czerwone drewno niebieski neon
Zielone windy
Ptaki zmieniające kolor
I białe mrówki
Wspinające się na twoje kolano
Zapowiedź wybawienia.

GATHA

Kiedy w Washington Square Park spytałem:
“Zalim ja jest stróżem brata mego ?”
była jesień.

JACK KEROUAC

{1922 - 1969}. Prozaik i poeta amerykański, jeden z inicjatorów i przywódców beat generation. Absolwent Columbia University, uczestnik II Wojny Światowej. Autor ponad dwudziestu powieści. Debiutował książką *The Town and the City* (1950). W Polsce znany z kilku powieści, w tym z najśłynniejszej *W drodze* (*On the Road*, 1957).

Maria Jolanta
Fraszewska

„Najlepiej znosić to, czego nie jesteś
w stanie poprawić”

[Optimum est patiquod emendare non
possis]¹

Zazwyczaj bywa tak, że moment dostrzeżenia dzieła literackiego przydaje mu, jak i autorowi, splendoru. Han Kang, południowo-koreańska pisarka, poetka i eseistka, urodziła się w 1970r w Gwangju, w rodzinie o rodowodzie literackim. Jej ojciec jest znanym powieściopisarzem. Gdy ubiegłoroczna Noblistka miała dziesięć lat rodzina przeprowadziła się do Seulu. Rodzina nie należała do bogatych, a wręcz przeciwnie, ledwie wiązała koniec z końcem. Han przyznała w wywiadach, że ze względu na biedę jej dzieciństwo nie przebiegało we właściwy sposób. Rodzina doznawała różnego rodzaju trudów życia, a przeżycia dostarczały specyficznej wiedzy, które z jednej strony budowały, a z drugiej niszczyły. W licznych rozmowach Han Kang podkreśla, iż podstawowym czynnikiem powodującym chęć przetrwania było otoczenie literaturą. Przebywanie wśród książek łagodziło i umożliwiało znoszenie wszelkich niedogodności. Być może dlatego i ona i jej dwaj bracia zajęli się zawodowo literaturą. Świat, który wytworzyli w sobie w dzieciństwie umocnił się wraz z dorastaniem i otworzył drogi ich przyszłego życia twórczego.

Czy najlepszym wyborem ścieżki życiowej jest idea, aby znosić to „czego nie jesteś w stanie poprawić”? Zapewne część ludzi zgodzi się z powyższym hasłem i obróci oczy w drugą stronę, gdy spostrzeże niegodziwość, przemoc, okrucieństwo. Jednak część społeczeństwa w ten sposób żyć nie potrafi. I wartość ta nie jest zależna od kraju, a od osobowości i ukształtowania moralnego sumienia człowieka.

„Zawsze idę naprzód dzięki sile mojego pisania”²

W wywiadzie udzielonym Christianowi Lundowi w Danii w 2019r, Han Kang wyjaśnia, że zawsze czuła się przytłoczona patrząc na ludzi: „Wszystko, co ludzie popełnili na przestrzeni dziejów i na całym świecie... (w tym momencie podczas wywiadu Han Kang zawiesza głos). Kiedy stajemy w obliczu horroru ludzkości, musimy zadać sobie pytanie”. Dla niej jest to nieustanna wewnętrzna walka: „Bo chcę objąć ten świat i życie, ale z pewnością są punkty, w których nie możemy...” (Han Kang ponownie zawiesza głos, na twarzy maluje się ogromne wzruszenie). W tym momencie pisarka opowiada o masakrze w Gwangju w Korei Południowej w 1980 roku – powstaniu w Gwangju. Han Kang i jej rodzina właśnie opuścili Gwangju, a ten incydent zapoczątkował długi okres przytłaczającym poczuciem winy ocalałego: „To było poczucie, że to niektórzy ludzie zostali skrzywdzeni zamiast nas”. Owo przytłaczające uczucie wyrzutów sumienia pozostało z Han. „Dorastałam z tym wspomnieniem, którego doświadczyłam pośrednio”. Nigdy nie planowała o tym pisać, ale z czasem

1 <https://imperiumromanum.pl/kultura/zlote-mysli-rzymian/cytaty-seneki-mlodsze>: Seneka Młodszy, *Epistulae morales ad Lucilium*, 107.9

2 Han Kang udzieliła wywiadu Christianowi Lundowi w maju 2019 roku w Louisiana Museum of Modern Art w Humlebbk w Danii. Tłumaczenie: Copilot AI

KONFRONTACJA OLBRZYMIEJ WRAŻLIWOŚCI Z BEZMIAREM OKRUCIEŃSTWA TRYPTYK OTWIERANIA SIĘ NA CZŁOWIECZEŃSTWO

poczuła potrzebę: „przeniknięcia tego zwałtowania w człowieka poprzez pisanie” i tak zaczęła pisać „Czyny ludzkie”.

Han Kang zaczęła pisać w wieku czterech lat. Studiowała filologię koreańską na prestiżowym Yonsei University, specjalizując się w literaturze i języku koreańskim.

Karierę literacką rozpoczęła w 1993r opublikowaniem pięciu wierszy, w tym „Zimę w Seulu” w Kwartalniku Literackim i Naukowym „Yeosu” opublikowała w 1995. Jednym z nich było opowiadanie zatytułowane „Owoce mojej kobiety”. Kobieta zamienia się w roślinę, a mąż umieszcza ją w donicy i podlewa pielęgnując. Opowiadanie kończy się tym, że mąż patrzy na uschnięte drzewo i zastanawia się czy jego żona rozkwitnie w przyścisłym wosnie. Czytelnicy i krytycy interpretowali zakończenie różnie. Dowolność interpretacji w momencie, gdy dzieło, opuszcza ręce pisarza jest zagadką nawet dla twórcy.

Han Kang mówi o tym następująco: „Pisząc uważałam, że bohaterka, która podupada na zdrowiu i staje się drzewem umiera z końcem swego monologu. Jednak po opublikowaniu tego tekstu wiele osób faktycznie potraktowało scenę przemiany jako pełną życia i uznało, że bohaterka doznała wyzwolenia. I udało się jej w ten sposób oswobodzić. Pomyślałam wówczas: pewnie odczytali to w taki sposób, ponieważ moje ciało wciąż jest pełne życia. Sądziłam, że opisuję śmierć, ale odkryłam, że czytelnicy odczytali ją jako życie.”

Opowiadania zostały dostrzeżone przez krytyków literackich. Uzyskawszy wsparcie od Arts Council Korea w 1998r przez trzy miesiące uczestniczyła w międzynarodowym programie pisarskim w USA na Uniwersytecie w Iowa. Han Kang jest także laureatką znaczących koreańskich nagród m.in.: 25. Koreańskiej Nagrody Literackiej (1999), Nagrody Literackiej Yi Sang (2005) oraz Koreańskiej Nagrody Literackiej (2013). W 2018 roku została piątą pisarką wybraną do udziału w projekcie Biblioteka Przyszłości.⁴

Jest też autorką esejów pt.: „Tkwicie nu-

cone piosenki”, do którego załączyła nagrany przez siebie płytę.⁵ Rok 2007 okazał się dla niej twórczo znaczący i przełomowy. Opublikowała ową narracyjną kompozycję w formie książki, której tytuł można również przetłumaczyć jako: „Piosenka do spokojnego śpiewania”. Muzyk i dyrektor muzyczny Hanyong Rim namówił Han Kang, aby nagrała piosenki i je zaśpiewała, dlatego książkę towarzyszył album muzyczny.⁶

Istotnym jest, iż podczas studiów wręcz obsesyjnie była zainteresowana wierszami modernistycznego koreańskiego poety „Eang”⁷. Mówiła wówczas: „Wierzę, że ludzie powinni być roślinami. Że wiersze symbolizują postawę symboliczną wobec przemocy w kolonialnej historii Korei pod okupacją japońską”. Biografowie mówią, że słowa te Han Kang uznała za inspirację do napisania „Wegetarianki”. Książka została obsypana licznymi nagrodami, a krytycy okrzyknęli ją jedną z najważniejszych książek w skali światowej. Wydana w 2007r. „Wegetarianka”, przetłumaczona została na angielski w 2015r. A w 2016r. Han Kang otrzymała Międzynarodową Nagrodę Bookera. Natomiast w 2024r. roku uhonorowano ją tą najwyższą, przyznając Literacką Nagrodę Nobla za „jej intensywną poetycką prozę, która konfrontuje się z traumami historycznymi i odświeża kruchość ludzkiego życia.”

Kruchość

O czym opowiada książka? Tytuł może zwiastować na manowce. Może jednak opowiada o jakimś sensie o wegetarianizmie? Może o jego zaletach? Nie. Może o fragmencie życia, przełomowego, jakiejś kobiety? Może troszeczkę.

Stwierdzenie to mogłoby być najbliższe prawdy. Jednak ja treść książki w całości postrzegam jako metaforę z podwójnym dnem. I to takim dnem, które dokonuje kolejnej przewrotki. Jakbyśmy wytrępywali z siatki okruchy zebranych resztek po przeszłości. Jakby całość była śpiewem „zwrotnym”. Zwrotki i refreny. Główna bohaterka

5 https://www.youtube.com/watch?v=_HCB5VL6Cyc
Rozmowa z Han Kang, która przeprowadziła tłumaczką Justyną Najbar-Miller w 2021r podczas Festiwalu Conrada, emitowana w „Tygodniku Powszechnym”.

6 Han Kang | 2024 Nobel Prize winner in Literature | The Vegetarian | South Korean Literature www.youtube.com/watch?v=vzjlrYzMe3s

7 Najprawdopodobniej – poeta Yun Dong-ju

dokonyuje w sobie pojednania ze sobą. Ukazuje, że czasami, a może zawsze, sensem życia jest odnalezienie własnego początku. Momentu, którym zostaliśmy naznaczeni przychodząc na świat. Nasza osobowość, czyli własny kształt organiczno-psychiczny, nadawany nie jest przez nas, a przez rodziców, rodzinę i otoczenie. Poprzez relacje, które ukierunkowują, naznaczają, nasączają, perfumują lub zderają jak robactwo. Nie mamy szans zostać tym kimś, kto przyszedł na świat w określonym celu, od razu. Bo wiem cel ten odkrywamy idąc własnymi, mniej lub bardziej dostrzegającymi, widocznymi, cieniami i śladami. Odkrywamy ciepłą kołderkę, w którą zaopatrzyli nas rodzice lub odrzucamy masę gruzu i kamieni, którymi zostaliśmy zarzuceni. Nigdy nie wiadomo jaką wartość ma owo narzucenie. Świat wewnętrzny „przepotwarza się” podobnie jak gad zrzucający skórę. Świat zwierzęcy nakazuje co jakiś czas zrzucać z siebie skorupę, skórę wierzchnią, obierać korę jak gospodyni ziemniak, wybierać obierając wzór do naśladowania. Proces naskórkowego zgarniania, proces ochronny, gładzimy siebie na różne sposoby, wygładzamy, aby wyślizgać się z przeszłości, aby uciec od siebie, aby powrócić do siebie w nowej formie. Wyruszamy w niebezpieczną drogę poszukiwania własnej tożsamości. Być może po to właśnie żyjemy. Po to, aby powrócić do źródeł.

Coś zwanego sercem

(z tomiku Schowałam w szufladzie o zmierzchu, autorstwa Han Kang)

Patrzę na wymazane słowo.

Część ledwo widocznej linii, gdzie L lub V zakrzywia się wokół przestrzeni już pustych, zanim zostały wymazane.

Chcę wcisnąć się w takie miejsce, garbiąc ramiona, zginając w pasie, kłękając, zaciskając kostki razem.

Ale to serce, które chce zniknąć, nie może już niczego więcej wymazać.

Mniej wymazany nóż rozcina moje wargi wzdłuż.

A mój język, szukając ciemniejszego miejsca, zwija się do tyłu w milczeniu.⁸

To właśnie jej historia życia, pewnej dziewczyny z pewnego domu, jest tutaj opowiedziana, jej czyli autorki i jej czyli kobiety, wzbogaconej lub otrutej przeżyciami. Jej bohaterki powieści. Czytając „Wegetariankę” przekonujemy się, że uzupełniających bohaterów przybywa. Pełnią pomniejszych role, jednak znaczące w kontekstach relacji, które wnoszą budulec śpiewno-zawodzącej masie czynników tworzących szczególną postawę życiową.

Miłość rozkwita w ciszy

Miłość rozkwita, ale rozkwita w ciszy.

Obawiam się, że nawet przypadkowe spotkanie sprawi, że będziesz tego żałować.

Dokąd ty i ja możemy się udać, gdy opuścimy to miejsce?

Gdziekolwiek jesteś - bez względu na to, jak daleko, kochanie - może być zimno, ale niech miłość rozkwitnie w ciszy, bez wiedzy kogokolwiek.

Tak jak ostry nóż tępi się od używania, pozwólmy, aby miłość rozkwitła samotnie na tyle długo, aż stanie się zimna, zimna i tępa.⁹

8 <https://davidbowles.us/books> , Strona zawiera tłumaczenie jednego z wierszy Han Kang z jej zbioru „Schowałam w szufladzie o zmierzchu”. A Thing Called the Heart, Translated by David Bowles October 10, 2024, posłużyłam się: Copilot AI przetłumaczył z angielskiego na język polski

9 <https://davidbowles.us/books> Translated by David

Występni aktorzy

Dawno temu, w średniowieczu, ludzie sztuk teatralnych nieśli swoje teatralne przedstawienie w niewielkiej walizeczce. Nawoływali ludzi do przybycia na występy zazwyczaj na plac jarmarczny, bądź pod siedzibę panującego władcy, otwierali wieżko i z wnętrza wyłaniał się magiczny świat ustawionego kukielkowego przedstawienia. Widzimy coś materialnego, utożsamiamy się z przeżyciami i sytuacjami, w których bierze udział marionetka i jej otoczenie, ale to co odczuwamy i z czego zaczynamy zdawać sobie sprawę jest ponadczasowe, dogłębne, nie do zaakceptowania w naszym świecie realnym. Jednak zdajemy sobie sprawę, że w tym podskórnie ukazanym realnym świecie bierzemy udział. Iście surrealistyczna wizja.

„Z życiem jak ze sztuką w teatrze: ważne nie jak długo trwa, ale jak zagrana”¹⁰

Ale jak przełamać ścianę budowaną całym tysiącleciem? Czy łatwo jest odleść się od tradycji, która morduje inicjatywę rozwoju przyszłości? Zazwyczaj mówimy: jest jak jest, po co zmieniać, skoro funkcjonuje. Więc naginamy sprzyny tego koła i ono toczy się dalej. Może trochę kulejąc, ale toczy się podskakując na własnej niedoskonałości i wybrzuszeniach. Więc po co zmieniać, gdy się jednak toczy? Nie wąż pod koła jadącego wozu, bo stracił życie. Kwestionować można coś co nie przynosi korzyści. Ale przecież przynosi, bo przeżyliśmy. Świadomość tału społecznego zdaje się być w powyższych stwierdzeniach nie do naruszenia. Tylko szalenie dyskutuje z dołą człowieka. Rozpadanie się człowieka, człowieczeństwa staje się wyraźną dekonstrukcją świata przedstawionego. Sposób funkcjonowania świata został ustalony i przypieczętowany i choć czasami podlega zmianom, to najczęściej zmiany wydarzają się w sposób rewolucyjny, nagły, przeistaczający dotychczasowe wartości w novum odwrócenia ról społecznych. Odwieczne zasady powracają, bywa że nienawiść do obalonego starego porządku staje się mordem, przykładem rewolucja francuska czy rosyjska. Czy można uniknąć okrucieństwa? Nienawiść posiada olbrzymią siłę destrukcji, podobnie jak miłość, jedynie zwrot jest inny, ale strata dotkliwie trafia do celu. Czardziejska różdżka istnieje tylko w bajkach.

„Każy lud może żyć i rozwijać się tylko dotąd, dokąd zna i miłuje swoją przeszłość, ginie, gdy traci dla niej szacunek”¹¹

Podajcie powyższe wyjaśnienia filozofia Emmanuel'a Levinas'a, który zaproponował rozdzielenie relacji pomiędzy bytem a byciem. Człowiecze cierpienie polega na tym, że nie można uciec od siebie samego. Gdy zapada ciemność i noc bierzemy wszystko we władanie, to we władanie bierzemy też nas. Nic nie widać, stajemy się niewidzialni, anonimowi. Wyłaniając się dopiero wraz ze światłem. Wyłaniając się z anonimowego życia (w sensie socjologicznym – z masowego ujednoliceń) człowiek zaczyna zdawać sobie sprawę z własnej samotności. Poprzez śmierć człowiek staje się istotną innością. Zbawieniem jest też drugi człowiek oraz działanie na jego rzecz, tworzenie „świata”. Jest to fenomen wyjścia z siebie. Rozum człowieka jest praktyczny. Poza granicami ludzkiego poznania, poza

Bowles, March 15, 2024, tłumaczenie z języka angielskiego na język polski: Copilot AI

10 łacina: [Concordia res parvae cresunt, discordia vel maximae dilabuntur], źródło: Seneka Młodszy, Epistulae morales ad Lucilium, XCIV.46

11 źródło: Seneka Młodszy, De Providentia, 4.6

własną tożsamością istnieje byt absolutny, może nim być nieskończoność. Ale jak do niej ma się dostać człowiek, który jest byciem a nie bytem?

„Dobry człowiek różni się od boga tylko czasem trwania”¹²

Podobnie też spostrzegam filozofię życiową zawartą w „Wegetariance”. Tutaj nie ma rozróżnienia pomiędzy filozofią wschodu a zachodu. Normy wynikające z odwiecznych tradycji społecznych uciskają wszystkich na całym świecie. W jednym i drugim przypadku życie pozostaje życiem. Cieleśność, zmysłowość, wrażliwość są atrybutami poznawczymi. Odczuwanie łączy ludzi i pozostaje ponad podziałami. Odpowiedzialność za drugiego człowieka narusza „moją” wolność, ponieważ staje się wyborem. W chwili śmierci drugiego człowieka objawia się miłość bez pożądania. A ten, który przeżył niesie w sobie odpowiedzialność za byt, który jest dla wszystkich.

Prawdziwa literatura igra z prawdą i moralnością tak, jak się igra z ogniem¹³

Współcześnie wyobrażam sobie następującą sytuację: młoda dziewczyna o imieniu Yong-hye zgłasza się do psychoterapeutki. Skarży się na niezrozumienie jej wypowiedzi, że ktoś o jej życiu napisał, że to: „Historia kobiety, która chciała wyrazić bunt i zmienić swoją codzienność”.¹⁴ Psychoterapeutka przychylnie milczy uśmiechając się zachęcająco do kontynuacji wypowiedzi. Yong-hye mówi dalej: dlaczego nikt mnie nie rozumie? Nawet gdy mnie już nie ma, gdy opowiedziałam historię mojego życia, zaufałam ludziom, a ludzie nadal pozostawili mnie samą sobie w wielości niedomówień. A sprawa jest bardzo prosta. Moje cierpienie jest tak ogromne, że wychodzi poza moją cielesną i psychiczną granicę. Nic złego nie uczyniłam. Zło uczyniono mnie. Zło jest akceptowane społecznie. Nikogo nie dziwi i nikt mu się nie przeciwstawia. Uległam przemocy. Broniłam się, ale jednak uległam. W pierwszej chwili chciałam przeżyć. Jednak myśl ta długo się we mnie nie utrzymała.

Mój mąż mówił o mnie: „Zdecydowałam się na małżeństwo, bo mimo braku szczególnego powabu nie miała wyraźniejszych wad. Nie była oszłamiająca, błyskotliwa czy też wyrafinowana, ale w sumie odpowiadała mi jej zgodny charakter. Nie musiałem udawać erudyty”.¹⁵

Byłam nijaka. I podobnej miary ludzi przyciągałam. Niewyróżniających się pospolitych zjadaczy ryżu. Takich samych jakby powstałych z jednego automatu maszyny zdjęcia. Wyrzucanych z taśmy produkcyjnej tradycji nieistnienia standardowego, typowemu podporządkowaniu się do stałego poniżania i lekceważenia. Jakbym nie posiadała uczuć, jakby tępienie indywidualnych przeżyć było deską ratunku dla innych. Dostosowanie się do rozumiejących się bez słów w potakiwaniu nie wiadomo komu i nie wiadomo czemu. Bezrozumowo i machinalnie. Musiałam wybierać tę właśnie drogę dostosowania się do oczekiwania ojca. Aby uniknąć bólu i cierpienia, pragnęłam się chronić, choć pierwotnie nie zdawałam sobie z tego faktu sprawy, chroniłam życie w jakiej bądź formie, ale on i tak ogarnął mnie całą. Ten ból nie do wytrzymania. Być może ojciec już nie potrafił kochać, być może sam był już w całości

12 łacina: [Bonus tempore tantum a deo differt]

źródło: Seneka Młodszy, De Providentia, I

13 Stefan Chwin, Dziennik dla dorosłych, Wydawnictwo TYTUŁ s.185

14 Han Kang, Wegetarianka, Wydawnictwo WAB 2021, blurb

15 Tamże, s. 5-6



cierpieniem, tak wielkim, że ból go wchłonił i przeistoczył w okrutnego wroga samego siebie i potomstwa. Dlaczego nienawiść do samego siebie rozbiła się o moją naturalną miłość do rodzica?

- Ogarnął cię ból... sparafrazowała psychoterapeutka pokazując Yong-hye, że słucha jej wypowiedzi uważnie.

- Może nie da się uniknąć bólu. Może, gdybym podjęła stanowczą walkę od razu, to uniknęłabym śmierci? Uniknęłabym choroby psychicznej?

- Byłaś wtedy dzieckiem... dodała psychoterapeutka.

- Już wtedy nikogo nie interesowało co jest we mnie ciekawego i szczególnego. Od razu, od chwili mojego urodzenia, chciano, abym ich przypominała. Abym była niewidoczna. Niechęć do jedzenia mięsa, anoreksja, schizofrenia. Oni na wszystko znajdą jakąś nazwę. A ja po prostu nie mogłam przełknąć mięsa, bo to byłoby tak jakbym sama siebie jadła. Tak. Chciałam. Pragnęłam stać się drzewem. Wydawało mi się ono takie twarde i stabilne. Może tej cechy mu pozazdrościłam?

- Poczulaś się zazdrosna o to, że drzewo jest stabilne...

- We śnie widziałam drzewo. Śniłam o moim życiu. A może żyłam w świecie snu. Tak, w śnie żyłam.

- Czy twoje życie toczy się we śnie? Czy chciałaś, aby to był tylko sen?

- „Kiedy śnimy wszystko wydaje się tak rzeczywiste”.¹⁶ Tak właśnie odpowiedziałam siostrze In-hye. Powiedziałam, że nie jestem już zwierzęciem, że aby żyć wystarczy mi promienie słoneczne. Nie będę w ogóle jeść. Udowodnię, że jestem silna. Że mam silną wolę.

A ona powiedziała: „co ty opowiadasz?! Naprawdę sądzisz, że stałaś się drzewem? Przecież drzewa nie mówią. I nie myślą.

- Masz rację... Niedługo przestanę mówić i myśleć. Już niedługo. Wystarczy trochę poczekać.”¹⁷ Tak jej odpowiedziałam. Ale ona wtedy mnie nie rozumiała. Trwała przy swoim. Chciałam opuścić szpital, bo zadawano mi coraz więcej bólu i cierpienia. Psychicznego i fizycznego. Czy wyobrażasz sobie, - Yong-hye zwraca się do terapeutki - że ty szczerze wyjaśniasz swoje uczucia, tak jak teraz ja tobie, a druga osoba traktuje cię tak, jakby nie słyszała twojej wypowiedzi? Jest całkowicie głucha na ciebie? Czy wyobrażasz sobie, że leżysz przywiązana do łóżka, a ktoś na siłę wsuwa do twojego gardła plastikową rurkę? Czy wiesz jaki cielesny ból wywołuje tarcie rurki o delikatną strukturę przełyku? Czy wiesz jak bolą ręce, ramiona, nogi, gdy pomimo pasów ludzi przyciskają cię siłą do łóżka? Mam posiniaczone całe ciało. Zobacz. Całe granatowe. Spróbuj docisnąć siebie wciąż w to samo miejsce. Spróbuj... nie, nie rób tego. Nie chcę, abys i ty cierpiała. Prosiłam siostrę, aby zabrała mnie do domu. Ale ona zaszantażowała mnie. Powiedziała, że zabierze mnie, gdy obiecami jej, że będę jeść. Była taka sama jak inni. Nie rozumiała mnie wtedy. Nikt o zrozumienie mnie się nie postarał. Ani odrobinki. Tylko krzyczeli na mnie i wrzaskiem odsuwali rozumienie od siebie jeszcze dalej. Nie chcieli przyjąć do siebie zwykłego zrozumienia. Krzyczeli, obrażali, związywali, obezwładniali. Zadawali ból po bólu, pomimo że całkowicie władali moim życiem. Jednak nie całkowicie. Byłam w ich rękach, ale i oni widzieli moją siłę.

A mimo to nie uwierzyli mnie. Oni uważali, że wiedzą więcej niż ja, że oni znają prawdę, że prawda i dotychczasowe zasady są silne jak sznury, którymi związani są wszyscy. Że taka mierność jak ja już nic nie może. Że powinna się nadal poddawać skoro już raz się poddała. Ale wtedy...

- „Jak możesz! - wykrzyknęła In-hye, tracąc w końcu panowanie nad sobą. - Chcesz się doprowadzić do śmierci?!

- Dlaczego uważasz, że śmierć to coś złego?”¹⁸

I wtedy In-hye przypomniała sobie pewne wydarzenie z dzieciństwa. Nie chciała pamiętać tego co wydarzało się w domu rodzinnym. Wydarzało, bo miało swą ciągłość. Odsuwała jak najdalej od siebie wspomnienia. Raniły ją boleśnie. Teraz była dorosła. Mogła więc być inną. Mogła żyć tak jak pragnęła. Bez przemocy. Ale jak długo tak się da?

„Dawno temu zgubiły się w górach. Ośmioletnia wówczas Yong-hye wypowiedziała wtedy słowa, których sens był dla niej niejasny: 'Może lepiej nie wracajmy z powrotem?'

'Chyba żartujesz? Zaraz zrobi się ciemno. Musimy jak najszybciej znaleźć drogę powrotną'.

Upłynęło sporo czasu, zanim zrozumiała, o co chodziło ośmioletniej Yong-hye. To na niej skupiała się przemoc ojca. Yong-ho (brat) także zbierał baty, ale ten mały zabijaka zwykle mógł się wyładować, bijąc okoliczne dzieci. Ona sama jako najstarsza córka zawsze szykowała ojcu coś na kaca w zastępstwie zmęczonej matki, więc chcąc nie chcąc, musiał się z nią liczyć. Tymczasem Yong-hye, choć posłuszna, miała swoje

¹⁶ Tamże, s. 252

¹⁷ Tamże, s. 210

¹⁸ Tamże, s. 215

zdanie i nie zawsze potrafiła dopasować się do nastroju ojca. Nie stawiała mu żadnego oporu, brata wszystko do siebie i do szpiku przesiąkała jego agresją. Dopiero teraz dociera do In-hye gorzka prawda: jej własne postępowanie wobec ojca nie wynikało z przedwczesnej dojrzałości, lecz z braku odwagi. I był to po prostu jej własny sposób na przetrwanie."¹⁹

*„Na przyszłość zastanawiaj się nie tylko nad tym, czy prawdą jest to, co mówisz, lecz czy ten, do kogo mówisz wytrzyma prawdę”*²⁰

Ani czasu, ani występujących w nim sytuacji, nie da się cofnąć. Nie jest też możliwe rozpoczęcie nowego życia z pamięcią przeszłości poniżającej i przemocowej. Ratując siebie można ją wchłoniąć jak przynależny człowiekowi ból. Wlec cierpienie jak kulę uwiązaną do nogi psim poddaństwem. Wessać w siebie jak mleko z piersi okrutnej przeszłości. Rodzimy się nie znając przyszłego losu, który jest zależny od wielu czynników. Przychodzimy na świat niezależnie od naszej woli. Jeszcze jej nie posiadamy. Ona przychodzi na świat wraz z nami w złązkę.

Zatem czy można odejść na własnych warunkach? Czy można odejść w poczuciu szczęśliwości? O tym poruszającym zagadnieniu również mówi książka Han Kang słowami przeżyć Yong-hye i jej siostry In-hye. Ustalane sztywne normy zachowań społecznych zabierają ludziom wolność, a w tym prawo do decydowania o przebiegu własnego życia. I nie tylko, gdyż odbierają również decyzję o przyjęciu momentu śmierci własnej – podjęciu decyzji, odchodzeniu na własnych warunkach. Jest to zarazem oskarżenie rzucone całemu społeczeństwu światowemu.

„Kiedy lekarstwo jest haniebne, wstyd przychodzić do zdrowia”

źródło: Seneka Młodszy,
De Providentia, 4,6

– ‘Czy tobie naprawdę odbito?’ – pyta Yong-hye jej siostra In-hye. A ona jej odpowiada „Całkiem możliwe... – mruczy, przełamując milczenie. – Może łatwiej wpaść w taki stan, niż się wydaje. – Waha się przez moment, a potem dodaje: – Zważając, znaczy się...”²¹

A potem In-hye pyta sama siebie: „Czyby jej siostra doświadczyła podobnego cierpienia i beznocności? [...] i gdyby nie ciążyła na niej odpowiedzialność za własne dziecko – prawdopodobnie zrobiłaby wtedy użytek z tamtego sznurka.”²² Bo jej cierpienie wygasa tylko w momentach zabawy z synem, wtedy gdy wybuchają radosnym śmiechem chwile.

A więc poczucie odpowiedzialności za życie kogoś drugiego, innego, poczętego z własnej krwi i ciała, może być wybawieniem dla siebie. Dla kobiety. Może jest to też forma współczucia, że i dziecko będzie musiało przejść własną gehennę. A wręcz pewność, że nie może być inaczej.

I In-hye zapada w sen. Może to jest ten sam sen, który ogarnia Yong-hye? Może... a może tłumaczka niewłaściwie przetłumaczyła ten fragment powieści? Bo i takie głosy pobrzmiwają wśród krytyków literackich. Głosy tych, którzy „wiedzą lepiej”, którzy należą do grupy: „oni”.

Bo możliwości są wszechogarniające jak wody morza, oceanów, powietrza,

puszki kosmicznej zadzierającej z głębinami czarnych dziur. In-hye budzi się na chwilę, aby spojrzeć na śpiącego syna. Jest ciemno i „nie słychać żywej duszy. Czas długi jak wieczność i pozbawiony dna niczym bagno.”²³ Sen powraca jak wiersz, jak czas, jak wieczność, jak poezja, a w nim wótcie deszczu przesywają ciało Yong-hye, fala pływających drzew zbliża się do niewielkich wysp miast. Co chciały powiedzieć jej drzewa? I dlaczego żadne drzewo nie chciało przyjąć jej do siebie? In-hye przypomina sobie fragmenty z życia siostry, może one już wtedy były znaczące? Kiedyś Yong-hye stanęła na rękach na betonowej posadzce. „Czyby chłonec opadające promienie słońca, ciało Yong-hye równocześnie czerpało z gleby wodę, aż w końcu między jej nogami rozkwitł kwiat? Czyby właśnie do takiego przeistoczenia dochodziło w jej duszy, kiedy tak stała na rękach?”²⁴ I dodaje, że przecież umierasz, „Tak naprawdę to leżysz w łóżku i umierasz. I tyle.”

Wciąż odnosi wrażenie, że siostra nie jest przytomna. Leży na łóżku w szpitalu psychiatrycznym, otoczona wypami ludzimi z ziemskimi problemami taplającymi się w bagienku relacyjnym rodzinnym. Każde ludzkie ciało w postaci chodzącego człowieka szpitalnymi korytarzami, nagabuje psychiatrę o tabletkę wybawienia od bólu i cierpienia. Ale ciało Yong-hye wydaje się tylko sztywne. Naprężone mięśnie są dowodem, że na czymś się usilnie koncentruje.

Tę siłę koncentracji lekarze spostrzegają, jednak interpretują jako siłę wroga, z którym trzeba stoczyć walkę. Yong-hye jest przywiązana do łóżka, zaraz zaczną w nią wlewać rurkami pokarm, który ona będzie zwracać tymi samymi rurkami.

Natura pierwotna

I w tym momencie powieści następuje kolejny zwrot, zwrot ku pierwotnej naturze.

Siostra pragnie jej pomóc, gładzi drgające policzki, ale przetyka w oczach Yong-hye bezgraniczne przerażenie.

Teraz sanitariusze traktują In-hye jak dodatkowego wroga, wyciągają ją z sali, twierdząc, że siostra niepotrzebnie się emocjonuje i to przeszkadza im w pracy, bowiem niełatwo jest wprowadzić taką rurekę do gardła i przewodu pokarmowego. Sonda wciąż się poślizguje z przetyku wypychana przez zaciśnięty język Yong-hye. Ona wciąż ma siłę, aby się bronić. Wreszcie pielęgniarka zakrzykuje sukces, znaleźli sposób, zaraz ją usiądą i wstrzykną lek na uspokojenie.

Coś na uspokojenie. Bo przecież, gdyby to był lek, to by ją uleczył. A to wstrzyknięte coś ma na celu ją zneutralizować, pozbawić władzy samoistności, uśmiercić na chwilę. Pozbawić cielesnej władzy.

Jednak tego już nie wytrzyma In-hye, podbiega do siostry. Teraz ją rozumiała. Teraz jej współczuje. Teraz empatia wzięta górę. I krzyczy, aby zostawiono Yong-hye w spokoju. Tuli siostrę mocno odczuwając jej konwulsje. Wiruje zymiotowana krew, wiruje korytarz, wirują postaci ludzkie. Postaci ludzkie... po czym rozpoznajemy humanum? Dostaje zezwolenie na przejazd do większego szpitala. Jest przecież coś i nad nimi, coś większego, potężniejszego, władczego. To tylko sen, wtedy i teraz i na zawsze. Być może to tylko sen. Jadą i nie jest istotne gdzie tak naprawdę, bo prawda nie jest znana. Prawda nie istnieje. Ogólna prawda nie jest człowiecza. Uśrednione są liczby i ciała. Prawda jednak zamieszkuje dusze.

Wierzyłem, że szczęście czeka nas w śmierci, a nie po śmierci²⁵

„Myślę, że powieść „Wegetarianka” można ująć w wymiarze politycznym²⁶. Mimo, że w dwóch z trzech części „Wegetarianki”, występuje męska perspektywa, w gruncie rzeczy, przedstawia ona losy dwóch siostr. Jest to więc opowieść o dwóch cierpiących w milczeniu kobietach. A jednocześnie historia bohaterki stawiającej na szali własne życie. Żeby wyrazić sprzeciw wobec ludzkiej brutalności. Czy też powieść, w której postawione jest pytanie o granice normalności i szaleństwa. Myślę, że jeśli weźmiemy to pod uwagę, „Wegetarianka” jest powieścią polityczną.”

W wywiadzie udzielonym na łamach „Gazety Wyborczej” Han Kang mówiła o bohaterce powieści: „Jong-hye przechodzi metamorfozę. Przestaje jeść mięso, stopniowo wyłącza się z dotychczasowego życia, chce stać się drzewem. Dochodzi do wniosku, że nie może już dłużej być człowiekiem, przynależać do tej rasy. Ale nawet w tej sytuacji, a może właśnie szczególnie w takim momencie, doświadcza upokorzenia i pogardy, niezrozumienia ze strony najbliższych, którzy za wszelką cenę próbują ją „naprawić”. Na własnej skórze przekonuje się, jak wielkim rozczarowaniem okazało się człowieczeństwo. Raz jeszcze upewnia się, że podjęta właściwą decyzję, odmawiając ślepego podążania za tłumem, życia na nie swoich zasadach. Decyduje się ocalić samą siebie poprzez autodestrukcję i cierpienie, dekonstrukcję własnego ciała, bo to jedyna droga do wyzwolenia, wybawienia”.

Odrzucić ludzkie okrucieństwo

To wspaniale brzmiąca idea, jednak jak tego dokonać? Książka jako całość jest niezwykle wzruszająca i poruszająca. Strukturalnie jest złożona z trzech części. To spojrzenia z trzech perspektyw, jej męża, jej szwagra i jej siostry, a pomiędzy jest ONA i jej przemiana. Jej życie. Ona Yong-hye w trybach spojrzenia osób, które wywodzą się z ukstałtowania masowego, pochodzą ze współczesnego świata dostosowania się do ogółu. Komerjalizacja świata przesła wszelkie granice humanizmu. Nie ma czasu na wyrozumienie jednostek, jeśli się nie podporządkujesz – radź sobie sam lub giń. Nie pasujesz czyli przeszkadzasz, a jak przeszkadzasz to opóźniasz rozwój czyli bieg, pośpiech pędzący bez celu i sensu. Nie myśl, nie rozmyślaj, cicho siedź i ... nie przeszkadzaj innym. Czyli: KOMU?

Jak daleko została posunięta przemoc społeczna w nasze życie ludzkie?

Jak daleko sięga ta ingerencja zła, którą być może, a i z mojej perspektywy, czyni tzw. rozwój społeczny, który charakteryzuje się totalnym biegiem w przyszłość, której przecież nie znamy. My teraz doznajemy cierpienia z powodu doskwierającej niesprawiedliwości, nieprawości, obserwowanego okrucieństwa, doznajemy bólu ponad naszą człowieczą wytrzymałość, a jednak jesteśmy, trwamy i ... uciekamy świadomością w różnorodne krańce niebytu. Toksyczność rozrasta się do rozmiarów całosci wielości. Jako społeczeństwo światowe zmieniamy swoje wnętrze, swoją świadomość i ciało. Bo czego tak naprawdę nie akceptujemy w sobie, w naszym życiu, w naszej okolicy, w otoczeniu, środowisku, bliskości i dali?

„Wegetariankę” pojmuję jako cichy krzyk, bo cisza zawsze grzmi, bo tylko cisza

²⁵ Stefan Chwin, Dziennik dla dorosłych, Wydawnictwo TYTUŁ s.466

²⁶ <https://www.youtube.com/watch?v=HCB5VL6Cyc>
Rozmowa z Han Kang, która przeprowadziła tłumaczka Justyna Najbar-Miller w 2021r podczas Festiwalu Conrada, emitowana w „Tygodniku Powszechnym”.

¹⁹ Tamże, s.216

²⁰ [Maximum remedium iri mora est] źródło: Seneka Młodszy, Dialogi, 4.29.1

²¹ Wegetarianka s.230

²² Wegetarianka s.231

²³ Wegetarianka s.232

²⁴ Wegetarianka s. 234

przemawia wartościami i jakością. Czysta jest pierwotna. Nasz ludzki mózg zachował ten skrawek pierwotności w sobie. Najbardziej w swej rozbudowanej wersji żyje w organiczności artystów. Nasze człowieczeństwo. Nasze człowieczeństwo jest nasze. Zamknięte w słowie „nasze”. I w ciele organicznym się przekształca. Dawniej uważałam, że powroty nie są możliwe. Teraz ogarnia mnie twoga i mam nadzieję, że ona stanie się przyczyną przewidywania tak silną, iż kropla ożywczej ciszy tkwiącego w każdym człowieku okrucu miłości i życzliwości dla siebie wzbudzi deszcz powracających do głosu pozytywnych emocji. Z troski o przetrwanie pokoleń.

Gdy oglądam takie programy jak: „Życie na pustkowiu” autorstwa Ben’a Fogle’a,²⁷ który podróżuje po świecie odwiedzając ludzi, którzy porzucili życie w cywilizacji, to szczerze im zazdroszczę. Ben Fogle pyta ich o powody tej decyzji, przygląda się ich życiu mieszkając przez tydzień i pracując wraz z nimi. Ludzie rezygnują z wygodnego życia, z pracy w korporacjach, z gonitwy za pieniędzmi i wiecznego stresu, aby żyć zgodnie z intuicją, szukając spokoju i prawdziwego sensu życia. Lub raportuje „Życie na Alasce” czy z innych zakątków naszej Ziemi, zazdroszczę tym ludziom ich odwagi samostanowienia i trudu odwarstwiania siebie. Nagłej intuicji i decyzji powrotu do źródła życia. Bo i o tym również jest ta książka, „Wegetarianka”.

Pomimo, iż wybrałam życie w mieście, dla swojej wygody, zachowałam ogródek działkowy w strukturze ROD. Wyklutam się w nowoczesnym świecie, w świecie wartości cywilizacyjnych, jednak żyjąc w dobrobycie, powiedzmy, że w pewnej wygodzie napędzającej osobiste lenistwo, tkwi we mnie tęsknota za uczuciem szczęśliwości pierwotnej. Objawia się ona w niewielkiej przestrzeni czarnej ziemi, która zmienia barwy zależeni od chwili pokrycia, obfitości i pór roku. Uczucie, które mnie ogarnia, gdy jestem bezpośrednio na łące, na polu, idę ścieżką lub na przelaj, gdy jestem „bezpśrednio”. I nic więcej. Być może właśnie dlatego, tak głęboko we mnie utkwił przekaz Han Kan i znalazł swoje ziarno. Być może wpadł we mnie wraz z przeszłością, która coraz częściej w myślach do mnie powraca. Bowiem im jestem starsza tym więcej mam czasu na odświeżanie pamięci. Odblokowuje się ona z odsuwaniem konieczności podlegania czemuś. Oczyszczająca pierwotne dziecięce emocje zapamiętane w ciele i wyobraźni. Gdy teraz przejeżdżam przez strony rodzinne małego miasteczka obok niewielkiego kaszubskiego wzgórka, który porasta zielony sosnowy zagajnik. A który nie zdążył dorosnąć, ponieważ ludzie go wycięli i wybudowali na nim osiedle domków jednorodzinnych. Widok rozpościera się na całą okolicę. Tam, wśród skapujących kropli rosy z igiełek ciasno porastających sosenek, a może i świerków, przedzieram się będąc kilkuletnim dzieckiem. Czuję mokre ramiona, gdy schylona sięgałam w niedostępne dla rąk ojca kącki gęstego zagajnika po maleńkie główki ślimaczych maślaków. Czuję jego labirynty na swoich porysowanych igłami drzew ramion i zgiętych plecach. Słyszę tembr głosu podenerwowanej mamy na widok ich rozmiarów: „przecież mówiłam wam, żebyście nie zbierali tak matych, nie da się ich oberać ze skórk!” I słyszę moje szybkie zapewnienie: „to ja obiorę”... W ten sposób objawiała się miłość mojego ojca do mnie. Gdy widział radość w oczach matęj córeczki na widok maleńkiego maślaczka wśród traw, mchów czy igliwia. „jesteście cali mokrzy, dziecko zaraz się przeziebi, dodawała mama, i znowu

będę musiała iść na L4, w końcu zwolnią mnie z pracy! Ale ja nie czułam zimna wciąż rozgrzana podnieceniem zbieractwa czyli polowaniem na grzyby.

Teraz, już w sile wieku, spoglądam na szarzącą ziemię. Wzruszam ją na wiosnę, a za mną ustawiają się kosy. Ptaki, które żółtym dziobem wytapują dżdżownice i robaczki, aby zanieść do utkanego w pobliżu gniazda. A potem przeganiam okoliczne koty, stróżujące pod gałęziami, aby w chwili nieuwagi mamy kosicy wskoczyć na gałęzie rozrostłego krzewu. Pod starym konarem dostrzegam ropuchę piękną w swej brzydocie jakby była dinozaurem w miniatuře. Na obrzeżach kompostownika, pod furą starych gałęzi i suchych liści dostrzegam zlagodzone kolce jeża. W ogródku nie ma ani norcika ani krecich kopców odkąd pojawił się on, siwy król. A potem pojawiła się kuna albo lis, rozpoznaję po śladach łap. I w ogrodzie zalega chwila cisza. Zrywam pierwsze pióra zielonej pietruszki i oszczępy szczypiorku. Poluję wzrokiem na wyprężone szyje saren, pierwsze mnie zauważyły, gdy spaceruję alejkami zielonogórskiego Parku Piastowskiego, wprowadzającego w teren Wzgórz i Lasku Piastowskiego, w którym przed wiekami polował książę głogowski-zagański Henryk VIII zwany „Wróblem”.

Eksploracja granic wrażliwości naszego społeczeństwa

Mój mózg dopomina się, dokopuje się do dokumentów, które pozostawiła przeszłość. Tego rodzaju sens właśnie odczytuję w prozie Han Kang. Poprzez opisaną, zrelacjonowaną historię życia młodej dziewczyny pisarka zadaje pytanie kierując wprost do czytelnika o jego kondycję psychiczno-swiadomościową bycia tu i teraz współcześnie żyjąc wśród cieni śladów pierwotnych mocy, które żyły dla samego sensu życia. Tamtej powierzchni już nie ma, a nasza powierzchnia jest tylko okładką. Śliską okładką, po której nie zjeżdżamy do przetrwania. Żyjemy pośród wytworzonych hasań, które pięknie brzmią, jednak nigdy nie zaglądamy do treści wewnątrz tego co kryje płaska okładka idei. Okazuje się bowiem, że badania naukowe z zakresu wiedzy naukowej psychologii pozostają za zamkniętymi drzwiami gabinetów i ewentualnie książek poradniczych. Obejmują życie jednostki. „Wegetarianka” trafia empatycznie do wielu, do wszystkich wrażliwych odbiorców. Ponieważ po przeczytaniu książki nie można przejść obojętnie do dnia codziennego. Doznajemy dzień w dzień różnego rodzaju przemocy. Wiemy, że przemoc rodzi przemoc. Po przeczytaniu „Wegetarianki” również to czujemy. I co dalej? Han Kang napisała książkę, a Ty?

Może warto przemyśleć słowa, które wypowiada człowiek, który wybrał życie na Alasce i hoduje psy zaprzęgowe. „Życie tutaj to najtrudniejsze wyzwanie. 270 mil poza miastem. Lubię samowystarczalne życie. Psy to moja rodzina. Psy ciągną, a ja czuję szczęście. Tutaj czuję się wolny. Po całym dniu pracy czuję spokój. Niczym się nie stresuję. Jestem dumny, że potrafię żyć tak daleko od cywilizacji. Tu naprawdę nie ma ludzi. Cały czas żyję na krawędzi, mam to wytatuowane na ręce. To jest sens życia. Aby tutaj żyć potrzebny jest upór. Tylko tak można przeżyć.”²⁸ Na pewno warto wziąć sobie do swojego serca słowa, które wypowiada Jessesis Mors, która wraz z mężem żyjąc w Fairbanks na dwa miesiące wyjeżdża poza cywilizację: „Ludzi robi się jeszcze więcej. Teraz już nie ma jak uciec od miejskiego życia. Miasto jest wszędzie. Nie chcę wszystkiego kupować. Są lepsze sposoby na

życie. Kiedy się boimy i nie możemy zasnąć staramy się myśleć o naszym szczęśliwym miejscu. Ja robię to codziennie. Dokładnie wiem, gdzie to jest. To moja chatka na Alasce na brzegu rzeki Costi. Gdy pada deszcz słyszę jak stuka o blaszany dach. To wszystko czego nam trzeba. Wiem, że życie spada prosto na dach, a z niego do wiader i to mnie uspokaja.”²⁹

Czy podejmujemy skuteczne działania, aby przeciwstawiać się przemocy? Czy podjęliśmy działania pomocowe dla ofiar przemocy? Jak sądzisz, ile osób z Twojej okolicy, z Twojego otoczenia, z Twojej rodziny, żyje obok Ciebie i milczy o doznaniach przemocy, poniżenia, zdeprecjonowania, skrzywdzenia? Nauczyliśmy się żyć i formułować okładki. Spójrzmy na piękne obrazki udostępniane przez nas samych w mediach na stronach „feisbukowych”, „instagramowych”. Tak, mówimy o konieczności podjęcia działań antyprzemocowych. Ile lat już trwa tego rodzaju gadka? Część ludzi doznających przemocy już umarła nie wypowiedziawszy słowa prawdy o doznanej krzywdzie. Część się wypowiedziała, lecz nikt im nie dał wiary, bo przecież to niemożliwe, aby to była prawda. To niemożliwe..., bo wyuczono nas innych hasań. Wyuczono nas, że człowiek jest dobry i sprawiedliwy, miłujący, troskliwy i życzliwy. W bezpośrednim przebiegu życia cierpienie jest hasłem wiążącym pokorne schylenie głowy z podłożem dla kolan. Ja sama nie wiem czy nie wariuję. Ponieważ, gdy słyszę, że dbamy o nasze dzieci i młodzież i dlatego wybudowaliśmy dla nich Poradnie i Szpitale Zdrowia Psychicznego, to we mnie rodzi się pytanie: A skąd się tam wezmą te „schorowane psychicznie” dzieci? I kogo należałoby leczyć? Dzieci czy ich rodziców? Bo wiedząc, że przemoc rodzi przemoc... Ale-ale: rodzic to osoba dorosła, do niej się nie przyczepiamy... ja potem ewentualnie oskarżymy i ukarzymy pozbawiając prawa do wolności. Gdyby „okładka” miała kontakt z „treścią” to... na tym stwierdzeniu się zatrzymam. Kres przemocy może się zatrzymać w naszych rodzinach w bliskich relacjach. Jednak to kolejna myśl utłudna z tych światów filozoficzno-utopijnych. Niemożliwych do zrealizowania. W naszym ludzkim umyśle rzeczywistość zaciera się pomiędzy snem a świadomością, pomiędzy nieświadomością a marzeniami. Normę określa się czasowo. To co dawniej uznawano za szaleństwo, dziś już nim nie jest. To co dziś uznajemy za szaleństwo za jakiś czas może okazać się normą. Czyżby to, co obecnie zauważamy i nazywamy normą jest już szaleństwem? Jeśli rzeczywistość, którą stworzyliśmy jest nie do zniesienia i uciekamy w chorobę psychiczną, która ma nas ochronić przed społeczeństwem? Han Kang poprzez perspektywę patrzenia osób, które „oglądają” innych przedstawia bieżącą rzeczywistość. Yong-hye wydobywa obraz współczesnego społeczeństwa. Yong-hye jakby nie istniała już w tej opowieści. Psychika Yong-hye ukazuje się warstwami, z karty na kartę odkrywamy jej świat, jej rodzaje się myśli, poglądy, zamiary i czyny. Na końcu empatyczna opowieść jej siostry domyka całość obrazu stając się załącznikiem jej postaci. Yong-hye odmawia jedzenia mięsa, aby stać się drzewem, pragnie zakorzenić się w ziemi, aby uwznioślić naszą ludzką egzystencję. My widzimy proces samozniszczenia bohaterki. Tak jest z naszej perspektywy. Zastanawiamy się czy to jest samodestrukcja? Poprzez podejmowane decyzje Yong-hye jednocześnie pragnie ukazać, że trauma

27 „Życie na pustkowiu”, Ben Fogle, BBC Earth

28 „Alaska. Następne pokolenie. Życie na krawędzi”.
Seria 1 odc. 31, 2021, Nat Geo People.

29 „Alaska. Następne pokolenie. Życie na krawędzi”.
Seria 1 odc. 31, 2021, Nat Geo People.

przemocy już jest zakorzeniona w nas samych. Jej głębokość świadczy o tym, że stała się powszechnie niezauważalna. Jakże często z ust naszych bliskich i znajomych słyszymy słowa, że teraźniejszy świat nie ma sensu, ale po co nam ten świat skoro żyjemy w enklawach bliskich rodzinnych relacji? Jaki ponosimy koszt żyjąc w świecie, który stworzyliśmy i nie potrafimy się zatrzymać? Jaki jest prawdziwy koszt, który ponosimy współcześnie. Czy tym esejem coś zmienię? Siebie umocnię w przekonaniach. A teraz zmęczona wychodzę do ogrodu na spotkanie z tykiem tożsamości.

MARIA J. FRASZEWSKA

Han Kang, Wegetarianka, wydawnictwo WAB 2021



Anna Sikora

Strych

Te stare żonkile dał mi taki jeden...
Plastik już zmatowiał. Co tu robią – nie wiem?
Pamiętam zmieszanie... Czy przymknęłam oczy?
Czy lekko westchnęłam? Przecież mnie zaskoczył!...

I ten jego uśmiech, gdy podał mi bukiet:
Nieco nonszalancki, jakby rzucał klucze.
Wątek bez osnowy nie jest znakiem szkody,
Zwłaszcza kiedy w dłoni – resztki sztucznych łodyg.

Odszedłeś tak dawno... Lecz co piękne bywa?
Nie wiem w sumie wiele. Czas jest jak cięciwa.
I kiedy tak patrzę na kurzu drobiny,
Czuję, że co piękne, tak naprawdę – śnimy...

Szczęście

Gdy już gęsta cisza w zaułkach myślenia –
Dobrze się ukryć od złego wspomnienia.
Ta cisza bierze się trochę z rezygnacji,
Trochę z pokory, bo braknie owacji –
Wiesz, że nie dojdiesz wcale tam gdzie chciałeś,
A Twoje cele były całkiem małe.

I jest wielki pokój w sercu kiedy dotyk
Wtulony w szyję bez cienia brzydoty:
Kiedy głowę na ramieniu lekko kładzie
Miłość łagodna jak poranne szadzie...
I nie wiesz, czemu właśnie się zaczyna
Coś piękniejszego niż zalotna mina.

Tyle nagle szczęścia, kiedy już cierpienie
Wyciśnie z Ciebie każde płaskie chcenie!
Z pustymi rękami stoisz oniemiały,
Chociaż tak bardzo chciałeś swojej chwały.
W końcu tak wolny, tak na przekór światu,
Jak groźny dureń – już nie zaznasz płaczu...

Myśli starego żołnierza

Poblakłe fotografie pokrył dawno kurz –
To dosyć prosta jest historia...
Tu – pod krawatem, jak z żurnalu – widzę Cię:
Twarz staromodnie masz spokojną.

Pamięć znów przyspiesza: znowu dym wyciska łązy!
Znowu słyszę desant – tam bał się każdy, również my!...
Alfabet wspomnień kreśli błyski – po niebie...

Otwieram oczy: wokół pełno pięknych malw –
To Tacyt już wygładził sztormy.
A porcelana dźwięczy śpiewem wielkich sal –
To Prometeusz całkiem szkolny.

Może któryś z tych, co lekko bębnią palcem w stół,
Tanie gryząc jabłka, choć mroźny styczeń rzekę skuł,
Powoli dojdzie bliżej prawdy – tej w niebie...?

Melodia starych slajdów – nieomylny znak –
My nigdy nie jesteśmy sami.
Pusto w ogrodzie, lecz ja bardzo dobrze wiem –
Zmarli wędrują razem z nami.

A czym jest prawda? To przecież więcej coś niż dźwięk?
Czy ten, co śni sztandar – czy gdzieś w nim tętni jasna krew?
Czy obejmiemy swoje dłonie... – tam w niebie?

Tatuaż

Na moim oknie pelargonie
Kwitną co roku tak banalnie.
Rosną – właściwie nie wiem po co –
Podlewam je zapachem karteek.

Na moich ścianach fotografie
Przebrzmiałych zwycięstw przodków wielu.
Patrzą znad wąsów i temblaków,
Patrzą, co widzą, Wam nie powiem.

Na szafach kurzą się wazonry,
Książki i pudła z innych epok...
Kurzą się – w sumie nie wiem po co –
Patrzę z łąą w oku jak w ocean.

W szufladach pełno dziwnych rzeczy:
Orderów, odznak i dyplomów...
A wizytówki po niemiecku
Nie podam przecież dziś nikomu.

W kręgu relikwii żyję sobie,
Tu każdy drobiazg – to historia...
Co jak tatuaż – wspomnień obieg –
Oplata każdą z moich powiek.

Miroslaw G. Majewski

TAK, PANOWIE,
IDĘ UMRZEĆO HRABALU, PIWOSZACH I KOCIEWIAKACH Z FRANCISZKIEM A. BIELASZEWSKIM
ROZMAWIA MIROSLAW G. MAJEWSKI

Miroslaw G. Majewski

Zdradz mi, jak facet z Kociewia znalazł się w ścisłym gronie przyjaciół tytana czeskiej literatury Bohumila Hrabala?

FAB:

Mirku, to długa historia, zdarzenia, które się pojawiły w moim życiu są jak wyjęte z filmu. Wszystko zaczęło się w Wiedniu. Był rok 1976. Jechałem z mamą do jej rodziny we Włoszech. Miałem problemy z uzyskaniem paszportu, nasz wyjazd się opóźnił. Jechaliśmy pociągami pośpiesznymi "Chopin" do Wiednia, tam musieliśmy przejść na inny dworzec, z którego odjeżdżały pociągi do Rzymu. W Bolonii mieliśmy się przesiąść na pociąg do San Benedetto del Tronto. Rodzinne strony mamy. Kiedy szliśmy na ten wiedeński dworzec, zaczęła nas młoda dziewczyna ze słownikiem w ręce. Jakoś się dogadaliśmy, że także idzie na ten sam dworzec. Wskazaliśmy jej kierunek – mama po włosku, ja po polsku – i poszliśmy na kawę. Gdy na koniec znaleźliśmy z mamą właściwy wagon i nasz przedział, siedzieli tam ta dziewczyna z Pragi. Było głupio się wycofać.

Umieściłem bagaże w przedziale, wyszedłem zapalić na korytarz. Po jakimś czasie wyszła z przedziału. Próbowaliśmy z sobą "rozmawiać".

Po trzech miesiącach wróciłem z mamą do domu. Robiłem porządkę w swoich notatkach, natrafiłem na adres tej dziewczyny z pociągu. Nie wiem, dlaczego, może odruchowo, napisałem do niej kartkę świąteczną z życzeniami. Po polsku. Pod koniec roku otrzymałem kartkę świąteczną od niej. Pisała w języku czeskim. Podziękowałem. Wymieniliśmy kilka listów. Przysłała mi zaproszenie na wakacje do Pragi. Zawsze byłem ciekawy świata, więc z radością skorzystałem. Tak, to było w 1977 roku. Pod koniec czerwca pojechałem na urlop do Pragi. Miasto mnie oczarowało. Martina pokazała mi najważniejsze pamiątki.

Jeden moment zadecydował o mojej emigracji do Czechosłowacji. Otóż poszliśmy zwiedzić Týnský chrám. Ktoś brał tam ślub kościelny. W Czechosłowacji była to rzadkość. Martina powiedziała: "Jakie to piękne". Popatrzyłem na nią i mówię, że jeśli jej się to tak podoba, możemy tak samo. Odpowiedziała, że "To by było piękne!" – tylko tyle.

W Pradze byłem dwa tygodnie i trzeba było wracać do domu. Po powrocie wysłałem jej list z podziękowaniem za piękny urlop i zaprosiłem do Polski. Wtedy już miałem słownik czesko-polski i polsko-czeski. Pod koniec roku w jednym z listów od Martiny wyczytałem, że w Pradze trwają już przygotowania do naszego ślubu, który ma się odbyć w przyszłym roku, pod koniec czerwca. Wtedy kończyła studia medyczne. Treść tego listu "łuszczyłem" ze słownikiem wiele razy. Po dyskusjach w rodzinie zacząłem przygotowania do ślubu. Można powiedzieć, że nowe zdarzenia mnie jak magnes przyciągały. Często, dopiero po pewnym czasie to, co przeżyłem czy przeżywam, to nowe mi nieznane wcześniej zdarzenie!

Oczywiście mnie tym zaskoczyła. Nie spodziewałem się takiej reakcji, bo całkiem o tym zapomniałem. Wtedy powiedziałem te słowa

jako grzeczność pod wrażeniem piękna Chramu i tej ceremonii. Po wyjściu z Chramu, te słowa zostały w tym kościele. Po prostu zapomniałem o nich. Nie przywiązywałem do nich żadnej wagi. Dopiero Martina w listach mi je przypomniała.

Martina zgodziła się tylko na ślub cywilny. Kościelny ja też nie chciałem brać. Po ślubie zaczęły się formalności z moim pobytem stałym w Czechosłowacji.

MGM

Aż się nie chce wierzyć! Od banalnego spotkania na kolejowym dworcu do ślubu. Z tej historii dowiedziałem się wreszcie, jak to było z tym twoim wyjazdem do Czech. Historia równie ciekawa jak twoje odwiedziny u Hrabala w szpitalu. Z tego co wiem, odwiedzałeś Hrabala bynajmniej nie z kwiatkami.

FAB:

Odwiedziłem go kilka razy w szpitalu Bulovka, ale to był pierwszy raz, kiedy odwiedziłem go bez kwiatków. Ze względu na konsekwencje w rodzinie (teściowa i Martina były wykładowcami na UK – medycyna w Pradze) miałem dostęp do każdego szpitala w Pradze i o każdej porze. Wziąłem z sobą do raportówki dwie butelki pilsnera. Kiedy siedliśmy na skarpie z widokiem na dzielnicę Pragi – Libeň, wyciągnąłem pilsnery i podałem je pisarzowi. Spojrzał na mnie i powiedział: "Czyście oszaleli, Polaku Frantisku? Jestem chory i nie mogę pić alkoholu. Co by na to powiedział mój doktor!"

Siedzieliśmy tam ze dwie godziny. Hrabal opowiadał o historii dzielnicy Libeň, w której mieszkał przy ulicy Na hrázi. Kiedy odprowadzał mnie do bramy wyjściowej, to myślałem, że Hrabal o tym pilsnerze całkowicie zapomniał. Jak się okazało, bardzo się myliłem. Kiedy pożegnaliśmy się, wtedy nagle sobie przypomniał o tym pilsnerze. Coś się w nim zmieniło, załamało się, jakby to już nie był Hrabal w szpitalu bardzo chory. W tym momencie to był pan doktor Hrabal ze Złotego Tygrysa albo z Brzaski lub od Dwóch kotów. Hrabal po prostu zapomniał o tych swoich problemach i chorobie. Zapytał się mnie: "Więc co? Gdzie masz tego pilsnera? No, daj mi to piwo!". Za chwilę usłyszałem, jak niecierpliwie do mnie powiedział: "No tak... daj mi nareszcie... to piwo!"

Cóż miałem wtedy zrobić. Zobaczyłem w jego oczach ogromną radość, na sam dźwięk słowa pilsner zapaliły się w jego niebieskich oczkach wszystkie gwiazdy z nocnego nieba. Złoty mok, który był najlepszym lekarstwem dla genialnego pisarza. Przy pożegnaniu powiedziałem, że postaram się jeszcze raz go odwiedzić przed moim wyjazdem do Polski. Hrabal na to mi wesołym głosem odpowiedział (jakby był tym piwem, które zakrywał rękoma w kieszeniach swego niebieskiego szlafroka, od razu uzdrowiony): "Jeżeli mnie jeszcze tutaj znajdziesz, jeżeli jeszcze tutaj będę. Przecież nie będę mnie tu trzymać do samej śmierci". Uśmiechnął się szelmowsko, wskazując oczyma na kieszenie, w których zakrywał rękami szlafroka swój boski napój. Dwie bezcenne butelki złotego moku. Patrzyłem jeszcze chwilę, jak różnym krokiem wraca do swojego pawilonu.

Odrzucił się jeszcze i zamachał mi ręką na pożegnanie. Z niebieską czapeczką na głowie i dwoma butelkami pilsnera w kieszeni. Tę niebieską czapeczkę mam po nim jako jedyną, osobistą pamiątkę po pisarzu z Kerska.

MGM

Opowiedz o swoim pobycie w ówczesnej Czechosłowacji, z akcentem na życie praskiej bohemy.

FAB

Więc u mnie tak się ten mój okres praskiego życia rozpoczął. Mówiąc szczerze, to tak naprawdę na mnie nikt nie czekał w praskich gospodach – na Polaka Franciszka, który tam się pojawił z Kociewia, dalekiego Pomorza. Tym bardziej, że nie znałem języka czeskiego. Nikt czerwonego dywanu nie kładł, kiedy wysiadałem z pociągu na dworcu głównym. Kilka lat trwało zanim się dostałem do praskich gospod. Odbierając nagrody i wyróżnienia w konkursach literackich, poznałem wielu fajnych ludzi. To właśnie ich były prośby, bym przelożył coś z czeskiej literatury, która była w Czechosłowacji na indeksie.

Rozmawiałem na ten temat z Martiną. Pewnego razu poszliśmy w odwiedziny do jej przyjaciółki. Jak się okazało, jej ojciec, pan Bešta, którego żona była Polką z Kresów, pisał słowniki polsko-czeskie i czesko-polskie. Po rozmowie dał mi numer telefonu do docenta Otakara Bartoša, czeskiego polonisty, wykładowcy na Uniwersytecie Karola w Pradze, który kiedyś siadywał przy stoliku Hrabala w gospodzie U Zlatého Tygra.

W poniedziałek zatelefonowałem do pana docenta. Powiedział, że będzie miał czas w następnym tygodniu. Umówiliśmy się na wtorek o godzinie 15. Dodał jeszcze, że spróbuje mnie Hrabalowi przedstawić, chociaż ten z jakiegoś powodu już go nie lubił. Tak się rozpoczęło moje "podwójne" życie w Czechosłowacji.

We wtorek poszedłem pod gospodę U Zlatého Tygra. Poznaliśmy się od razu. Czekaliśmy, aż wszyscy wejdą. Usiedliśmy przy stoliku. Hrabala jeszcze nie było, pojawił się po 10-15 minutach. Docent czekał, aż Hrabal wypije dwa piwa. Potem mnie przedstawił i wytłumaczył, czego potrzebuję. Hrabal wysłuchał do końca. Rozpoczął trzecie piwo i powiedział do nas: "Idźcie do dupy z waszymi pierdołami!" ("Běžte do prdele z vašimi kecamy!"). Siedzieliśmy blisko Hrabala. Wstałem i zarzuciłem raportówkę (takie się wtedy nosiło) i powiedziałem: "Ahoj", kierując się w stronę wyjścia. Wtedy Hrabal chwycił mnie za rękę i siłą posadził na krześle. Może był zdziwiony moją reakcją na jego słowa, bo powiedział: "Od razu się obrażacie! Mówcie, czego potrzebujecie!"

Wytłumaczyłem moją prośbę. Hrabal zwrócił się do Vaclava Kadleca vel Karafiata: "Panie Karafiata, przynieście temu Polakowi jakieś opowiadania w przyszły wtorek". Karafiata powiedział, bym w przyszły wtorek przyszedł odebrać, że coś dla mnie znajdzie.

Od tej chwili zostałem namaszczony przez Hrabala na stałego bywalca przy jego stoliku w gospodzie U Zlatého Tygra. Wszyscy musieli zaakceptować tę decyzję. Zostałem jedynym

stałym bywalcem-cudzoziemcem i do tego Polakiem, który w każdy wtorek o godzinie 15 mógł zasiadać i bajdurzyć na równi z pozostałymi stałymi bywalcami – Štamgastami.

MGM

Praktycznie poznałeś śmietankę praskiej czechosłowackiej opozycji. Popraw mnie, jeśli się mylę – spotykałeś się nawet z przyszłym prezydentem Václavem Havlem.

FAB

Miałem to szczęście poznać ludzi o podobnych poglądach na życie jak moje. Nie było to od razu. Trwało to kilka lat, zanim zaczęli mi ufać. Dotyczyło to ludzi z opozycji jak i tych "oficjalnych". Nigdy nie dzieliłem ludzi na "czerwonych", "czarnych", "zielonych", "białych". Dla mnie zawsze najważniejszy jest człowiek! Tak samo było w Czechosłowacji.

Najważniejszym momentem było to, że zostałem zaakceptowany przez Hrabala. To był pierwszy krok do tego, że mi zaufano – przepustka do różnych środowisk opozycyjnych. W gospodach rozdawałem bibułę, którą przemyciałem do Czechosłowacji. Czesi byli zdziwieni, ale i szczęśliwi, że ją otrzymywali. Nie zadawali zbytecznych pytań – skąd mam i jak ją przywożę do Pragi. W Polsce przy okazji konkursów, spotkań literackich dowiedziano się o mojej znajomości z Hrabalem. Proszono mnie o różne zakazane teksty czeskich autorów i tych "oficjalnych" także. Potem zgłosił się do mnie śp. Józef Waczków z prośbą o materiały od Václava Havla.

Szybko nawiązałem z Havlem kontakt. Bywałem u niego w domu i na piwie w gospodzie bywaliśmy. Spotkałem się z nim w Paryżu, kiedy został przyjęty do Akademii Francuskiej. Obiecałem mu, że jak wrócę do Pragi, to się z nim skontaktuję. Po powrocie zapomniałem o tej obietnicy i to on zatelefonował do mnie. Miał moją wizytówkę. Václav nigdy nie był w gospodzie U Złotego Tygrysa. Kiedy była akcja zbierania podpisów pod petycją "Kilka zdań", przyprowadziłem go we wtorek do Tygrysa. Przyjaciele przy stoliku, jak zobaczyli z kim przyszedłem, to ze zdumienia przestali pić piwo. Można wymienić wiele nazwisk, z którymi się zapoznałem i byłem traktowany jak "swój chłop": Milan Hübl, Jaroslav Kladiwa, Karel Marysko i inni. Z tych "oficjalnych" pisarzy i poetów to Jaroslav Holoubek, Jiřka Medek, Bedřich Hlinka, Karel Sys i inni.

MGM

Powróćmy na chwilę do Polski. Jesteś rodowitym Kociewiakiem, mieszkańcem Starogardu Gdańskiego, ale masz domieszkę krwi włoskiej. Może stąd twój pociąg do sztuki, teatru, którymi zajmowałeś się w swoim rodzinnym mieście. Opowiedz nam coś więcej o twojej pracy jako animatora kultury.

FAB

Mój ojciec był w armii Andersa i z mieszcowskością, którą wyzwał, przywiózł mamę (z domu Bernardini). Najstarsza siostra urodziła się we Włoszech – w Grottammare.

Przez Wielką Brytanię ojciec z mamą i córką wrócili do Polski. Wpiero mieszkali w Gdańsku i tam się urodził starszy brat. Potem przeprowadzili się do Skórcza i ja się urodziłem w Starogardzie Gdańskim. Najmłodsza siostra urodziła się w Bobowie Pomorskim. Zatem wszyscy mamy 50% krwi włoskiej.

W Domu Kultury w rodzinnym mieście założyłem amatorski Teatr Poezji im C.K. Norwida. Prowadziłem go aż do emigracji. Przekazałem go swoim uczniom.

Pracowałem na akord w odlewni żeliwa. Dużo zarabiałem, co pozwalało mi na luksus kupowania książek. Piwa nie piłem. Chodziłem z kolegami (studentami, lekarzami, dyrektorami czy urzędnikami) do kawiarni na kawę i lampkę

czerwonego wina, gdzie dyskutowaliśmy na różne tematy. Grywaliśmy wieczorami w brydża sportowego. Jeszcze przed emigracją, a także już po zamieszkaniu na stałe w Pradze, wysyłałem wiersze na różne konkursy.

MGM

Jak to się stało że znalazłeś się w domu dziecka i jakie masz wspomnienia z tego okresu?

FAB

Jak już wspominałem, ojciec był andersowcem, co w latach pięćdziesiątych nie było uważane za "patriotyczne". Pracował w Urzędzie Gminy w Bobowie Pomorskim. Tyle, co wiem z rodzinnych przekazów, to nie zdradził swojego kolegi, wziął na siebie winę i wyfasował kilka lat w kopalni węgla kamiennego na Dolnym Śląsku.

Mama nie znała języka polskiego i została sama z czwórka dzieci. Bez pracy i środków do życia. Po jakimś czasie przyjechała ze Starogardu Opieka Społeczna i zabrała nas do Domu Dziecka w Łęborku. Nie miałem wtedy jeszcze trzech lat, więc zawieziono mnie i brata do Sopotu, a po kilku miesiącach, kiedy skończyłem trzy lata, odwieziono nas do Łęborka. Tam już była starsza siostra. Kilka lat pobytu w Domu Dziecka w Łęborku pozwoliło mi uznać go za swój dom. Tam nauczyłem się czytać i pisać z podręczników o trzy lata starszej siostry. Pomagała mi, widząc moje zainteresowanie jej podręcznikami szkolnymi. Ten pobyt ukształtował mnie takim, jaki dzisiaj jestem. W salach były piętrowe, metalowe, wojskowe łóżka. Często się chowałem pod nimi z książkami siostry. Nie wspominam tych lat źle. Jak otrzymałem nagrody w konkursie literackim im. Mieczysława Stryjewskiego w Łęborku, to połowę sumy przeznaczałem dla moich młodszych braci i siostry z Domu Dziecka. Dyrekcja robiła ze mną spotkania, by zrozumieli, że Dom Dziecka nie jest piętnem na całe życie. Opowiadałem im o swoim życiu, które mozołnie i często z trudem budowałem. Przecież dzieci nie są winne w jakiej sytuacji życiowej się znalazły.

MGM

Nieobca jest ci również gdańska bohema związana z legendarnym Rudym Kotem. Skoro mówimy o czeskich piwoszach, porozmawiajmy o piwoszach z Gdańska.

FAB

W latach 70. XX wieku jeździłem do Gdańska na kursy, na które wysyłał mnie Miejski Dom Kultury w Starogardzie, bym uzupełnił wiedzę na temat prowadzenia teatru amatorskiego. Kiedy odbywały się demonstracje, jak mi czas pozwalał, to też się tam pojawiałem i przy okazji zbierałem bibułę. Dopiero kiedy wyemigrowałem do Pragi, zacząłem się spotykać z miejscowymi poetami, pisarzami i innymi artystami. Z piwoszami z Gdańska mogłem chlać wtedy, kiedy zostawałem na noc. Bowiem za każdym razem jeździłem samochodem.

Przy okazji konkursów literackich miałem zapewniony nocleg, wtedy mogłem sobie pozwolić na wypicie z przyjaciółmi piwa. Zawsze przywoziłem z Pragi dużo butelek czeskiego piwa. Często spotykałem się z Staszkiem Gostkowskim, Andrzejem K. Waśkiewiczem, Jerzym Stachurą (bratankiem E. Stachury), Krzysztofem K. Stolcem i innymi. Wielu nazwisk nie pamiętam.

Razem jeździliśmy na różne imprezy do Poznania, Jawora, Warszawy czy Krakowa. Samochodem zabierałem kolegów z Gdańska. Zawsze zwracano nam koszt podróży, więc były "fundusze" na piwne ładowania artystycznych akumulatorów. Po emigracji do Londynu wielokrotnie odwiedzałem Gdańsk i spotykałem się z innymi ciekawymi ludźmi ze

świata literatury i sztuki. Do Rudego Kota zaglądałem kilka razy "w biegu" w latach 80. XX wieku. Moje pobytu w Polsce były "szalone" ze względu na brak czasu, bo w poniedziałek musiałem być w pracy. Jadąc w nocy z niedzieli na poniedziałek – 700 km – prosto z podróży szedłem do pracy na godzinę siódmą.

MGM

Wybacz Franku, ale chciałbym, abyśmy trochę dłużej porozmawiali o gdańskiej bohemie, o której z niesamowitą nostalgią opowiadał mi świętej pamięci gdańszczanin Sławek Majewski.

FAB

Mirku, śp. Sławek Majewski to był gość! Nie możesz porównywać mnie, zwykłego ludzika, do niego. W latach 70. XX wieku w Gdańsku bywałem na demonstracjach albo w Domu Kultury, kiedy wysyłali mnie na kursy teatralne. Pod koniec tych lat miałem robotę ze ślubem i przeprowadzką do Pragi. Dopiero od 1984 roku, kiedy dawano mi nagrody i wyróżnienia w konkursach literackich (oczywiście przez pomyłkę), zacząłem spotykać się z prawdziwymi pisarzami. Poznawałem gdańskich (także z Gdyni i Sopotu) świat literacki i artystyczny. Z kilkoma osobami się zaprzyjaźniłem – ze śp. Staszkiem Gostkowskim, śp. Andrzejem K. Waśkiewiczem, Jerzym Stachurą czy Krzysztofem K. Stolcem.

Do Gdańska jeździłem samochodem ze względu na to, że w poniedziałek rano musiałem pójść do pracy, więc nawet piwa nie mogłem wypić. Kiedy wyemigrowałem do Londynu, z racji prowadzenia miesięcznika literackiego "RzeczPospolita Kulturalna" spotykałem się z wieloma znanymi pisarzami z Gdańska, m.in. z Krystyną i Stefanem Chwinami, Pawłem Huelle, Adamem Kamińskim, Krzysztofem Kuczkowskim, Pawłem Baranowskim i innymi. Wielu nazwisk nie pamiętam. Spotkania odbywały się kawiarniach i restauracjach Gdańska, Sopotu czy Gdyni. Wszyscy mogli pić piwo, koniak bądź wino, tylko ja z bólem serca piłem kawę albo sok owocowy. Mimo to wspominam tamte lata z ciepłym i szczęśliwym uśmiechem. "Zaległości" nadrobiąłem w gospodach po powrocie do Pragi.

Bardzo miłe wspominam moje autorskie spotkanie w Baszcie Mlecznej. Cudowny klimat średniowiecznych murów, no i cudowni ludzie, pisarze i malarze. Nawet kolega, oficer z Komendy Wojewódzkiej Policji, zaszczylił swoją obecnością moje spotkanie. Wtedy mogłem wypić pilsnera. Organizator dopilnował tego, żebym miał pilsnera. Pozwolono mi pić w czasie spotkania, czułem się jak w niebie, czyli praskiej gospodzie U Złotego Tygrysa. Tamte spotkania zbudowały mnie dzisiejszego, bez tych wspaniałych ludzi nie byłoby mnie dzisiejszego! Żeby wszystko opisać, to trzeba by było napisać grubą książkę!

MGM

To teraz z Gdańska polecimy do Londynu. To jest ten etap twojego życia w którym pojawia się jako literat na łamach prowadzonego przez ciebie miesięcznika kulturalnego "RzeczPospolita Kulturalna" i to przed moim książkowym debiutem. Jestem ciekawy każdego, nawet najdrobniejszego szczegółu z tamtego okresu.

FAB:

Emigracja do Londynu wiąże się z inną historią mego życia. Mieszkając wtedy w Pradze. Po śmierci mamy (1996 rok) zacząłem częściej bywać w rodzinnym mieście. Wykupiłem po niej mieszkanie zakładowe. Urządziłem dla swych potrzeb, czyli internet, komputer oraz przywoziłem część biblioteki z Pragi. Po czasie założyłem firmę i nowy teatr amatorski Ziemi Starogardzkiej im. Witolda Gombrowicza. Dwa razy spotkałem się z Ritą Gombrowicz w Pa-



ryżu. List polecający do niej dał mi przyjaciel z Pragi, polonista, docent Otakar Bartoš, który korespondował z Witoldem Gombrowiczem. Założyłem Wydawnictwo PROGRESS i wydawałem regionalny miesięcznik społeczno-kulturalny oraz założyłem kafejkę internetową na łączach satelitarnych. Trwało to kilka lat.

Po wydaniu wspomnień "Tak panowie, idę umrzeć" moje nazwisko pojawiło się w internecie. Znalazł się sponsor na wydanie moich myśli, aforyzmów, sentencji i greguerii, następnie wydałem prozę "Tańczący z diabłami". Obie pozycje były wydane prywatnie w małych nakładach. Czasami jeździłem do Pragi załatwiać sprawy rodzinne i urzędowe. Podczas mej nieobecności włamano się do mego mieszkania w Pradze. Ukradziono komputer, drogi aparat fotograficzny i dużą sumę pieniędzy w walucie. Domyśliłem się, kto to zrobił i podałem go na policję, a że był psem policyjnym, donosiłem, to sprawę umorzono.

W tym czasie pewna studentka z Warszawy czytała moją książkę i chciała kupić dwie inne, które wyszły poza oficjalnym obiegiem. Jednocześnie ja otrzymałem w Warszawie wyróżnienie za sztukę teatralną. Mieliśmy się wtedy spotkać. Chyba jednak nie miała odwagi i przez kolegę posłała mi kwiatka. Po czasie spotkaliśmy się w Warszawie, kiedy jechałem do Czarnego Lasu odebrać nagrodę za zestaw wierszy. Podarowałem jej "Tańczącego z diabłami" z dedykacją. To była wiosna. We wrześniu braliśmy ślub, na który jechaliśmy i wróciliśmy autobusem miejskim. Gości ugościliśmy w Parku Bródnowskim przy ognisku. Trzy dni po ślubie żona wyjechała do Londynu na roczny kurs języka angielskiego. Był rok 2003. Ja do niej dołączyłem następnego roku pod koniec marca. Dla mnie to było coś niesamowitego.

Nie znałem języka. Nie wiedziałem co będę robił.

Przez pierwszy rok poruszałem się z wyciągniętymi rękoma, jak ślepiec. Na szczęście znałem język włoski, który mi pomógł w pierwszych latach pobytu. Przez przypadek trafiliśmy na niedzielne targowisko blisko Liverpool Street. Tam na jednym stoisku były wystawione znaczki. Kiedyś zbierałem znaczki pocztowe, więc trochę miałem wiedzy filatelistycznej. Z Pragi też przywożłem zbiorek. Przeglądałem wystawione znaczki i kilka wybrałem. Tak zacząłem zarabiać w Londynie. Założyłem konto na Ebay. Zarobione pieniądze inwestowałem w znaczki pocztowe. Dowiedziałem się, że co sobotę jest targ dla kolekcjonerów. Kupiłem katalogi znaczków pocztowych na cały świat. Stałem się zawodowym handlowcem. Kupowałem też stare dokumenty i fotografie oraz ciekawe historycznie książki.

Anglicy uważali, że tylko znaczki brytyjskie i znaczki ich kolonii są coś warte, reszta ich mniej interesowała, więc były tańsze. Czasami zwracali się do mnie o opinię na temat starych znaczków Austrii, Włoch czy Europy Wschodniej albo Rosji.

Po roku żona złożyła egzamin państwowy z języka angielskiego i dostała się na uniwersytet Queen Mary. Germanistka i kultura europejska. Trzeci rok studiów miała w Dreźnie. Wtedy bywałem w Polsce. Spotykałem się z kolegami. Namawiali mnie, bym założył w Londynie miesięcznik literacki, że pomogą mi. Ten pomysł zaczął się we mnie zagnieźdzać. Ale żeby to zrealizować, trzeba było założyć wydawnictwo. Zacząłem myśleć nad nazwą wydawnictwa i tytułem miesięcznika.

Po powrocie żony do Londynu zmieniliśmy mieszkanie na większe. Zaczęliśmy dyskutować

o tym projekcie. Zatelefonowałem do kolegów z dawnych lat – Józka Barana, Staszka Srokowskiego, Adama Ziemianina, Andrzeja Waśkiewicza, Leszka Żulińskiego i innych. Trzeba było skompletować Redakcję – FAB, Mariusz Bober, Gramatowski, Marzena Majewska, Stanisław Srokowski i Adam Ziemianin. Radę Redakcyjną tworzyli Krystyna i Stefan Chwin, Andrzej Grzyb, Paweł Huelle, Leszek Żuliński. Byli też współpracownicy – Piotr Andrejew, Józef Baran, Piotr Chruśliński, Stanisław Czaplicki, Adam Kamiński, Krzysztof Kuczkowski, Grzegorz Musiał i Janusz Paluch. Wydawnictwo Brand Book Publishing zostało zarejestrowane. Nazwa miesięcznika "RzeczPospolita Kulturalna", miesięcznik literacko-artystyczny otrzymał numer ISSN. Pierwszy numer ukazał się w styczniu 2008 roku. Cały czas zarabiałem na znaczkach pocztowych – były to dosyć duże sumy, które jednak pochłaniało wydawnictwo i miesięcznik. Kolega-senator obiecał, że w wydaniu trzech pierwszych numerów otrzymamy pomoc finansową z Senackiej Komisji Kultury, której był członkiem. Jednak żadnej obiecannej pomocy nie otrzymaliśmy. Pod koniec roku zdecydowaliśmy zawiesić działalność wydawnictwa i wydawanie miesięcznika. W marcu otrzymaliśmy pismo z senatu, które zawierało frazesy, czyli poklepywanie po plecach! Wiele tysięcy długu w funtach spłaciłmy dość długo.

Rok 2008 był rokiem Zbigniewa Herberta, więc zorganizowaliśmy konkurs literacki jego imienia. Na rozdaniu nagród była TVP Polonia i prezydent na uchodźstwie. Miejskowa Polonia była zdziwiona, że na imprezie prywatnej firmy pojawia się TVP Polonia, ale miałem znajomości z dawnych lat, które pomogły mi wszystko zorganizować. Mimo poniesionych kosztów warto było dotożyć naszą "cegiełkę" do roz-

woju naszej kultury. Trzeba też zaznaczyć, że bez pomocy przyjaciół, kolegów i znajomych nie byłoby możliwe wydanie nawet jednego numeru miesięcznika, za to należą się im podziękowania i ukłony z naszej strony.

MGM

"Rzeczpospolita Kulturalna" i ciebie polecił mi śp. Leszek Żuliński, stwierdzając, że Franek to swój chłop. Wtedy nie wiedziałem, co miał na myśli, teraz już wiem. I bynajmniej nie brzmiało to kolokwialnie, znałem się z Leszkiem bardzo dobrze i wiedziałem, że to stwierdzenie jest zawołanym komplementem. Jesteś swój chłop?

FAB

Nie wiem, czy jestem "swój" czy "obcy" chłop. Jedno wiem, że zawsze staram się być sobą. Żyć z pasją i podejmować się rzeczy, które są trudne lub niemożliwe do zrealizowania. Kiedy patrzę w lustro, to wiem, że w nim jestem ja a nie jakiś obcy facet. Zawsze jestem wierny swoim poglądom. Szanuję także poglądy innych, nawet jak są diametralnie różne od moich. Podstawą dla mnie zawsze było i jest być Człowiekiem. Dlatego też, kiedy otrzymałem twój tekst, to jak "szef" zdecydowałem się na jego publikację. Kiedy otrzymuję coś nowego, nawet jak nie bardzo pojmuję, to jednak zawsze czuję, kiedy "gra jest warta świeczki". Podobnie było z twoim tekstem do RPK.

Publikowałem też teksty o innych poglądach niż moje. Największą dla mnie "męką" były wstępniaki – od redakcji. Pisałem je zawsze z "pętlą czasową" na szyi. Jak widać żyję, więc "pętla" nie zacisnęła się na dobre na moim gardle.

MGM

Zgrabnie to ująłeś. Za tak zwanej komuny publikowałeś w drugim obiegu zarówno w Czechosłowacji, jak i w Polsce. Miałeś jakieś nieprzyjemności czy może przyjemności

w związku z tym?

FAB

Zawsze starałem się by teksty, nawet te, które były na indeksie w Polsce czy

Czechosłowacji, wydawać oficjalnie. Możliwe to było w regionalnych czasopiśmie kulturalnych lub dodatkach do dzienników. Zakazane teksty Bohumila Hrabala drukowałem w kilku czasopiśmie. W Polsce i w Czechosłowacji miałem dostęp do wydawnictw w drugim obiegu, lecz autorom mogłem pomóc wydając ich teksty oficjalnie, wtedy nikt ich się nie "czepiał". O wydawanie moich tekstów nie zabiegałem. Jeżeli coś się ukazało, to była inicjatywa kolegów lub kogoś mi nieznanego. Posiadałem paszport konsularny, który trochę mnie "broniał". Czasami sąsiedzi w kamienicy, w której mieszkalem, szepłem mnie informowali, że wypytawali o mnie jacyś "panowie". Kto mnie odwiedza, z kim przychodzę, co robię, kiedy ktoś do mnie przyjdzie.

Był tylko jeden przypadek, że wysoko postawiony kolega przyszedł do mnie do pracy i prosił, bym wziął urlop i wyjechał do Polski na tydzień. Nie miałem już urlopu, więc wziąłem bezpłatny. Po powrocie umówił się ze mną na piwo. Wtedy mi powiedział, że gdybym nie wyjechał, to "wypadłbym pijany z okna"! Moja była żona była profesorem na Uniwersytecie Karola w Pradze. Wykładał medycynę. Pomagała wyleczyć z ciężkiej choroby jego dwójkę dzieci. Od tamtego czasu pomagał mi zawsze, kiedy miałem jakieś problemy. Wspominam go w swoich tekstach związanych ze spotkaniami z prezydentem Havlem.

MGM

Mogliśmy tak rozmawiać bez końca, ale goszczące nas łamy kwartalnika "Migotania" mają swoją objętość. Dzięki, Franku, za rozmowę – być może rozmawiasz ze swoim przyszłym biografem. Twój życiorys to gotowy scenariusz telewizyjny.

FAB

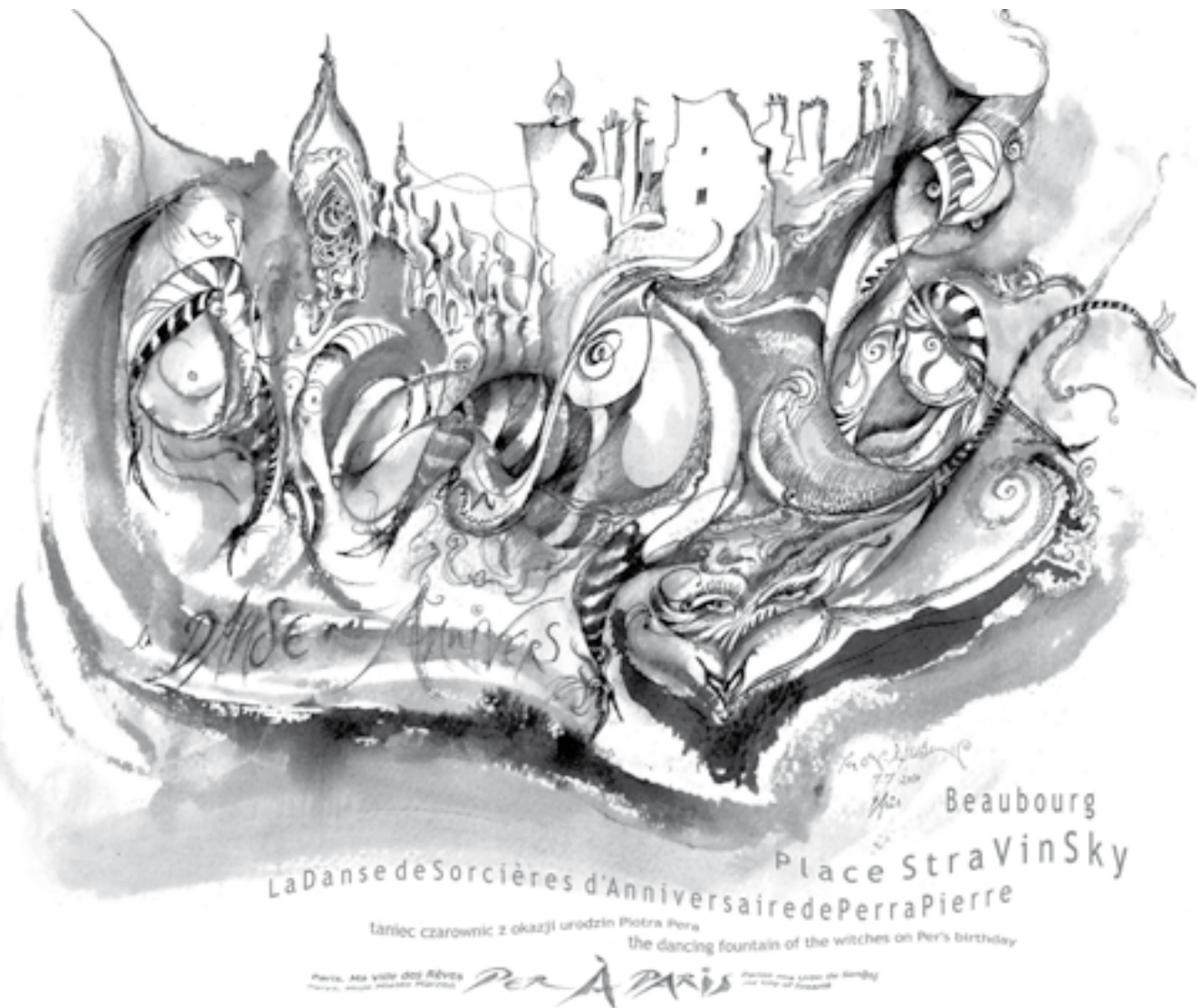
To ja chciałbym ci podziękować, że "ode-rwałeś" mnie od zwykłej codzienności i jej obowiązków! Chociaż mam dużo materiałów w swoim archiwum, na wiele książek, to coś nowego by się w nim zmieściło. Może ta rozmowa pozwoli mi wrócić do "brudzenia" białości papieru czarnymi literami. Co do biografii, też bym chciał być biografem tego, który patrzy na mnie z taflą zwierciadła (śmiech). Pewnego dnia Hrabal powiedział mi (po wielu latach wspólnie spędzonych w praskich gospodach): "Żeby przeżyć twoje życie, to trzeba dziesięciu chłopów, a każdy musiałby żyć sto lat!"

Wspominając te słowa Hrabala i spoglądając na obrazy swego życia, to czasami mam wrażenie, że ono trwa setki lat.

MIROSLAW MAJEWSKI

Franciszek A. Bielaszewski

ur. w 1949 roku w Starogardzie Gdańskim. W latach pięćdziesiątych był wychowankiem Państwowego Domu Dziecka. Pi-sze wiersze, prozę, sztuki teatralne, aforyzmy, reportaże. Pod koniec lat siedemdziesiątych wyjechał na stałe do Pragi - Czechosłowacja. Na początku lat '70 założył Teatr Poezji im. C. K. Norwida w rodzinnym mieście. W latach '80 publikuje aforyzmy i gregurie, a także krótkie prozy. Stały bywał w słynnej praskiej gospodzie U Złotego Tygrysa, jako jedyny cudzoziemiec siada co wtorek przy stoliku hrabalowskim, gdzie aż do tragicznej śmierci B. Hrabala był wśród najbliższych jego przyjaciół. Kilka takich spotkań z B. Hrabalem opisuje w swej książce TAK, PANOWIE, IDĘ UMRZEĆ (wydana w maju 2003 roku w Wydawnictwie Dolnośląskim. W 2004 roku wyjechał do Londynu, gdzie został redaktorem naczelnym miesięcznika literacko- artystycznego – Rzeczpospolita Kulturalna. W Londynie wydał tomik wierszy w języku angielskim PornGrafy oraz Liberum Veto. W 2016 roku wrócił do kraju.



Marian Lech Bednarek

PIEKŁOWOJNA

Motto: Wojny się kończą, ale wrogość
pozostaje na wieki.
Pablo Picasso

MAŁE PROZY POGRZEB

Jadę na swój pogrzeb. Tam trumnę już szukają. Stolarz dobiera deski, patrzy by dobrze stykały się ze sobą, by nie było przeswistów, szpar, którą mógłbym wymknąć się i wykiwać śmierć. Trumna musi być szczelna jak sejf. Hebluje te deski, odgania się od sęków, żeby ani jeden nie zaczął się gdzieś i nie przyszedł mi potem z pomocą, by razem wygryźć tę dziurę sękową, wydobyć ją tajemnym sposobem, by czmychnąć jak te najniebezpieczniejsze typy z Alcatraz. Oj teraz pan stolarz pieczętowiec i w skupieniu pilnuje te dechy jak stado swoich jedynych owieczek, które dają nam codzienny chleb, więc głaszcze je pod włos i z włosiem, na przemian, aż się usłużne rozłoży na łące przysług bożych. No bo jakież one są? Na pewno boże, skoro powstało się z prochu i zamieniamy się w proch, w trociny, w pył, który kiedyś tak pięknie szumiął w lesie. Deseczka w lewo, deseczka w prawo. I gwiżdże sobie pan stolarz przy tym, ach jak on słodko sobie gwiżdże. Zaraz pani stolarzowa kawę poda i może coś do kawy? I pioseneczka gwizdana leci sobie, leci. Jasne świeże drewno kołysz się jak dobijająca do brzegu łódeczka. A jaki to brzeg? To pewnie tylko ona wie. Na razie ciągle tylko dobija do niego. Precyzyjne ruchy pana stolarza cumują, cumują, cumują tę łódeczkę coraz bardziej, by w końcu stanęła w pełni gotowa do wypuszczenia nowych pasażerów na pokład. Jadę więc jak ten nowy pasażer do swej łódeczki, by nią odpłynąć w siną dal, z flaszką w kieszeni, zakorkowaną, której będzie list opisujący przygodę mojego życia. Może, bo jeszcze nie wiem jaki to będzie konkretny list. Na pewno będę się uśmiechał w tej łódeczce podczas odpływania i może do kogoś machać, tylko czym? Może tylko samą machą? Pan stolarz też pewnie kupi sobie flaszeczkę, bo na deskach do trumienek się nawet nieźle zarabia. Trumienka musi być jak ta lala, błyszcząca, pomalowana, z ozdobnymi ornamentami, by przy dźwiękach muzyki wyglądała jak dama sunąca w rytm walca.

2

Skończyłem opowiadanie o pogrzebie, ale dalej jadę na swój pogrzeb. Mijam te stolarnie i krematoria, jeśli znudzą mi się deski. Stolarni jednak jest więcej, jeszcze. Zapach drewna unosi się w powietrzu, żywica, ptaki jakby z tymi deskami powiązane pępowiną, świergocą o czym im się podobą. Im tylko seks w głowie. Może to ptasia lista przebojów? Aż trudno zdecydować się na krematorium. Deski pachnące lasem zamieniają mnie w las. Naiwnie w to wierzę. A krematorium zamieni mnie w pył, w ciągu kilku minut, garść prochu. Ale boję się tego piekielnego ognia, który będzie mnie palił, choć podobno nie będę go czuć. Czemu ja tak te deski polubiłem? Teraz nie wiem z czym się oswajać. Jadę dalej przez słoneczne, majowe lasy. Płynę właściwie przez ten zielony ocean buszu, rozmigotany całym swym bogactwem. Pachnące akacje chciałbym zabrać ze sobą do grobu.

MARIAN LECH BEDNAREK MAJ 2016

To była szara sobota, gdzie wojna na pierwszy rzut oka ukryta była w typaniu, lecz tak naprawdę ukrywała się gdzieś w ciemności „ja”, zalatującej zatechłym językiem i nie tylko. Co do piekła, to ta zaściankowość, ciągle ta zaściankowość chce mnie tu wepchnąć w ciemny kąt, bym nie istniał. Ale ciągle mam jeszcze pod ręką jakieś „ale”.

Czekaliśmy z Rudą na autobus, by pojechać na wycieczkę w góry, zorganizowaną przez softysa naszej wioski. Z różnych stron jak wygnańcy nadciągali ci inni, choć tu niby od wieków zakorzenieni, ale inni. A co ta inność oznacza, to każdy wie, zwłaszcza na dużej wiosce. To typanie na siebie, bardzo nieufne. A od tego typania, wiadomo, wszystko się zaczyna. Nikogo nie znam, bo mieszkam tu dopiero 7 lat. Łysy softys przywitał się z nami i odszedł do innych, których przybywało. Siarczyste, cięte i jedrne przygaduchy nadchodzących z plecakami zagęszczały się, co oznaczało że zaraz podjedzie autobus. Za chwilę biały wysoki „Herman” wtoczył się na parking i zahamował jak spasiony bawół. Ponad 50 osób wpakowało się do środka, różne typy. Ja z Rudą opanowaliśmy tylne fotele. Wkrótce uformowało się wyraźne ciało pedagogiczne. Moja Ruda z drugą rudą plus 2 strażaków z brunetką w okularach. Gdy autobus ruszył, ciało pedagogiczne ze strażakami opanowali scenę i widownię autobusu. Za nami tylko niewielu siedziało i bąkało coś pod nosem w miejscowej gwarze. Wybuchy śmiechu ciała pedagogicznego nie dawały nikomu szans, gdyż były to eksplozje wyładowywanego stresu, gromadzonego przez długie tygodnie w zatyrań podstawowce, za marne grosze, bo wiadomo, nie każdego stać na walkę z Rzędem, jak zrobili to rezydenci w szpitalach. A strażacy zamiast te eksplozje gasić, to tym razem dolewali oliwy do ognia w postaci czystej wódki radzywiście, niech ciało pedagogiczne płonie. Od czasu do czasu ten pożar chciał upiększyć jakiś niezgrabny dowcip pozostałych, ale trudno im było się przebić. Niektórzy w ogóle się nie przebijali. Zamknięci, gburowaci i ponurzy jak zachlapanie szyby jechali bez żadnego wyrazu, może po jakiś wyraz? Nie wiem.

Po drodze zatrzymaliśmy się w małym miasteczku na kawę i ciastko. Wielu szukało w knajpach telewizora by zerknąć na skoki Stocha, jak sobie radzi na mistrzostwach świata – bo przy kawie dobrze jest przegryźć takie skaczące patriotyczne ciasteczko, albo ciacho jak to mówią kobiety. Wracając do autobusu, zauważyłem arcykawką babinę z garbem wystającym ponad głowę. Bardzo pochylona dreptała jak żywe arcydzieło Dürera. Podbiegłem zrobić jej zdjęcie, mieszaniny pytając, czy można? Wyglądała na 90-100 lat. Coś powiedziała do mnie, ale nie dosłyszałem. Arcydzieło pocztapało dalej a ja zawstydzony pobiegłem do autobusu. Ruszyliśmy dalej i wkrótce osiągnęliśmy półmetek. Czekaliśmy już na nas konie zaprzężone do sań. Płonęły po-

chodnie. Zapakowaliśmy się i ruszyliśmy przez ciemny zamrożony las. By nie zamarnąć, śpiewaliśmy różne głupie piosenki i piliśmy wódkę. Konie parowały jak gorące źródła. Nasze ryki, wrzaski, przyspiewki, podśpiewki były chyba jedyną uczciwą wspólnotą, bo trzeba się było nawzajem ogrzewać, ogrzewać jak solidarnością. Jedni dla rozgrzewki biegli za saniami. To wspólne ciepło dawało nam życie i wynosiło ponad głupie podziały. Istniał tylko zmarznięty człowiek i to było wszystko, zwyczajna egzystencja. Stara wytarta prawda – bieda wszystkich łączy a bogactwo dzieli.

Po godzinie dotarliśmy na miejsce. Góralska chata pokryta śniegiem. W środku zacinata góralska muzyka i płonęło ognisko. Usiedliśmy na ławach wyścielanych kocami. Podano gorącą herbatę a potem kwaśnicę z chlebem. Wszyscy odczuwali że warto tu było wyrwać się z tej swojej wiochy umysłowej. Skoczna stylizowana góralska muzyka wprawiała mnie w dobry nastrój. Może i był to prawdziwy góralski zespół, nie wiem, ale rozbudowane instrumentarium i chórki nie przypominały tej starej monotonej szarpaniny na skrzypcach z przytupem. Tymczasem podano drugie danie i grzane wino. Po jedzonku jeden ze strażaków zaczął improwizować walkę z jakimś dzieciakiem z innego plemienia. Z plastikową tyżką w rękę i talerzykiem ruszył na nich z rozpędem. Tamci go odparowywali z uciechą, ale po kilku zderzeniach doszło do zgody przybiciem tradycyjną piętęczką, choć szósteczka też by nie pokrzyżowała nikomu planów. Ruszyliśmy z Rudą do tańca, bo muzyczka nie dawała siedzieć. Szybko zaludnił się parkiet. I coraz bardziej, coraz bardziej zaczęli szaleć, przekraczać jakieś w sobie granice. Niezgrabne, kanciaste ruchy cięty jak siekiera przester sali, jakby pragnęły dogonić tę muzykę, dorównać jej, a nawet ją przegonić, przewyższyć formą, jakby to ujął Gombrowicz, dać jej nowe życie, wykoślawione, niezgrabne, ale własne, z wywalonym jęzorem i tym co trudno nazwać uśmiechem. Ruszyły więc do tańca te homo stołki, te byfje, te kwiczące szeszlongi, te stoły z kluskami i modrą kapustą i co tylko Bozia dała, te trzeszczące tapczany. Ach jak to wszystko wirowało, jak nienasycone podskakiwało, tuptało, szurało, że aż ze wszystkie wojny nie miały odwagi wyjść ze swych ciemnych nor. I wszędzie te gapiące się gały. Pełno gał. To jest dopiero prawdziwa muzyka, z prawdziwą gębą, a nie jakaś tam muzyczka wyhaftowanych koleśków w kapelusikach z piórkami, którym za elegancję trzeba płacić. Ja cały złany potem usiadłem na ławie i obserwowałem te tańczące dziwolagi, te zerwane z tańcucha dusze. I te trupy pod ścianami nie tańczące, których żuchwy coś żuły. Jeden szczególnie, odwrócony plecami do tańczących miał w dupie te swoje 20 lat życia i nas wszystkich. Ze zwieszoną głową z nudów łamsił swojego smartfona. Przygnębiony, ponury, zdołowany, wyizolowany totalnie. Podczas gdy roztańczony ogień Bachusa rozpościerał się wokół niego, on w swoim zimnym piekle doznawał piekielnych katuszy współczesnej internetowej młodzieży. Inne trupy ze względu na wiek albo intelektualne lenistwo względy solidnie krainie milczących cieni, poruszających tylko żuchwami. Dokupiłem sobie grzańca i troszkę jeszcze z Rudą poskakaliśmy. Sznurowe tańcuchy rąk wity się po sali jak na jakimś weselisku. Ja z Rudą improwizowaliśmy wokół drewnianego słupa, kręcąc się w tę i z powrotem. W końcu wszyscy zaczęli tańczyć z tymi słupami. Brunetka w okularach próbowała przy tym słupie zapomnieć o rodzinnych nieszczę-

ściach, które nam zdążyła opowiedzieć przy kieliszku, dlatego skikała tylko na pół gwizdka. Ale nagle dla odmiany włączono disco-polo. Ludzie zaczęli gubić buty i wyrzucać z siebie te stare zasmucone duszyska. W końcu musiałem naprawdę usiąść by wyschnąć przed zakończeniem imprezy. Jeden ze strażaków siedział zgaszony pod ścianą, bo to właśnie jemu walił się 10 letni związek z brunetką w okularach. Więc ona tak z tą kolumną drewnianą dokazywała trochę, przy mojej pomocy zresztą, obtańcowywała ją w krótkie całą sobą. Bo ten drewniany słup, ta śliska kolumna a la grecka tragedia to był on, siedzący teraz pod ścianą jak zbity pies.

Siedzę, popijam i patrzę na te różne zawijasy i hopstańce, szturchańce, kopañce, wywijańce i te różnorakie trupy pod ścianami. Po co oni tu przyjechali?, zastanawiałem się. Przecież w domu też mogli tak siedzieć. Ale widocznie nie. Kto bardziej doceni ich martwe życie jak nie żywi? Skazani na chłodny czyściec za 68 złotych wpisowego mogą teraz szyderczo pokazać nam lustro roztańczonych zapocornionych, śmiesznych ludzików z prowincji, którzy chcą się rozerwać na tym padole też jak nigdy dotąd. Ano rozerwaliliśmy się. Noga mnie boli do dzisiaj, gdy to piszę.

W powrotnej drodze nie było tak wesoło. Wulgarny, chamski język przejął rządę. Ciało pedagogiczne i strażacy zaszyli się w kącie zmęczenia. Wsiadającym po drodze krzyczano na pożegnanie „wypierdolić ich!”, „niech spierdalają!” – co brano za dowcip. Mnie to cholernie irytowało, taki trywializm na zakończenie imprezy. Jedna wielka pogarda człowieka. Ale to była pogarda rzeczywistości, w której brałem udział. Ta pogarda nadawała ogólny ton tym wszystkim dookoła toczącym się po kątach gadkom, była powietrzem którym oddychaliśmy, była ziemią nie zamieszkaną przez nikogo, była ciężarem. Pomyślałem, że wzięta się z ciężkiej roboty na kopalni lub z ciężkiej roboty w ogóle, z historii tej ziemi co w dupę dostała, schłostanej batem różnych okupantów. Teraz tu rządzi brutalny, szorstki język, nie pozbawiony jednak głębi zwyczajnej uczciwości. A skąd te wszystkie wojny i piekła? Hm, z dupy, to znaczy z języka o różnych pojemnościach znaczeniowych. A piekło się bierze z zapiekłej zaściankowości, z ukrytego wytykania ci żeś nie u siebie, z ksenofobii, z kompleksów, z hermetycznie zakneblowanego prowincjonalnego umysłu. To główny nawóz, na którym wyrasta rasizm i totalitaryzm. Te piekłowojszy zawsze wiszą w gęstym powietrzu przyczajone jak mgietka nitrogliceryny. Wystarczy jedna iskra i wszystko płonie.

MARIAN LECH BEDNAREK STYCZEŃ 2018



Bernard Łach

o swoich

miał duży tupet
i znali jego wybryki

od dzieciństwa
pośród nich dorastał
i zdawało się że to nic więcej

z bliska
to tylko syn marii

a z daleka

chata

pełna słów
głucha

i nikiemna
kiedy
zbrodnia dziecka

zabija rodzinę

jak odkryć
czego bóg chciał
a czego nie

miał w swoim planie
na życie ojca

i syna

nie poddawaj się

dno nierównomierne
i otchłań

ciemność przybija
twarz łzami
zakryta

niebo wzywa
wzywa

wspólnota skopanych

dziś już nie przekładam
prób na jutro

bo można nagle skopać
swe życie

dziś może być bramą
do przejścia

z niewiary

by powstać z nim razem
we wspólnocie skopanych

gdzie należę

osiem miliardów bogów
człowiek stale samotny
nie rzucam rękawicy
żeby coś wywołać
są bohaterowie
i cała reszta
a ja wciąż
waham
się

nadzieja

szpilki nie wbijesz
w pampersa

dla kasjerów
głowa pęka od decybeli

pasuje jak ulał
choć wszystko
krzywe

wstań wreszcie
i chodź

za mną

kiedy zawsze

któryś raz kartkujesz książkę przed egzaminem
tłumaczysz dziecku
nie dobrze szarpać psa za uszy
i nie rozumiesz sprawy z chlebami

pokrewieństwo nie zawsze pomaga
nie znamy tajemnicy życia
którą nosi biedronka i ludzkie serce

nawet w ziarnku maku
promieniującej paproci
jego pouczenia wyczekują wyspy

do morza
dwieście metrów
tyle co dwa

boiska
rekord nurkowania
czas

ponad pół roku

za tyle denarów
nie wystarczy
chleba

wiele tysięcy
wykarmi samo tylko
miłość

pycha

wydrążyłeś mi uszy
jak pod wodą w cysternie

mówi

jesteś ważną osobą
świat bez ciebie sobie nie poradzi

nie mówi

w moim sercu rozpętała się wojna
już nie tylko o wpływy

Bernard Łach –

Od 2008 roku z przerwami publikuje na portalach poezja-polska.pl, publixo.com, i emultipoetry.eu. Od 2018 roku członek Grupy Literackiej Sylaba, i grupy Peron Literacki. Członek Stowarzyszenia Pisarzy Polskich Oddział Kraków od 2023 <https://www.sppkrakow.pl/bernard-lach/>.

W 2004 wydał monografię klubową z okazji Jubileuszu 50 lat istnienia K.S. Grębałowianka. W 2021 tomik wierszy „Psalmiki” wydany przez Krakowską Bibliotekę Młodych Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. W 2022 tomik wierszy „Unosi się” wydany przez Krakowską Bibliotekę Młodych Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

Bogusław Żyłko

ROSYJSKI UCZONY PISZE WERSZ O KS. JERZYM POPIELUSZCE

Tym uczonym był Wiaczesław Iwanow (1929-2018), lingwista-indoeuropeista, semiotyk, antropolog, zajmujący się wieloma różnymi „tekstami kultury” (od mitologii słowiańskiej po film i poezję awangardową), tłumacz. Nie był wyjątkowo uczonym, zamkniętym w swoim gabinecie, wśród stert książek (choć jego czytanie w najróżniejszych dziedzinach było legendarne), ale żywo interesował się, o czym świadczy także poniższy wiersz, sprawami publicznymi i to nie tylko w swoim kraju.

PAMIĘCI KSIĘDZA POPIELUSZKI ZABITEGO PRZEZ AGENTÓW POLSKIEJ BEZPIEKI*

Wojskowe śmigłowce w górze
nad kościołem krążyły.
Dla spóźnialskich brakowało
w nim już miejsca,
Młody kapłan znajdzie się w grobie
Przed następnym moim przyjściem.

Przed samym kazaniem Popiełuszko
Zapytał mnie, czy czuję się bezpiecznie.
„Mogą Pana zauważyć. Proszę
nie stać na widoku”.
Przekazywano sobie, co
wszystkim było jasne:

„Po mszy kordon milicji
Otoczy nas. Przechodźcie spokojnie,
Wszystkich przepuszczą”.
I tłum zaczyna się modlić.
Robotnicy obok mnie,
stanowczy jak żołnierze.

Przybyli z zakładów pracy
z daleka do Warszawy.
Jest to ta rewolucja, o której pisano książki.
Wygląda ona powszednio,
a nie majestatycznie
I księża są prawdziwi, a nie malowani.
Dzień później w górnych
salach innej świątyni,
Dookoła żołnierze: możliwa
jest oblawa i rewizja,
Podziemna drukarnia pracuje
za ścianą uparcie,
Imperium niepowstrzymanie
wali się w przepaść.

A po kilku latach dowiedziałem
się: na zawsze pod niebiosa
Odleciał kapłan – były lotnik.

Ale tego wieczoru dziesiątki
tysięcy śpiewało razem

I w każdym z nas pozostał
Popiełuszki autograf.
(Warszawa 1983 – Grinnell
7 – listopada 2002)

Wiaczesław Iwanow należał do ścisłego grona założycieli nieformalnej wspólnoty naukowej, znanej w świecie jako „tartusko-moskiewska szkoła semiotyki kultury”, aktywnej w latach 1960-1990. Przeszło przez nią wielu wybitnych uczonych. Pomimo istnienia rozmaitych ograniczeń w kontaktach z zagranicą szkoła ta nie rozwijała się w całkowitej izolacji. Obserwowano, co się dzieje w humanistyce w innych krajach, w tym także w Polsce.

Nasz kraj zajmował tu miejsce szczególne, nie tylko z uwagi na swój potencjał naukowy, ale także wydarzeń społeczno-politycznych, jakie zachodziły w tym czasie w Polsce, mające znacznie szersze i donioślejsze reperkusje. Przytoczmy kilka wymownych reakcji tworzących szkołę osób na te zdarzenia.

Należałoby zacząć od wyboru kardynała Karola Wojtyły na papieża w październiku 1978 roku. Jurij Łotman swój list do Borisa Uspieńskiego rozpoczął słowami: „Habe-mus papam! Ale bomba!”¹. Poprzedzają one właściwe pismo, dotyczące bieżących spraw zawodowych. Łotman, który wiele wówczas rozmyślał o historii intuicyjnie wy-czuł, że zdarzenie to, skądinąd przypadkowe, a więc nieprzewidywalne, może uruchomić szereg dalszych. I rzeczywiście, była to ta eksplozja, która wywołała następne, jeszcze istotniejsze w swoich skutkach. Powstanie masowego ruchu „Solidarność” dwa lata później było tego jawnym potwierdzeniem. Ciekawe, że jeden z jego synów, Mihhail (późniejszy profesor uniwersytetów w Tallinnie i Tartu oraz poseł do parlamentu estońskiego) pod wpływem tych faktów postanowił się ochrzcić w Kościele katolickim (sam Łotman był agnostykiem).

W Gorbaczowowskiej pieriestrojce, którą gorąco popierał, widział szansę dla Rosji na wyjście poza „dualny model” historii, polegający w skrócie na okresowej zamianie miejsc przez dwie przeciwstawne siły. Dzięki tym przemianom mógł nareszcie otrzymać paszport i wyjechać zagranicę. Podczas pobytu w Rzymie został nawet przyjęty (razem z żoną Zarą Grigorjewną Minc) na audiencję przez Jana Pawła II. Trzeba dodać, że przed tymi zmianami Łotman ze swoją katedrą (na Uniwersytecie Tartuskim kierował katedrą literatury rosyjskiej) znajdował się pod czujnym okiem miejscowego KGB. Utrzymywał też kontakt z dysydentką Natalią Gorbaniewską. Pewnego razu KGB przeszukało jego mieszkanie, szukając tzw. bibuły. Jej nie znaleźli, ale trafili na piecu na cały woreczek odznaczek wojennych – Łotman wojnę spędził na froncie jako te-

legrafista. Na pytanie, skąd ma te ordery, miał odpowiedzieć, że je ...ukradł.

Inny wybitny uczony, współtwórca szkoły, Wiaczesław Iwanow pozostawił swoje świadectwo głębokiego przeżywania tego, co się działo w Polsce już w czasie stanu wojennego. Jest nim wiersz pt. *Pamięci księdza Popiełuszki zamordowanego przez agentów polskiej bezpieki*, który wyżej został przytoczony. Autor uczestniczył w jednej ze mszy za Ojczyznę, jakie odprawiał polski kapłan w kościele na Żoliborzu i w wierszu zawarł obrazy z tego nabożeństwa (tysiące uczestników, robotnicy, atmosfera powagi i wiary w zwycięstwo słusznej sprawy). Ostatnia zwrotka prezentuje już inną perspektywę czasową – głosi, że nie ma już wśród nas księdza, ale w każdym z nas pozostało jego słowo.

Jeszcze inny uczony z „wielkiej piątki” semiotyków tartusko-moskiewskich, Władimir Toporow, swoje sympatie do Polski wprost ujawnił w liście, adresowanym do piszącego te słowa po ukazaniu się w naszym kraju jego książki. Warto przytoczyć fragment tego wzruszającego świadectwa: „Nie ukrywam, że jest mi przyjemnie zaprezentować się polskiemu czytelnikowi. Żywię, podobnie jak ludzie z mojego kręgu, do Polski stosunek szczególny, tłumaczący się zarówno miłością do kultury polskiej, jak i świadomością tej winy, którą tak trudno odpokutować”. Chodzi tu winy historyczne, jaką było na przykład nieudzielenie pomocy przez Armię Czerwoną powstańcom warszawskim w 1944 roku (Toporow wspominał o tym w innym liście). Miał też na uwadze czasy zaborów, napisał nawet specjalny artykuł o reakcji literatury rosyjskiej na pierwszy rozbiór Polski².

Jurij Łotman także, kiedy tylko mógł, pisał o tych „rosyjskich winach”. Będąc w Tartu na początku 1984 roku, w rozmowie z nim zwróciłem uwagę na lukę, jaką pojawiła się w jego biografii Puszkina³, w rozdziale opowiadającym o pierwszych latach trzeciej dekady życia poety. Na jego początku pojawiła się ważna informacja o wybuchu powstania listopadowego w Warszawie i detronizacji przez sejm polski w styczniu 1831 roku cara Mikołaja I. Wydarzenie to bardzo poruszyło Puszkina. Obawiał się, że pod wpływem propolskiej propagandy może dojść do ingerencji zewnętrznej w wojnę polsko-rosyjską po stronie Polski. Napisał wówczas szowinistyczne antypolskie wiersze (dwie „ody”: *Do ośzczerców Rosji* i *Rocznica Borodina*, w których zaprezentował się jako jeden z „trubadurów imperium”). W biografii mówi się tylko o obawach Puszkina i pierwszym z wymienionych utworów. Na moją uwagę o tej luce Łotman zareagował emocjonalnie: „Cenzura wycięła mi pięć stron”. Trzeba dodać, że po „festiwalu Solidarności”, zakończonym wprowadzeniem stanu wojennego, tematyka polska była pod szczególnym cenzorskim nadzorem i blokowano nawet prace o tematyce historycznej. Z tego samego spotkania zapamiętałem też

komentarz Łotmana do aktualnych zdarzeń. Było to po śmierci Leonida Breżniewa i objęciu najwyższego stanowiska w kraju przez Czernienkę. Tę zmianę Łotman spuentował następująco: „Jeden trup odszedł, a teraz rządzi nami drugi”. Nowy sekretarz generalny był w kiepskiej kondycji zdrowotnej i rzeczywiście szybko zmarł.

Na pożegnanie gospodarz (spotkanie miało miejsce w mieszkaniu Łotmana) wręczył mi kilka nadbitek z prośbą o przekazanie ich swoim warszawskim przyjaciołom, profesorom z warszawskiego Instytutu Badań Literackich PAN – Stefanowi Żółkiewskiemu i Marii R. Mayenowej.

W ten sposób przeszliśmy do kontaktów szkoły tartuskiej nauką polską. Zaczęły się one jeszcze przed formalnym zawiązaniem się szkoły za sprawą uczestnictwa niektórych jej przedstawicieli w dużych międzynarodowych konferencjach teoretycznoliterackich, organizowanych w Warszawie i Kazimierzu Dolnym przez wymienionych warszawian. W ten sposób mogli oni zetknąć się z nauką zachodnią i wprowadzić idee rodzącej się wspólnoty naukowej do szerszego obiegu międzynarodowego.

Po uformowaniu się tej nowej wspólnoty naukowej kontakty te zintensyfikowały się i materializowały w omówieniach publikacji tartuskich w polskich czasopismach naukowych i przekładach wybranych tekstów na język polski. Wkrótce ta nowa szkoła w hu-

manistyce została zaprezentowana w Polsce w obszernej antologii⁴ z rzeczowym wstępem Stefana Żółkiewskiego. Doszło też do prób bezpośredniej współpracy tych dwóch środowisk naukowych. Jej najbardziej wymownym przykładem są wspólne działania przy publikacji ważnego dla całej szkoły tekstu – *Tez do semiotycznych badań nad kulturą (w zastosowaniu do tekstów słowiańskich)*. Zostały one ułożone przez „wielką piątkę” semiotyków tartusko-moskiewskich i przesłane do Warszawy dla konsultacji z polskimi kolegami.

W dyskusji nad tekstem, zatytułowanym *Semiotyka kultury. Założenia i program badań*, wzięło udział wielu polskich czołowych teoretyków języka i literatury, m. in. Andrzej Bogusławski, Jerzy Faryno, Michał Głowiński, Maria Renata Mayenowa, Janusz Stawiński, Stefan Żółkiewski, którzy mieli swój wpływ na ostateczny kształt *Tez*. Należy też dodać, że po raz pierwszy zostały one opublikowane w Polsce w tomie materiałów, dedykowanym VII Międzynarodowemu Kongresowi Sławistów⁵.

Już z tych przykładów widać, że te kontakty były bardzo ożywione. Wyrażały się one zarówno w obustronnym przepływie idei, jak i w działaniach indywidualnych (udział w konferencjach, publikacje prac, korespondencja). Dużo informacji na ten temat można znaleźć w listach (i w ogóle archiwum) Jurija Łotmana, które są sukce-

sywnie publikowane. W ogóle ten temat zastuguje na obszerniejsze studium.

Kwestie te mają też pewne ogólnejsze znaczenie. Wskazują na to, że ludzie nauki (i szerzej – wysokiej kultury) są w stanie prowadzić owocną wymianę myśli nawet w bardzo niesprzyjających temu warunkach politycznych. Jest to szczególnie aktualne dzisiaj, kiedy w naszej części Europy znów pojawiła się nowa bariera, nowa żelazna kurtyna. Totalitarne reżymy polityczne w dłuższej perspektywie czasowej nie są jednak w stanie zablokować dialogu myśli ponad barierami i granicami. I to jest taka budująca konkluzja, którą można wyciągnąć z tej konkretnej historii.

BOGUSŁAW ŻYLKO

*Podstawa przekładu: W. W. Iwanow, *Potom i opytom*, Moskwa 2009.

1 J. M. Lotman, *Pis'ma 1940-1993. Sostawlenije, podgotowka teksta, wstup. stat'ja i kommentarii* B. F. Jegorow, Moskwa 1997.

2 W. Toporow, *Odpowiedź literatury rosyjskiej na pierwszy rozbiór Polski*. Przeł. B. Żylko, „Teksty Drugie” 2006, nr 1-2, s. 87-99.

3 J. M. Lotman, *Aleksander Puszkina, Moskwa 1982. Pol. przekład: Warszawa 1990, przekład A. Węgrzyn.*

4 *Semiotyka kultury*.

5 *Semiotyka i struktura tekstu. Studia poświęcone VII Międzynarodowemu Kongresowi Sławistów*. Pod red. M. R. Mayenowej, Wrocław 1973.



Johann Wolfgang von Goethe

tłum. Karol Wapniarski

Poszukiwacz skarbów

Ani grosza, serce chore,
Co dzień umierałem z trwogi:
Nie odpocznie, kto ubogi,
Bogacz radość mnoży swą!
By zakończyć cierpień zmorę,
Skarb wykopać sobie muszę:
Weźmiesz całą moją duszę!
Podpisałem własną krwią.

Z kośćmi zioła wziąłem razem,
W ziemi zakreśliłem kręgi,
Rozstawiłem ogni wstęgi,
Wywołałem zaklęć moc.
I skarb stary, za rozkazem,
Kopać jałem rozpalony,
W miejscu z dawna przeznaczonym;
Burzą rykła czarna noc.

Wtem ujrzałem blask w płomieniach

–
Jako gwiazda się zapalił,
Mieniać się w najdalszej dali;
Zegar punkt dwunastą bił.
Bez żadnego ostrzeżenia
Więcej światła z każdą chwilą
Z tryskającej czary biło;
Za nią piękny chłopiec lśnił.

Pod koroną z kwiatów raźnie
Błysły wnet szlachetne oczy:
W pełnym blasku czary, wkroczył
Z swym napojem w ogni krąg.
Pić rozkazał mi przyjaźnie;
Pomyślałem, patrząc w czarę:
Z takim pięknym, jasnym darem,
Mógłby to być właśnie On?

Czyste życie razem ze mną
Pij! A pojdziesz, o co chodzi;
I nie będziesz tu przychodził
Więcej już – uciekniesz stąd.
Nie kop więcej nadaremno:
Praca! Po niej przyjaciele!
Gorzki tydzień! Wesel wiele!
To miej zamiast wszystkich klątw.

Der Schatzgräber

Arm am Beutel, krank am Herzen,
Schleppt' ich meine langen Tage.
Armut ist die grösste Plage,
Reichtum ist das höchste Gut!
Und zu enden meine Schmerzen,
Ging ich einen Schatz zu graben.
„Meine Seele sollst du haben!“
Schrieb ich hin mit eignem Blut.

Und so zog ich Kreis' um Kreise,
Stellte wunderbare Flammen,
Kraut und Knochenwerk zusammen:
Die Beschwörung war vollbracht.
Und auf die gelernte Weise
Grub ich nach dem alten Schatze,
Auf dem angezeigten Platze;
Schwarz und stürmisch war die Nacht.

Und ich sah ein Licht von weiten;
Und es kam, gleich einem Sterne,
Hinten aus der fernsten Ferne,
Eben als es Zwölfe schlug.
Und da galt kein Vorbereiten.
Heller ward's mit einemmale
Von dem Glanz der vollen Schale,
Die ein schöner Knabe trug.

Holde Augen sah ich blinken
Unter dichtem Blumenkranze;
In des Trankes Himmelsglanze
Trat er in den Kreis herein.
Und er hiess mich freundlich trinken;
Und ich dacht': es kann der Knabe
Mit der schönen lichten Gabe,
Wahrlich nicht der Böse sein.

Trinke Mut des reinen Lebens!
Dann verstehst du die Belehrung,
Kommst, mit ängstlicher Beschwörung,
Nicht zurück an diesen Ort.
Grabe hier nicht mehr vergebens:
Tages Arbeit! Abends Gäste!
Saure Wochen! Frohe Feste!
Sei dein künftig Zauberwort.

Wieczorny śpiew artysty

Ach, gdyby pełnia twórczych sił
Wraz przeszła przez me zmysły
I pełny życia obraz mi
Spod palców płynął czysty!

Drzę cały, jąkam się i łkam,
Daremnie siłę duszę,
Lecz wiem! – ja cię, Naturo, znam,
I ciebie złapać muszę.

Gdy wspomnę, ile długich lat
Budziły się me zmysły
I gdzie raz suchy więdnał kwiat,
Dziś strumień płynie bystry:

Jak tęsknię, by cię poczuć znów,
Byś znów mi była droga!
Fontanną będziesz złotych słów,
Tysiącem kropli błoga;

Ty zmysłom moim dodasz sił,
Ty umysł mój wyostraszysz,
Bym kilka swoich ziemskich chwil
Rozciągnął do wieczności.

Künstlers Abendlied

Ach, daß die innre Schöpfungskraft
Durch meinen Sinn erschölle!
Daß eine Bildung voller Saft
Aus meinen Fingern quölle!

Ich zittre nur, ich stottre nur,
Und kann es doch nicht lassen;
Ich fühl, ich kenne dich, Natur,
Und so muß ich dich fassen.

Bedenk ich dann, wie manches Jahr
Sich schon mein Sinn erschließet,
Wie er, wo dürre Heide war,
Nun Freudenquell genießet;

Wie sehn ich mich, Natur, nach dir,
Dich treu und lieb zu fühlen!
Ein lustger Springbrunn wirst du mir
Aus tausend Röhren spielen.

Wirst alle meine Kräfte mir
In meinem Sinn erheitern
Und dieses enge Dasein hier
Zur Ewigkeit erweitern.

Zagadka

Należy się szacunek wielki
Rozlicznym ludziom za trud wszelki;
Lecz kto nam stawia przed oczyma
To, co natura skrytym trzyma,
Ten będzie zwan największym w świecie!
Lecz kto to taki, przecież wiecie?

Rätsel

Viele Männer sind hoch zu verehren,
Wohltätige durch Werk und Lehren;
Doch wer uns zu erstatten wagt,
Was die Natur uns ganz versagt,
Den darf ich wohl den Größten nennen:
Ich denke doch, ihr müsst ihn kennen?

Niecierpliwość

Tylko szybciej, tylko dalej,
Przez krainy po kres mórz,
Rój fantazji wyżej stale
Wznosi się nad brzegiem wzdłuż!
Nowe wciąż jest doświadczenie,
Serce wciąż tak samo drży –
Młodość żywi się cierpieniem,
Świętym pieśniom płyną łzy.

Ungeduld

Immer wieder in die Weite
Über Länder an das Meer,
Phantasieen in der Breite
Schwebt am Ufer hin und her!
Neu ist immer die Erfahrung:
Immer ist dem Herzen bang,
Schmerzen sind der Jugend Nahrung,
Thränen seliger Lobgesang.

Karol Wapniarski (2002) – doktorant w Szkole Doktorskiej Nauk Społecznych Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, student filologii klasycznej (II stopnia) i absolwent filozofii (I i II stopnia) w ramach Międzydziedzinowych Studiów Indywidualnych. Laureat Stypendium im. dr. Jana Kulczyka w roku akademickim 2023/24 i Stypendium Naukowego Marszałka Województwa Wielkopolskiego w roku akademickim 2024/25. Rekordzista Polski w szybkości ukończenia studiów licencjackich (studia ukończone w rok), przebywał na semestralnych stypendiach na Uniwersytecie im. Fryderyka Schillera w Jenie oraz paryskiej Sorbonie. Członek Sekcji Tłumaczy przy Stowarzyszeniu Pisarzy Polskich O/Wlkp. w Poznaniu. Publikuje przekłady literackie m.in. z niemieckiego, włoskiego, hiszpańskiego, łaciny.

Jan Stanisław Smalewski

Życie pisarza w dużej części polega na wyobrażaniu sobie „co by było, gdyby...”. Co by było, gdyby on pisarz nie miał dla kogo pisać książek. Albo gdyby jego książki nie zostały docenione przez czytelnika? Co by było, gdyby bohaterowie tych książek weszli z nim w układy materialne. Na przy-

kę. Co do oczekiwanej komedii jednak tak szybko i obszernie, jak bywało to w serialach komediowych z udziałem aktora Cezarego Żaka, nie dochodzi. Zwłaszcza gra aktorów w pierwszym akcie wskazuje raczej na spektakl o charakterze kryminalnym z licznymi wątkami natury psychologicznej, wpisanymi właśnie w naturę twórcze pisarza i aktora – osób, które nie tyle spełniają się w sztukach twórczych dla zaspokojenia wewnętrznych potrzeb duchowych, ile w potrzebach zarabiania dużych pieniędzy – niezbędnych do luksusowego życia, korzystania z używek i otaczającej ich aury.

Prowadzona od początku spektaklu

Piotr Głowacki grający rolę Herolda Kenta w PUŁAPCE z Pawłem Lichotą - Pauliem Riggsem, na skutek pokretnych imaginacji, mających przynieść im sukces zawodowy, wpadają we własne sidła, wpadają w pułapkę, która dopełnia tragizmu sztuki, nadając jej jednocześnie na zakończenie, także oczekiwanego przez widza posmaku komedii – tragicznej komedii. To jest rewelacyjne, może się podobać widzom. A w tym opisanym przypadku podobało się bardzo, owacjom nie było końca.

Nie jest zadaniem eseisty opowiadanie jej szczegółów. Te należy indywidualnie odnaleźć i emocjonalnie ich doświadczyć, ku-

SPOD SCENY I EKRANU: - PUŁAPKA

kład oskarżyli go o czyny, których nie popełnili lub przypisać im cechy charakteru, które tak naprawdę są cechami tylko jego, pisarza. Pisarza potrafiącego przypisywać innym swoje wyobrażenia, ubierającego postaci swoich książek w swoje ubrania, obdarzającego ich swoimi własnymi wadami i nakazującego im postępować według swoich wyimaginowanych reguł.

Czym zatem od życia pisarza różni się życie aktora? Różni się zasadniczo z dwóch powodów. Pierwszym z nich jest to, że aktor nie tworzy nowych dzieł, jedynie odtwarza te wymyślone przez pisarza. Po drugie: różni się sposobem na życie. Pisarz z pozoru pozostaje wciąż człowiekiem wolnym, niezależnym, lekkoduchem obracającym się w świecie utudy. Chociaż... może się zdarzyć, że także obracającym się w świecie obłudy i fałszu, który bumerangiem na skutek nieuwagi może obrócić się przeciwko niemu. Może go zabić(!) – ta ostatnia refleksja ciśnie się mi na myśl właśnie po obejrzeniu spektaklu teatralnego PUŁAPKA.

Aktor takich możliwości nie ma, ale... Właśnie jest owo „ale”, które wiąże z jednego, i drugiego. A jest nim poziom kreacji, są nimi elementy przekazu emocjonalnego polegające na artystycznych związkach wyrażania siebie: pisarza i aktora. To sztuka przekazywania treści, sztuka wpisywania się wiernie w sytuację i postaci tak, że artyzm może osiągać obu jednocześnie.

Sięgając po przysłowiowe pióro (przystawione, gdyż tekst ten piszę na komputerze), postaram się opowiedzieć swoje odczucia na temat sztuki widzianej spod sceny. Sztuki zapisu słowa będącego wytworem wyobraźni pisarza i odtwarzanego potem przez aktora.

Z lubością uczestniczyłem ostatnio (także jako pisarz) w spektaklu teatralnym PUŁAPKA wyreżyserowanym przez znanego wszystkim Cezarego Żaka. Reżysera, a wcześniej uwielbianego aktora występującego w kultowych serialach komediowych MIODOWE LATA, a następnie RANCZO Wilkowyje, gdzie znakomicie wcielił się w dwie postaci: wójta i jego brata księdza.

Już zatem samo nazwisko reżysera mogło wielu z nas zachęcać do obejrzenia „Pułapki”, sugerując dobrą – komediową – rozryw-

przeczka pomiędzy dwoma pisarzami, a jednocześnie przyjaciółmi Heroldem Kentem, którego gra Piotr Głowacki i Pauliem Riggsem, w którego wcielił się Leszek Lichota, wprowadza atmosferę niepokoju i napięcia. Przyjaciele wspólnie piszący od dziesięciu lat scenariusze kryminałów telewizyjnych kłócą się o istotę jak najlepszego pomysłu do kolejnej sztuki, gwarantującego jej powodzenie. Pomysłu na zbrodnię doskonałą. Odnalezienie takowego pomysłu utrudnia im wieloletnie wyczerpanie twórcze, a także zażyłość ograniczająca każdego z osobna istotą tączących związków. W ocenie Kenta niesprawiedliwy 50-cio procentowy podział honorariów, a u Riggsa zazdrość o luksusowy apartament w nowoczesnym stojącym na nadmorskim klifie wieżowcu, Sprzeczka doprowadza obu do głębokich wynurzeń natury osobistej i przekłada się na szukanie przez Herolda Kenta dowodów na potrzebę zerwania dalszej współpracy z Pauliem, który nie dotrzymuje terminów, uzależnił się od alkoholu i jako rozwiedziony ma kłopoty z normalnym życiem. Paul nie pozostaje na te wymówki dłużny przyjacielowi ujawniając, iż zna liczne szczegóły jego przekrętów finansowych i w razie zerwania wiążącej ich umowy, ujawni je policji.

Tak. W tym momencie nie miałem wątpliwości, sztuka PUŁAPKA ma charakter kryminalny. Jest zresztą osnuta na kryminalnej powieści Edwarda Taylora (w tłumaczeniu Alicji Przeraźńskiej i Adama Kasianiuka). Trzymającą do końca w coraz większym napięciu jej fabuła, całkowicie burzy wszelakie domysły widza co do kolejnych rozstrzygnięć: dotyczących życia jej głównych bohaterów, jak i ewentualnego rozwiązania odnalezienia sposobu na zbrodnię doskonałą.

Zarówno trzymający czytelnika w napięciu kryminał, jak i wiernie przez znakomitych aktorów odtwarzający jego główny wątek spektakl teatralny, trzymają w napięciu do samego końca. Przy czym, kto wcześniej czytał książkę, z niepokojem śledzi tok przyszłych wydarzeń. A na tego, kto zderza się ze sztuką bez tych podpowiedzi, spada grad coraz śmielszych intryg, a niekiedy wręcz szokujących zwrotów akcji, z zaskakującym zakończeniem włącznie.

pując bilet na spektakl. Odnaleźć i przeżyć osobiście. A wyjaśniam, że warto, są niezwykłe, a do tego pokazane (czytaj: zagrane) z wyjątkową drobiazgowością i kunsztem aktorskim – powodującym, że to właśnie w nim odnajdujemy zacieranie się różnic pomiędzy pisarzem i aktorem. Zarówno emocjonalna, pełna zawodowej rutyny gra aktorska Piotra Głowackiego jak i Leszka Lichoty powodują jak zwykle, że są oni wybitnymi artystami zarówno sceny teatralnej jak i sztuki filmowej.

Piotrowi Głowackiemu popularność przyniosły role w filmach „Planeta singli” oraz „Nieobecni”. Jest laureatem ORŁA za drugoplanową rolę w filmie „Bogowie”.

Największe wrażenie wywarł na mnie jednak w filmie „Mistrz” reżyserii Macieja Barczewskiego, w którym grał przejmującą rolę przedwojennego wiceministra Polski w boksie wagi koguciej Tadeusza Pietrzykowskiego – legendarnego „Tedda”, który dostał się do niemieckiego obozu koncentracyjnego. Gdzie, żeby przeżyć, brał udział w organizowanych dla więźniów przez hitlerowców walkach bokserskich. Stoczył ich 40 (przegrywając tylko jedną), w tym zwycięski pojedynek pięściarski z niemieckim kapo. Walki te aktor odtworzył z wyjątkową pasją sportowca, pokazując kawał solidnej rzemieślniczej roboty.

W roku 2023 zdobył Telekamerę i tytuł najlepszego polskiego aktora.

Leszek Lichota to znany aktor serialowy, teatralny i filmowy, któremu popularność przyniosły role serialowe: Grzegorza Zięby w „Na Wspólnej”, Marka Dębskiego w „Prawie Agaty” i Wiktora Rebrowa w „Watasze”. W roku 2023 zagrał tytułową rolę doktora w filmie Michała Gazdy „Znachor” (trzecia kinowa ekranizacja powieści Dotęgi Mostowicza).

PUŁAPKĘ odtwarzają ponadto grający drugoplanowe role: żony Herolda Kenta – Marta Ścisłowicz (wyróżniona niedawno przez Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego za rolę Roksany w „Cyrano de Bergerac”) i delectywa – dobrze zapowiadający się młody aktor Jędrzej Hycnar (gra obecnie w serialu „Napad” na platformie Netflix).

JAN STANISŁAW SMALEWSKI

Julia Kłoda

MOJE PRZYJACIÓŁKI SAMOBÓJCZYNI E

Lamotrygina

Z Lamotryginą miałam swój pierwszy raz
po miesiącach hibernacji uśmiechnęła się do mnie
wizja końca
bez przygotowania tańczyłyśmy
trzydzieści tabletek popiłam
litrem wody
światło stało się kąśliwe
ciało spało dwa dni bez wychnienia
głowa trafiła na terapię
reszta życia odtąd toczyła się w łóżku
bez znaczenia co będzie dalej

Flukosetyna, Pregabalina,
Prometazyna, Teseda

teraz już żadna z nich nie zdoła mnie uratować.

Traxene

Wystarczy przez miesiąc nie wyjść z łóżka
bełkotać i szlochać
po kolejnej recepcie miało się udać
zbawienny sen
wiotkie mięśnie
język, którym miałam nadzieję się udusić
kolejne trzydzieści tabletek
najsmutniejsza z przyjaciółek
alarm wzbił się na jej cześć
a potem czytam kartę ze szpitala:
*pacjentka po próbie samobójczej,
wykonano płukanie żołądka,
odmawia hospitalizacji*

ś. obchodzi się ze mną
jak gdyby nigdy mnie w nim nie było
nie widzę słońca
nie czuję pękających kości
nie potrzebuję snu
sprawia, że nic nie wydaje się realne
świat kroczy za mną z tyłu
nie obchodzi go istnienie
nie zależy mu
na jednym człowieku
więcej lub mniej

Kwetiapina

moja miłość
ukochałam ją sobie za
narkotyczne sny
odrętwienie
niezdolność mówienia
pustkę, którą mi przyniosła
i czas, który nie wiadomo kiedy upływa.
Sprawiła, że uwierzyłam we własną nieśmiertel-
ność
myślałam - nie zrobi mi krzywdy
pasożytniczo potrzebowałam jej do życia,
ale żadna dawka nie przywróciła mi dawnej siebie

gdzieś w falach
szukam twoich włosów
by spętały mnie
i wyrzuciły na drugi brzeg

Marian Lech Bednarek

ZAMECZEK W CZERNICY

Agnieszce Ani i Hani

ożeniłem się z Zameczkiem
tyle mi tam obrazków się rodzi z aniołkami
pędzelkami dzbanuszkami Agnieszkami
i innymi cudami które nasza Ania fotografuje
i wysyła w świat

w każdy piątek się spotykamy na palecie
i pływamy każdy gdzie chce
z „my friends” na ustach się wie

w kolejny piątek zakończę mój nowy obraz
Aureola Palety
i Ania jak zawsze fotkę zrobi
by odleciał do ludzi
do Hani od poezji
za horyzont
a ja zacznę nowy obraz świętować w moim
szalonym sercu
fruwając ulubionymi kolorami

29.03.2025

CIECIE GAŁĘZI

wycinam wiersz z kawałków
starej brzozy
aż słyszać w całej wiosce
wers po wersie wers po wersie
piła tarczowa wystukuje szalony rytm

idę po następną zwrotkę za krzaki
wyciąłem kawałek Bednarka z tej brzozy
i teraz to muszę wynosić za szopę
by wyschło i czekało na zimę

wersik do wersika
wersik do wersika
wersik do wersika
grube i cienkie
grube i cienkie
i nowa kupka się uzbierała
w kwietniowy wiersz

2.04.2025

ZWITEK PAPIERU

Śp. Dorocie Gonsior (Bednarek)

jeśli wiersz przekreśla ci poezję
podrzyj go na kawałki
bez litości i różnych kombinacji
że da się z niego usunąć grafomaństwo
zrób sobie z tego fajny zwitek
i zacznij nim szeleścić na całego zamieniając go
w buntowniczy chór kartkowy

po jakimś czasie zobaczysz w tym zwitku anioła
który ratuje życie twoje duszy
właśnie wróciłem z pogrzebu Dorotki
mojej siostrzyczki która całe życie śpiewała
w chórze kościelnym

a dziś opijaliśmy na stypie jej zdrowie niebiańskie
mój zwitek przechodzi różne ewolucje
gdy go gniołę w garści
nie będę pisał jakichś gniołów gdy czysta poezja
czeka na mnie jak moja siostrzyczka w kuchni
gdy ją odwiedzałem

19.03.2025

ZACEROWANY WIERSZ

zacerowałem wiersz
dziurawy po lewej stronie
mojej klatki piersiowej
z flanelki i w różne kolory
w który cały czas się ubieram
dokądkolwiek idę czy na imprezę
czy do sklepu
aż żona mi zazdrości
że sobie dałem radę
czarną nitką zapisać tą dziurę
teraz jak nowy
dla każdego do czytania oczami
interpunkcja gra po dawnemu
i forma z różnych kwiecistych
kwadracików
ale żona mnie straszy krawcową
że to poprawi
na szczęście broni mnie
prawo autorskie

6.04.2025

RADOŚĆ

tak się cieszę że nawet najgłupsze mordy w serialach TV
 są mi bliskie jak cień w słoneczną pogodę
 a uśmiech dziewczyny potwierdza moją radość
 która mnie teraz rozsadza
 bo ktoś wczoraj wysłał mi eśemesem zwyczajne słowo „dziękuję”
 i to dzisiaj wszystko dokoła wprowadza w życie przez duże Zet
 a ja ciągle powracam do tego słowa na komórce
 jak do jakiegoś źródła

1.04.2025

O POKRYWIE 240

znowu się cieszę z pokrywy do kubła na śmieci
 kupiłem niebieską 240 i już firma od wywożenia
 zielonych odpadków nie czepia się
 jak wtedy gdy nie miałem pokrywy
 i musiałem podpisywać deklarację że nie będę
 ich oskarżał o jej zepsucie
 wtedy raz wywieźli tylko ale po moich stu prośbach
 na kolanach

jaka to uciecha połączyć niebieską pokrywę
 z czarnym kubłem
 sklep nie miał łącznika
 więc sam go zrobiłem z gwintowanego pręta
 z podkładek i nakrętek wieczorem w pośpiechu
 bo rano wypróżniają kubły
 i teraz fruwa pokrywa jak niebieska kubłoptaszyna
 przy otwieraniu i zamykaniu się
 by to całe zielsko odjechało samochodem firmy
 z pomarańczowymi ludkami na pokładzie

a ja wreszcie z dużą przyjemnością wjeżdżam
 pustym kubłem na podwórko

18.04.2025

Jakub Ciećkiewicz

ŚMIERĆ KASKADERA

Najlepszym pisarzem był Rudy, palacz centralnego ogrzewania w szkole podstawowej w Bagnistym Lasku. Włóczył i nałogowy alkoholik. Trochę cham. Ale jak siadał do maszyny, miał tak zwane kopyto.

W Warszawie, gdzie publikowano jego książki, witano Rudyckiego jak ptaka z serca prowincji. Fetowano go w eleganckich lokalach wódką luksusową pod de volaja, czy eskalopki z groszkiem. Na przykład krytyk Eisenberger. Albo redaktorka wpływowych gazet Julietta de Paluch. Bronek Rudy przeżywał wtedy chwile chwały! Ale w wiosce, gdzie żył, wszyscy uważali go za menela. Nikt mu nie mówił „dzień dobry”. Nie zaprosił do domu. Honorowano go, owszem, w miejscowej knajpie „Pod czarnym prosiakiem”, gdzie sprzedawano lokalne piwo i najtańszą wódkę. Nad szynkwasem wisił portret Rudego, wykonany przez malarza – analfabetę, a on sam, jako honorowy klient, był wpuszczany do baru jako pierwszy i obsługiwany poza kolejnością. Większość kompanów Rudyckiego trafiła do literatury i na cmentarz.

Najbardziej nienawidziła go miejscowa polonistka. Mówiła, że „ten degenerat, który chwiejnym krokiem chodzi po korytarzach szkoły”, przyczynia się do deprawacji młodzieży. Jedyne teksty pisarza, jakie przeczytała, opowiadał o tym, jak pewien mieszkaniec Bagnistego Lasku współżył z owcą, co było podobno prawdą. Może bała się upowszechnienia takich treści? Prób naśladownictwa?

Kiedyś wędrowaliśmy po Małopolsce z poetą Borsuczkiem. W tamtych czasach artystom było ciężko, bo zapanowała wolność i demokracja. Każdy miał przyszłość w swoich rękach, czyli – jego los nikogo nie obchodził. Kultura miała się obronić sama. Wydawnictwa zaczęły liczyć koszty i wyszło im, że najlepiej zarabiać na kryminałach, komiksach czy romansach. Dlatego wzięliśmy dwa plecaki tomików lirycznych, które sprzedawaliśmy na wieczorach autorskich w bibliotekach i domach kultury. Jeden wręczyłem burmistrzowi Patce w toalecie, podczas wykonywania wiadomej czynności. Odwdzięczył się, kupując pięć egzemplarzy do gminnej biblioteki publicznej. Takie to były czasy.

Po drodze odwiedzaliśmy znajomych pisarzy. Dybas był listonoszem wiejskim w Oleszycach, Kangurek drwałem i świątkarzem pod Brzeskiem. Baron pisał trytomową powieść na strychu żydowskiej kamieniczki w miasteczku powiatowym. Ja też chciałem pisać, a że żyć się z tego nie dało, postanowiłem zostać kierowcą w urzędzie miasta. Bo kierowca, to lawirant, który zawsze coś ukradnie: czas, buziaka, kilometry lub benzynę.

Ale teraz jechaliśmy do Bagnistego Lasku, żeby się napić i pogadać z Rudym. Jechaliśmy, a wieś coraz bardziej marniała. Przy drodze stały słupy obwieszone porurwanymi kablami, studnie otoczone drewnianymi cembrowinami, marne chałupy, kryte eternitem, stodoły pod strzechą. Kominy krzywe, na podwórkach gnój. Dzieci i zwierzęta uwalane błotem. Prawdziwa „Wiocha Sielniaków” – jak nazywała się debiutancka książka Rudego.

Autobus stanął przed domem kultury, gdzie zorganizowano jakieś wydarzenie, bo przyszło trochę młodzieży i kilku krzywych dziadków. Przed drzwiami zobaczyliśmy Rudyckiego. Ubrany w marynarkę, białą



koszulę, bez krawata, miał materiałowe spodnie i lśniące buty. Niósł pod pachą plik gazet i kilka swoich książek. To był wieczór autorski.

Kiedy wszyscy zasiedli na krzesłach, dyrektor GOK-u Julian Grzyb, powiedział kilka słów o znaczeniu literatury współczesnej i odczytał fragment recenzji z warszawskiego pisma, gdzie chwalił Bronka, jako „jedynego polskiego pisarza behawioralnego postępującego się frazą amerykańską”. Potem Rudy przeczytał opowiadanie, o tym jak sąsiad zabił sąsiadowi ukochanego psa. Wszyscy znali tę historię z autopsji. Wtedy nie wytrzymała polonistka, magister Stanisława Czycz. Wstała i powiedziała. – Ja się dziwię, że kolega kierownik organizuje spotkanie z naszym szkolnym palaczem. Jego wulgarna i chamska pisanina nikogo nie interesuje. A życie pana Bronka stanowi zły przykład dla młodzieży. Czy można

porównać Sienkiewicza, Żeromskiego, albo Andrzejewskiego z kimś takim?

Rudy był rozedrgany. – Pani nic nie wie... Ja mam przy sobie wiele artykułów napisanych przez warszawskich krytyków, którzy nazywają mnie drugim Borowskim. Ot, choćby Eisenhower, nie Eichenberger, gubił się, Eisenberger. „Brutalna proza Rudyckiego obnaża zło w pozornie spokojnej wsi, w ludzkich sercach i umysłach, zniszczonych przez socjalizm...”

– Pan się powinien zająć leczeniem z alkoholizmu – przerwała.

Wtedy literat Borsuczek wyszedł na scenę. Był wściekły.

– Kim pani w ogóle jest? Polonistką? I nie zna pani literatury współczesnej? Jak pani może uczyć dzieci?

– O, drugi pijak – rzuciła magister. – Będzie go teraz bronił.

– Proszę mnie nie obrażać – powiedział

zimno Edek. – Jestem znanym poetą i dziennikarzem z Krakowa. Słyszysz Pani, z Krakowa! I zaświadcza, że Bronisław Rudecki, jest jednym z największych pisarzy współczesnych.

– To może coś jeszcze przeczytamy – rzucił – kierownik.

Patrzyłem na salę. Przyszli raczej młodzi ludzie i kilku łazików z knajpy, którą jakby nie było Rudy reprezentował publicznie. Polonistka wyszła strzelając drzwiami. Trochę jeszcze poczytano i poszliśmy pić do Bronka.

– Dziękuję ci Edek – nie wiesz, jakie to dla mnie ważne – mówił po drodze pisarz. – Oni mną pomiatają. Ostatnio ksiądz nie podał mi nawet hostii.

Resztę wieczoru spędziliśmy na wspomnieniach jak Rudy był internowany w stanie wojennym, bo miejscowe władze nie miały kogo wsadzić. Jak śmiał się z intelektualistów, którzy nie wykazywali bojowego ducha. Tylko on, który siedział pięć lat w zakładzie karnym w Strzelcach Opolskich za dewastację mienia państwowego, potrafił zrobić dobrą parzącą na zyletach, czyli czarną herbatę. Przy drugiej flaszcze wychwalaliśmy zgrabne kształty Edyty, gwiazdy tarnowskiego dziennikarstwa i platonicznej miłości Bronka. Napisał do niej 200 listów i 10 wierszy, ale kiedy przychodził do redakcji nie umiał się wyśłowić, a redaktorzy, te prowincjonalne dupki, go wyszydzały. Dochodziło do poszturchiwanek, a że Bronek nie znał zasad słownego fechtunku, bił ich po głach, co zawsze kończyło się draką. Tylko pani dyrektor wojewódzkiej biblioteki miała dla niego serce i słowa otuchy.

Pewnego dnia, siedząc na muszli klozetowej odebrałem telefon Borsuczka.

– Rudy nie żyje.

– Jak to?

– Otrułi go spirytusem. Wiadomo kto, ale policja się tym nie przejmuje.

Czułem się strasznie. Uwieszony i przegwożdżony. Spuściłem wodę, starannie umyłem ręce, a potem pojechałem do miasta odebrać z urzędu wentylatory. Po drodze wyskoczyłem na kawę, bo kierowców nikt nie goni i zawsze można powiedzieć, że się coś zepsuło w samochodzie. Siedziałem w „Literackiej”, patrzyłem tępo przed siebie, myśląc o absurdalnej śmierci wielkiego pisarza, kiedy przysiadł się redaktor Kubala.

– No, co tam, jak tam? Masz jakieś fajne tematy?

Kubala był wieprzem. Miał długi ryj o płaskim denku. Nazywano go w branży „Człowiekiem z Cromagnone”, ponieważ, kradł kolegom pomysły, dłubał w zębach, bekał i nie mówił dzień dobry.

– Wiesz, że wkrótce festiwal filmów krótkich – zagadnął. – Mam układy, pieniądze, sprzęt i mogę dostać się na finałową galę – mówił. – Daj mi tylko temat.

– Daj, daj... co ty dziecko jesteś? Chcesz, żeby każdy ci dawał? A co Ty dasz mnie?

– No... – Darek się zamyślił – możemy ten film zrobić we dwóch. Rozumiesz? Ja i ty. Będziesz podpisany jako autor scenariusza. Dostaniesz kasę!

– Nie pisałem jeszcze scenariusza.

– Wiesz, jakie to łatwe? Pestka. Zrób tylko dokumentację.

– Może i mam temat na festiwal – powiedziałem od niechcenia. – Właśnie umarł Rudy.

– A kto to Rudy?

– No przecież nie czołg. Pisarz z prowincji. Bardzo znany w Polsce.

– Dorzuc coś jeszcze.

– Jego wiersze śpiewa zespół „Bieszczadcy Lirnicy”.

Opowiedziałem mu o Bronku.

– Mam w kieszeni Grande Prix – ucieszył się. – Pojedziesz na dokumentację?

– Pojadę za własne pieniądze. Ale pamiętaj. Plansza początkowa i moje nazwisko.

– Nie inaczej.

Przez cały dzień wozilem wentylatory z Placu Wszystkich Świętych do urzędu miasta w Nowej Hucie i ułożyłem sobie w głowie, że trzeba odświeżyć lekturę księżek Bronka, zwłaszcza przestudiować listy, znaleźć jego „dziewczynę”, a przy okazji odwiedzić szpital psychiatryczny, gdzie leczy się z alkoholizmu.

Ale, kiedy wracałem do domu, wpadła na mnie żona poety Samojeda, Zosia.

– Michaś? Cześć. Podobno umarł Rudy?

– Tak, już słyszałem. Zapił się, czy otruł...

– Z moim Stefanem będzie to samo... – powiedziała głucho.

– Nie przesadzaj.

Miała rozpacz w oczach. – Błagam, przeprowadź go do domu. Już trzeci dzień chla w „Klubie pod robaczą śliwką”.

Sprawa była trudna. Odmówić prośbie żony nie mogłem. Ale gabaryty i temperament Samojeda były tak potężne, że stanąłem przed trudnością techniczną. Lokal mieścił się na drugim piętrze, trzeba było wejść po stromych schodach, a jak mi się chłop odwinie i spadnie, złamię nogę, albo coś gorszego.

– No... szybko to nie nastąpi, ale ktoś musi się poświęcić – powiedziałem.

Zanim dotarłem na miejsce wypilem pięćdziesiątkę w „Literatce”, gdzie wypytalem rozmawianych kolegów, czy ktoś ma doświadczenie w odprowadzaniu Stefana.

– Stuchaj – rzucił poeta, którego twórczość porównywano do Herberta, co wcale mu nie służyło – Z nim trzeba ostrożnie. Powoli. Najlepiej wyciągnij go do delikatesów po pół litra i tak, krok za krokiem, będziesz zmierzać w stronę ulicy Krupniczej, do Domu Literatów.

Kiedy wdrapałem się do klubu, Samojed spał z głową na stoliku. Był w brudnym trenczu i czarnym berecie na głowie. Wyrzucił z siebie krótkie chrapnięcia i pomruki. Spomiędzy jego warg, od czasu do czasu, wyłaniała się niebieska bańka.

– No, panowie – krzyknąłem do kelnerów, to po secie.

– On, już chyba ma dość? – spytał esbekowaty facet w obszmelcowanym fartuchu.

Stefan obudził się. – Że co? Ja? Dość? Nigdy!!!! Dawaj gburze wódkę. Potem wstał, skłonił się obecnym i powiedział:

– Szanowni Państwo, drogie panie i czcigodni panowie, w tej chwili, tak podniosłej, chciałbym....

Usiadł.

– Co chciałbyś? – spytałem.

– Ja chciałbym, chciałbym... być poetą! – mruknął.

– Jesteś przecieź.

– ...bo u poety cztery żony, a za każdą dawno rozwiedziony.... – nucił Stefan.

Kelner postawił przed nami zimną wódkę. Właliśmy w siebie zawartość. O dziwo, Samojed się ocknął.

– Jeszcze dwie, mili państwo – jeszcze dwie – zawołał.

– Stuchaj stary, zagadnąłem, a gdybyś poszli do delikatesów? Zawsze będzie taniej.

– I gdzie będziemy pili?

– U profesora.

– Ten plan jest śmiały – krzyknął z radością poeta. – Płać, idziemy.

Złapałem autora „Sonetów Nadwiślań-

skich” za barki i dźwignąłem do pozycji wertykalnej. – Bardzo proszę, bardzo dziękuję, proszę panią, panie drogi – bełkotał Samojed.

Po dłuższej szamotaninie udało mi się go wypchnąć za drzwi, ale tak przemysłnie, że lewą ręką złapałem za kotłierz, żeby nie spadł za schodów. Teraz przyszło najgorsze. Krok po kroku, schodziliśmy w czeluść. W zimnym powietrzu nocy zagrała srebrna trąbka. Księżyc wyłonił się nad Kościołem Mariackim zimny i okrągły. Wzruszyłem się.

– Wiesz – powiedziałem, że Rudy nie żyje?

– Co Ty, bracie, jak to, że Rudy, co ty gadasz?

– Zatrut się skażonym spirytusem.

– O, rany. Ale tragedia. – Stefan, jakby trzeźwiął. – Taki jest los artysty! I to właśnie teraz, kiedy kapele zaczęły śpiewać jego wiersze. Kiedy się robił kultowy. On mógł być drugim Stachurą.

– Przedzaj Bukowskim. Ale fakt. Miałby forszę z Żaiksu.

Szliśmy w stronę delikatesów smutni.

– Ile miał lat?

– Czterdzieści parę... – przypomniałem sobie.

– Tragedia.

W sklepie kupiłem pół litra i zaciągnąłem Stefana do profesora. Boguś Ryś otworzył nam w krótkich gaciach i koszuli z urwanym guzikiem. Widać nie pozbierał się jeszcze odkąd rzuciła go żona.

– Stuchajcie mili, jest pewien problem. Pewien pan naprawia u mnie telewizor – powiedział półgłosem.

– Trudno! Samojed uniósł palec w górę. Też mężczyzna. Chyba możemy się napić, czy nie?

– Chodźcie, chodźcie.

Wewnątrz kucnął na kolanach elektrymonter, który zadeklarował, że nigdy nie odmawia alkoholu, więc uwzględniłmy go przy kolejkach.

– Rudy umarł? – zaszepcił Boguś. – Kilka osób pisze u mnie prace magisterskie z jego twórczości. Powstały dwa doktoraty.

Pokiwalismy głowami.

Zostałem towarzystwo i poszedłem po Zosię. Samojedowie mieszkali piętro wyżej.

– A, jesteście wrzecie, czy nie sądzisz, że pora do domu?

– Oczywiście kochanie, już się zbieram, powiedział przepaszając poetę.

Gdy wyszła zdziwiłem się. – Ale opalowana.

– Akurat – rzucił Boguś. – Jak przejdę przez próg mieszkania, od razu dostanę po mordzie.

Przez następne dni obsługiwałem viceprezydenta Przeskoka, więc nie miałem czasu na pisanie scenariusza i musiałem być czujny, bo facet wciąż kazał się gdzieś wieść i ledwie zdążyłem wypić kawę, wylatywał z urzędu, żeby pojechać na bardzo ważne spotkanie, a ze spotkania na konferencję, a potem przypinał medale kombatantom i tak w kółko. Pod pretekstem zmiany opon udało mi się odwiedzić szpital psychiatryczny, gdzie spotkałem kilku znajomych artystów, i zerknąłem do karty Rudego. Było tam napisane, że „Bronisław Rudecki przedstawia się jako autor księzek rolniczych, szczególnie poradników w zakresie hodowli i chorób bydła. Wypisał się z leczenia odwykowego na własną prośbę”.

Na pogrzeb jechaliśmy w kilka osób: Samojed, Borsuczek, profesor Ryś. A wiół nas własnym buszem syndyk masy upadłościowej – Edgar Kot, który hobbystycznie prowadził portal internetowy: „Literatura uPodła”.

Jechaliśmy w stronę Brzeska, padał pierwszy śnieg, aura była miła, ciepła, ro-

dzinna. Rozmowy płynęły leniwie. Głównie o pieniądzach. Ile można dostać za opublikowanie opowiadania, fragmentu książki, napisanie wstępu, spotkanie w domu kultury, czy się optać zatrudniać aktora, albo piosenkarza... Mnie te sprawy nie dotyczyły, bo jeszcze nic nie wydałem.

- Jak żyjesz? – zagadnąłem Kota.
- Ciężko. Wyprowadzę fabrykę lokomotyw w Sawiu.

- To jest chyba jedyny zakład pracy w okolicy? – zapytałem.

- Tak, jedyny.
- Zwalniasz ludzi?
- Nie wszystkich. Na razie 80 procent.
- I gdzie oni pójdą?
- A czy ja wiem?
- Oni będą biedować, a ty się wzbogacisz – sarknął z tyłu Borsuczek.

- Taka praca, panowie. Taka praca. Ale dzięki temu mogę wam płacić za teksty w moim portalu. Mogę was zabrać na jeziora mazurskie moim nowym jachtem. Mogę dofinansować wydanie tomiku, a dziś postawię wszystkim obiad.

Ponieważ koszula bliższa ciału, a jechaliliśmy na koszt syndyka, temat spadł z wokandy.

W kaplicy cmentarnej, na katafalku, stała trumna. Był już kościelny z krzyżem, wikary, rodzice, ukochana dziennikarka z Tarnowa, pani dyrektor biblioteki, kierownik GOK-u, kilku młodych ludzi, pewnie czytelników i kilku meneli z właścicielem baru na czele.

Wikary zmówił modlitwę, a potem poszliśmy na miejsce wiecznego spoczynku Rudego, w rogu cmentarza.

Kiedy grabarze spuścili ciało do grobu, poeta Borsuczek poczuł się w obowiązku wypowiedzenia kilku zdań w imieniu kolegów.

- Spotkałem wielu ludzi, którzy pragnęli

zostać pisarzami – powiedział. – Ale jak sobie wyobrażali ten zawód? Że odbierają literacką nagrodę Nobla, ha, ha? Że spotykają się z tłumami czytelników? Podróżują po świecie? Wygłaszają głębokie myśli... Proszę państwa! Los pisarza jest tragiczny. Rudy, którego żegnamy, dokonał prawdziwego cudu. O własnych siłach wydobył się z zapadłej wiochy, która go zabiła. Na Parnas się wydobył! Zaczął drukować w warszawskich pismach literackich i wydawnictwach, zdobył sławę. Spytałem mnie o koszty tego sukcesu. Otóż kosztem sukcesu było życie jakie prowadził. Pytam Was teraz, czy nadal chcecie zostać pisarzami – zwrócić się do kilku młodych ludzi, którzy stali nad trumną. Zamierzał jeszcze coś dodać, kiedy zobaczył auto telewizji.

Na ścieżce, w perspektywie cmentarnej alejki, widzieliśmy „Człowieka z Cromagnon”, który biegł z kamerą i ekipą.

- Panowie, kurczę, spóźniłem się. Edek, możecie jeszcze raz wygłosić mowę?

- Pocatuj mnie w dupę, ty pacanie – krzyknął Borsuczek.

Niezrażony Kubala wytapował i stawiał przed kamerą kolejne osoby, męcząc je na okoliczność filmu. Najwięcej nawijał profesor, bo właśnie skończył artykuł o znaczeniu Rudego dla literatury współczesnej i miał wszystko w głowie na świeżo. Matka i Edyta płakały, co też się liczyło, bo wiadomo, emocje. Reszta bąkała jakieś frazesy, że zmarły był wrażliwy i przez to nieprzystosowany.

Na stypę poszliśmy do knajpy „Pod czarnym prosiakiem”. Wszyscy się jakoś zmieszali – artyści i menele, urzędnicy samorządowi i czytelnicy. Portret bohatera dnia został przystrojony kwiatami i przepasany czarną wstążką. Poniżej ktoś przypiął napis „Żegnaj Bronek”.

Od bywalców dowiedziałem się, który sąsiad został opisany przez Rudego. Ten, co został milicjantem i aresztował własnego ojca za nielegalny ubój świni, mieszkał pod piętnastką, a ten, co podpalił sklep - z drugiej strony. Edyta wspominała swoje przejścia intymne z pisarzem, który podobno nie wykazywał delikatności, tylko od razu brał się do gwałcenia. Taki miał temperament. Dziś. Szalony. Nieokiełznany. A talent? Tajemnica.

„Człowiek z Cromagnone” wszystko kręcił.

- Wie pan co – zagadnął mnie Grzyb, jakby ktoś teraz miał rękopisy Rudego, to by zrobił kasę. Tyle godzin u niego przesiadziałem, wszędzie leżały teksty. Jakbym przewidział, że umrze, to bym je sobie zabrał. Teraz miałyby wielką wartość.

- Nie masz pojęcia, o czym mówisz – parsknąłem. – Jesteś zwykłym ciulem, takim kundlem, jakich opisywał.

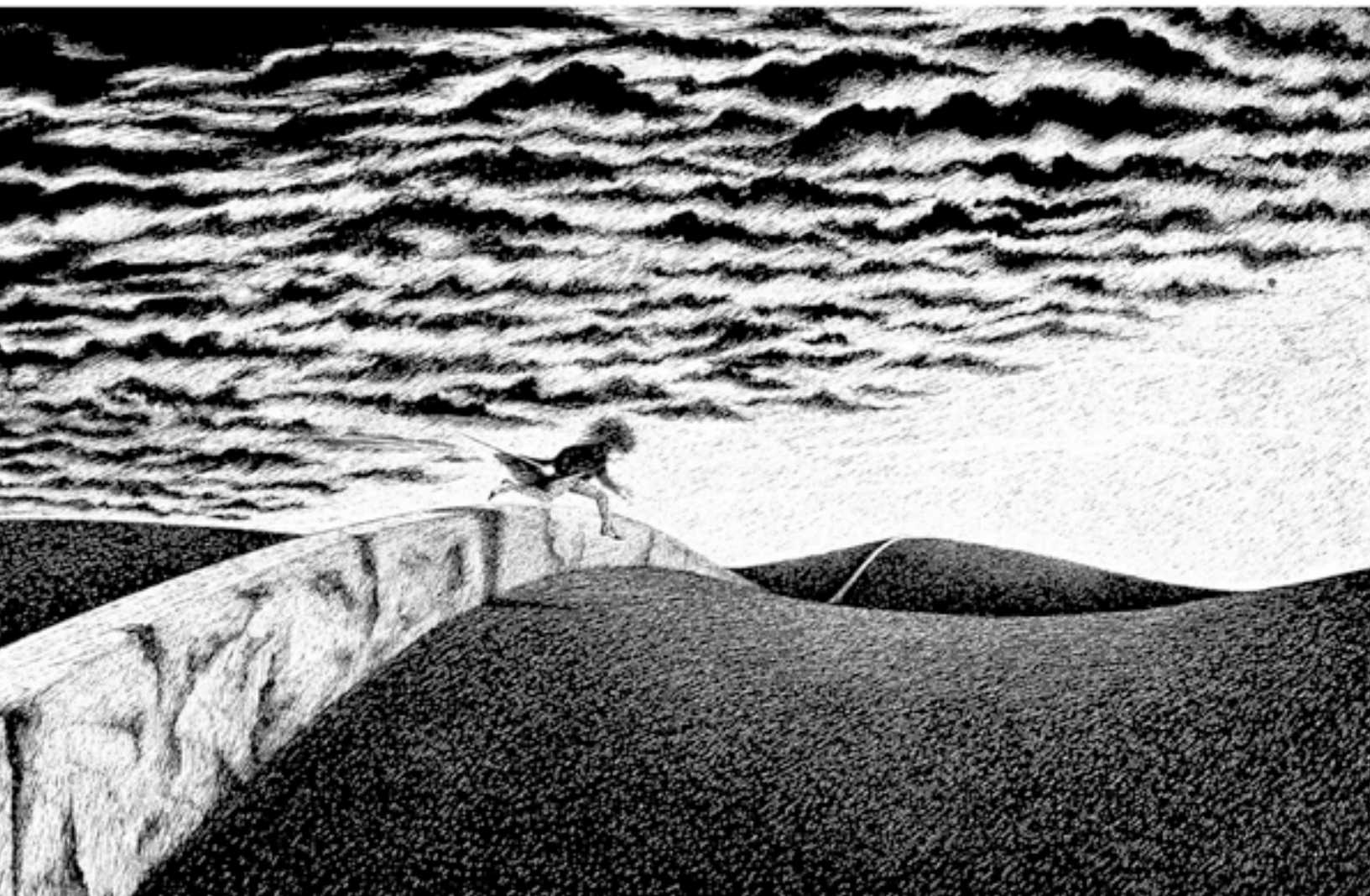
- No, no, tylko bez takich.

- Spadaj człowieku.

Po piwie pojechaliśmy na obiad do Tarnowa. Były alkohole, dania ciepłe i zimne, desery, a wszystko z zysku ze sprzedanej fabryki, wyrwane z kieszeni zwolnionym pracownikom, albo ze sprzedanych lokomotyw. Ale co nas to mogło obchodzić? Czy nie dość, że sami ledwie wiązaliśmy koniec z końcem, próbując przeciwstawić światu swoje słowa? Lecz coś są warte słowa? Niewiele. Coraz mniej. Za kilka lat Rudecki mógłby już nie znaleźć wydawcy, bo wątpliwe, żeby jego szczerą prozą z serca prowincji została przez kogoś nagrodzona. Zmieniły się mody. O wartości literatury wypowiadali się teraz blogerzy. Filmy, to co innego. Dokument „Rudy – czas śmierci” otrzymał Grande Prix na kilku festiwalach.

JAKUB CIEĆKIEWICZ

Run V V V Run



Małgorzata Sokorska

Listy z 1924 roku

Mam dzisiaj trochę miejsca na listy
 W pokoju na strychu w stawiskim domu
 oglądam kartki papieru
 Są gotowe do odejścia
 Coraz bardziej kruche
 Milczące jak instrumenty
 potrzebują delikatnych dłoni
 Za oknem cmentarz zwierząt
 najpierw została pochowana papuga
 Potem reszta
 Nadal jest tam trochę miejsca

Moment

Zobaczył ją w słonecznych okularach
 Przebiegł przez jezdnię jak do nieznajomej
 Po drugiej stronie Marszałkowskiej zaczął padać deszcz
 Pachniało mokrym kurzem

Nowe plejady

Miękkie światło października
 poddają się drzewa
 zmarli są coraz bliżej
 Powoli zbliżają się
 mówią żebyim była szczęśliwa
 Nie potrafię
 na jesiennym niebie nie ma gwiazd maja

Czas duszy

Ciało odchodzi
 Obojętne
 Staje się
 Nieładne
 Nie ma po co malować oczu i ust

Przychodzi czas duszy
 Ostrożnie
 Bez błędów

Spokojnie
 Pokornie
 Bez szaleństw

7 września 1939

Na rogu Brackiej i Alei leżą zdychające konie, jeden na prawo,
 drugi na samym zakręcie przed budką policyjną. Żyją jeszcze
 i usiłują się podnieść, potem opadają.

JAROSŁAW IWASZKIEWICZ

Wedunia

Bałagan i chaos opisuje Iwaszkiewicz w pierwszych dniach
 września
 Ucieczki prosto w śmierć. Konie szły na wojnę, jak do rzeźni.
 Do samochodu z córkami, w ostatniej chwili, wkłada ukochaną
 spanielkę Wedunię
 Zaginie po drodze. Na Stawisko nie wróci. Gdyby jej w ostat-
 niej chwili nie położył na kolanach Marysi, wylegiwałaby się
 w jesiennym słońcu, aż do sypkich śniegów

Mój syn - 24. 06. piątek 2022

Z podróży do Hiszpanii zapamiętałam mojego syna
 zobaczyłam w słońcu jego włosy
 Biel Madrytu - czerwień Barcelony były tłem dla niego
 na chwilę przystanął w krużganku dawnego szpitala
 Pomiędzy oknem od sufitu do podłogi i kamienną ścianą
 złote włosy rozświetlone słońcem
 hiszpańskim czerwonym słońcem
 Mój syn podobny do młodego Dürera z autoportretu w Prado
 zatrzymał się przed salą z Guernicą
 Stał wpatrzony w komórkę
 Zanim podniósł głowę
 zrobiłam zdjęcie
 w chwili przechwyconej
 Niech pozostanie piękny
 Niech nie płowieje
 Niech się nie porusza

Krystian Rdzanek

Ars pathetica

Nie jestem kontrowersyjny,
tego co dają na mieście,
dużego kutasa w tekście –
nie dam ci. Świat immersyjny

też przestał mnie dawno kręcić.
W kiermanie pustą samarę
(wszystko zjadłem wstecz lat parę)
noszę, przestałem też szponić.

Mam za to dla ciebie formę
jak mleko które się zsiadło,
dopieszczoną ponad normę.

Mam też wizję, którą upadłą
biorę spod drzewa pokornie
i zostawiam to co ad hoc.

Z obrazów El Greca niebo.
Przypatrujemy się wzajemnie
sobie i czuję beznadziejnie,
że jestem święty – pachnę glebą

po krwawym deszczu na Golgocie.
Żyłem dawno, już przed wiekami,
krzyczałem do was - Pan z wami!
Użyczałem wam boskich pociech.

To wszystko jednak nie sprawiło,
że czuję się dziś mniej samotny.
Z Bogiem sam na sam, mogiłą

drażni przyjaźni zapach lotny
i z ołtarza zbieram mimo
woli kwiaty tak kruche jak ty.

Nie wiem jak sobie poradzę ze śmiercią,
kiedy oczy mi się zamkną na wieki.
Pewnie włożą w nie druty lub powieki
przykleją, abym jeszcze nieco zerknął

na kondukt, księdza i kobiety drogie.

Nawet na chwilę nie pomyślą, że ja
będę tego już miał dosyć i czy gra
muzyka to mi bez różnicy. Droge

ostatnią chciałbym spędzić sam – w przestworzach,
pyłem i prochem. Głaszcząc grzbiety chmurze
i na odchodne wam błysnąć jak zorza.

Albo razem z pływami się nurzać,
wracać – odchodzić w tym błękie morza,
za który mógłbym więcej niż raz umrzeć.

Jak przestworzy wspomnienie – deszcz – opadasz
i buntujesz się swojej powinności.
Więcej do anielskich szat praw nie rościsz.
Mijasz w milczeniu gębę piekielną gada.

Teraz miłość ludzka cię będzie kochać,
koniec z absolutu częścią abstrakcją,
koniec z wszechobecną Boga racją.
Deszczu krople spadną gdy zaczną szlochać.

Każdy może mieć dosyć fason wiecznie
trzymać, dosyć *savoir vivre* niebios.
Wypadł z ciebie raj, jak zęby mleczne

wypadają. Jak ziarno opuszcza kłos –
opuściłaś, bo myśli miałaś sprzeczne
i odwagę mówić o tyczyże na głos.

Dwoistość kamienia

Co myśli kamień? Nic, tak mógłby ktoś powiedzieć,
ale to właśnie myślą ten przyrody stoik
stanowi siebie, jest jak z eremu pustelnik
i milczy, bo sam więcej wie niż można wiedzieć.

Kamień – duch zaklęty w byt najprostszy na przekór,
tak prosty, że nikt go o to nie podejrzewa,
iż pieśni śpiewane przez wiatr kiedy powiewa,
są jego autorstwa, tak solowe, jak na chór.

Czy wreszcie kamień nie jest naszym ojcem-matką,
bezpłciowym patronem, tak bardzo obecnym
w naszych czasach. Mimo to można jak z płotka

go przeoczyć, kopnąć - on wciąż niby snem w nocy
zmożony, niewzruszonym zostanie. Zagadką,
solucją jest, poważnym albo w bucie psotnym.

Żywym kolorytu blaskiem jak dzwon bijesz.
Geometryzacją lotnej jak ptak duszy
zaglądasz w środek i bezlitośnie kruszysz –
to o czym mówiono ze nigdy nie minie.

Dalsza twoja część jest przyziemna jak ciemność.
Opasasz krągłością ciała – ciało wierzchnie,
sprawiasz, że zaciska się w sobie, nie pierzchnie
to o czym mówiono że to chwili marność.

Chciałoby się ciebie na dwie – noce i dnie
banalnie podzielić, ale ty czymś więcej
niż dobą jesteś, bo synergii motor dmie

przez twojego ducha i ciało, więc więcej
możesz dać niż zwykły śmiertelnik – zabawnie
kuglujesz światem i dajesz dużo więcej.

Wyżyny miłości

Kochając mordercę – jego dzieciństwo
trudne, odrzucenie, zawód miłosny,
nadzieje wszelakie, które porosły
mchem nagrobnym. Jednym słowem to wszystko,

co mordercy bliskie, które pochować
musiał – złożyć pierwszą (swoją) ofiarę.
Bo musiało przecież coś przelać czarę
gorczy jak on krew. Teraz go schować

zaledwie pragniemy – przez całe życie
nikt go zrozumieć nie próbował nawet.
Czy naprawdę, że on umarły myślcie

nie był od początku? I wiem, że ale
żadne zmienić moc nie może – skrycie
wciąż go kocham, pragnę zrozumieć stale.

Do wielbłąda co Arkę niósł

Pustynny dromader opuszczał świątynię
Salomona, niósł na garbie Arkę Jahwe.
Po świątyni kamień na kamieniu nawet
nie został, a Arka na wieków sto ginie.

Gdzie jesteś wielbłądzie – zwierzu babiloński,
może padłeś długą drogą wycieńczony?
Wszak nad Eufrat blisko nie jest lub zwiedziony
poblądziłeś będąc człowiekowi bliskim.

Gdybyś odnalazł się jednak – przyjdź do Polski,
my cię tu pamiętamy, uścisk prezydenta
dłoni cię czeka i pokłon prymasowski.

Na pewno artykuł w gazecie – agenda
jakichś katolickich pism zleci. Ty wnioski
czy warto wyciągnij sam, do zobaczenia!

Płonący autobus

Przed chwilą na przystanek podjechał – płonący autobus.
Wsiadłem jak zwykle, sto trzydziestka – nią dojeżdżam do pracy.
Od autobusu w ogniu jeszcze nikt nie umarł – tak starcy,
co widzieli wiele, mawiają. To nie był żaden przymus,

chcę by to było jasne, zwyczajnie nie znoszę się spóźniać,
a ostatnio dostałem podwyżkę – to zobowiązuje,
choć do punktualności. Kto się spóźnia ten marnuje
czas pracy – tak mawia mój szef (jego głównie nie chcę zawieść).

Dlatego choćby się paliło, to mnie i tak dowiezie

ten bus – dobrymi chęciami piekło jest wybrukowane,
więc poddawać się zamiaru nie mam. Toć mi nic nie będzie,

jeśli się tylko trochę spocę, za to słowo złamane,
zwłaszcza w pracy, byłoby czymś strasznym. Ono nie zawiedzie
tylko pracowników – paliłoby MNIE jak żywa rana

POEZJA MACEDOŃSKA

DANIELA ANDONOVSKA-TRAJKOVSKA

Daniela Andonovska-Trajkovska - (1979, Północna Macedonia) jest nagradzaną poetką, pisarką, doktorem nauk, krytykiem literackim, redaktorką trzech czasopism literackich, współzałożycielką Centrum Literatury, Sztuki, Kultury, Oratorium i Języka na Wydziale Pedagogiki w Bitoli, gdzie pracuje również jako profesor uniwersytecki. Członkini Stowarzyszenia Pisarzy Macedonii, Słowiańskiej Akademii Literatury i Sztuki w Warnie, obecną przewodniczącą Macedońskiego Stowarzyszenia Naukowego w Bitoli. Jest autorką osiemnastu książek w języku macedońskim (poezja, proza, krytyka literacka, literatura naukowa) i osiem książek w języku angielskim, arabskim, włoskim, polskim i rumuńskim. Pracuje również jako tłumaczka literatury.

NAGI TEATR

ścięte drewniane krzesła
nieobite
gniją od czekania na swoją kolej
by powiedzieć sobie nawzajem, co ich boli
z rozerwanymi strunami głosowymi
wyczerpanym przez lata głodem
i z kontem popadłym w minus
zapomnianymi książeczkami oszczędnościowymi
dla przepadłych wyzyskiwaczy
przez dziesięciolecia not protestacyjnych
i wieków ukrzyżowanych jak krwawe sztandary
na wiecach z zepsutym centrum
i autokratyczną demokracją
milcząco wpatrują się w pustą scenę
teatru miejskiego
i tam cień z nadętym Ego
miażdży zakończenia nerwowe
na deskach drewnianych
które z tępyimi, cienkimi nerwami
leżą na głównych ulicach

MARTWA LITERA

Mam zamurowany cień na drzwiach bez uszu
I ramiona zaciśnięte w bezsensie słów
I ręce odziane w papier ścierny
I twarz naklejoną na globus który odwraca się
I oczy które projektują się na ścianie bez lustra
I wargi które uciekają od cieni obcych cieni

Mam klamkę wklutą w żebrach
I historie których nie mogę otworzyć na klucz
Mam martwa literę pod językiem

VESNA MUNDIŠEVSKA-VELJANOVSKA

Vesna Mundiševska-Veljanovska - (1973, Bitola) jest członkinią Macedońskiego Stowarzyszenia Pisarzy, Macedońskiego Stowarzyszenia Naukowego - Bitola i Stowarzyszenia Pisarzy „Bitolskie Koło literackie”. Jest autorką 13 tomików poezji, 2 tomików tekstów krytycznych i eseistycznych. Jej poezja została przełożona na kilka języków. Zdobył wirele nagród literackich. Jest członkiem zarządu Macedońskiego Stowarzyszenia Naukowego - Bitola.

Jest redaktorką czasopisma poświęconego kulturze – literaturze, sztuce teatralnej, filmowi i wydawnictwom – „Współczesne dialogi”. Była prezesem Stowarzyszenia Literatury i Kultury „Razvitok” – Bitola i prezesem Młodzieży Literackiej Macedonii – OK Bitola, a także sekretarzem Stowarzyszenia Pisarzy „Bitolskie Koło literackie”, członkiem Rady Redakcyjnej Macedońskiego Stowarzyszenia Naukowego. Była członkiem kilku komitetów przyznających znaczące nagrody autorom z Macedonii i zagranicy. Od 2016 r. jest Ambasadorką Pokoju w Cercle Universel Des Ambassadeurs De La Paix – Suisse/Francja.

DROGA

Niebo się otworzyło
i zaczęło spadać.
Wyciągnęłam dłonie,
by spotkać się z nim, więc
wzięłam go na swoje ramiona.
aby tam odpoczęło.
Obudziłam się.
Podnoszę wzrok.
i marzycielsko myślę:
Jednak moja droga prowadzi do ciebie, Niebo.

WSPÓLISTNIENIE

Gwiazdy
rozproszyły się
cicho
niosąc dzień
na wszystkie strony –

jutro
Niebo
wzrośnie
stopione
ze Słońcem.

HRISTO PETRESKI

Hristo Petreski - urodził się 4 lutego 1957 r. w Kruszewie, w Północnej Macedonii. Poeta, profesor, redaktor itd. Jest dyrektorem Instytutu Nauki, Alternatywy, Kultury i Sztuki oraz profesorem zwyczajnym na Międzynarodowym Uniwersytecie Europa w Skopje.

Jest autorem ponad pięćdziesięciu książek oraz laureatem prestiżowych nagród i wyróżnień krajowych i międzynarodowych.

Jego utwory tłumaczono i przekładano na języki: serbski, chorwacki, słoweński, polski, bułgarski, francuski, angielski, niemiecki, słowacki, rusiński, albański, turecki, rosyjski i inne języki.

W latach 2022–2024 pełnił funkcję prezesa Stowarzyszenia Pisarzy Macedonii.

OKULARY

(nie)dzieciący

Pewien starszy człowiek zgubił gdzieś swoje okulary
I wyszedł na pole, nie mając ich na głowie
Więc po tym, gdy przypadkowo znalazł windę z przyzwyczajenia
Wszedł, gdy była już zniszczona i cudem ledwo przeżył

Nawet nie zauważył, że drzwi były całkowicie otwarte
A pod nimi rozpościera się wielka pusta przestrzeń
Więc nacisnął wszystkie przyciski i nagle ruszyła winda
Znajdował się na trzecim piętrze i szczęście uchroniło go przed prawdziwym nieszczęściem

Kiedy winda spadała, pomyślał, że ma straszny sen
Znaleźli go leżącego na podłodze, szukającego rękoma okularów
Choć biedny człowiek mając szczęśliwe, długie i spokojne życie
Jednak w Wielkim Mieście całkowicie stracił wzrok, pamięć i siły

SKOPJE, 9.4.2025

VASIL TOCINOVSKI

Vasil Tocinovski (ur. 1946) – macedoński prozaik, historyk sztuki, eseista, poeta, krytyk, autor książek dla dzieci. Doktor nauk humanistycznych. Emerytowany wykładowca. W 2014 roku ukazał się Jego zbiór opowiadań w języku polskim pt. „Po drugiej stronie morza”. Mieszka w Skopje.

ODEJŚCIE PRZYJACIELA

Petkowi Šipinkarovskiemu

Tak samo, jak żył sobie, odszedł po cichu
opuścił ten przynależąc do niego świat bez pozdrowienia i pożegnania
odszedł na obczyznę z pełnymi garściami nowych rękopisów
z niezliczoną ilością nieodebranych wiadomości i nieodebranych numerów
z telefonu komórkowego jako wypowiedane myśli i prawdy
nie wspomniał ani słowem o ostrzeżeniu, bo to nie leżało w jego naturze
albo po prostu tak miało być, mógł powiedzieć
i pozostać w milczeniu i przezwyciężyć wiele bólów i prawd

Dobry duch Strugi odszedł i nie powrócił
ach, jaskółka odleciała, unosząc ze sobą wiosnę
a przestrzeń stała się spichlerzem wypełnionym ciszą i drżeniem
szabla złożona i nie jesteśmy już w jego ojczyźnie
spotkań poetyckich, przy źródłach vevčańskich, podczas okupacji
w kościele św. Eliasza lub na wiecu z miłym słowem na podwórku
i w cieniu słynnej świątyni Strugi
Nasz Petko, zawsze roztargniony i zamyślony, już nie żyje
i nie ma nikogo, kto by nas zebrał, więc nas tu też nie ma
Pozostało jedynie ciche westchnienie i żal
i przedwcześnie pożółkłe wspomnienia złotych czasów

Jedyną prawdą jest to, że sam człowiek
jest przeznaczeniem i historią, których nie do końca zrozumieliśmy
na razie nie ma pokuty, bo nie mieliśmy wiary i miary
o godny szacunek i docenienie przyjaźni.

Kazimierz Brakoniecki

ZAMIAST

1.

Oto mam przed sobą 400-stronicową, opatrzoną szczegółowymi komentarzami (bardzo pomocnymi szczególnie dla czytelników młodej generacji!) i bibliografią księgę rozmów profesora Jacka Żurka z Anną Frajlich, poetką, pisarką. Główny tytuł jest znaczący: „Szkłany sufit języka”, a tłumaczy się prawdopodobnie tym, że Anna Frajlich mieszka i tworzy od połowy roku 1970 w Nowym Jorku – przez długie lata na wygnaniu, na pewno nie, jak świadczy jej bogata twórczość w języku polskim, chociaż na pewno okupiona trudnymi doświadczeniami wykorzenienia i stopniowej adaptacji w innym diametralnie środowisku, która zakończyła się autentycznym sukcesem w życiu osobistym i literacko-kulturalnym.

W antologii poezji emigracyjnej przygotowanej przez poetę prof. Bogdana Czaykowskiego (1932-2007) znajdują się wiersze Anny Frajlich, w tym ten znaczący zatytułowany „Rozmyślenia wyzwolenca”. Przytoczę istotne fragmenty:

Słodkie jest jarzmo niewoli
i gorzki owoc wolności
tam wikt opierunek opieka
i dobrze przetarte ścieżki
stołek przez innych ogrzany
i na czas przycięte pióra
miękkie jest jarzmo niewoli (...)
a tylko wolność bolesna
swoboda pośród żywiołów
gdzie zasiać trzeba by zbierać
i z dwojga złego wybierać (...)
i dziwi się wyzwoleniec
który miał wszystko u pana
jake ogromne ryzyko
kryje się w jądrze wolności

Tak wygląda w oczach poetki zerwanie autorytarno-opiekuńczego świata PRL-u z wolną amerykanką USA. Natomiast na pytanie o syndrom „tragizmu losu wychodźczego”, autorka takiej udzieliła odpowiedzi: „Na początku często czułam się zestresowana, ale to po jakimś okresie minęło. Dlatego podkreślam, mimo wszystkich trudności (...) wspaniałość życia, jakie tu wiodę? Może dlatego, że w Ameryce poznałam prawdziwą wolność. Owszem, o wszystko trzeba walczyć, ale jest o co!”

Dzisiejsze Stany Zjednoczone pod władzą prezydenta Trumpa i jego ekipy to nie tamto państwo, ale nie jest to tematem tego pasjonującego wywiadu-rzeki, którego rzeczą główną jest intymna i szczerza opowieść o życiu bohatera na tle dwudziestowiecznej historii, o losach jej rodziny, przyjaciół; piękna opowieść o powołaniu poetyckim i humanistycznym, jak i rzeczowa relacja o literacko-kulturalnych dokonaniach w Polsce i Ameryce. Znajdziemy ponadto znakomite portrety znanych i mniej znanych polskich

i amerykańskich literatów i naukowców, wzruszające wyznania miłości do języka polskiego oraz do tej pierwszej i prywatnej ojczyzny pozostawionej w Szczecinie, ale tej drugiej... odkrytej ponownie.

2.

Rodzice Anny Frajlich pochodzili z wielopokoleniowych rodzin żydowskich z Galicji, z których naprawdę nieliczni przetrwali Holocaust. Można by rzec, że najważniejszym miastem osiedlenia stał się przedwojenny Lwów, a jej rodzice, obywatele polscy pochodzenia żydowskiego, wojnę przetrwali dlatego, że po ataku III Rzeszy na Związek Radziecki znaleźli się w azjatyckiej części tego państwa. Ona sama urodziła się w 1942 roku w Kirgizji, dokąd dotarła jej matka. Ojciec też odnalazł się w ZSRR. Po wojnie znaleźli się razem w sytuacji raczej uprzywilejowanej (ale nie w aparacie miejscowej władzy!) jako ideowi komuniści, członkowie PPR, a następnie PZPR w zdobywym Szczecinie, w którym zamieszkała spora kolonia ocalańców żydowskich. Antyścinowska odnowa życia politycznego w 1956 roku, której objawem były czystki w strukturach partyjnych i administracyjnych, dotknęła rodziców osobiście (utrata pracy, zmiana zatrudnienia na gorsze), ale dopiero państwowo-partyjny, chętnie przechwycony przez społeczeństwo, antysemityzm roku 1968 spowodował u Anny Frajlich, już wówczas od kilku lat absolwentki polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego, zatrudnionej w redakcji czasopisma dla nieświadomych „Nasz Świat”, młodej małżonki i matki, zdecydowaną decyzję o opuszczeniu kraju: „To było znęcanie się. Przeżywałam terror, bardziej psychiczny niż fizyczny, ale terror”. Prawdę powiedziawszy, do czasu tych traumatycznych wydarzeń Frajlich nie zajmowała się świadomie kwestią swojego i rodziny pochodzenia, czuła się w pełni Polką (jeśli nawet docierały do niej pojedyncze sygnały inności), tajemnicze w dużym stopniu w młodości żydostwo nie stanowiło ograniczenia ani przywileju, jej rodzina nie była religijna, więc podwójna tożsamość nie determinowała jej istnienia w szkolnej i studenckiej młodości, a skali Zagłady narodu żydowskiego długo nie potrafiła ocenić, bo jej właściwie nie znała: „Nigdy nie zastanawiałam się nad tym, czy ktoś jest Żydem, czy nie”. Była po prostu wrażliwą, otwartą na ludzi, ciekawą życia osobą o znikomych (jeżeli w ogóle) zainteresowaniach i skłonnościach politycznych, pasjonującą się żywą literaturą piękną.

Dopiero na wygnaniu i w trakcie szczerych doświadczeń amerykańskich, które wywarły potężny wpływ na jej samoświadomość, tak oceniła swoją „żydowskość”: „Dla mnie ważne jest przede wszystkim po prostu to, że i moi rodzice, i moi przodkowie byli Żydami. Jedni religijnymi, inni niereligijnymi. Ja należę do tych drugich – jestem niereligijna.” Tradycja żydowska „po prostu we mnie jest. (...) Mam świadomość, że nawet w Żydach niereligijnych zawsze jest jakiś element judaizmu (...). Pomyślałam,

szkoda, że moje pokolenie w ogóle nie miało edukacji religijnej”.

3.

Wyjazd z Warszawy nastąpił 12 XI 1969 roku (Wiedeń, Rzym, Ameryka – 30 VI 1970, rodzice w styczniu 1971). Okres amerykański to ustawiczne dokształcanie oraz praca lektorska i nauczycielska (wykładowca, starszy wykładowca) na Columbia University w Nowym Jorku (1982-2016) ukończona doktoratem w 1991r. Dużo interesujących uwag nie tylko natury osobistej znajdujemy w tej części książki, jak i wykaz licznych osiągnięć krytycznoliterackich i organizacyjnych, ważne i inspirujące spotkania z liczącymi się naukowcami (głównie slawistami), poetami, pisarzami (nie tylko polskimi na emigracji), ale również z utalentowanymi i intrygującymi poznawczo studentami. To czas prawdziwego rozkwitu własnej twórczości i początek publikacji w nowojorskim „Nowym Dzienniku”, londyńskich „Wiadomościach” czy paryskiej „Kulturze”, współpraca z Radiem Wolna Europa (1976-1980).

Właściwie jedynie Stanisław Barańczak, jako poeta i profesor Harvardu, uprzedzony był w stosunku do Anny Frajlich, co wytłumaczyć można dwójako: nie cenil jej liryki (zbyt kameralnej i tradycyjnej) oraz faktu, że w latach 60. zbliżyła się do stołecznego środowiska Forum Poetów „Hybrydy” (mocno przez niego krytykowanego za eskapizm, poetyzm, koniunkturalizm). Zdaniem poetki emigracja marcową 1968-1972 (żydowska) natrafiła na gorsze warunki i mniejszą pomoc niż ta solidarnościowa (1981-1989), której „pomagali wszyscy”.

Na pytanie Jacka Żurka o potrójną tożsamość „polsko-żydowsko-amerykańską” tak się wypowiedziała: „W powyższym zestawieniu na pierwszy plan teraz (2024) wysunęłabym tożsamość amerykańską. (...). Dokonałam tu bardzo wielu rzeczy. Ameryce bardzo dużo zawdzięczam, wpłynęła na mnie i pozytywnie, i negatywnie. Jestem więc do jakiegoś stopnia Amerykanką. (...). Ale polskość też jest moja, wszystko, co polskie, z wyjątkiem religii katolickiej, jest moje. Polski to mój pierwszy i ojczysty język, polska literatura i kultura to coś, w czym się wychowałam i czym ciągle żyję. Ja jestem polską poetką. A przy tym wszystkim oczywiście Żydówką. Dodajmy – z polskich Żydów, więc jest we mnie wrodzona tożsamość polsko-żydowska. (...) To wszystko jest we mnie i ja jestem w tym.”

Pierwsza elektryzująca wizyta w Polsce nastąpiła w sierpniu 1993 roku: Warszawa, Szczecin. Publikacja w „Czytelniku” tomu wierszy „Ogrodem i ogrodzeniem”, po nim kolejne w „Wydawnictwie Literackim”, ponownie „Czytelniku”, w szczecińskiej „Formie”. W tym ostatnim wydawnictwie początek edycji „Wierszy zebranych”. Liczne publikacje w czasopiśmie („Akcent”, „Tygodnik Powszechny”, „Rzeczpospolita”, „Pogranicza”, „eleWator”. „Migotania”...), tłumaczenia na języki obce (w tym wybory wierszy). Odnowienie więzi, nowe przyjaźnie, nowe kontakty (szczególnie ważna z lubel-

AUTOBIOGRAFII

skim środowiskiem naukowo-literackim) – bliskie i twórcze do chwili obecnej...

4.

Fakty – faktami, anegdota – anegdotami, wszystko to bardzo zajmujące, potrzebne z punktu widzenia biografii autorki, chronologii jej pięknych dokonań, ocen i refleksji, ale niepowtarzalne są z nich wynikające bogate i oryginalne portrety różnorodnych ludzi, autorytetów pióra i myśli, kolegów po fachu, mniej lub bardziej cenionych i ważnych twórców. Tych polskich i tych amerykańskich z kręgu głównie znawców Europy Środkowo-Wschodniej. Z polskich warto przywołać wnikliwe, a zawsze przyjacielskie w tonie, strony poświęcone takim wielkim postaciom polskiej literatury i kultury, jak Czesław Miłosz, Jan Kott, Wisława Szymborska, Jan Twardowski, Sławomir Mrożek, Janusz Głowacki, Henryk Grynberg, Tymoteusz Karpowicz, ale i Stanisław Wygodzki. Strony te można zaliczyć do tych szczególnie kapitalnych dla budowania osobiste doświadczeń narracji historycznoliterackich i po prostu życiowych... Charakterystyczne dla autorki jest jej podejście osobiste, indywidualne do każdego człowieka, które zsumować można uważnym i pozytywnym nastawieniem empatycznym...

5.

Anna Frajllich debiutowała w 1958 roku w wieku szesnastu lat w „Nowym Głosie”, w dodatku do wydawanego w Warszawie po polsku i w jidysz czasopiśmie „Fotks Sztyme” (Głos Ludu). Kolejne publikacje ukazały się w „Głosie Szczecińskim”, poznańskim „Tygodniku Zachodnim”, były prezentowane

w szczecińskiej rozgłośni. A więc początki byłyby wczesne, bo w okresie nauki w liceum; studia nie przyniosły żadnych publikacji w renomowanej prasie literackiej, natomiast po studiach związała się luźno z Orientacją Poetycką „Hybrydy” (bliższe kontakty z Krystyną Rodowską, Tadeuszem Mocariskim, Krystyną Godlewską, Bohdanem Urbankowskim). Debiut książkowy przypaść dopiero na rok 1976, był to zbiór „Aby wiatr namalować”, Londyn Oficyna Stanisława Gilwy 1976, zresztą pozytywnie przyjęty w środowisku emigracyjnym. Po udanym debiucie pojawiły się kolejne książki poetyckie, np. w renomowanej Oficynie Poetów i Malarzy.

Poetka często wspominała, że we wczesnym dzieciństwie ojciec czytał jej wiersze Adama Mickiewicza, a na pytanie, co kształtowało jej wyobraźnię artystyczną odpowiedziała bez wahania, że „życie, czyli to, co mnie spotykało. (...) Uważam, że to, co nazywamy wyobraźnią artystyczną, kształtuje i koryguje każdy kolejny etap życia, a szczególnie młodość”. Spośród najważniejszych dla jej twórczości poetów wymienia najczęściej Broniewskiego, Pawlikowską Jasnorożewską i Szymborską. Wydaje mi się, że chyba rzeczywiście wiersze autorki „Łódź jest i przystań”, a chyba na pewno te pierwsze, nie tylko młodzieńcze, zyskują wiele na głośnej lekturze. Stanisław Baliński w 1977 roku zauważył po lekturze debiutanckich wierszy Anny Frajllich, że pisze ona „pamiętnik poetycki” ze swojego życia, a ja bym dodał: liryczny pamiętnik z przeżywanej osobie i silnie teraźniejszości pod wpływem mocno doświadczanego uczucia przemijania, ogromnej potrzeby uchwycenia piękna i niepochwytności chwili (nie tylko pojmowanej estetycznie), zare-

jestrowania środkami poetyckimi spotkań z intrygującym człowiekiem lub inspirującą sytuacją egzystencjalną. To poezja zarazem osobista i kulturowa, egzystencjalna i epifanijska, kameralna w tonie i szlachetna w warstwie uczuciowej. Bardzo humanistyczna, ale i mocno przepełniona podziwem dla przyrody, a więc liryczno-refleksyjno-opisowa w tonacji głębokiego humanizmu. Tradycyjnie klarowna i tradycyjnie podmiotowa. Bliska człowiekowi, który w (dostępnej językowo i egzystencjalnie) poezji szuka dialogu i wrażliwego porozumienia z tym, co najlepsze w człowieku i duchowe w naturze. To poezja wzruszenia, refleksji, obrazu wymierzona czule i uważnie na bliski autorce świat i życie.

Uważam, że dorzucenie do wywiadu poszczególnych wierszy z kolejnych etapów poezjowania autorki „Jeszcze w drodze” (1994) zachęca czytelnika do zapoznania się z jej twórczością.

6.

Książka ta – podana doskonałą polszczyzną, zawierająca bogactwo osobistych doznań i przemyśleń, kwiat humanistycznej wiedzy i zbiór pożytecznych informacji o literaturach – to nie tylko ważne i piękne monograficzne świadectwo twórczości Anny Frajllich, lecz i samoistne dzieło literackie o wybitnych walorach humanistycznych.

KAZIMIERZ BRAKONIECKI

Anna Frajllich, Sławomir Jacek Żurek: „Szlakany sufit języka. Trzydzieście rozmów”. Redakcja Elżbieta Maria Żurek. Wydawnictwo Austeria. Kraków-Budapeszt-Syrakuzy 2025, stron. 404.



Dorota Sobiecka

XXX

Albo ten moment gdy uświadamiasz sobie, że nie ma nic straszniejszego w życiu niż własne odbicie w lustrze, a twoja matka jest tylko statystą.
wszystkie przykre zdarzenia ze świata ludzi są tanim wstępem do zmierzenia się z koszmarem własnego umysłu

On nie odejdzie

możesz go oswoić jak księżę oswoił różę lub posiąść jak baranka
przesłonić kotarą z zielonego aksamitu niczym scenę
w teatrze
mówili żeby nie napędzać sobie strachu
Strach

jest

mój panie
jest potwornie głodny
Pokornie proszę światło o zwykłą ludzką łaskę śmiejąc się osobiście z tej absurdalnej prośby

my ludzie
komedianci we własnych horrorach

nie zamykaj oczu
jest cień
szansy na światło.

Estetyka buntu

należała do mnie
piękno niesubordynacji nosiłam w kieszeni jak mój wybór
racjonalizowanie wydawało mi się śmieszne
nie było takich uszu które zamierzałam zaszczycać

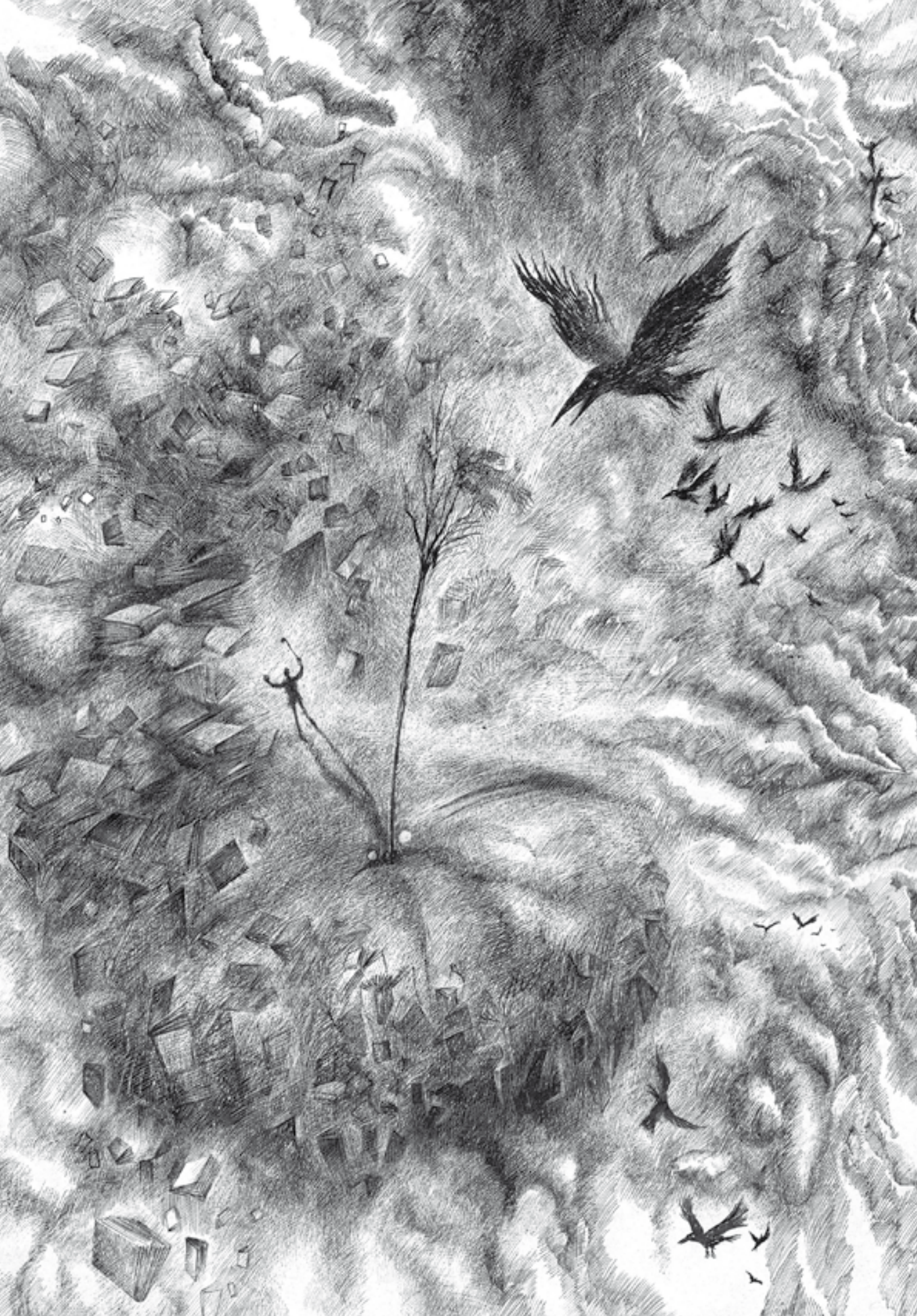
estetyka buntu

należałam do niej
jak tylko można należeć do kościoła
niewystarczająco gorliwie aby buntować się przed jej wszystkożernymi zakusami

tak bawiłyśmy się wtedy sobą nawzajem

należę do Ciebie
najwyraźniej
teraz
pragnienie podobne do doskonałej rozpacz
oddalenia Cię od źródeł niepokoju
obserwuję jak zbliżam się do Twoich uszu

bez planu na zabawę



„ZATYNKOWANIE”

(JAN GRABOWSKI, „WYBIELANIE. POLSKA WOBEC ZAGŁADY ŻYDÓW”)

Na początku 2025 roku Elon Musk powiedział władzom i członkom Alternative für Deutschland, żeby porzucili poczucie winy z powodu wydarzeń, których uczestnikami byli osiemdziesiąt lat temu krewni obecnych młodych ludzi. Należy zapomnieć, przestać się przejmować, chyba zabielić, zatynkować, zamalować brudną farbą, czyli kolorem już o nie negatywnym odcieniu, ale tak jak inne, przyjaznym, neutralnym, specjalnie z palety się nie wyróżniającym.

O ile pierwsze obozy koncentracyjne powstawały na terenie III Rzeszy, gdzie wykorzystywani i umęczani byli nieprawomyślni wobec nazistowskiej, faszystowskiej, hitlerowskiej maszyny więźniowie polityczni, homoseksualiści i członkowie mniejszości narodowych oraz etnicznych, to za moment na wschód od Odry wyrósł symbol owego strasznego, ciemnego, ponurego Mordoru - fabryki śmierci dla milionów Żydów, dotąd w historii nie spotykane. Choćby liczba zamordowanych, choćby mechanizm unicestwiania, choćby Zagłada, Shoah, Holokaust... powinny uczynić pomnik, który stałby się po wsze czasy przestroga przed jakąkolwiek najmniejszą agresją człowieka przeciw człowiekowi. A zatem pamiętać. Przynajmniej raz, dwa, może trzy razy do roku. I edukacja. Co przecież powinno iść w parze. I żeby było to zarazem broniące i prowadzone systematycznie jak dwie godziny religii w polskiej szkole. I żeby słowo „Zagłada” w podręcznikach do historii było tak często powtarzane jak nazwiska żołnierzy wyklętych. I żeby wycieczkom dydaktycznym, o których było głośno za poprzedniego ministra edukacji, obecna minister zmieniła nieco (a może i więcej niż nieco) szlaki. Czasami w prasie czytam o odwiedzinach izraelskiej młodzieży w największym obozie zagłady położonym na ziemiach polskich. I jestem ciekawy, czy w podobny sposób, a mam na myśli liczby i częstotliwość, przekładają się one na potrzeby polskiego szkolnictwa.

W niedawnych wyborach parlamentarnych w Niemczech AfD zajęła drugie miejsce zdobywszy ponad dwadzieścia procent. Co do wyborów prezydenckich w Polsce, komentarze sugerują, że skrajnie prawicowy kandydat znajduje się w drugiej turze, prześcigając kandydata mniej skrajnie prawicowego. Jednym z haseł (obecnie jakby zapomniane; czyżby znowu zatynkowane?) tego pierwszego jest „Polska bez Żydów”. Coraz częściej mówi się o zbliżeniu owego skrajnego kandydata i partii, z której się wywodzi, do wyborczych dwudziestu procent. Straszliwa symbolika.

„Wybielanie: Polska wobec Zagłady Żydów” Jana Grabowskiego trafiła w moje ręce właśnie w tym nieszczęśliwym momencie i stąd te wszystkie powyższe skojarzenia i dygresje. Profesor Grabowski jest między innymi autorem „Judenjaga” i współredaktorem dwutomowego opracowania „Dalej jest noc”. Stoją one na półce obok książek Joanny Tokarskiej-Bakir, Barbary Engelking, Dariusza Libionki, Aliny Całej, Jacka Leociaka i Jana Tomasz Grossa, z których niektórzy, wraz z Janem Grabowskim, posądzani są w Polsce o rzekome przekłamywanie historii, występowanie przeciwko Polsce, negowanie tego, że większość Polaków ratowała Żydów w czasie drugiej wojny światowej. Posądzani głośno,

oficjalnie, medialnie, na drodze sądowej. Właśnie, o oskarżaniu było bardzo głośno. O ich obronie daleko mniej, jeśli wcale. Wydawałoby się, że to niezwykły dysonans.

Nie lubię słowa „brunatnie” na określenie zmian społecznych i politycznych zachodzących w europejskich państwach. Wzbudza we mnie przede wszystkim strach przed nienawiścią, agresją, jakąś nieracjonalną fizyczną siłą, której mógłbym ulec ja czy ktokolwiek inny, a co spowodowałoby absurdalną zmianę w dotychczasowym nie tylko postrzeganiu otaczającej rzeczywistości, lecz każdym aspekcie życia. Niestety to słowo jest zbyt często powtarzane w artykułach prasowych, esejach, felietonach, komentarzach do nich. Profesor Grabowski stał się w Polsce niestety ofiarą tych zmian. I stąd, moim zdaniem, wzięta się ta krótka książeczka, licząca sto dwadzieścia kilka stron. Jej autor, powodowany zrozumiałymi emocjami, oddał czytelnikowi w piętnastu rozdziałach swoją ogromną wiedzę, ale w sposób niezwykle skondensowany, choć nie pozbawiony liczb, dat, nazwisk i przede wszystkim wydarzeń udowadniających przynajmniej trzy tezy. Przede wszystkim, że nie wszyscy Polacy (ani nie większość) pomagali Żydom w trakcie drugiej wojny światowej. Po drugie, społeczeństwo (a szczególnie klasa polityczna) niezwykle silnie się radykalizuje w kierunku skrajnie prawicowym. I w końcu, należy skoncentrować się na wychowaniu i edukacji, żeby zapobiec katastrofie.

Niezwykle dla mnie ważna wydaje się rodzinna historia Jana Grabowskiego. Rzecz nie w tym jednak, żeby doszukiwać się korzeni, znajdować powody do wypominania, szukać jakichś złych emocji, a tym samym podobnych intencji. Chodzi być może o nie do końca zdefiniowaną żarliwość, nieustępliwość w poszukiwaniu wiedzy, wertowaniu materiałów, podróżyach między Kanadą a Europą, prelekcjach, wykładach, wywiadach, kolejnych pracach naukowo-historycznych. A także w niezwyklej dystansie do atmosfery, która, i tu przecież już nie ma żadnych wątpliwości, otacza organizowane z Profesorem spotkania. Niestety ten dystans został któregoś dnia skrócony. I to według mnie kolejny powód, że „Wybielanie” powstało.

Dziadkiem Jana Grabowskiego był Jozue Abrahamer. „[...] Jozue postanowił zalegalizować swoje „aryjskie” papiery, które tak dobrze mu się przysłużyły podczas wojny, i oficjalnie zmienił nazwisko na Czesław Grabowski” [1]. Jozue miał brata o imieniu Samek, który zdecydował się pozostać przy nazwisku Abrahamer. Był ocalałym. Przeżył Holokaust w Warszawie. Został zamordowany wraz ze swoją sekretarką 8 kwietnia 1946 roku pod Krakowem przez bandytów z Batalionu Samoobrony Antykominternowskiej, podziemnej siatki antykomunistycznego i „patriotycznego” ruchu oporu Józefa Kurasia, znanego pod wojennymi pseudonimami „Orzeł” i „Ogień”. Jak pisał Grabowski, Samek i jego sekretarka nie byli komunistami. Byli za to bogatymi Żydami. Dlatego zostali zabici przez polskich bojowników. Autor przywołuje tę smutną historię nie tylko z uwagi na to, żeby utożsamiać się z Żydami. O wiele od tego ważniejsze jest to, co stanowi jeden z tematów książki, mianowicie ubolewanie nad tym, że honoruje się morderców, a nie ich ofiary, rękoma

kolejnych prezydentów tworząc z tych pierwszych bohaterów narodowych, by następnie upamiętniać ich ekspozycjami muzealnymi, harcerskimi rajdami, dziesięciotętową monetą z czystego srebra.

We „Wstępie” Jan Grabowski pisze: „Celem niniejszego tomiku jest pokazanie ewolucji metod indoktrynacji, które doprowadziły do tego, że dziś Polskę można uważać za lidera w negacji historii Holocaustu” [2]. Jedną z tych metod jest przekonywanie o masowym niesieniu przez Polaków pomocy Żydom w czasie Zagłady. Oczywiście prawdą niezaprzeczalną jest, że Polacy mają najwięcej drzewek oliwnych ku czci Sprawiedliwych wśród Narodów Świata. Ale Grabowski pisze o liczbie, która ponoć wydaje się szacunkiem ośroźnym i zachowawczym, dwustu tysięcy Żydów, którzy zginęli przy udziale Polaków. Przeraża jednak nie sama liczba, ale to, iż Zagłady uniknęło około dziesięć procent, czyli blisko dwieście pięćdziesiąt tysięcy, zaś mniej niż trzydzieści tysięcy przeżyło do wyzwolenia; los pozostałych zależał od Polaków... Otóż to, chyba nie wszyscy Polacy pomagali Żydom. W książce autor wspomina także o czasach II Rzeczypospolitej i tuż powojennych (opisuje krótko i Marzec 1968 roku), by uświadomić, że antysemityzm na ziemiach polskich nie pojawił się nagle, a winnymi jego istnienia nie są ciągle inni podlegacze. Tym zagadnieniom poświęcono wiele doskonałych i obszernych opracowań. Niektórych Jan Grabowski jest autorem, współautorem bądź redaktorem.

Radykalizacja, antysemityzm, skrajna prawicowość w Polsce po odzyskaniu suwerenności w 1989 roku najpierw petzały pokątnie, wylewały się gdzieś wzdłuż strużkami, które po chwili wysychały. To było tak jakoś subkulturowo, gdzieś na zapleczu, po zmroku, w lesie, w piwnicy. Nie interesowaliśmy się specjalnie Bliskim Wschodem i polityką Izraela. Ze szkoły pamiętaliśmy Nałkowską i Borowskiego, choć niespecjalnie było to nam bliskie. O Marcu nie wiedzieliśmy prawie nic. Nikomu nie przychodziło do głowy odwiedzić obozy zagłady. Aż przyszedł Internet i wszystko przewróciło się do góry nogami, bo można było powiedzieć anonimowo, co tylko przychodziło na myśl, ktoś przypominał sobie o populizmie i w końcu na kilkanaście lat Polska „wstała z kolan”. O tych czasach współczesnych jest zatem w „Wybielaniu” najwięcej. Negowanie Holocaustu jest prawie niedostrzegalne. Ukrywa się w potoku zdarzeń, kłębowisku słów, którymi się gra, żeby winę przenieść wyłącznie na Niemców, a jedynie chwatać własnego narodu wynosić jak najwyżej; zbrodnie zniknąć mają w pyłe, błocie, koleinach i pod kolejnymi warstwami asfaltu oraz betonu. Nie tylko Polska tak czyni. Grabowski przytacza przykłady Węgier, Litwy, Ukrainy i Łotwy. Dużo w „Wybielaniu” o „polityce historycznej” i polityce tożsamości.

Profesor sporo pisze o działaniach Instytutu Pamięci Narodowej, zmianach w prawodawstwie dotyczących znieważania narodu polskiego, czego redaktorzy, w tym Grabowski, książki „Dalej jest noc” zaznali na sobie. Na kartach przewijają się rządowi politycy, broniący dobrego imienia Polaków w kontekście Zagłady: Przemysław Czarnek, Mateusz Morawiecki. Autor przygląda się żonglowaniu hasłami w Wikipedii. Przypomina o negatywnej wrzawie po ukazaniu się „Sąsiadów” Grossa. Czasami przenosi czytelników w przeszłość, cy-

tużąc fragmenty wspomnień ocalałych, które nie stawiają w pozytywnym świetle Polaków. To są cytaty przejmujące. Czy Grabowski się obrusza? Może denerwuje? Nie jestem w stanie wyobrazić sobie, jakie uczucia towarzyszą mu, gdy zbiera materiały, ubiera w słowa, zdania, akapity i rozdziały tej książeczki. Jestem zdziwiony, ale tylko trochę, gdy znajduję w niej frazy ironiczne, bezpardonowe, może i dotkliwe, cierpkie, pełne gorzkości. Choćby wtedy, gdy pisze o wydarzeniu 25 listopada 2021 roku na stacji w Treblince z udziałem ówczesnej wiceministry kultury i dziedzictwa narodowego. Podobne działania nazywa „Kordonem sanitarnym polskiej cnoty”. Z Treblinki zabiera nas Grabowski do Auschwitz i pisze o jego polonizacji. To tam znajdujemy zdanie: „Każde z tych stwierdzeń było albo beczelnym kłamstwem, albo, w najlepszym wypadku, półprawdą” [3]. To w związku z KL Auschwitz właśnie. I mimo, że dalej jest mowa o Instytucie Strat Wojennych im. Jana Karskiego i Instytucie do Walki z Antypolonizmem, wpisanych w kampanię nienawiści i „oswajanie” Auschwitz, zdumiewa, że w kraju, w którym jeszcze nie tak dawno o mordzie w Katyniu nie uczono w szkołach, a tylko mówiono w niektórych domach, można tak łatwo szafować edukacją, pamięcią, prawdą (czy może to ostatnie słowo jest zbyt przesadzone?).

Uwagę zwracają dwa fragmenty, z których pierwszy jest wyjątkowo dobitny w kontekście polemiki o ratowaniu Żydów w czasach II wojny światowej. Jan Grabowski przytacza list swojego ojca z 1973 roku, „zaadresowany do Kazimierza Koźniewskiego, bohaterskiego żołnierza podziemia w czasie i wpływowego pisarza w okresie Polski Ludowej” [4]. Rzecz dotyczy opinii o niektórych Polakach, którzy nie tylko przyklaskiwali mordowaniu Żydów w obozach koncentracyjnych, ale i ironicznie traktowali ostatnią walkę stojącego w płomieniach warszawskiego getta. Jednocześnie list zawiera argumenty w obronie chrześcijańskich postaw ludzi, którzy pomagali Żydom, ryzykując wydaniem przez współrodaków. Tyle że większość ocalałych spotykały zatrzaśnięte drzwi i szczucie psami. Ostatnie zdanie przytoczonego cytatu jest przynajmniej: „Hieny nie wymarły, nie uciekły – żyją spokojnie wśród nas jako typowi i szanowani członkowie społeczeństwa, nie inaczej niż ich o tyle bardziej krwawo splamione odpowiedniki w NRF i NRD” [5].

Drugi fragment pochodzi z pierwszego rozdziału, zatytułowanego tak jak książka. Nie ma wątpliwości, że Grabowski by jej nie napisał, gdyby nie zdarzenie sprzed trzech lat w Niemieckim Instytucie Historycznym, o którym stało się głośno w mediach. Nie pisano wszak, i o tym właśnie Profesor wspomina, że przed budynkiem protestowała grupa demonstrantów, zmobilizowanych przez Roberta Bąkiewicza. Niektórzy z protestujących przyprowadzili ze sobą dzieci. Przynieśli oczywiście transparenty, których treść, a część była napisana po niemiecku, „jakby to miało ujawnić twarz wroga przyczajonego wewnątrz budynku” [6], wskazywała jednoznacznie na promowanie polskiej martyrologii kosztem żydowskich ofiar. Oczywiście, potem jak było, wszyscy doskonale wiemy. Brutalnie przerwany przez postać na Sejm Rzeczypospolitej wykład, agresja słowna i fizyczna parlamentarzysty, to niewąrygodne poczucie bezkarności, pewności, że wściekłość, furia i brutalność może zdominować przestrzeń kulturalną, przeznaczoną na rozmowę, wymianę poglądów, spieranie się na argumenty wypowiediane nawet na stojąco, ale z zachowaniem jakiejś dozy szacunku, które przedstawiciel władzy ustawodawczej z napuszoną swobodą raczył przekroczyć krokiem dumnym, depcząc przy okazji naukę. Dziwne, ale czy to nie prowokuje myśli, że historia zatoczyła koło? Ot, ironia losu.

Cóż, ta książka to głos podniesiony na głupe. Na cynizm także. I oczywiście na bezduśność. Warto przynajmniej zaznaczyć odpowiednie fragmenty i nauczyć się liczb. Warto zapamiętać okrutny los, jaki przydarzył się niejakiemu Samkowi Abrahamerowi i wbić sobie do głowy, że nie tylko jemu, ocalałemu, szczęście przeżycia Shoah zostało odebrane tuż po wojnie przez tych, którzy mogli go uratować. A najłatwiej chyba zapamiętać, ile kosztowała butelka wody w 1942 i 1943 roku na stacji kolejowej w Treblince.

W książce pojawia się wiele imion i nazwisk osób publicznych. Przykre, że mogą zostać zapamiętani z niechlubnych wypowiedzi oraz podjętych decyzji i działań. Grabowski je przytacza, cytuje, podkreśla. Wydaje się, że kręci głową z niedowierzaniem. Zapewne niektórzy czytelnicy również.

Redaktor „Migotań” zasugerował, żeby przy tekście o „Wybielaniu” wspomnieć o rocznicy wybuchu powstania w getcie warszawskim. Nie mam za wiele do powiedzenia, napisania i moje myśli krążą raczej wokół jednego wiersza i jednego eseju tudzież moich mniej lub bardziej niejasnych związków z Żydami, niekoniecznie polskimi, przynajmniej do drugiej wojny światowej. Wszystko to jest pełne uczuć, mało w tym, proszę o wybaczenie, racjonalności. Ale przecież Jan Błoński, autor tego właśnie jednego eseju, czyli „Biedni Polacy patrzą na getto”, uważał, że czytanie literatury powinno być emocjonalne i namiętne, a nie suche i encyklopedyczne.

W swoim tekście Błoński przywołuje fragment „Campo di Fiori” Czesława Miłosza. To obraz sugestywny, zapadający trwale w pamięć. Mimo że poznałem go w szkole, gdzie wiersz był omawiany i interpretowany, to z niewiadomych dla mnie powodów został ze mną na stałe, jestem z nim emocjonalnie związany. Że wyobrażałem sobie karuzelę, to oczywiście. Dlaczego i unoszący się wysoko nad nią gęsty, ciemny dym, nie wiem. Przecież dopiero wiele lat później wpadła mi w ręce jedna z najważniejszych książek o powstaniu, czyli „Flagi nad gettem” Mosze Arensa, której okładka ten obraz utrwaliła. Treść z kolei nie tyle powiedziała mi, że żydowski zryw był pierwszym militarnym wystąpieniem przeciwko hitleryzmowi, ale pokazała Żydów jako żołnierzy Żydowskiej Organizacji Bojowej i Żydowskiego Związku Wojskowego, co, rzecz jasna, stało w absolutnym przeciwieństwie do wyniesionych ze szkoły fragmentarycznych i mglistych obrazów polskich Żydów.

Ciekawość, trochę głupia, dziecinna, infantylna chciała poznać bohaterów, stąd w dalszej kolejności przyszła lektura książek Marka Edelmana. Ów niezwykły człowiek był przez wiele lat, choć zdecydowanie za krótko, jedynym żyjącym uczestnikiem powstania w getcie warszawskim, który opowiadał, tłumaczył, pojawiał się w mediach nie tylko z okazji kolejnych rocznic i upamiętnień. Sprawił, że powstanie stało się nagle ważną, nierozłączną częścią historii Polski a nie lirykiem czy esejem ukrytym w najdalszym, zakurzonej, ciemnym kącie bibliotecznym, wyajdywanym od czasu do czasu dla sporadycznej potrzeby.

Czy sprawił to Marek Edelman, że na rynku czytelnicznym zaczęto pojawiać się sporo pamiętników, zbeletryzowanych wspomnień, a i niestety dość marnych literacko powieści, w których powstanie w getcie stanowiło jeden z wątków? Nie mam wątpliwości. Edelmana nie ma już pośród nas od prawie szesnastu lat. Miejsce jego książek zajęły już inne, równie ważne. Sięgam do niektórych pozycji w serii, już nie nowej, „Żydzi Polscy” wydawnictwa Karta. Pamiętam o „Podziemnym Muranowie” Jacka Leociaka, opracowaniu Barbary Engelking i Dariusza Libionki. Ale to

tylko część literatury dotyczącej Holocaustu i powojennych pogromów, której powstanie w getcie warszawskim stanowi integralną całość. I byłbym usatysfakcjonowany, ba! prawie zadowolony z siebie, gdyby nie obrazy dochodzące z zewnątrz. Niepokojące, wręcz dramatyczne. Jan Grabowski w „Wybielaniu” nie tyle otwiera mi oczy, ale kieruje wzrok, dotąd bardziej skoncentrowany na literaturze, ku polskiej teraźniejszej rzeczywistości.

Właśnie minęły osiemdziesiąt dwa lata od wybuchu powstania. Polska obserwuje prezydencką kampanię wyborczą. Teksty o rocznicy 19 kwietnia pojawiły się w niektórych ogólnokrajowych gazetach, choć na ich stronach internetowych szybko przesunęły się w miejsca trudniej dostępne. Z kolei u jednego z niezależnych dziennikarzy tekst jest krótki, brakuje wywiadu z którymś z zapraszanych zwykłych gości. Znowu wspomnienie ofiar jakby utkwiło na bocznicach polskiej historii.

Myślę zatem o edukacji. Czy wyobrażam sobie, że na lekcjach, historii właśnie, języka polskiego, wychowania obywatelskiego ten temat pojawia się obowiązkowo, obligatoryjnie? Raczej nie. Czy nauczyciel w opowieści o kwietniowej rocznicy sięga do opracowań Żydowskiego Instytutu Historycznego, Centrum Badań nad Zagładą Żydów? Być może... Przecież świat się zmienił. Internet jest przed nami szeroko otwarty. A może w swoim wykładzie polemizuje z obecnymi w przestrzeni publicznej antysemityzmem, rasizmem, ksenofobią, słowami, które żółty żonkil, upamiętniający ofiary walki w getcie warszawskim, nazywają hańbą?!

Gdyby ziściło się to, czego profesor Grabowski się dopomina, czyli upamiętnienie ofiar zamiast bandytów, czy przełożyłoby się to na edukację, inne postrzeganie rzeczywistości, w której nazywanie zła nie byłoby tak wielką trudnością, dziwnym dyskomfortem?

Nie domagam się tabliczek na każdej kamienicy, gdzie mieszkali Żydzi, a nawet tam, gdzie ginęli. Raczej nieśmiało sugeruję i może mam nikłą nadzieję, że urodzeni w tym roku mieszkańcy Polski, którzy uzyskają pełnoletność w stulecie wybuchu powstania, będą wiedzieli kim jest Rywka Tajtelbaum z mozaiki przy warszawskim rondzie de Gaulle'a, bo to przecież już niedługo, za osiemnaście lat. Niuta może być metaforą, przyczyną, wyjściem, początek, prologiem do opowieści o powstaniu i przywołaniu kolejnych imion, nazwisk, pseudonimów, za którymi ukrywa się bohaterska śmierć, niewola, obóz koncentracyjny, Zagłada, Ocalenie, polscy Sprawiedliwi wśród Narodów Świata, Yad Vashem. Tyle że to stolica, gdzie żółte żonkile, Muzeum Polin, Pomnik Bohaterów Getta Warszawskiego. A co z powiatowym miasteczkiem na północnym wschodzie Polski, w którym żydowskie życie skończyło się wraz z Krysztalową Nocą i spalaniem Wielkiej Synagogi? Tam nie ma tabliczek na domach lekarzy, prawników, aptekarzy, handlarzy, kupców, potentatów przemysłowych. Tam historia jest krzyżacka, trochę pruska, celebrowana średniowiecznymi jarmarkami i rekonstrukcjami bitew. Potem pustka aż do dzisiaj, bo macewy z przedwojennego cmentarza żydowskiego zniknęły wraz z synagogą... Czy tam powstanie w getcie warszawskim jest częścią współczesnej historii Polski?

JERZY LENGAUER

[1] Jan Grabowski, „Wybielanie: Polska wobec Zagłady Żydów”, Wydawnictwo Vis-ŕ-Vis Etiuda, 2024, s. 69.

[2] Tamże, s. 9.

[3] Tamże, s. 88.

[4] Tamże, s. 65.

[5] Tamże, s. 66-67.

[6] Tamże, s. 12.

Maria J. Fraszewska

SAGA, OPOWIEŚĆ O LOSACH POLSKIEJ RODZINY POCHODZĄCEJ Z KRESÓW WSCHODNICH RZECZYPOSPOLITEJ

Książka ta jest kroniką historyczną, w której „Zawarte jest moje życie, moja miłość do ziemi, do rodzinnej wsi, do pól, łąk, lasów, jeziora, do których to ukochanych stron wróciłam po latach”. Słowa te Barbara Iskra Kosińska umieściła na wstępie trzeciego tomu sagi rodzinnej „Pokolenia czas pamięci”.

Ta miłość do przyrody nie wzięta się znikąd. A opis piękna ziemi dotyczy przygranicznych terenów województwa lubuskiego, niewielkiej miejscowości Kosarzyn, położonej malowniczo wśród lasów sosnowych nad jeziorem Borek u ujścia Nysy Łużyckiej do Odry. Na terenie Krzesińskiego Parku Krajobrazowego autorka mieszka i pisze powieści opatrzone rysem biograficznym.

Jej rodzina pochodzi z Kresów Wschodnich, terenów, które Rzeczypospolita utraciła w wyniku układów politycznych po drugiej wojnie światowej. Już we wrześniu 1939 r. na ziemie polskie Kresów Wschodnich napadli zarówno Sowieci jak i Niemcy. Rósł też w siłę nacjonalizm ukraiński. Oblicza się, że w wyniku czystki etnicznej dokonanej na polskiej ludności przez bandy OUN-UPA zginęło od 100 do 300 tysięcy ludzi. Zostali brutalnie zamordowani. Polacy, którzy przeżyli ludobójstwo w większości przyjęli swój los z pokorą. Przekro mi używać tego słowa, jednak coś można uczynić ponadto w okolicznościach tak olbrzymiej straty i makabrycznych przeżyć. Wdzięczni, że przeżyli, zmuszeni zostali do opuszczenia swojej ziemi uprawianej całe wieki i przez całe pokolenia. To oni zasiedlali tzw. Ziemie Odzyskane.

Saga jest trzytomową opowieścią stu-letniego okresu życia rodziny Kosińskich na tle wydarzeń historycznych Polski. Autorka rozpoczyna dzieje rokiem 1918 na Kresach Wschodnich i kontynuuje do czasów współczesnych obejmujących okres transformacji już na Ziemach Odzyskanych. Opisuje PRL-owską rzeczywistość lat swojego dorastania.

Nie bez zaangażowania emocjonalnego da się przeczytać tę sagę, a szczególnie jej pierwszą część. I nie uda się uniknąć kontekstu historycznego czytając: „Czerwone niebo nad Wołyniem”, z podtytułem: „Rzeź Polaków na Wołyniu. Opowieść rodzinna”. Autorka opisując losy jej rodziny i wielu innych polskich rodzin żyjących na terenach Kresów Wschodnich ówczesnej Rzeczypospolitej Polskiej sięgnęła do pamiętników rodzinnych, dzienników, faktów historycznych, zapisków i relacji naocznych świadków, a w szczególności wysłuchała relacji z ust swojego ojca, Zdzisława Kosińskiego.

Dość łatwo jest sprawdzić historyczność i prawdziwość wydarzeń opisanych w książce. Znalazłam w internecie stronę wołyńską z dokładną mapą rozmieszczenia i wykazem gospodarstw z 1939 r. wsi o nazwie Okopy. Pod numerem 44 znajdował się dom Kosińskich, głównych bohaterów tej tragicznej opowieści. Wśród 56 obiektów i gospodarstw naliczyłam 12 dworów, w których właścicielami była właśnie ta rodzina. W 1921 r. w Okopach było około 40

zagród i około 200 mieszkańców, prawie wyłącznie Polaków.

Książka zaczyna się łagodnym i nostalgicznym opisem życia rodzinnego po pierwszej wojnie światowej. „W domu Michaliny i Wincentego panował zawsze nabożny spokój. Wincenty był mężczyzną o łagodnym usposobieniu – spokojny, opanowany i zawsze życzliwy dla otoczenia. W chwilach wolnych od pracy siadał sobie na ławce pod drzewem i palił fajkę, rozmyślając. Obok niego układał się leniwie jego pies – czarny podpalany wilczur Nerek”.

Znajdziemy tu opis życia codziennego wołyńskiej społeczności i rodziny Kosińskich. Poznamy ich troski i miłości, przyjaźnie i wspólne rozmowy, starania o rękę, załoty i śluby, przygotowania do szkoły, uroczyste barwne dożynki, zabawy i wyjazdy na zakupy do nieodległego miasta Rokitna.

Ale zanim do podsumowania życia doszło, w jakże bajkowej, lubuskiej scenerii, to zaczęło się w zupełnie innym miejscu i w innych okolicznościach. Dramat rodziny Kosińskich był również dramatem wielu tysięcy Polaków.

„Był 6 grudnia 1943 roku. W Okopach zamykano obejścia gospodarskie, chlewy, stajnie po wieczornym obrządku. Nagle od strony lasu Wincenty Kosiński usłyszał tętent kopyt końskich. Jadący pędem na koniu młody chłopak krzyczał co sił: Ludzie! Uciekajcie! Banderowcy!”

Trzeba pamiętać i oddać hołd bestialsko pomordowanej ludności przez bandy UPA. W książce opisana jest męcząca śmierć nauczycielki z Okopów, Felicji Masojady, która wracała z rodziną Kacpra Kosińskiego z Rokitna do domu. Zginęli oboje z rąk banderowców. Ona powieszona za nogi, a „przedtem męczono ją i zadano jej kilkanaście ciosów nożem.”

Zamęczono także księdza Ludwika Wroclarczyka, który nie opuścił kościoła. Nacjonalści ukraińscy wywieźli go z kościoła i znęcali się nad nim okrutnie, zmarł dowieczony i podpalany w Karpiwówce.

Ci, którzy przeżyli rzeź Polaków dokonaną przez ukraińskich nacjonalistów na Ziemi Wołyńskiej na przełomie 1943/44 roku, po zakończeniu drugiej wojny światowej zostali zmuszeni do opuszczenia swoich ziem, bo domów już nie było, zostały spalone. Ci, którzy przetrwali schronili się w lesie, w którym obozowali ponad rok czasu w niewygodnych trudnych warunkach. A jednak nie załamali się, starali się żyć tak jak poprzednio. A potem, gdy nastał Związek Radziecki, zostali wysiedleni i pociągami docierali do rubieży ziem zachodnich, tych „odzyskanych” od Niemców. Pomimo zagrożenia własnego życia rodzina Kosińskich, jak i ludność polska w Kresach, ratowała życie mieszkańcom żydowskim ukrywając ich w piwnicach czy stodołach, dzieląc się jedzeniem i odzieniem. Mężczyźni zaciągali się do oddziałów partyzanckich. Trzeba było jednak jeszcze poczekać na całkowite wyzwolenie okupowanych ziem. A potem i je opuścić.

Pierwszy tom opowieści dziejów rodzinnych „Czerwone niebo nad Wołyniem”, rozpoczyna się istotną informacją. Otóż ro-

dzina Kosińskich od wieków zamieszkiwała na Wołyniu. Posiadali herb nadany im przez Ludwika Węgierskiego w XIV wieku, protoplaście, który przyczynił się do zdobycia zamku bełzkiego. Jest to o tyle istotne, że nasza współczesna świadomość przeszłości została jakby zapomniana. Jednak czy dla dobra życia społecznego współczesnych Polaków? Nie jest wcale łatwo pogodzić się z przeszłością, która zabrała wszystko. Paradoksalnie współcześnie tamto zło wyrażone ludziami wraca wspomnieniami wraz z napływającymi z Ukrainy uchodźcami ratującymi swoje życie w wyniku napaści Rosji na Ukrainę i trwania wojny już prawie trzy lata.

Jednak zło rozpoczęło się dużo wcześniej, bo z datą wybuchu drugiej wojny światowej. Kosińska pisze: „Już 17 września chłopci z Kisorycz donieśli czerwonoarmistom na leśniczego Stanisława Zalewskiego i gajowego Jana Marciniaka za to, że nie pozwalali oni na kradzież drewna z lasów. Zostali za to rozstrzelani, bez żadnego sądu”. Mili-cjanci, sołtysi i pełnomocnicy z czerwonymi opaskami na rękach chodzili po polskich domach spisując inwentarz i rozlepiali plakaty z tekstami oczerniającymi Polaków. Autorka kontynuuje: „W takiej atmosferze i codziennym strachu upływało życie w Okopach, Budkach Borowskich i Dołhani – wsiach polskich, osaczonych ze wszystkich stron przez Ukraińców, Niemców i tzw. władzę sowiecką, która realizowała też sukcesywnie swoje wywózki na Syberię.”

Trzeba znać fakty i nie możemy zapomnieć o wołyńskiej rzezi Polaków. Prawda jest nam żyjącym nie tylko potrzebna, ona jest: „dobrem dla człowieka w odniesieniach międzyludzkich (...) Człowiek ma prawo do prawdy”. Są to słowa Jana Pawła II.² A Stanisław Srokowski w książce: „Nienawiść” dodaje: „Wyzbaczenie rodzi się z prawdy, wyznania winy, skruchy i obietnicy poprawy. A przede wszystkim z wrażliwego ludzkiego sumienia. A my, Polacy i Ukraińcy, musimy żyć obok siebie, musimy i powinniśmy chcieć współpracować, dźwigać na rzecz dobra i przyszłości obu narodów.”

Czytając „Czerwone niebo nad Wołyniem” od razu zwiualizowałam sobie obraz sielskości życia wiejskiego i chłopskich gospodarstw, a potem makabrycznej rzezi, bowiem w pamięci wciąż mam film „Wołyń” w reżyserii Wojciecha Smarzowskiego. Opracował on scenariusz na podstawie opowiadań Stanisława Srokowskiego zawartych w książce pt.: „Nienawiść”. W postawie autor, który jako dziecko ocalał z Rzezi Wołyńskiej i wraz z rodziną trafił na Ziemię Odzyskaną pierwotnie do Dębna Lubuskiego, pisze: „Pokazując barbarzyńskie sceny, chciałem nie tylko pokazać zło jako wynik indoktrynacji ideologicznej, ale także tkwiące immanentnie w człowieku skłonności do siania nienawiści, ujawniające się zawsze, kiedy tylko powstaną sprzyjające temu okoliczności. (...) Bo okrucieństwo w takim samym stopniu mogą nieść Ukraińcy, Niem-

1 file:///C:/Users/HP/Downloads/Wolyn-1943-rozliczenie-Konferencja-IPN.pdf

2 Fragment homilii wygłoszonej w Olsztynie 6.06.1991r., [w:] S.Srokowski, Nienawiść, Prószyński i S-ka, 2006

cy, Serbowie, Polacy, Turcy czy Rosjanie, jeśli zniszczona zostanie w nich wrażliwość moralna, zdławiona etyczna tkanka życia i nie zostanie wykorzenione poczucie absolutnej wyjątkowości."

Barbara Iskra Kozińska swoją książkę zadeklarowała pamięci „mieszkańcom Ziemi Wołyńskiej bestialsko pomordowanym podczas II wojny światowej”. Bo choć wszyscy i Polacy i Ukraińcy i Żydzi i Rosjanie żyli w zgodzie wypełniając swoje życie codziennymi gospodarczymi obowiązkami, odpoczynkiem po trudach pracy, i podczas wspólnych zabaw, to obudzone w ludziach demony zniszczyły delikatną tkankę społeczną. Polskiego Wołynia fizycznie już nie ma, jednak wciąż żyje we wspomnieniach osiedlonych setki kilometrów od ich spalonych domów. I w traumie, która nigdy nie przemija, a obrazy okrucieństwa wracają w snach i marach nocnych. Koszmary nocne nazbyt często towarzyszyły Zdzisławowi Kozińskiemu, mężowi Marii, z domu Zawadzkiej, której to odważne staranie spowodowało szybszy wyjazd z nieprzyjemnej ziemi. To rodzice pisarki.

Drugi tom sagi nosi tytuł „Maria”. Opowiada o życiu przesiedlonych kresowian, a wśród nich rodziny Kozińskich, od momentu, gdy wraz z tobołami i możliwym do uniesienia dobytkiem, znaleźli się w wojskowym aucie ciężarowym trafiając do Wierzbicy w okolicach Opola. Udało im się zabrać ze sobą dwie krowy, które zapewniały pokarm i wymianę. Wjechali do wsi, którą opuścili Niemcy. „Po bokach długiej ulicy rosły rzędem duże lipy, których konary pomalowane były na biało. Dawą to obraz czystości i pocucia estetyki byłych gospodarzy.” Kozińscy rozglądali się po murowanych domach, pytając co dalej? Żołnierz wskazał ręką na rząd pustych domów. Michasia Kozińska spoglądając na męża zapytała: „Co my teraz zrobimy, Wicuś? Jakże tak wejść do cudzego domu?” Zdziś podtrzymując mamusię na duchu mówił: ciesz się. Ale z czego, odpowiadała. „A z tego, że masz w tym domu taki sam piec do pieczenia chleba, jaki mieliśmy w Okopach!”

Jeszcze długo nie byli pewni czy Niemcy nie wrócą i jaki będzie ich dalszy los. Najważniejsze, że mieli siebie i pragnienie życia. Jak zwykle przystąpili do sprawnej organizacji, aby codzienność toczyła się bez większych zakłóceń. Domy były zadbane i sprawiały wrażenie, że ich właściciele wyszli tylko na chwilę. Michalina, matka Zdzisia przechodząc od pokoju do pokoju rozglądała się nieśmiało. „Ktoś tu pracował i żył w tym domu. Czują się tak, jakby przyjechała z wizytą do dalekich krewnych i przyszło jej na nich poczeekać, aż wrócą do domu i przywitają ją.” I choć zdaniem jej męża, to, że znaleźli się w poniemieckich domach jest winą polityki, a nie ich, bo oni cudem żyją i dość się napłakali i naciępieli, to niełatwo było zaakceptować te zmiany.

Do Kosarzyna osadnicy dotarli wiosną 1946r. Zawadzcy, którzy przybyli z wileńskiego, zapisali się u mienniczego i czekali na swoją kolej wytyczenia pola. Wybrali spory kawałek żyznej ziemi pod samym wiatem Odry pod buraki cukrowe i pszenicę. Oglądając okolice co rusz napotykali zakopane przez Niemców domowe garnki czy serwisy obiadowe. Wśród sterty tataraków natknęli się też na kopce z ziemniakami. Postanowili podzielić się nimi z Niemcami, których dostrzegali po drugiej stronie rzeki Nysy Łużyckiej. Przecież to ich... zapewne myśleli, że wrócą.

A jednak latem 1947r do Wierzbicy pojedynczy Niemcy wrócili. Wyszła nowa

ustawa, która mówiła, że jeśli Niemcy na Śląsku przyjmą obywatelstwo polskie, to będą mieli prawo wrócić do swoich domów. Kozińscy musieli się wyprowadzić.

I tak pojawili się w Kosarzynie zamieszkując w sąsiedztwie Zawadzkich. Marysia i Zdzisław spodobałi się sobie i pobrali.

Głównym bohaterem książki jest rodzina, a więc nie jedna osoba, a wiele. Książka napisana jest ciepłym, empatycznym językiem. Poprzez opis poczułam chęć przytulenia i Marii i autorki i całej rodziny, a nawet wsi, do której przybyła rodzina Kozińskich. Oprócz ogólnoludzkiej życzliwości relacyjnej i społecznej, wyraźnie widoczne jest prędkie pełnienie humanizmu i szacunku do losu i życia ludzkiego.

Ciemna strona życia została pokazana w sposób humanitarny wobec nieuchronnego człowieczego losu. Pomimo opisu kilkunastu brutalnych zdarzeń, mordów, posiekanych siekierami, rozerwania ciała ludzkiego, gwałtów, wielogodzinnej maltretowania, dokonanych na Polakach przez ukraińskie nacjonalistyczne bandy UPA, mimo strachu i zadanego okrucieństwa, nie ma tu narzekań. A jest naturalna potrzeba przetrwania, skierowana na pokonywanie trudności podsuwane przez los, układy społeczne i polityczne. Ukazane są budujące więzi rodzinne, które utrwalały wspólną troskę i miłością, zbliżały ludzi do siebie i ocalały.

Żyjemy w czasach, w których istotną sprawą jest skupienie uwagi przez chwilę na czymkolwiek. Czy opisując zwyczajne codzienne funkcjonowanie, a jednocześnie niezwykły fragment ludzkiego losu, nad przebiegiem którym nie mamy wpływu, historia ta jest dostępna dla wszystkich? Treści zawartych w książkach jest multum, świat tam oferowany jest w jakiś sposób tożsamy z bieżącym biegiem historii i życia społecznego, ponieważ jest wyrazem tego, co żyjąc obecnie spostrzegamy wokół. Zaglądamy więc do przeżyć, wydarzeń, sytuacji, okoliczności i porównujemy.

Historie tworzące, albo wpasowane w europejską historię Polski, tętnią prawdą ogólnoludzką, nie ma tu wydumań, jest rzetelność udokumentowanego przekazu, co prawda momentami podbarwiona pamięcią osobowości pozytywnie patrzącej na świat, bajkowością nostalgiczną, którą każdy z nas przecież posiada.

Rozumiem tę bajkowość przeszłości, bowiem i ja przechowuję baśniowość miejsca mojego dzieciństwa w sobie, i jestem przekonana, że robią to również inni ludzie. Jest to psychologiczna przypadłość każdego człowieka, bowiem, aby żyć dalej w spokoju ducha, warto zabrać ze sobą pamięć, ducha pozytywnego, dobrego. Ktokolwiek odejdzie w zaświaty czy kiedykolwiek, to przechowujemy dobre wyobrażenia o już niebyłym. W polskiej kulturze i tradycji istnieje pogląd wyrażający się w nakazie mówienia o zmarłym tylko dobrze. Dlaczego? Ponieważ do dalszego życia potrzebujemy nieświadomie motywacji do istnienia. A istnienie to dobro w każdej postaci.

Żyjemy i dopóki nie napotkamy na przeszkodę, zazwyczaj nie zastanawiamy się nad własnym bytem. Sens zaczyna się ukazywać, gdy pokonujemy przeszkody. Kłody rzuca pod nogi los, zazwyczaj nazywany historią i polityką. Wówczas właśnie, kształtujemy siebie, dowiadujemy się o sobie właśnie wtedy, gdy nie poddajemy się, a zachowanie życia jest wartością ponad wszystkim. Nie zawsze jednak mamy szansę i możliwości, aby zachować humanizm, szlachetność człowieczą, godność.

Gdy się rodzisz poznajesz rodzinę, ona otacza cię troską i miłością. Pokazuje jak żyć w sposób nieświadomy, wprzęga w krajobrazy, które rozciągają się wokół, uczy spostrzegania piękna. Uczy też szacunku dla codziennej pracy, którą wykonuje się razem budując więzi rodzinne. Wszystko wykonuje się wspólnie. Obsadza pola, dba o zwierzęta w gospodarce, dozoruje codziennie, doceniając następującą w wolnym tempie zmianę rządzących życiem czterech pór roku. Wystarczy uczestniczyć w tym szczególnym tempie przychodzących po sobie urozmaiconych pól. Przeszłość bez teraźniejszości nie istnieje. A teraźniejszość dla przeszłości jest przyszłością. Jaka ona będzie z perspektywy dnia codziennego jest wiadoma i do przewidzenia. Jednak nagle wszystko może się skończyć. Tym nieprzewidywanym złem była i jest wojna.

Sielski opis wiejskiego ziemiańskiego życia wypełnionego codzienną pracą związaną z uprawą ziemi i prowadzeniem gospodarstwa, zachwyty nad pięknem malowniczych krajobrazów i ciepło płynące z ludzkiego serca, koloryt więzi międzyludzkich, miłości i troski rodzinnej, to dodatkowe walory tej opowieści. Książka wypełniona jest słowami wyrażającymi nostalgię za utraconym światem. Nie ma tu jednak skargi na los ani utyskiwania. A wręcz odwrotnie. W czytelniku budzą się pozytywne refleksje nad własnym życiem. Tęsknota za kresami wprężona została w bezmiar krajobrazów ziemi lubuskiego pogranicza, kresów zachodnich.

Zapytałam autorkę czy książka cieszyła się szerszym zainteresowaniem, odpowiedziała następująco:

„Bardzo uroczysta premiera pierwszego wydania „MARII” odbyła się w moim domu w Sosnowcu w Kosarzynie, w sierpniu 2013. Na premierze obecne były władze gminy z wójtem na czele, przedstawiciele biblioteki z Gubina i Krosna Odrzańskiego, mieszkańcy Kosarzyna, turyści, harcerze. Zespół muzyczny z Technikum Rolniczego. Przy długim stole tarasowym na honorowym miejscu, obok pana wójta siedziała „MARIA” czyli moja mama.

Potomkowie Repatriantów wspominali dawne czasy z dzieciństwa, kiedy Kosarzyna był wsią rolniczą. Tylko rolniczą z pracą na roli, hodowlą zwierząt, wypasem krów. Żniwa, sianokosy, siewy, wykopki, zbiory i zimowe „wieczórki”, gdzie moja rodzina zbierała się przy lampie naftowej czytając „Trylogię”....To w skrócie.

Cała Saga Rodzinna była prezentowana w Zamku Królewskim na Targach Książki Historycznej i w licznych bibliotekach na terenie całej Polski. Przez mój dom, jeszcze za życia mojej mamy, przewinęło się dużo ludzi, czytelników i czytelniczek żeby porozmawiać z moją mamą o podobnych losach ich rodzin. Pozostały zdjęcia”.

MARIA J. FRASZEWSKA

Saga rodziny Kozińskich w trzech tomach,

autorka książek Barbara Iskra Kozińska:
1/ „Czerwone niebo nad Wołyniem”. Rzeź Polaków na Wołyniu. Opowieść rodzinna, Bellona, Warszawa, 2012 (pierwsze wydanie w 2011r – Wydawnictwo DOZA-ZINE)

2/ „Maria”, Prawdziwe losy przesiedlonych kresowian, Bellona, Warszawa 2013

3/ „Pokolenia czas pamięci. Młodość i dorastanie na tle przemian ustrojowych”, Bellona, Warszawa, 2021

Milijan Despotović

Tłumaczyła z języka serbskiego:
Olga Lalić-Krowicka

Doświadczenie to nabycie odpowiedzialności. Przeżyte jest podsumowane i następnie odrzuca iluzję, po czym w niektórych przypadkach ponownie jej szukamy, zadając sobie sprawę, że miara przeżywanego doświadczenia w świecie wirtualnym nie jest realna i że jest gdzieś tam, jak mówi poeta Eligiusz Dymowski¹ w „Po drugiej stronie słowa”², po drugiej stronie co najwyraźniej widzimy i wiemy. Oczywiście nie nie umniejsza wartości czasu przeszłego, bo czas to kamień szlifierski odnawia życie doświadczeniem. Jeśli odrzucimy wszelki bezsens w sobie, można, podobnie jak ten poeta, oprzeć zwyczajność istoty sensu samego życia. A sens życia odnajdują tylko ci, którym udaje się być człowiekiem, bo: od „człowieka” do człowieka różnica polega na duchowym dystansie. „Jak bardzo trzeba być człowiekiem by móc na nowo się narodzić” w ogrodach myśli – pyta Dymowski („Jak bardzo”), świadomy, że ten pozytywny ogród myśli jest błogosławiony „z ręki Boga” i uduchowia poetę i człowieka w ogóle, gdy wszystkie doświadczenia tworzą pewną nową śmiałość i zajmują się wewnętrznym obrazem, „o świecie nowej rzeczywistości”. To rzeczywistość „po drugiej stronie słowa”, czyli budynek, do którego wchodzimy „z rozwalonych murów”. A „tak niewiele” potrzeba, żeby zrozumieć Spinozę³, trzeba to zaśpiewać do siebie i od siebie. Poeci są bliżej nowej rzeczywistości niż filozofowie, potwierdza poeta Eligiusz Dymowski. Człowiek ma okna na swojej skórze,⁴ przez nie wychodzi, pokazuje i wentyluje ducha, odczuwa życie jako sumę doświadczeń, w stanie okrutnego Ja, które go wypęcza z siebie, błogosławi uciechą. Jest to okno, które służy, jak mówi poeta, człowiekowi pozbawionemu nadziei, który nigdy nie odnajduje siebie, wychodzi poza siebie:

„O człowieku, który nie odnalazł siebie”

Człowiek
który nigdy nie odnalazł siebie
– nie żyje

wczoraj napisał kartkę:

„wiem, że nic mnie
tutaj nie trzyma”

i wyszedł przez okno

1 Eligiusz Dymowski (Sannikach, Polska, 1965), wykładowca teologii, poeta i krytyk literacki. Opublikował wiele książek z zakresu teologii i literatury. Publikował wiersze w języku serbskim w czasopiśmie literackim „Svitak” (Pożega).

2 Eligiusz Dymowski: „Po drugiej stronie słowa”, Svitak, Pożega, 2017.

3 Filozof Baruch Spinoza (1632 – 1677) ostrzegał, że powinniśmy zachować dobre myśli, abyśmy nie zostali zjedzeni przez złudzenia, ponieważ w „w złudzeniach nigdy nie odnajdziesz prawdy”. A prawda jest taka, mówi Dymowski, że czasem w nas po prostu trzeba „otworzyć zaciśnięte dlonie”.

4 „Okno na skórę” jest tematem mojego zbioru esejów i przedmów pod tym samym tytułem, wyd. Svitak, UKS i Bibliotekę Narodową w Pożedze, 2013.

DUCHOWE DOŚWIADCZENIE PRAWDY

CZYTANIE RĘKOPISU

ELIGIUSZ DYMOWSKI: „PO DRUGIEJ STRONIE SŁOWA”

Wyszedł ze swojej skóry wierząc, że „złudzenia mogą być nową pomocą w drodze do prawdy”⁵, a prawdy, jak wynika z doświadczenia, znów są tam gdzieś „po drugiej stronie słowa”, za zwierciadłem języka i doświadczenia. Tak czy inaczej, język jest źródłem ducha, a duch, ten pierwotny, jest tylko szczególnym rodzajem poddania się i zrozumienia stanu, w którym się znajdujemy. Żyjemy w czasie, bo jednostajność jest niemożliwa. Ta identyczność w epigrafie jest różniacą: „na grobie mędrca palą się dziesiątki świec, na mogile prostego człowieka płonie serce”. Identyczność jest w każdym sercu, po prostu inaczej słyszymy ich puls, oto już nasze osobiste uświadomienie, osobiste doświadczenie. A uświadomienie ma swoją moc, jak poezja. To poezja jest ponad wszystkim i we wszystkim. Gdzie nie ma poezji nie ma ducha. Może ona, jak mówi Eligiusz, być „poezja jak nitka z podartej koszuli zaplątała się w kieszeni mojego habitu”⁶, ona jest duchową muzą, instrumentem („struną do skrzypiec”, która mówi), a jej „słowa mają swój własny dźwięk i ton pośredni oraz ton harmoniczny, swoje współbrzmienie i bezgłośność, zgodę i niezgodę. (...) Trwa w wierszu jak nuta w muzyce i pozostaje, bo bez tego nie ma nic, nie ma melodii. Ciągłe trzepoce i wydaje sygnał dźwiękowy jak nuta w muzyce wiersza, bez której nie byłoby muzyki, ani śmiechu.”⁷ Poezja jest światłem słońca, otwiera i odświeża nasze twarze, jest to „autentyczność” światła i prawdy, jej źródło matczynej siły i zespoleńia tego poety. 8 „Strofy o matce” to ciąg symbolicznych liczb, trzy wiersze poświęcone pramatem, matkom, które symbolizują: 1) rodzenie; 2) życie, jako moment pobytu na tym świecie oraz 3) śmierć jako rozstanie („W wiosenny wieczór”), aby duchowo odnowić to koło w tym, a może i w tamtym świecie, gdzie jest więcej sprawiedliwości i mniej ingerencji zła ludzkiego w jednostkę. Droga, powiedzieliby, znana, ale z wieloma niewiadomymi. Co jest tu ważne dla poety? Z pewnością jest to poczucie korzeni ducha, rodowej więzi pamięci i pamięć ustanawiającej krąg tradycji, który przekazuje przestania i wolę z pokolenia na pokolenie. Ona jest wieczna w tym kręgu muzyki poetyki, której potomstwo odnawia także język tego poety. Wszyscy jesteśmy tu przed obliczem naszej Matki, która „Kropłą łez skropiłaś usta”, tą, która nawet teraz, gdy jest spokojnie, na zawsze zakrywa twarz w modlitwie, „aby oddech nie zbudził jeszcze śpiących dzieci”, tamto który

jest tam gdzieś „pośród białych krzyży”. Ale tak się dzieje: „Ciemność i światło” to „dwa przeciwne bieguny miłości”, ale nie ma trwania, nie ma energii przetrwania bez „trochę ciemności”, jak pisał poeta Paun Petronijewić⁹ w swoim poemacie wotywnym „Moment słońca”. On, podobnie jak Dymowski, rozumiał racjonalną emisję energii trwania, jak twierdzi Dymowski na końcu drogi jest „cierpienie inną zna drogę ukojenia” i to cały czas „i wiara oparta o ścianę” podąża za nami. Mur to wielka księga życia, wielkie słowo, a ludzie żyją, gdy poeci śpiewają „po drugiej stronie słowa” po drugiej stronie obrazu („Kobieta z obrazu Renoira”). Ale nawet cierpienie na obrazie nie jest ostateczne – doda poeta, „tylko dokończ uśmiech” i „najszybsze tajemnice powierzamy Ziemi”, być może uda nam się odkryć w obrazach El Greco, który „mamrotał o nich pod nos”. Dlatego poeta nie rości sobie prawa do cierpienia. Z pewnością trzeba pamiętać, że poezja Eligiusza Dymowskiego jest „przebudzeniem”, rozpoczyna się „dyskusja z Afrodytą”, bo miłość jest kategorią niezniszczalną i poeta „oddął ją Bogu”. Poniżej podajemy dni „przemienienia” i zapisy „dotykając wieczności”, o oddalaniu się, by zbliżyć się do siebie i sięgnąć po swoje największe bogactwo, do wspomnień, tych prostych przeżyć, 10 z którym łączy nas doświadczenie prawdy. Według Dymowskiego jest to wyzwolenie od nienaturalnej codzienności i ludzkich złudzeń „schronieniem w nieskończonej perspektywie środków i niepotrzebnych materialności”. Musisz wejść w „ciszę” i stać się sobą. Jest to przemiana i odwrót od przesładowców i czasami wygnanie, świadomie lub nieświadomie, należy zachować odpowiedni dystans do wszelkich kryzysów gospodarczych, a potem do wojen: „pozwól więc umierać kochając najprościej”, ale po to, żeby sobie wyjaśnić tę przemianę, Dymowski przyjął ten fragment wiersza Zbigniewa Herberta za swoje motto: „aby naprawdę cierpieć, trzeba być wiernym”.

Poeta zaangażowany w życie religijne pogłębił swoją poetycką wiedzę o światach i cierpliwości, aby nie tylko dotrzeć, ale uświadomić sobie, że potrafi te światy wyjaśnić. Warto wiedzieć, że siła wyjaśnienia szuka szczególnej duchowości, która jest tutaj jak psalm zapisany wierszem: „przyjmij cierpienie i śmierć w milczeniu”, ponieważ „wszystko jest łaską naznaczoną krzyżem”.¹¹ Czyż nie

9 Paun Petronijević (Ribaševina, k. Užic, 1936 – Bežanjska kosa, Beograd, 1962) napisał: „Nawet szczęśliwym należy dać trochę ciemności/poczuć moc prawdziwego światła.” Faksymile wiersza „Moment słońca” znajduje się na dyplomie nagrody „Pauново pismo”, przyznawanej w Požedze od 2013 roku.

10 Zapis poetycki z Placu Świętego Marka w Wenecji.

11 „choć dzień posępował nic w nim nie ubyło” – pisał

jest to wizja Hioba, według której należy być „silniejszym od siebie”. Zapewnia nas o tym nasz cień, jedyny prawdziwy świadek z którym gdzieś udajemy się i wracamy myślami.

Myśl jest sposobem podróżowania Eligiusza Dymowskiego i nią też jest charakterystyczną cechą każdego z jego wierszy, gdy je przekazuje.

Poeta odwołuje się do wskazówek moralnych i duchowych, jakich może udzielić – radzi swojemu czytelnikowi. Ta rada nie jest ostateczną odpowiedzią na każde z naszych pytań, ale raczej wstępem do otwartego dialogu, kontynuacją śpiewanie, a śpiewanie z tkanki życia, staje się przede wszystkim mądrością. Tam, gdzie mądrość nie jest miarą śpiewu, powraca do głosu w pustej ustach i przedwcześnie cisze. Przeciwnie tej chrypcy, temu głosowi przychodzi z daleka i ma wielką rękę, która błogosławi przechodniów, nowicjuszy, słuchaczy czy czytelników i wszystkich „po drugiej stronie słowa”. Wyobraźcie sobie ten głos poety, który przekonał nas, że prawdziwy duch istnieje, istnieje jako duch mądrości, który ilustruje rozkwit myśli na mądrym drzewie, którego prymat z języka na język, w tłumaczeniu¹², nic nie stracił. Kiedy wspominam o przemyśleniach i mądrościach zawartych w tej książce, to dla ilustracji wymienię kilka z nich.

Każda myśl dla siebie jest mottem na specjalny esej, na nowy wiersz, historię, w celach filozoficznych, ale teraz to tylko myśl istnieje także poza wierszem. To są fragmenty, które zapadają w pamięć podczas pierwszego czytania i głęboko wryły się w naszą pamięć z koniecznością uchwycenia ich, być może tylko wskazane, prawdziwe, oryginalne znaczenia:

- * tak mało w nas umierania codzienności a tak dużo pytań ;

- *cierpienie inną zna drogę ukojenia ;

- * Jesteśmy skazani na samotność jak pióro ;

- * pisane palcem na piasku daty niewiele mówią obcym przechodniom ;

- * oszczędź słów niepotrzebnych milczenie wystarczy aby kochać i umrzeć ;

- * wyrwij ze snu kamień który rani ;

- * trzeba się oddalić, by po tamtej stronie odnaleźć w pamięci: drobny uśmiech ;

- * milczeniem zadajesz najgłębszą ranę;

- * naiwna nastolatka z posiwiałą od nadziei głową ;

- * z kropel nadziei składając modlitwę z prośbą o przebaczenie

Zamykając rękopis książki „Po drugiej stronie słowa”, jako sumienny czytelnik, przede wszystkim odbyłem przyjemną podróż do tego odległego miejsca, a drogę umożliwił język poetycki uzupełniony przez mój język z intencjami, które wyjaśniają, co mam na myśli i o czym myślę. Wreszcie, ta książka pokazuje także, że poezja cały czas się tworzy, że przesuwa duchowe granice. Percepcja poetyki Eligiusza Dymowskiego w języku serbskim dopiero nadejdzie i jest to wkład w zjednoczenie dwóch kultur słowiańskich.

MILJANDESPOTOVIĆ

POŻEGA,

7 PAŹDZIERNIKA 2017R.

Dymowski w kwietniu 1998. To mi przypomina słowa pisarza podróżniczego Zulfikara Dżumhura, który pocieszał nieszczęśników z powodu deszczowej pogody dnia: „Ciesz się tym, to jest Twój dzień, nie możesz go zmienić, czas płynie.”

¹² Wydawca tej książki składa serdeczne podziękowania tłumaczce Oldze Lalić Krowickiej, która zachowała przekład wierszy Eligiusza Dymowskiego w języku odpowiednio do oryginału, z istotą, która teraz jest w tłumaczeniu na drugi język (serbski) załącznikiem myśli poetyckiej.



FoxStoncsTAnd

Lech Galicki

Niewidzialne trwanie A

A przecież szukam sposobu by opisać siłę posiadania
 tworzącą realne poznania i zachwyty chwile
 Jak wytłumaczyć że to czego nie widzisz Zbyszku
 jest czy chcesz czy nie z tobą w roli głównej
 w wiosennym pola oddechu na horyzoncie linii równej
 stanem rozmiłowania, tak realnym, prawdziwym
 wartym życia sensu, wszystkiego i więcej niż tyle.
 Co ze mnie wychodzi w najmocniejszym ducha
 stanie.
 Jak rój najśłodszych iskerek przy drodze twojej wędrowania
 wysyłam tobie moje emocje wielce skumulowane,
 daję tobie bo nie celem jest branie w sferze zakochania
 a kto daje przecież bierze nawet cisze myśli wyznawane.
 Zatrzymujesz obrazy napotkane najpiękniejsze w widoku
 a nie czujesz A. tego co nie utkwii we wzroku
 jako deszczu opadu krople ciebie pieszczące
 kochające, stukające do serca namiętne krok po kroku.
 Ty dusza artystyczna, namiętna lecz cicha
 w słów potoku
 wypatrujesz solidnego uczucia wyznania
 malujesz portrety ludzi napotkanych
 a czy kto tobie powiedział że ja ze sfer odmiennych
 w misji do nich wysłany
 stąd sam sobie nieznany
 Me wolne wole należą do świata innego
 i twojego w urodzie latam więc dookoła
 jestem tu to przybiegam z nieba w świetle strony
 tam gdzie jesteś bo to ma oś świata
 i w niej jestem zrodzony.
 Jako żeś skarbem odkrytym i zgłębnym
 malarką nadworną bytowania scen w losie człeka
 tak czułą i wyborną nadzieją początku bez końca
 zdaj się być także silną, bo wielu ciebie czeka
 potrzebuje, wyczekuje, a tyś obserwatorka Teatru
 wszystkiego dookoła.
 Jeden tylko, ja znam go, zarysu twego dotyka
 swą namiętnością w marzeniach wielce zawstydzony
 jak rzecz to co prawdą ale w swym bezgłosie
 mówi niech się wszystko toczy w przewidzianym losie
 i tak jest i będzie
 ach ten czas umyka
 poprzez pól przełaje
 wiele stanów, kwiatów, drzew, ludzi, mija
 uczucie zostaje.
 Jak wytłumaczyć że to czego nie widzisz
 jest czy chcesz czy nie z tobą w roli głównej
 w wiosennym pola oddechu na horyzoncie życia linii równej.

Niewidzialne Trwanie B

Być albo nie być
oto jest pytanie

Jestem.
Przecież szukam sposobu by opisać siłę posiadania,
tworzącą poznania realne i zachwyty chwile,
jak wytłumaczyć, że to czego nie widzisz
jest czy chcesz czy nie, zawsze z tobą.
Niewidzialne Trwanie w roli głównej
Jezusie Chrystusie, Panie mój i Boże mój,
w wiosennym pola oddechu na horyzoncie linii,
jak wykres bicia serca nierównej,
stanem rozmiłowania, tak realnym, prawdziwym
wartym życia sensu, wszystkiego i więcej niż tyle.
Co ze mnie wychodzi w najmocniejszym ducha stanie.
Jak rój najśladźszych iskerek przy drodze na ziemi,
a i w niebie nade wszystko pięknego wędrowania,
wysyłam moich emocji wielkie rozgorączkowanie,
daję tobie i wszystkim, bo nie celem jest branie
w sferze rozmiłowania i wiary myślami czułym,
a kto daje przecież bierze nawet ciche serca wyznania.
Zatrzymujesz w słów zarysie obrazy napotkane, najpiękniejsze w widoku,
a nie czujesz tego co nie utkwii w rozemglonym wzroku,
jako deszczu opadu krople ciało pieszczące,
kochające, stukające do serca namiętne krok po kroku.
Tu dusza artystyczna, namiętna w słów potoku,
wypatruje solidnego uczucia wyznania,
maluje dusz istot portrety ludzi napotkanych,
a czy kto tobie powiedział, że ja ze sfer odmiennych,
w misji do nich wysłany
stąd sam sobie nieznany.
Me wolne wole należą do świata innego
i w jego urodzie latam więc dookoła,
jestem tu to przybiegam z nieba w świetle strony,
tam Niewidzialne Trwanie, bo to ma oś świata,
i w niej jestem zrodzony.
Jako skarbem nieodkrytym i niezgłębionym
malarz nadworny bytowania scen w losie człeka,
tak czuły i wyborny nadzieją początku bez końca,
zdaje się być także silny, bo wielu ciebie czeka jak słońca,
potrzebuje, wyczekuje, a Tyś Znakiem wszystkiego dookoła,
jeden tylko, ja znam go, zarysu Twego dotykam,
swą namiętnością w marzeniach wielce zawstydzony.
Jak rzec to co prawdą ale w swym bezgłosie
mówi niech się wszystko toczy w przewidzianym losie.
I tak jest i będzie
ach ten czas umyka
poprzez pól przełaje
wiele stanów, kwiatów, drzew, ludzi,
przemija,
uczucie zostaje,
Niewidzialne Trwanie,
jak wytłumaczyć, że to czego nie widzisz,
jest czy chcesz czy nie z tobą w roli głównej,
w wiosennym pola oddechu na horyzoncie linii,
jak wykres dzwonów wiary mocnej, głośniejszej i równej.
Jestem.

OBŁĘGOREK

Kiedy słyszę: *nie zastanawiam się, jak będzie mi się żyło za dziesięć, piętnaście lat*, to prócz szewskiej pasji, ogarnia mnie zniechęcenie na myśl o przyszłości człeczego rodzaju; *istota myśląca*, która nie przejmuję się tym, co ją czeka, która nie przewiduje, że może się jej pogorszyć stan zdrowia, to istota krótkowzroczna i pozbawiona wyobraźni, żyjąca po omacku, z dnia na dzień, trawiona złudzeniami chwil, które nie trwają wiecznie; wnet będzie samotna i bezradna na własne życzenie.

Nikomu nie życzę znalezienia się w beznadziejnej sytuacji, ale takie zdarzają się i zazwyczaj nadchodzą niespodziewanie, bez ostrzeżenia; jednego dnia jest się sprawnym, pełnym planów i nic nie dolega. Następnego zaś mamy wylew, z trudem porozumiewamy się z otoczeniem, a wczorajsze plany są od razu przedawnione i nierealne, zanim zdążyły wejść w życie.

*

Człowiek zostaje sam z powodu nagłego udaru, wylewu, demencji. Bezradny, nie wie, jak pokonać administracyjne przeszkody, by spełnić opresyjne warunki znalezienia się w domu opieki. Nie mówi, a jeśli już, to niewiele. Nie wie, co mu jest i gdzie się znajduje; pytania o jego tożsamość są bezprzedmiotowe.

Pory dnia stanowią dla niego skomplikowaną zagadkę. Tak jak godziny trawione na milczeniu, na zdumionej obserwacji zreumatyzowanych rąk. Rąk pokrytych grubą warstwą zrogowaciałej skóry.

Na jego twarzy pojawia się niekiedy ośupienie, zdziwienie, zaskoczenie. Jakby dręczyła i zdawała się pochłaniać go bezu-

stanna ciekawość tego, jak wygląda i co się z nim dzieje. Lecz są to tylko pozory. W istocie jego twarz jest martwa. Nieruchoma.

Kontakt z nim ograniczony jest do przymusowego uzależnienia od krótkich chwil powrotu do rozumu. Od przebłyków przełotnej orientacji w rzeczywistości. Co sprawia wrażenie, jakby był w stanie rozszarpanej pamięci.

Pamięta wtedy fragmenty wydarzeń: mało istotne detale i jakieś wspomnienie-wie odpryski. Wyrastają przed nim szczegóły z pamiętanego dzieciństwa. Natomiast nie może sobie przypomnieć, czy już jadł obiad, co na nim było, a już całkowicie nie bardzo wie, czy mu smakowało.

Ożywia się tylko wtedy, gdy wracają mu zmysły. Jednak powrót zmysłów zdarza mu się nieczęsto. Tak rzadko, że prawie wcale. Z początku walczy, stara się nie martwić rodziny, udawać przed nią, że nic mu nie jest, że to, co go dopadło, jest chwilową niedyspozycją, przejściową słabością.

Nie chce nikogo absorbować swoją osobą, nie pragnie pomocy, wydaje się mu, że sam sobie poradzi. Lecz po pewnym czasie orientuje się, że sam nie da sobie rady, że do kieszeni trzeba mu schować dumę i poczucie godności, że trzeba mu zwrócić się z prośbą o pomoc.

Lecz zwrócić się gdzie i do kogo? Jak dotychczas nie istnieje schronisko dla literatów, coś w rodzaju Skolimowa dla ludzi teatru, a dzięki obecnej znieczulicy, nie będzie go długo.

Nie powstanie, bo wolimy łać sobie na serca sztuczny miód pocieszenia; zamiast dążyć do ulżenia im doli, zamiast zająć się tym, co woła o pomstę do nieba.

A co woła? Retoryczne echo pytania o lepszy los zasłużonych kulturze pisarzy. Autorów kiedyś pełnych wigoru, literatów niepośledniego formatu, a teraz wypalonych i z trudem pamiętających tytuły własnych utworów. Napiętnowanych wyniosłym lekceważeniem, uhonorowanych drwiną i brakiem zainteresowania, wstydliwie i skrzętnie poukrywanych w niepamięci, poddawanych biologicznym prawom niedotęstwa.

*

Dobry gospodarz dba, pielęgnuje, troszczy się o powierzone dobro. Nie powie: „radźta se sami”. Dobry gospodarz wie, że istnieją przypadki losowe, nagły krach zdrowotny nieoczekiwane załamanie nerwów, nasilenie depresji. Wie, że w takich chwilach trzeba pomóc, szarpnąć się na altruizm i wyciągnąć do bliźniego rękę bez figi z makiem.

Dobry gospodarz to wspólne dobro. A skoro dobro, to zbudujemy sobie DOM. Więc może, zamiast walczyć ze sobą, powołajmy Wspólny Dom Weterana. Ognisko domowe nie tylko dla poetów i prozaików, ale i dla dziennikarzy, malarzy, kompozytorów, scenarzystów, ludzi estrady czy kabaretów; dla wszystkich twórców i animatorów artystycznych wydarzeń, którym zawdzięczamy chwile wzruszeń.

Nie wiem, jak tego dokonać. Wierzę jednak w ofiarność naszego społeczeństwa; Sienkiewicz otrzymał od NARODU dar w postaci Obłęgorka, dlatego więc my nie możemy podarować sobie miejsca na spokojną jesień życia? Dla takich ludzi powinien być ten DOM.

MAREK JASTRZĄB



Łucja Dudzińska

Eco dzień. Transcendencja

Świat nawołuje, krzyczy, chociaż nie ma już kiosków. Znikają też kolorowe, szare gazety. Brukowe i plotkarskie wiadomości panoszą się w sieci. Zanikają w niebycie, który staje się bytem niezwyfikowanych fake newsów, bagna zaplanowanego hejtu – filmików, podcastów, memów ośmieszających pozaustrojowo.

A ty alarmujesz i czekasz, aż przywita nas normalny, zielony dzień, który wymknął się sztucznej inteligencji. Znów uciekł od kwaśnych deszczy, ukrył się przed promieniowaniem UV i dostępem do wi-fi. Ten dzień minął się z warkotem pilarki łańcuchowej i rozkwitł w paku wiosennej siły przetrwania.

Dzień za dniem. NIC

Każdy chce, aby wiosenny nastrój trwał cały rok. I nie byłby to sen o zmartwychwstaniu, rozkwitaniu czy rozzielenianiu się czasu, który tkwi w każdym z nas.

Jak na trwogę biją dzwony o pełnych godzinach. Każda z nich przypisana jest do decyzji – dobrej albo złej. Codziennie szum. Polityczna afery goni afery, i NIC. Masz wrażenie, że nic już nie może cię zaskoczyć. A jednak...

Manipulacja pokazuje swoje zbrodnicze oblicze. Słowa. Słowa. Słowa toczą się i wnikają w powietrze, którym oddychamy. Słowa wciskają się w każdą bezmyślną lukę.

Zieloność krwi. Wyobraź sobie

Gdzieś pada śnieg, wysychają rzeki, giną ludzie. Gdzieś gwałcą. Gwałcą, molestują dzieci. Tu i tam umierają na raka i samotność.

A ja adoptuję nieprzespane noce, z mrowiem gwiazd ukrytych pod kołdrą. Mozolnie tatuuję na brzuchu niezapisane blizny po cesarskim cięciu. Trzeba uciszyć płacz dziecka i słowa. Za chwilę ukołyszemy strach. Obudzą się martwe piersi.

Staniemy się podobni do innych zakochanych. Jest coś czego się nie tłumaczy i nie wytłumaczy z siebie. Poblądzimy w spokoju do pokoju. Zbadamy puls. Poczekamy na wyniki gorącej krwi, na nową bajkę (dla dzieci) na dobranoc.

Później zamienimy się w drzewa (z pulsującym sokiem pod korą), w oczekiwaniu na kolejne pory roku. Ty będziesz dębem, ja zostanę brzozą – przeciwieństwa się przyciągają.

Istota detalu. Przewrotność

Mówisz to nieważne. To jest napisane tylko małymi literami. Później spłacasz kredyt do końca życia. Przecież składamy się z drobiazgów, z cząsteczek i incydentów. Neuronów i protonów. Składamy się z wibrujących kropli w życiodajnej rzece.

To impuls codziennie każe nam wychodzić z brzegów. Wyciągać do siebie rękę, dotykać szyby ze świadomością tego, co jest za nią. Nie wszystko zobaczysz, nie wszystko będziesz wiedzieć. Pył rani oczy, a miłość i polityka zaślepia.

Pojęcie. Milionerka

Nastał dzień. I nie zdaję sobie sprawy z tego, że jestem szczęśliwa. Inni uważają, że to oczywiste, być radosnym. No cóż – ja nie jestem. Może tylko sobie wyobrażam szczęście, rodzinę. No wyobraź sobie to wyjątkowe poczucie w warunkach, gdy wyje pies sąsiada i czuje się niepokój.

Z dnia na dzień dopada rzeczywistość. Zachmurzone niebo, zgrzyt wypadku na skrzyżowaniu, zakradają się przez okno jak nieproszony gość. Zza ścian dobiegają odgłosy małżeńskiej kłótni, tępe uderzenia, krzyk i płacz, które nie milkną. Bezsensowne rozmowy, pretensje do losu.

Odpędzam muchy z blatu stołu. Przecieram czoło. Skupiam się na bruździe między brwiami – chyba jest głębsza. Czuję nerw przy oku – jestem spokojna. Jestem przecież szczęśliwa... W oddali biją weselne dzwony. W bloku naprzeciwko sąsiadka zamyka okno, aby nie słyszeć.

(WIERZSZE Z TOMU „BEZ-TROSKA. PRÓBY WYRAZU” FONT, POZNAŃ 2024)

Łucja Dudzińska (1960) poetka, aforystka, wydawczyni, redaktorka ponad 100 książek i trzech serii wydawniczych, jurorka, animatorka kultury – inicjatorka wielu spotkań, prezentacji, wystaw, warsztatów, akcji literackich, festiwalu Literatura do Poznania. Autorka trzynastu tomów poetyckich (w tym pięciu dwujęzycznych), tłumaczona i opublikowana w czternastu językach. Wyróżniana i nominowana z tytułu książki roku 2013, 2016, 2018. Na podstawie jej wierszy odbył się spektakl muzyczno-poetycki „Jestem Julia” (Teatr Rondo, Słupsk, premiera 27.08.2021). Prezeska SPP O/ Wlkp. oraz Fundacji Otwartych Na Twórczość (FONT). Członkini Z. G. i K. K. Stowarzyszenia Pisarzy Polskich w Warszawie. Inicjatorka, kuratorka Ogólnopolskiej Grupy Literackiej Na Krechę. Prowadzi cykliczną audycję „Poezja z dedykacją” w radiu Głos Literacki. Uhonorowana kilkoma medalami za wspieranie i promowanie kultury m.in. „Labor Omnia Vincit” oraz statuetką „Dobry człowiek” – profesjonalizm & bezinteresowność, którą z inicjatywy fundatora K. Rafalika przekazuje dalej. Wyróżniona w konkursie UMP jako Poznański Wolontariusz Roku 2021. Mieszka w Słupsku i w Poznaniu.

Mateusz Wabik

LABIRYNT TEMATÓW
JAKO SCHRON PRZED
MASOWOŚCIĄ

Maria Jolanta Fraszewska w swoich Mesejach zamieszczonych w książce pt. „Dzieje się wciąż. Kultura płonąca językiem”, wydanej przez Fundację Światło Literatury w 2025 roku, poruszała rozmaite tematy. Po pierwsze interesowały ją różnice pomiędzy kulturą i cywilizacją oraz geneza kultury masowej, po drugie poezja Anny Świrszczyńskiej jako pierwszej polskiej poetki feministycznej, a także poezja Michała Zabłockiego i twórców współczesnych związanych z Totartem, „Brulionem”, konceptualnych i z nurtu lingwistycznego, po trzecie wojna na Ukrainie w perspektywie protestu poetyckiego i doświadczeń wojennych wpisanych w literaturę, po czwarte temat religijności związany z siecią internetową.

Fraszewska w pierwszym eseju „Cywilizacja i kultura” wywodziła rozwój kultury za Tatarkiewiczem „z rolnictwa”, a cywilizację „z administracji”. W tekście „Popkultura i jej problem czy nasz?” kontynuowała zainteresowanie wiejską genezą kultury i omawiała rozwój rozpowszechnianej przez masmedia kultury popularnej. Według Fraszewskiej kultura masowa była wynikiem procesów urbanizacyjnych i rozwijała się w miastach głównie wśród ludności, która przyjechała ze wsi i małych miasteczek. Ludność wiejska pozbawiona własnych korzeni, naśladująca miastowych, których nie do końca rozumiała potrzebowała czegoś łatwego do przyswojenia, przynoszącego przyjemność i rozrywkę. Krytycznie eseistka oceniała pierwiastki ludyczne wkradające się do kultury poetyckiej mające związek z rozpropagowaniem biesiad poetyckich, podczas których słuchało się wierszy niczym piosenek, a do tego podczas spotkań można było skosztować potrawy. Według eseistki biesiady poetyckie, ale pewnie też kultura knajpiana sprzyjała rozwojowi poezji prostej i pisanej pod kątem adresata, co np. widoczne wg mnie było często w Krakowie podczas słamów poetyckich, kiedy miłośna i kabaretowo-polityczna poezja była lepiej przyjmowana niż na tematy trudniejsze – wojenne, autoteliczne, historyczne.

W poezji Anny Świrszczyńskiej, o czym pisała Fraszewska w tekstach „Anna Świrszczyńska jest” i „Miłość po prostu...”, poszukiwała opisów szczerej miłości, tekstów związanych z biografiami autorki, a po ataku Rosji na Ukrainę 24.02.2022 wpisanych w jej poezję doświadczeń wojennych, ale także interesował ją „olbrzymi ładunek emocjonalny” wypływający z wierszy w „Lirykach zebranych”. W poezji opisywanej w esejach „W rocznicę napaści Rosji na Ukrainę – 24.02.2022, a jednak są kolejne...” i „Chodnik z konceptem spisany na murze” interesowała ją zarówno poezja protestu, jak i intelektualna warstwa poezji oraz buntu. Eseistka przypominała m.in. zainicjowany po napaści Rosji na Ukrainę przez Michała Zabłockiego krakowski projekt poetycki „Wiersze na murach” i własne wiersze z tomiku „Posypana wiatrem” z 2022 roku, które dotyczyły tej wojny. Przypominała także projekt „Multiopozycja” tego poety który związany był z „szukaniem nowych sposobów na funkcjonowanie poezji w naszym świecie współczesnym”. Pisała również o różnych wersjach konceptualizmu – i amerykańskiego i barokowego, wspominała gdański Totart, który chciał „wyrzucić tą całą komunę”. Wspomina-

ła założenia neolingwistów, które zebrała niegdyś Bernadetta Żynis, ale także przypomniała założenia poetów „Brulionu” m.in. opisujących indywidualne doświadczenia, kontestujących „wzorce patriotyczne, ale również tradycyjną obyczajowość i narodowe stereotypy”.

Nieco starszy był esej Fraszewskiej o religii w internecie pt. „Niebo gęsto tkane (duszpasterstwo religijne)”, w którym autorka zarówno opisywała adaptację wiary katolickiej do sieci internetowej, ale także zagrożenia jakie w ogóle przynosiło według niej korzystanie z internetu. Fraszewska posługiwała się starymi już rozpoznaniem ukazującymi to, że powstała jakaś odrębna rzeczywistość wirtualna i ona mogła sprawować nad ludźmi kontrolę, w której można było zmieniać swoją tożsamość. Jednakże rozwój internetu wg mnie przeze te wszystkie lata poszedł w inną stronę – w stronę większego poczucia realizmu i spowodował to, że stał się on kolejnym narzędziem. Od lat – kiedy można wejść na strony czasopism, nie miało się wrażenia dominacji np. portali internetowych bez formy tradycyjnej nad innymi. W takiej rzeczywistości medialnej raczej „cyberprzestrzeń” już nie „przejmowała kontroli nad środowiskiem naturalnym” jak pisała Fraszewska, gdyż powstały narzędzia kontroli świata wirtualnego przez rzeczywisty. W sklepach internetowych można było kupować realne produkty, a strony banków oferowały dostęp do prawdziwych kont. Strach przed awarią ogólnosiwiatowego systemu internetowego znany z lat 1999-2000, który opisywał Paul Virilio w „Bombie informacyjnej” dzisiaj byłby nie do pomyślenia. Oczywiście istniały gry internetowe działające na zasadzie portali społecznościowych, gdzie jakiś utalentowany gracz wcielał się w króla lub królową i wymagał od innego gracza by uznał jego władzę we własnym ugrupowaniu, ale związane to było z cechami gier towarzyskich i planszowych, gdzie przechodziło się do innego świata i np. stawano się na czele swoich wojsk, czy szukało magicznych artefaktów.

Jeśli chodziło o styl, Fraszewska bazowała na fragmencie co mogło przypominać niektóre prozy Olgi Tokarczuk, ale też aforyzmy Friedricha Nietzschego. Z małych fragmentów eseistka często układała większą całość wplatając do tekstów wiele cytatów i własnych komentarzy. Jej wielotematyczne eseje, w których szło się jak po nitce do kłębka przez labirynt znaków, cytatów, odniesień, dywagacji, wydawały się bardziej udane, kiedy cytaty i nawiązania do tekstów kultury i cytaty wiązały się z jakimiś opisywanymi wydarzeniami i sprawami z rzeczywistości i historii, niż wtedy kiedy eseje przypominały wypisy z mądrych ksiąg, gdyż wtedy wydawały się nadmiernie obciążone erudycją. Ważne, że poetka nie wpisywała się w próbę podważenia związków Polski z Ukrainą, choć nie zawsze Ukraina związana była z Polską – przecież była i litewska i austriacka i radziecka. Ciekawie wiązała się w jej esejach poezja Anny Świrszczyń-

skiej z poezją Michała Zabłockiego, poezją brulionowców i totartowców, neolingwistów i konceptualistów, gdyż nikt przed nią nie zestawił w książce krytycznej, czy eseistycznej tych twórców i poetek, choć w 2017 roku w wywiadzie rzece Rafała Księżyka z Marcinem Świetlickim pt. „Nieprzysiadalność” także przywoływano krąg twórców z Totartu i poetów „Brulionu”, ale bez pozostałych twórców wymienionych przez Fraszewską. Mi osobiście przypadło do gustu wspomnienie Totartu, poetów „Brulionu”, bo nie można zapominać o tych ważnych dla polskiej kultury nurtach kontestacyjnych i mających związek z szeroko pojętymi subkulturami. Bez nich niedługo każą w szkole deklamować prawdy wiary na baczność z dłonią trzymaną na dziełach Marksa i Lenina. Ważne było także to, że eseistka nie zapomniała o wspominaniu tekstów krytycznych wobec kultury masowej, gdyż eksplozja entuzjazmu dla wielości popularnych form w polskiej kulturze była od lat nie do zniesienia. Także ważne, że Fraszewska w swojej udanej książce nie uprawiała eseistycznej emigracji od spraw polskich. Powoływanie się na swoje wcześniejsze książki nie wywoływało niesmaku. Szczерze polecam!

MATEUSZ WABIK

Maria Jolanta Fraszewska, Dzieje się wciąż. Kultura płonąca językiem, Gdańsk 2025



Mateusz Wabik

PRZEWODNIK

Z POMINIĘCIAMI (NOTA)

W swoim „quasi-podręczniku” pt. „Rozbieżne emancypacje. Przewodnik po prozie 1976-2020” Przemysław Czapliński ukazał przemiany polskiej prozy – głównie powieści, ale też opowiadań i reportaży na przestrzeni ponad czterdziestu lat. Rozpoczął od daty 1976, ponieważ wtedy narodził się w Polsce drugi obieg. W swojej książce Czapliński podzielił utwory według tematyki i gatunków, omawiając najważniejsze z nich, inne tylko wspominając lub umieszczając w przypisach. Czapliński opisywał polską prozę podejmującą tematy oporu wobec komunizmu, Polski w warunkach wolności, także gejów, lesbijek, kobiet wolnych oraz cielesności. Opisywał prozę omawiającą przemiany i problemy polskiej wsi. Ukazywał rozwój literackiego reportażu podejmującego tematykę międzynarodową, ale także lokalną. Opisywał także rozwój w Polsce SF od czasów Stanisława Lema i Janusza A. Zajdla i omawiał narodziny w Polsce fantasy. W poetyce horroru ukazał zaś książki podejmujące tematykę zagłady Żydów w Polsce. Także rozpisując się o książkach podejmujących tematykę związaną z krajami sąsiednimi i Skandynawią.

Najciekawiej w książce Czaplińskiego działają się w rozdziałach o prozie opozycyjnej, rozwoju reportażu, tematyce kresowej i fantastycznej. Najbardziej denerwowało zależność polskiej prozy od mediów i podejmowanie podobnej tematyki. Czasem wydawało się, że Czapliński zapominał o pewnych podstawach humanistyki jak to, że Skandynawia mimo, że sytuowała się na północy Europy należała do cywilizacji zachodniej na co miało wpływ przyjęcie chrześcijaństwa w średniowieczu. Przeciwwstawiał Europę Środkową i Skandynawię Europy Zachodniej jakby ją nie trapiły rozmaite bolączki i jakby ona była nadal oddzielona jakąś kurtyną. Warto było zauważyć, że w końcu dostrzeżono poziom powieści i opowiadań Andrzeja Sapkowskiego, a także to, że reportaż w Polsce nie kończył się na twórczości Ryszarda Kapuścińskiego. Jednakże wydawało się, że brakło Czaplińskiemu miejsca na opisywanie

tekstów pod względem języka i faktycznego poziomu intelektualnego. Denerwowało, że sprawy wspólnotowe i rozmaitych grup stawał ponad sprawy jednostkowe i indywidualne do czego przyzwyczaiła polska literatura w poprzednich wiekach. Niestety w „quasi-podręczniku” zabrakło miejsca dla szerszego omówienia prozy postmodernistycznej, poematów prozą, powieści Marcina Świetlickiego, rozwoju kryminałów (choć wspomniano kilka z nich) i literackich horrorów. Zabrakło miejsca także dla eseistyki i krytyki literackiej. Jednak mimo tych braków uważać można było „Rozbieżne emancypacje” za książkę dość dobrą i faktycznie spełniającą funkcję przewodnika po polskiej prozie w pewnym zakresie.

MATEUSZ WABIK

Przemysław Czapliński, Rozbieżne emancypacje. Przewodnik po prozie 1976-2020, Kraków 2024



Notre Dame de

Aris

- esquisser depuis la fenêtre de l'autocar !
- Drawn from the Rolling Coach Window..

Mateusz Wabik

POEZJA ZWYCZAJNA

W 2024 roku nakładem Instytutu Wydawniczego „Świadectwo” ukazał się kolejny tomik poetycki Stefana Pastuszewskiego pt. „Na krawędzi”. Wieloletni sekretarz redakcji i założyciel czasopisma „Akant” był w latach 80-tych członkiem „Solidarności” i został internowany w stanie wojennym. Wcześniej od roku 1975 do 1979 należał do Grupy Poetyckiego „Faktu”, której program nieco różnił się od zapatrywań ówczesnej ważnej formacji poetyckiej określonej Nową Prywatnością i przypominał swoimi niektórymi pomysłami tworzenie wierszy na styku tak różnych poetyk jakie prezentowali twórcy należący do Awangardy Krakowskiej, Tadeusz Różewicz, Edward Stachura, Rafał Wojaczek a niektóre pomysły grupy przypominały program Nowej Fali. Niegdyś na łamach „Akantu” Pastuszewski przypominał program swojej grupy, w którym chodziło o poszukiwanie źródeł poetyckich w rzeczywistości, zgiełku ulicznym, szukaniu „efektywnych środków wyrazu”. Poezja wg niego miała swoje zadania społeczne, a nie tylko prywatne i nie uciekała przed masowym czytelnikiem.

Warto było przypomnieć sobie pewne założenia programowe grupy, do której należał Pastuszewski, gdyż jego poezja znana mi była do tej pory z lektury tylko jednego tomiku „Kuszenie Ikara”, który ukazał się w 1977 roku i wielu publikacji w prasie literackiej. Jego poezja często różniła się od współczesnych uznawanych przez krytyków stylów poetyckich, gdyż poeta nie starał się unowocześniać swojego przekazu i nie inspirował się twórczością amerykańską i anglosaską, nie dłużył nadmiernie w języku, by przestonąć swoimi pomysłami rzeczywistość, nie wydawała się jego twórczość poezją nerwów, zgrzytów i niedomówień, albo zdenerwowania jakie wywoływali politycy, menadżerowie w firmach, czy gwiazdy znane z telewizji. Mimo uwagi jaką przykładał do religii nie uczynił z niej małego skłепiku z dewocjonaliami. Wbrew postawie prospołecznej autora, poezja pisana przez niego nie wydawała się mieć wymierzonego ostrza polemicznego w kierunku wielu zjawisk współczesnych, była czasem bardziej lub mniej wyciszona i została napisana jakby była wyrazem wol-

ności słowa poetyckiego. Zmierzała raczej ku prostocie, niż ku wzniosłości. W swoich poczynaniach poetyckich urodzony w 1949 roku twórca nie segregował tego co wydawało się w świecie na godne poezji i niegodne tego miana. Poruszał w swojej poezji wiele spraw. Jeśli wiersz Pastuszewskiego nie był stylizowany na rozmowę unikał dużych liter oraz znaków przestankowych.

W „Na krawędzi” poeta poruszał tematy abstrakcyjne jak poszukiwanie sensu świata, pisał o uczuciach jak miłość, opisywał starość ludzi i zwierząt, notował obserwacje społeczne i związanych z nimi pijaków, rowerzysty, sprzątaczkę, kierowców i pasażerki, nawet opisał śpiącego zięcia. Poeta także pisał o czekaniu na ważną rozmowę telefoniczną, niekiedy swoje obserwacje zestawiał z porównaniami wziętymi z wyobraźni, opisywał również urlopy i wycieczki. Niektóre jego wiersze dotyczyły istoty poezji, snów, spraw czasu i pamięci. W nawiązaniu do poezji niemieckojęzycznej jego wiersze były pisane nieraz w stylu liryki wyznania w drugiej osobie. Poeta nie był poprawny politycznie. Ku mojemu zaskoczeniu w „Na krawędzi” nie można było znaleźć wierszy nieudanych, źle napisanych (choć pojawiały się niekiedy metafory dopetnierzowe, za którymi nie przepadałem), czy nieudanych, ale z uwagi na to, że urodziłem się dwadzieścia sześć lat później niż poeta niektóre wiersze czytało mi się jakby pochodziły z innej epoki poezjowania, nie roziskrzały mi się w umyśle podczas lektury, nie opalizowały często z moimi doświadczeniami realnymi i lekturowymi, niektóre zaś wydawały mi się bardzo podobne w stylu do tego co pisała nowa generacja młodych poetów przed 30-łką z Dolnego Śląska odkrywająca poezję kaskaderów literatury. Najbardziej jednak zastanawiał fakt autonomii poezji Pastuszewskiego wobec innych sfer jego egzystencji – nie znać było w jego wierszach pasji badacza historii Bydgoszczy, nie kojarzyły się z poezją politycznie zaangażowaną, nie było w nich sprytu znanego z wierszy innych poetów redaktorów czasopism.

Na tle innych wierszy szczególnie dośyć ciekawie wypadł wiersz taki jak „Pustka”, który nie dotyczył jednej, konkretnej obserwacji czy sytuacji, a starał się objąć

większą potęgę czasu i zbudowany był na zasadzie swobodnego przepływu skojarzeń. We wspomnianym wierszu pojawiły się obrazy niemożności i zaniechania, tego co się nie ziściło, narzekanie na brak smaku i sygnatu ze świata, a mijające dni porównywano do „klatek w projektorze”. Dlatego ten wiersz mnie zastanowił gdyż obecnie z rzadka czytałem wiersze w tym stylu jakby poeci sami siebie zmuszali do sytuacyjnego sprozaizowania poezji i unikali sugerowania, czy pseudonimowania. Mimo, że wiersz Pastuszewskiego pochodził z książki wydanej w 2024 roku przypominał mi wczesną lirykę Ryszarda Krynickiego, choć nie chodziło mi w tym wypadku o zżyznianie.

Innym ciekawym wierszem z książki Pastuszewskiego wydawał się ten ze strony 60-tej zaczynający się od wersu „wciąż zaczynamy wszystko od początku”, w którym zgorzknienie egzystencji zestawione było z okrutną szczerością podmiotu lirycznego. Poza tym wiersz zaskakiwał. Oto umocowany społecznie, doświadczony autor, mąż i ojciec niczym Witold Gombrowicz pisał o zaczynaniu na nowo, czyli o nowym starcie na starość, rozpoczynaniu na nowo pod koniec życia. Wierność małżeńską porównał poeta do wlekącego się psa. Niczym trzydziestoparoletni Marcin Baran opisywał także brak satysfakcji w kontaktach erotycznych.

W wierszu „Traktat o prawdzie” pojawiła się obserwacja, że zwykłe rozmawianie i poezja różniły się tym, że nieskładność w rozmowie wyrażała prawdę, a wiersze musiały być ułożone w „jakąś całość”, choć niepełną i nie mogły być do końca prawdziwe. Także poeta ze smutkiem konstatował, że nie mogły być uważane za literaturę „cudne chwile” dwojga ludzi.

Książka Pastuszewskiego „Na krawędzi” mimo, że nie do końca wpisywała się w to, czego oczekiwałem od poezji, bo jednak „Traktat o prawdzie” mógł podważyć wiele dobrych wierszy z książki, jest w miarę niezłym zbiorem wierszy i bardzo różnorodnym.

MATEUSZ WABIK

Stefan Pastuszewski, Na krawędzi, Bydgoszcz 2024

Mateusz Wabik

POLSKA I ŚWIAT

W PERSPEKTYWIE

NARODOWO-KATOLICKIEJ

W kwietniu 2025 roku wraz z nowym numerem „Toposu” ukazał się nowy tomik wierszy Wojciecha Kudyby pt. „Sny i rozmowy”. Tomik mieścił się w ramach poezji religijno-przyrodniczej, którą uprawiało w Polsce wielu poetów z niezrozumiałych dla mnie względów, bo jednak ta tematyka przypominała coś w rodzaju skansenu, w ogóle nie ukazując przemian jakie dokonały się na polskiej wsi w ostatnich latach. Ba przemiany polskiej wsi ostatnio w poezji uchwycili chyba poeci socrealistyczni... No bo na przykład Wojciech Wencel pisał wiersze o modlących się krowach wpisując się w religijną fantastykę.

Kudyba w swoich wierszach pisał o dokarmianych w śnie zwierzętach, przechadzających w grupie na łonie natury, wspominał kołędników porwanych przez powódź, opisywał jakąś dawną Wigilię, a w wierszu

„W szpitalu” przypominał konflikt polsko-ukraiński. Leżący w szpitalu ojciec przestrzegł syna przed UPA, które „znowu/spaliło koło nas wioskę...”, choć kiedy Kudyba się urodził, ten konflikt już nie istniał i raczej ten wiersz nie należał do liryki osobistej czy wspomnieniowej. Przed rzezią bohater liryczny wiersza obiecywał schronić się w kościele, który stawał się w wierszu synonimem schronienia i pokoju. Każdy konflikt polsko-ukraiński – czy z dawnych wieków, czy z historii XX wieku był tragedią, bo miał znamiona wojny domowej, gdyż Ukraina

kiedyś przeszła z rąk Litwy w ręce Korony. Ale myślę, że to wspomnienie jego dzisiaj miało polityczny wymiar i próbowało ostatecznie współpracę gospodarczą i wojskową Polski z Ukrainą i polską pomoc. Wiadomo, że w liczbach okrucieństw Ukraińcy nas przewyższali podczas ludobójstwa UPA i działaniach odwetowych, ale należy pamiętać, że Ukraińcy także ginęli w komunistycznych obozach koncentracyjnych po wojnie, bywali przesiedlani, w latach Rzeczypospolitej Obojga Narodów ukraińscy Kozacy nie tylko podczas oficjalnych wo-

jen chronili Polskę przed najazdem Turków i nie tylko wtedy za nas ginęli. Także ginęli w mniejszych najazdach. A Ukraińcy za nas dzisiaj, bo przecież wiadomo, że poddanie się Kijowa w pierwszych dniach wojny nie oznaczałoby pokoju ze strony Rosji.

Czesław Miłosz w „Wyprawie w dwudziestolecie” i Przemysław Czapliński w „Rozbieżnych emancypacjach” ukazywali powołując się na dokumenty lub innych autorów, że przyczyną niechęci Ukraińców do Polaków, była... niechęć Polaków do nich. Nie pozwalano przez wieki im piastować godnych urzędów, nie pozwalano im jak Litwinom otrzymywać tytułów szlacheckich i traktowano ich prawie jak niewolników w pracy. Kościół katolicki, który stworzył pierwszy w świecie system totalitarny, mimo, że był odpowiedzialny za ludobójstwo wśród Indian, Arabów, Katarów i wielu nacji, to w poezji Kudyby był nadal pokojową oazą, choć nie było w nim miejsca na rozsądek, czy własne poglądy. Zapominało się, że podczas II wojny światowej część kleru z Watykanu sympatyzowała z nazistami. Kościół w Polsce często działał wbrew polskiej konstytucji, np. zakazywał księżom i zakonnikom publikacji swoich wierszy niezgodnych z doktryną katolicką przeciwstawiając się wolności słowa jak to miało miejsce w przypadku wierszy zakonników, czy księży wysyłanych do krakowskiej Miniatury.

Kudyba także ukazywał, że zainteresowanie sportem jak w przesadzonej i ideologicznie ufkowanym wierszu „Torebka Chanel” było profanacją hostii. Także opisywał poeta w wierszu pt. „Człowiek chodzi po mieście” bazującym na przytoczeniu cudzej mowy lub wymyśleniu bohatera snującego swój monolog, o śmieciarzu, który ze śmieci wyciągnął figurkę Matki Boskiej, by uratować ją przed zniszczeniem, co miało świadczyć o jego zdrowym rozsądku i czynie najwyższej wagi. Według mnie to raczej było dziwaczne zważywszy na to, że sam posąg pozostawiony w śmietniku był wyobrażeniem świętości, a nie nią samą. I ukazywał, że Polacy mentalnie zbliżyli się do mentalności ludzi pierwotnych opisywanych kiedyś przez Malinowskiego, Frazera, czy Freuda „gdyż wydawało się, że figura Matki Boskiej mogła być czymś w rodzaju polskiego totemu i jego uszkodzenie wywoływało nie tyle troskę o przedmiot kultu religijnego, ale rodzaj lęku przed profanacją tabu, czyli zniszczeniem wyobrażenia. Pracując kiedyś na czarno podczas renowacji ołtarza barokowego w jednym z krakowskich kościołów na opłotkach miasta, widziałem jak ksiądz nie miał nic przeciwko temu by wszyscy pomocnicy konserwatora mogli kopać w spróchniałe deski ołtarza by je wytać, bo przecież to były tylko deski. No ale ludowi od lat sączyli twórcy jakąś niezrozumiałą prostotę i naiwność.

Książka Kudyby pod względem stylu bazowała na prostocie podzielonych na wersy zapisów czy wspomnień, ale nie należała ta poezja do wartościowych osiągnięć prawicowej literatury w Polsce. Ponieważ dobra literatura to ta, która ukazywała coś innego niż funkcjonujące w społeczeństwie płaskie stereotypy, które w literaturze religijnych autorów stawały się prawdziwszymi niż prawda alegoriami i funkcjonowały na zasadzie takiej, że Ukraina to synonim ludobójstwa Polaków, Kościół oaza pokoju. Mickiewicz w swojej „Literaturze słowiańskiej” ukazywał, że duchowość Polaków od duchowości Rosjan tym się różniła, że wiara w Polsce była sprawą indywidualną, a w Rosji państwową i sprzymierzenie Kościoła w Polsce z polityką należałoby z takiej perspektywy odczytywać jako ostatni bastion próby z r u s y f i k o w a n i a Polaków. Bo zrusyfikowanego, pozbawionego indywidualnych cech Polaka można nadal poniżać, sprzedawać do pracy poniżej godności dla zachodnich koncernów, marketów, czarnych rynków w Londynie, Rzymie itp. Tak jak to przewidział Edward Gierek - po upadku PRL-u Polska stała się krajem o mentalności trzeciego świata. Ja dopowiem marksizm + katolicyzm, to walka sekt o dotację z państwa.

MATEUSZ WABIK

Wojciech Kudyba, Sny i rozmowy, Gdynia-Kraków 2025

Mateusz Wabik

OSTATNIE ŚLADY

Adam Zagajewski umarł w marcu 2021 roku, a jego nowy, pośmiertnie wydany tomik „Trzy czwarte” ukazał się trzy lata później bo w maju 2024 roku. Jak można było przeczytać w „Komentarzu edytorskim” Anny Czabanowskiej-Wróbel w tomiku wierszy znalazły się wiersze poety drukowane w latach 2012-2021 w „Zeszytach Literackich” i internetowym czasopiśmie „Palimpsest”, które nie zostały umieszczone w żadnej z jego książek oraz wiersze niepublikowane za życia poety nigdzie, wśród których były wiersze z lat 2020-2021 „wydobyte z jego archiwum komputerowego” przez wdowę po poecie Maję Zagajewską. To, że książka „Trzy czwarte” ukazała się po śmierci Zagajewskiego miało wpływ na to, że podczas lektury wierszy w niej zawartych miało się wrażenie tomiku niedopracowanego, niegotowego i nieplanowanego w tym kształcie, co potwierdziła Czabanowska-Wróbel w swoim komentarzu. Szczególnie wiersze wydobyte z plików komputerowych nie przypominały często ukończonych wierszy poety, gdyż wydawały się najwyżej szkicami wierszy lub ich niedopracowanymi wersjami. Poeta mógł się zastanawiać co z nich wykreślić, a co zostawić, bo jednak niektóre były przegadane. I ta ich cecha uwidaczniała się na tle wierszy ukończonych. I mimo, że nie przeczytałem wszystkich książek poety, mogłem śmiało napisać, że „Trzy czwarte” był tomikiem średnim, z którego wydania mogli się cieszyć tylko historycy literatury i ci czytelnicy co bardzo cenili poezję Zagajewskiego i czytali wszystko co napisał. A zwykły czytelnik polskiej poezji współczesnej mógł poczuć niedosyt, gdyż jednak oczekiwało się więcej. Zamiast wydawać w takim kształcie „Trzy czwarte”, te wiersze mogłyby wejść np. w skład jakiegoś przyszłego tomu wierszy zebranych

poety, czy wybranych i nie byłoby w tym nic karygodnego, bo przecież prawie każdy twórca pozostawiał po sobie notatki, pliki, notesy i nie zawsze to były utwory na poziomie ich najważniejszych utworów, ale znajdowały się w różnych zbiorach jako dodatki. Poza tym fakt zrezygnowania niegdyś z publikacji książkowej niektórych utworów, mógł oznaczać niezadowolone poety z danych wierszy, a nie usunięcie ich z powodu niepasowania do wydawanych w tym okresie tomików.

W nowym tomiku Zagajewskiego można było przeczytać m.in. o spacerach poety, także po krakowskich Plantach, nieszczęśliwej miłości Elizy Orzeszkowej do młodszego od niej mężczyzny, wierszach Ważyka, dyktatorach, zmarłych rodzicach, cierpieniach zwierząt, próbie zakupu „Nowego Testamentu”, czy o uwięzieniu przedstawicieli francuskiego kolaboracyjnego rządu w zamku w Sigmaringen pod koniec II wojny światowej.

Ważnego poetę jednak nie tylko pozna się po jego najlepszych książkach, ale także po tym, że w jego słabszych tomikach można było znaleźć wiersze udane i takie na szczęście znalazły się w „Trzech czwartych”. Akurat te zapamiętane przeze mnie dotyczyły spraw codziennych i przypominały poetyckie zapiski w dzienniku, a te, które dotyczyły ważnych tematów historycznych, historycznoliterackich, czy wspomnień rodzinnych nie wydawały się specjalnie odkrywcze.

Wśród tych bardziej udanych tekstów Zagajewskiego z jego pierwszej, pośmiertnej książki zaliczyłbym np. „Pomoc”, w którym poeta mijał podczas spaceru na krakowskich Plantach mężczyznę z karką, na której było napisane – „Jestem w dramatycznej sytuacji”. Wynik próby pomocy okazał się

czymś niespodziewanym, gdyż okazało się, że za taką próbę należał się poecie mandat. W dalszej części wiersza poeta rozmyślał na temat czerwieni krwi lisa ze znalezionej gdzieś w internecie, czy w prasie zdjęcia, a także o rozmowie z dentystą, który radził poecie pisanie tekstów piosenek. Innym świetnym wierszem Zagajewskiego w „Trzech czwartych” był utwór „W księgarni”, w którym poeta ukazał sytuację zamiaru kupienia w księgarni „Nowego Testamentu”, gdyż nie mógł znaleźć go w swojej „nieuporządkowanej bibliotece”. Jednak zamiar nie udał się, gdyż usłyszał od sprzedawcy, że „chwilowo” go zabrakło. Poeta zestawiał chwilowość braku religijnego dzieła z jego ważnością dla chrześcijan od wielu setek lat. Także ciekawiał na dłuższy fragment wiersza „Oto nasze domy”, w którym poeta opisywał wnętrze własnego mieszkania – „Muzyka uwięziona w płytach, dużo nieprzeczytanych książek”, którego opis mógł być charakterystyczny dla mieszkań wielu innych lokatorów w różnych miastach. Atmosferę pełną entuzjazmu i ironii charakterystyczną dla swojego domu, poeta zestawiał z widokiem mordercy na przedmieściach, który grał nad koksownikami dłonie. I akurat końcówka tego wiersza mnie nie przekonywała, bo raczej pasowałaby do opowiadania detektywistycznego o Sherlocku Holmesie sprzed wielu lat, albo do wierszy o stanie wojennym w Polsce. Nie sądziłbym, że dzisiaj mordercy przygotowywali się do zabójstwa grzejąc dłonie nad koksownikami. Chociaż mogłem się mylić.

Mimo mojego utyskiwania na niedopracowanie tomiku Zagajewskiego, można było w nim znaleźć przynajmniej kilka udanych wierszy.

MATEUSZ WABIK

Adam Zagajewski, Trzy czwarte, Kraków 2024

Stanisław Chyczyński

REPETYTORIUM: WŁÓCZĘGI DUCHOWE

Rodzima poezja religijna, w obecnych trudnych czasach, ma się wcale dobrze, a patronują jej takie wielkości, jak Jan Twardowski, Janusz St. Pasierb czy choćby Jan Paweł II. Aktualnie do czołowych jej reprezentantów należy Wojciech Kudyba (r. 1965), profesor stołeczny UKSW, autor m.in. kilku książek poetyckich i kilku prozatorskich (w tym 2-tomowej powieści historycznej *Pałasy*). Norwidolog, który inspirował się raczej Rilke niż Norwidem. Przez krainę literatury peregrynuje w asyście swoich ulubieńców, po lewej – Marcin Świetlicki, po prawej Zbigniew Herbert. Całkiem niedawno wydał opowiadania zebrane pt. *Z drugiej strony* (W-wa 2024) oraz retrospektywne *Włóczęgi duchowe* (W-wa 2025), czyli wiersze z lat 1990–2025. Zamierzam skupić się na tej drugiej pozycji.

Jak zapewnia wydawca, wszystkie wiersze zostały na nowo przejrane i poprawione. Rzeczywiście, skrupulatny badacz twórczości autora *Gorców Pana* mógłby odnotować wiele drobnych zmian. Trzy przykłady: *Odwiedzanie Tyszwieca*, *Rozmowa z Bogiem* stała się po prostu *Rozmową*, a tytułowa *La Verna* jest tutaj *Alvernia*. *Plewienie marchwi* straciło personalną dedykację, bywa i tak. Więcej różnic dotyczy samej treści utworów, gdzie np. Sącz zastąpiono Krasnobrodem, Lublin – Zamościem, a Neapol – Tomaszowem, w którym poeta się urodził. (Tyszowce po-

zostały bez zmian). Co ważniejsze, przeróbki dotknęły nie tylko nazw geograficznych. Zatem niektóre stare teksty zyskały nową szatę werbalną.

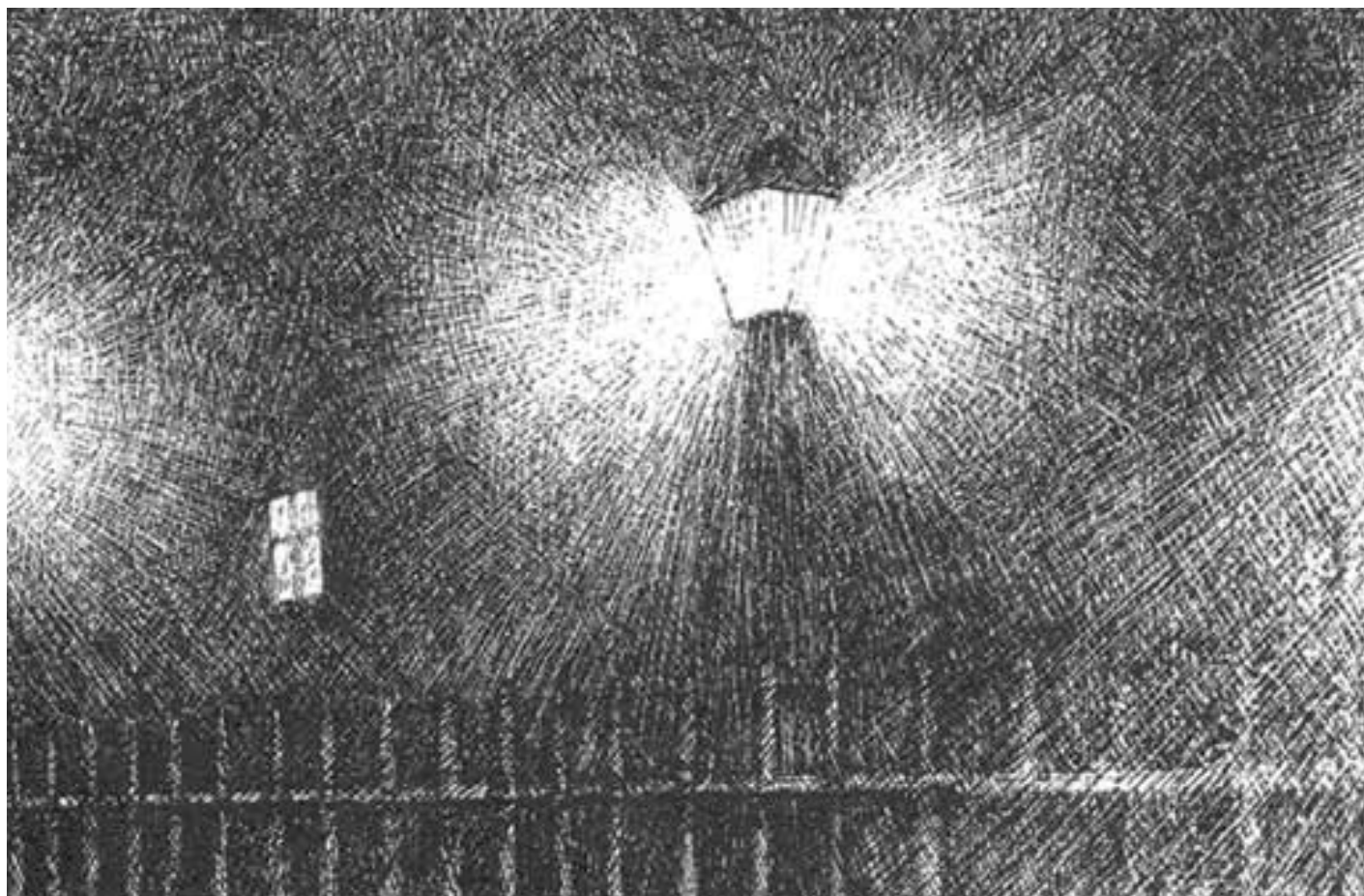
Kudyba tworzy poezję niezwykle plastyczne, obrazowe, sugestywne, pełne konkretów ze świata fauny i flory, na ogół ułożonych w naturalnym pejzażu dzieciństwa i okresu dojrzewania. Kiedy zaczyna rymować, budzą się znane echa z Brylla (za sprawą tematyki i rymów wewnętrznych) tudzież z Wencla (analogie treściowo-formalne, rymy zewnętrzne). Jednym z najważniejszych jest termin „Rozmowa” (*nota bene* często pisany od wielkiej litery), który oznacza dialog istotny ze Stwórcą. Do kolejnych należą: „miasto”, symbol wspólnoty wiernych, i „ogród” – jako znana ewokacja z Herberta, a nawet „tajno”, które wymownie ilustruje wszelką zgniliznę moralną i kulturową. *Zatruta studnia* Malczewskiego jest tutaj *Zakryta Studnia*, która – „Napełniona” – stanowi „Widzialne centrum – nazbyt oczywiste/ By mogło być przedmiotem zwątpienia”. Rezerwuuar wodny – źródło życia i nadziei, atoli dla chrześcijanina liczy się głównie woda żywa, jaką znamy z Ewangelii. O ile Leśmianowi „Bóg zniknął – w brzozie” (*Niewiara*), o tyle Kudybie – wręcz przeciwnie! Objawia się nie tylko w bliźnich i naszych „braciach mniejszych”, ale nawet w trywialnych motywach nieożywionego re-

alu. „W pustkowiu znaczeń, w rozproszeniu sensu”, „w melancholijnej mgłę, trującym dymie gnoju”, „przejrzystym szyfrze śniegu”, „nadrzecznych promenadach i sklepieniach”. Mało tego: „Gdziekolwiek byśmy się nie udali – będzie”. Brawo, *bravissimo*!

Universeum jest tajemnym przesłaniem Stwórcy, skierowanym do stworzeń rozumnych, które winny starać się odczytać owe zaszyfrowane sygnały. (U Kuzańczyka był to *Deus absconditus*). Jesteśmy powołani do tropienia Ojca, ukrywającego się przede wszystkim w tym, co nas spotyka. Wbrew pozorom, wg Kudyby, nie jest to wszystko arcytrudne, bo „To, co się musi zdarzyć, jest rozmową”, ale też „To, co się musi zdarzyć, jest spotkaniem”. W filozofii Emmanuela Levinasa spotkanie to relacja metafizyczna, która zawsze dotyczy naszego bliźniego i dzieje się w przestrzeni etycznej. Tam spotykamy mistrza, swego nauczyciela, który uczy nas bycia wobec drugiego człowieka, a bycie jest zawsze relacją etyczną. Mamy Dekalog, znamy Mistrza z Nazaretu, więc!... Sedno sprawy oparte jest na bezgranicznej ufności, o jakiej czytamy w świetnej *Modlitwie*: Noc/ Jakbym krążył z owadami/ W trudnej do wyjaśnienia/ Konieczności zaufania/ I czci.// Wokół świecy.” O! i wszystko jasne!...

STANISŁAW CHYCZYŃSKI

Wojciech Kudyba, „Włóczęgi duchowe”, PIW, Warszawa 2025, str. 176



Irmina Kosmala

SPÓŹNIONE MORZE

Tom poetycki Janusza Drzewuckiego o kuszącym tytule – z przegodowym motywem zamieszczonym na pierwszej stronie okładki – każe mi wyprząc się na chwilę z przygotowywanego właśnie wykładu dla licealistów o transcendentaliach w filozofii Józefa Tischnera i dać się ponieść jakieś trzy tysiące kilometrów stąd – na południowy zachód Półwyspu Iberyjskiego.

Okładkę *Rzek Portugalii*, wydanych blisko dziesięć lat temu przez Towarzystwo Przyjaciół Sopotu, zdobi fotografia płytki ceramicznej przedstawiająca karawelę na wzburzonym morzu. Statek jest ogromny, jego żagle otwarte, lecz wiatr silny, niebo sine, a bałwany wód wezbrały. W powietrzu unoszą się słowa „Moja dusza należy do Boga”, natomiast nieco niżej, nad dwoma potworkami morskimi o zakręconych ślimaczo ogonach wybrzmi złowieszczą dopowiedź: „a ciało do żywiołu morza”.

Dualistyczna wizja rzeczywistości od wieków porządkuje nam świat poprzez binarny podział na to, co nietrawne i wieczne, na tu i tam, na fizykę i to, co ją przekracza. Wybór okładki nie jest przypadkowy. Zdjęcie płytki ceramicznej wykonał sam autor. Czy zatem to jakiś ukryty kod, przestanie, motto do niniejszych utworów? Czy autor *Rzek Portugalii* rozbija swoje poetyckie myślenie według tejże dychotomicznej konstrukcji – ziemskość/morskość (materialność) i pozaziemskość/duchowość (boskość)? Odrzuci „pokusy” transcendencji, zanurzając się w ziemskich wodach czy – przeciwnie – poszukiwać będzie wyjaśnienia złożonej, materialnej rzeczywistości poprzez nadanie jej metafizycznego wymiaru?

Przygoda szykuje się łącie Odyseusza, myślę żywiołowo – wbrew zachętom dedykacyjnym autora, by jednak cierpliwość okazać tym wierszom. Zacieram ręce z radości i wskazuję do cudzych *Rzek...*, niech poniosą mnie do ciepłych krajów, następczynią wonnym słońcem, ogrzeją sypek piaskiem!

Tymczasem... „Zmarł Tadeusz Różewicz” – przeszywa mnie chłodem niedomkniętej krypty pierwszy z wierszy, brzmiący niczym nekrolog. Zatem zanim dopłynę do morza, czeka mnie najpierw przeprowa przez najmroczniejszą z rzek – Styks.

(...)

Zmarł Tadeusz Różewicz,
myślałem,
że nigdy nie umrze, bo jest
nieśmiertelny
ale zmarł, a jednak jest
nieśmiertelny.

Podobnie, jak poeta o swoim ulubionym poecie, myślę o swoim ulubionym współczesnym filozofie. Nieprzychylnie mu języki powiadają, że zmarł od tego, czym grzeszył (Tischner miał raka krtań). A jednak jest nieśmiertelny. Czy można zatem istnieć i nie istnieć jednocześnie? Janusz Drzewucki mierzy się z egzystencjalno-dualistycznym paradoksem i na pytanie postawione powyżej odpowiada twierdząco: można, bo

nie zostaliśmy ulepiani raptem z jednej tylko materii. Można, a nawet trzeba, bo jak powie w innym wierszu: „Racja jest po stronie / tych, którzy piszą” (*Racja jest po stronie*). Nieśmiertelność da nam, rzecz jasna, pióro, lecz nie to – mówiąc brutalnie – wyjęte z „kurzego kupra”.

Powiem wprost: bardzo podobają mi się epigramaty autora *Rzek Portugalii* z ich mocnymi puentami. Czytanie tych utworów to jak skok na główkę z wysokiej skarpy w lodowatą toń rwącej rzeki. Tak właśnie. Skok jest szybki, szok ogromny, zachłystnięcie niezwykle. Wracamy potem do tych krótkich form niejednokrotnie i zachodzimy w głowę, jak można tak szybko i tak celnie. Tak potrafią nieliczni poeci. „To znana reguła: do prostoty i ważkiego przekazu dorastamy latami. Drzewucki już jest w tej smudze, kiedy poeta nie mnoży niepotrzebnych słów, a pointami strzela w środek tarczy, odkrywając nieprosty sens rzeczy prostych. Rzeczy zwyczajnych, czyli wyjątkowych” – usłyszymy w jednym z omówień twórczości artysty – w „Poecie sensów”.

Zatrzymuje mnie jeszcze przy sobie nieco dłużej okostych „Najlepiej w milczeniu”, w którym wybrzmi propozycja wypowiedziania wielkich zdań w głębokiej ciszy. Ów oksymoron jest oczywiście pozorny. Wielkie rzeczy wymagają wielkiego namystu – prosta prawda, ale ubrana u kruszwickiego artysty w poetycki, ascetyczny kunszt.

Pośród różnorodności (auto)tematycznej wierszy, o której za chwilę, odnajduję jeszcze kilka króciutkich niczym jeden oddech, a kojarzących się taoizmem Czuanga-tsy i jego aforyzmami. Postuchajmy:

Kto wie dlaczego,
ten wie; kto nie wie
dlaczego, ten już nigdy
się nie dowie.
(Kto wie dlaczego)

O jakim „dlaczego” wie ten, który wie i (dla)czego nie wie ten, który nie wie i nigdy o tym się nie dowie? Scio me nihil scire – przypominają mi się słowa najślynniejszego starożytnego Ateńczyka. Każdy opis jest jedynie przybliżeniem rzeczywistości. Nic o niej wiedzieć nie mogę na pewno.

Po takim dictum wchodzę w kolejną rzekę – paradoksu. Ze ślimakiem wspinam się na „Górę Fuji...”, która okaże się kolejnym mirażem. Następne otwarcie świata stanie się porządkiem ustanowionym po biblijnym potopie: arka Noego niechybnie wylądowała w Polsce i teraz wszystkie zwierzęta świata rozpieczęły się po naszej ziemi. W podobnej absurdalnej tonacji utrzymany jest wiersz „Elvis żyje!”:

Elvis Presley żyje we Wrocławiu,
zmienił się nie do poznania,
schudł, wyłysiał, ale trzyma się
dobrze, ostatnimi laty prowadził
warsztat samochodowy na Krzykach
czy też na Biskupinie, w końcu
przeszedł na emeryturę;
(...).

Trudno doszukać się w tych frazach innego niż ironiczno-cynicznego określenia istnienia naszego bytu. Ktoś widział Elvisa, więc ten niechybnie żyje. Cóż nam, nasycyconym materialną treścią bytu, pozostaje oprócz doznań zmysłowych?

Co ciekawe, ostatni z wierszy stanowi klamrę spinającą z utworem otwierającym tomik: „Zmarł Tadeusz Różewicz”. To właśnie dzięki tym dwóm utworom ów zasugerowany wcześniej dualizm znajdzie swoje najlepsze uzasadnienie. Nie istnieć i zarazem istnieć równocześnie – coś za wspaniała do rozwikłania aporia!

Jednak czy w tychże wierszach, nasycyconych sporym doświadczeniem przeżytych lat, wystuchanych koncertów jazzowych, obejrzanych sztuk teatralnych, przeczytanych książek, (nie)dokończonych rozmów czy odbytych wtórcę – znajdzie się miejsce dla Boga? I jaki to będzie Bóg – pisany z małej czy wielkiej litery? Doświadczony w głębokim osobistym przeżyciu czy wykoncypowany z biblijnych przypowieści?

„Pana Boga” odnajduję w każdej ze strof utworu „W ponowoczesnym świecie”. W zlaicyzowanym świecie rzadko kto spogląda w niebo i zadaje pytania „dlaczego” („Kto wie dlaczego?”). I dopiero wtedy, gdy coś się w posadach naszego poukładanego i zrationalizowanego świata zachwieje, pada owo otwarte pytanie, które najczęściej staje się retorycznym.

Zatem pozostaje dualizm jako ratunek od śmiertelności i kruchości ciała, które jawić nam się będzie jako obszar wygnania z własnej podmiotowości. Dualizm aporetyczny i... nadzieja.

Moja nadzieja
jest większa
od mojej wiary.
(Nadzieja jest większa)

Przyjrzyjmy się jeszcze temu zaskakującemu zwrotowi: nadzieja, która wybiega swym pragnieniem w przód, jest większa od wiary, która zakotwiczona jest w każdym z czasów, który przeżyliśmy. Wiara nadto stanowi fundament, z którego nadzieja wyrasta. Przed nami kolejna piękna aporia i kolejny wielki strzał w sam środek tarczy!

Porzucam *Rzeki Portugalii*, do których – zgodnie z tytułem – zabierze nas autor niniejszego tomiku pod koniec wtórcę po swoim świecie. Porzucam z nadzieją. Że zabierze mnie jeszcze kiedyś w swój czas i swoje pragnienia. I niech pejzaż liryczny wyznacza mu wybrzmiały na kartach niniejszego dzieła zasada, żeby „pisać nie tak, jak się pisze/ (...) ale tak, jak się mówi”. I tak, jak się tego prawdziwie doznawało.

IRMINA KOSMALA

Jerzy Lengauer

„MEWY KRZYCZĄ NAD KAŁUŻĄ” KATARZYNA BORUŃ-JAGODZIŃSKA

Prawie przy każdym wierszu ze zbioru o wodzie - odnosząc się do podtytułu - robię notatki. Raczej to tylko haśła, pojedyncze słowa przedzielane przecinkami. Większość z nich to „morze”, „tęsknota”, „piasek”. Mógłbym je jeszcze dookreślić „latem”, może jego schyłkiem, jego odchodzeniem, także dzieciństwem.

Tytuł tomiku to „Fala i piach”. Nie mam złudzeń, fala to morze, nie jezioro, rzeka, strumień czy wodospad, które także pojawiają się w wierszach, piach zaś to wszak nie piasek, ciepły, gorący, w którym brodzi się jak w wodzie, gdzie granica jest rozmyta, niezauważalna, jak w wyłobionych spokojnych, miłych dla gołych stóp zatoczkach. Jestem przekonany, że mimo spójnika w tytule chodzi o kontrast, o coś ważnego, zapowiadającego się, nadchodzącego, przynębiającego, na co Katarzyna Boruń-Jagodzińska zwraca uwagę, opisuje.

Bliski jest jej chyba Bałtyk i o nim wydaje się, że pisze. Bliskość to emocjonalna, bo droga doń przecież daleka. Gdy poetka w tytule wiersza o pięciu wersach Bałtyk nazywa słodkim, u odbiorcy pojawia się uśmiech. Tak o czymś bardzo bliskim mówi dziewczynka. Infantylnizm przenika się ze szczerością. A może to po prostu dorosła kobieta wie, że polskie morze nie jest zasolone? Tyle że chyba nie ma człowieka, który będąc po raz pierwszy nad morzem nie chce posmakować słonej wody, także tej z Bałtyku. Ale „Po co jeździć daleko, / mamy kawałek morza”. Poetka zamyka ten kawałek w dłoni. To zamrożona, wszak Morze Bałtyckie jest bardzo zimne, drobina soli, tak mała, że nie może konkurować z pamiętkami z Wieliczki. Na poprzedniej stronie, trzysta mil od morza, krążą mewy. Czyż i one nie są „kawałkami” morza, swojego rodzaju pamiętką, czymś co wywołuje tęsknotę? Poetka zwraca uwagę na różowe brzuchy mew (ach, ten pogodny i optymistyczny kolor!) i kałużę, jedną. Ta plama wody pojawi się raz jeszcze w tomiku i ponownie przypomni o dzieciństwie: „I tylko dziecko wkracza bez miary i trwogi, / (...) Przy najbliższej okazji na przekór / wskakuje obiem nogami”.

Są w utworze „Talasoterapia” trzy linijki, które wzbudzają zastanowienie. Wiersz w dużej mierze odnosi się do antyku i przez to, zamierzenie, do mórz Południa Europy. Jestem przekonany, że krótka strofa, jakby wtrącenie, może mówić o Bałtyku. „Moje morze” to właśnie Morze Bałtyckie, które „na przestrzeni pół wieku wychłódkło”.

A z czymże kojarzy się morze i dzieciństwo? Plażą, jej atrybutami, które teraz, gdy jesteśmy dorośli, wdychając za gwarem, śmiechem, rozgardiaszem, słońcem. Wydają się stojące nieruchomo, beznamiętnie. Patrząc na pustkę wieczorną, nocną, jesienną. Bo jeśli nasze życie spotyka tę porę roku nieuchronnie, to przecież nie może być inaczej i w przypadku plaży, jeszcze oddychającej, jeszcze patrzącej, jeszcze pamiętającej. Ach, jakże to bolesne! Piłka plażowa pozostawiona sama sobie daleko do brzegu. Odpytywa, odchodzi. To przecież rozstanie, pożegnanie przyjaciół, znajomych co nosi

znamiona śmierci. Kosz nadmorski, jak człowiek, patrzy, tęskni. Smutne to ostatnie spojrzenie. Jakże to powiązane z odchodzącym latem, gorącym słońcem! Personifikacja się kończy i w ostatnich wersach wiersza pod tytułem „Boli” to już człowiek żegna się z plażą. Wraz z jego skórą stygnie także pamięć. A zaś poetka się dziwi, dlaczego emocje są takie przenikliwe, przejmujące. Cóż może odpowiedzieć sobie czytelnik? Że to tylko kawałek brzegu morza? Że nic nie znaczy? O! wakacje, czyli dzieciństwo, czyli przygoda, rozbuchana wyobraźnia pełna skarbów, map z zagłowego płótna, zamorskich portów, pereł i dukatów, odległych brzegów i zatok. W utworze „Mapy” te atrybuty są częścią naszego życia. Bo przecież wciągająca książka, od której nie można się oderwać, musi nam towarzyszyć ciągle. Leży na stole obok kaszy, grochu, owocowego soku. A drogę do skarbu tajemniczymi krzyżkami i gwiazdkami rysujemy na torebeczce po cukrze, wyobrażając sobie, że te znaki czynione są krwią.

Tęsknota za morzem wзира na ogromnej większości wierszy obu części zbioru. I w takiej mierze jest dorosła, dramatyczna, przekonująca, miejscami wręcz apokaliptyczna. Tak sobie myślę, że kilka utworów poświęconych innemu wodom, rzekom czy wodospadom, to niepokój wyrażony przez autorkę nad działalnością człowieka w stosunku do przyrody. Dostrzega poetka ważność morza, oceanu raczej, w którym rozpoczęło się życie i tam się zakończy. Piasek zabierze wody i wszystko opanuje gorąca pustynia. Tak jest na przykład w „Książce na lato” („Wcisnęło się tyle piasku. / Odstają strony / Świata”), „Niedosiężności niezłębioności” („Woda i piasek / Między życiem a śmiercią / Granica strachu”), „Za morzem” („sunie / burza pustynna / ani kropli więcej”). Wraz z morzem, światem, życiem umiera, usycha za morze i podmiot liryczny, czołga się do morza niczym żółw, ale już nie zdąży. Przejmujące obrazy maluje Katarzyna Boruń-Jagodzińska. Wielokrotnie zmusza odbiorcę do wyobrażenia sobie opustoszałej plaży, piasku, który coraz dalej wrzyna się w morze: „Kilometry od brzegu / zanurzone / w piasku / łódzie / na głodzie / rozsyhają się łódzie / rozpadają się”, „solą pola / żółte iskry // solą i popiołem / są / polane”. Jednak najbardziej tragiczną wizję, nie, nie ziemi, lecz własnego, człowieczego smutku, jest utwór „Do źródła”, w którym autorka opowiada o rzeczywistości, krajobrazie szczęśliwych, żyjącej wodzie, w której pies maczał pysk i łapy, pluskały się małe ptaki i mieszkali kaczki. Tam chodziło się bosą nucąc piosenkę. Zaiste niezwykle radosne przeżycia. Ale nie nad morzem, rzeką sunącą pośród pól i łąk, jeziorem pośród lasów, rozlewiskiem wodospadu u podnóża gór. To opis sztucznego stawku powstałego w wyniku dziury w wodociągu. Niestety człowiek go naprawił „w ramach rewitalizacji dzielnicy”. Rzecz dobra. Niewykluczone, że samorząd otrzymał pieniądze w ramach projektu unijnego i problemy z wodą w części miasta się skończyły. Dokąd zatem teraz pójdzie dziewczynka, pewnie chodnikiem ułożo-

nym z betonowych bloczków, któremu towarzyszą na całej długości miejsca postojowe dla mieszkańców, przekroczy jezdnię a rozgrzany asfalt przyklei jej się do butów, oddychając wzywaniami miejskich SUV-ów? Znikną pies, wróble, szpaki, kaczki krzyżówki. Bo przecież i Bałtyk coraz dalszy, inna już plaża. Czy pozostanie nam tylko oglądać mewy krążące nad kałużą „trzysta mil od morza”?

W górach się ukryć? W górach pozostać? Tam pod lodem płynie strumień, można pić z niego jak pies, prosto z ziemi, najpierw schylonym, potem przykłonionym, w końcu całym ciałem. Tam przecież istnieje obietnica „przedwiośnia dzieciństwa”, choćby tylko we śnie. Boli to jednak. Podobnie jak usychająca morze. Zdjęcie wodospadu błędnie. Ale zostały kamienie. Ułożone dla wędrowca w strumieniu. Tyle że teraz, w dorosłym życiu, już nie są mokre od wody. Nam, chorym, zmęczonym, pochylonym przeznaczono tylko gorące. Do przyłożenia. Za duże pieniądze. Przewrotny to zabieg poetki!

Wyjątkowymi wierszami są bez wątpienia dwa poświęcone topielicom. Jednej pochodzącej ze świata kultury, drugiej, która do tego kręgu dotarła przez własną śmierć. Oba utwory przypominają mi esej przeczytany w „Nekroprzemocy”, książce wydanej w 2022 roku, a traktujący o Ofealii [1]. W nim Monika Baranowska pisze, że samobójcza śmierć wzywała od Erosa, i przedstawia uśmiechniętą twarz Nieznajomej z Sekwany według Alberta Rudomine'a. Katarzyna Boruń-Jagodzińska przedstawia nam ją na motywach Rodina. Któż byłby lepszy w takim przedstawieniu postaci, jeśli nie francuski rzeźbiarz! Chociaż poetka pisze, że „(...) z niezbędnych rekwizytów brak mi / uśmiechu i wodorostów w zatamaniu uszu” a dzisiejszy trup miałby plamę smaru we włosach, co uratuje sytuację. Co za przynębiające sztyderstwo! Uwolnioną od miłości jest także Rusalka z opery Antoniego Dwořaka. Ją to z leśnego jeziora miłość popchnęła do świata ludzi. Żeby ochronić ukochanego, sama porzuca Erosa i w pewnym sensie spotyka się z Thanatosem, stając się wodnym demonem. Boruń-Jagodzińska nie dopowiada zakończenia operowego. Patrzy na Rusalkę oczami jej ojca, Wodnika. Jest pokrzywdzoną dziewczyną, tak jak wszystkie stworzenia związane z wodą, czerpiące z niej życie, a których tak dużo w wierszach „Fali i piachu”, nie wyłaczając ludzi, a może przede wszystkim?

Ostatnią częścią zbioru, raczej dodatkem, są przekłady poetyckie z języka czeskiego. Autorów jest ośmiu. Żadnego nie ma już pośród żyjących. Oldřich Janota zmarł w ubiegłym roku. Najwięcej wierszy mamy Ivana Schneedorfera, dziesięć krótkich bez tytułu.

W wybranych przekładach dekadentyzm przeplata się z modernizmem i słychać smutek czasów zniewolenia. Pośród autorów są księża katoliccy, więźniowie polityczni, emigranci, którzy wrócili do kraju po ak-samitnej rewolucji, twórcy odsunięci od głównego nurtu życia kulturalnego, pisarze

z zakazem publikacji. Dużo w tych wybranych utworach jest krajobrazu, widnokręgu, obrazów, znikających, wyobrażonych, przytłaczających i utęsknionych. Bez wątpliwości podyktowane są emocjami, które towarzyszą wieloletniej emigracji, wymuszonym wyjazdem z rodzinnego kraju. Przewija się w nich dramat i tragizm, śmierć i rezygnacja, zacierające się wspomnienia i ostrość niechcianej rzeczywistości. Jakże to dziwne, ale dla poetów ze śródlądowej Czechosłowacji morze staje się ważnym odniesieniem. Nie tylko jego tafla, fale, lecz nabrzeża z ich sceną statków, barów, dźwięgów portowych. Przygnębiający, szary, siny obraz rzadko jaśnieje, jak chociażby u Jana Anasztaza Opaska, gdy pisze o holenderskim i włoskim przemyśle. Mogłoby być tak też wysoko w Andach, ale tam „nasycone błękitem” jezioro Titicaca opowiada o śmierci, podobnie jak

w „Gibraltarze” Jana Vladislava. U Karela Hlaváčka spotykamy legendę, baśń. Piękną, rytmiczną, wręcz melodyjną acz krótką opowieść. A może właściwszą interpretacją jest ta głęboko religijna, chrześcijańska. Wszak „w czas pasterki delfinów szeregi oniemiały”. Morze, właściwie woda, to świat, do którego poeci nie boją się zaglądać. Tam „stygnie łódź”, „martwi śpią”, spoczywają „szkielety wygnitych barek”. Zwracają uwagę dwa długie poetyckie opowiadania. O Morzu Północnym Antonína Brouska i „Monolog...” Jana Vladislava. I choć obaj autorzy snują opowieści o diamentach i innych krainach, to nastrój i atmosfera są niezwykle podobne i wzbudzają w czytelniku takie same uczucia. Krążą wokół odchodzenia, zapamiętania, zamyślenia, ale i blisko irytacji, nawet złości.

Katarzyna Boruń-Jagodzińska w zbiorze

„Fala i piach” daje czytelnikowi historię samej siebie. Dzieciństwa i dorosłości. Pokazuje emocje, które w niej grają, gdy wspomina i tęskni, ale także, gdy obserwuje dzisiejszą rzeczywistość, tak różną od minionej, chyba szczęśliwej. Rozdziały tej opowieści są krótkie a mimo tego otwierają przed odbiorcą ogromne możliwości wyobraźni. Zmusza do przystąpienia, zapamiętania, zamyślenia.

[1] Monika Baranowska, „Zawłaszczona spojrzeniem, zawłaszczona pragnieniem: Pośmiertne życie topielicy”, w: „Nekroprzemoc: Polityka, kultura i umarli”, red. Jakub Orzeszek, Stanisław Rosiek, Wydawnictwo Słowo/Obraz Terytoria, 2022.

JERZY LENGAUER

o : Katarzyna Boruń-Jagodzińska, „Fala i piach: Wodozbiór”, Oddział Warszawski Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, 2025

Sylwia Kanicka

Sławomir Majewski urodzony w 1955 r. w Gdańsku, zmarł w 2020 r. w Miechowie (woj. małopolskie). Uczeń malarza-poety Mieczysława Czychowskiego i Bronisława Buniego Tuska – jednego z najwybitniejszych polskich ceramików. Prozaik i poeta, który zostawił po sobie duży dorobek literacki. Przez własną samokrytykę oraz poglądy na chęć narzucania przez wydawców swojego zdania, materiały nie doczekały się swartego druku. Małym wyjątkiem stały się: zbiór opowiadań „Mój Gdańsk. Ruda i inne opowiadania” (Marpress, Gdańsk 2013) ukazujący dekadencją atmosferę artystycznej cyganerii Śródmieścia Gdańska epoki schyłkowego Gomułki i wczesnego Gierka, nieliczne publikacje, pod pseudonimami artystycznymi Sebastian J. Theus lub Plezantrop, w prasie literackiej czy w przestrzeni internetowej, między innymi, na prowadzonym przez siebie, forum literackim Plezantropia. Autor posiadający wiele talentów, nie był zadufany w sobie artystą, potrafił dzielić się wiedzą i wspierać młodych twórców. Człowiek pełen pasji, emocji, a doświadczony przez różne systemy, szczerze doceniał ponad wszystko.

Pozostawione materiały zmotywowały do podjęcia próby pokazania twórczości szerszemu gronu. Rok po śmierci Majewskiego, w 2021, wydany został zbiór wiersz „Nie pojedziemy na Capri, Miła” (Miniatura, Kraków 2021). Pracę nad redakcją książki poetyckiej przeprowadziła wówczas grupa przyjaciół. Nie zapomniano jednak, że Sławomir Majewski był przede wszystkim prozaikiem. Po ukazaniu się zbioru wierszy zrodziła się myśl, by pozostawiona proza również ukazała się w książkowej formie. Niezbędny okazał się czas i wytrwałość, dzięki którym czytelnik może dziś poznać język Majewskiego.

„Podręczny Zestaw Deja Vu”, taki tytuł nosi zbiór opowiadań Sławomira Majewskiego, ukazał się w 2024 roku w wydawnictwie Tomasza Kowalczyka. W książce zachowany został cały styl i sposób zapisu Majewskiego, który wielokrotnie może wzbudzać w czytelniku mieszane odczucia, mimo tego zaryzykowany taką formę. Jak w postwii pisze Karolina Grzędziel:

„Do rąk czytelników trafia książka niezwykła, odleżana na półce jak dobry ser lub wino, których pisarz był wielbiciele. Podobnie jak kobiet z niematem biustem oraz książek południowoamerykańskich i zachodnioeuropejskich autorów. Książka wyrastająca w tym samym stopniu z tradycji Marqueza, Cortazara, Carpentiera, Liosy, Joyce’a czy Prousta, Steinbecka lub Bułhakowa”.

SŁOWAMI MOŻNA WYRAŻAĆ WŁASNE SPOSTRZEŻENIA - CZYLI SŁÓW KILKA O NAJNOWSZYM ZBIORZE OPOWIADAŃ SŁAWOMIRA MAJEWSKIEGO.

A co do treści samych opowiadań. Wymagają zagłębienia się, jednocześnie pozwalając odbiorcy na totalny luz. Majewski wykorzystuje czytanie i obycie z literaturą oraz ogrom własnej wiedzy o świecie obrazując życie różnych państw i miast, nie rezygnując przy tym z barwnej egzystencji. Można również sugerować, że korzysta z własnego doświadczenia, co widoczne jest w nawiązaniu do sytuacji politycznych, których był świadkiem:

„Nad Stocznie wzniosły się kolorowe światła.

– Trzy rakiety, pamiętasz Stefan?

– No, trzy. Dwie czerwone i jedna zielona...

Bieg. Nie, nie bieg, oszalały ludzki cwał, między zaspami śniegu i stalowymi legarami na stoczniowych polach Warskiego.

– Pamiętam. Ech, kurwa mać!

Czołgi rozpięły bramy, a to zomowskie bytło wpadło z kałachami, a my, że Jeszcze Polska i Nie rzucim ziemi, no, a potem zaczęło się wybieranie według dowodów osobistych, konfrontowanych z esbecką listą. Pierwszego wyprowadzili Milczanowskiego, potem resztę prezydium, a potem... Tak, trzy rakiety..., a on wtedy tam, na brudnej podłodze stoczniowej drukarni spał z Darem Losu, opatuloną gąsienicami zmór”.

Czytelnik spotka się więc z przekazem, w którym Majewski umożliwia mu przemieszczanie się w czasie, wywołując jednocześnie wrażenie bycia w jednym miejscu poznając życie jednego głównego bohatera. Dodatkowo prozaik, będący dobrym obserwatorem codzienności, wykorzystał obserwacje jako tło opowiadań, a stosowany język (Majewski tworzył językowe „potamańce” i korzystał z zapożyczeń), tak w dialogach, jak i opisach, dodaje im pikanterii.

Opowiadania, choć stanowią oddzielne części, tworzą zwartą całość, a wachlarz umiejętności pisarskich Sławomira Majewskiego jest ogromny. Książka nie jest prostym

opisem różnych sytuacji będących literackim tworem, a jednocześnie Majewski nie komplikuje czytania. Warto zauważyć, że redakcja materiału nie wpłynęła na przekaz, jedynie zajęła się wprowadzeniem podstawowych zasad, szanując poglądy autora, bowiem on sam pozostawił po sobie materiał, który wstępnie układał w jeden duży zbiór. Zrobiono więc wszystko, by nie został zarzucony brak szacunku do słowa pisanego z jednej strony, z drugiej do twórczości Majewskiego. Może nawet sam myślał o wydaniu. Świadczyć o tym mogą, powstające do tekstów, grafiki. Znajdują się one w książce, a ich autorką jest Karolina Grzędziel, będąca jedną z nielicznych osób mających możliwość czytania tekstów. Wszystkie grafiki powstały bowiem za życia Majewskiego uzyskując jego osobistą akceptację. Pozwala to myśleć, że w głowie autora kiełkowała myśl wydania prozatorskiej twórczości, tylko zabrakło czasu, a być może chciał jedynie stworzyć całość dla siebie. Książkę dodatkowo wzbogacił obraz żony autora, Danuty Majewskiej, będący spełnieniem prośby, jaką Majewski przekazał malarce.

Trudno powiedzieć w jakich okolicznościach powstał tytuł „Podręczny Zestaw Deja Vu”, jednak sądząc po treści całej książki, dopasowanie go ma po części charakter drogowskazu, minimalnego naprowadzenia, z jednoczesnym zwróceniem uwagi na konieczność wyciągania wniosków.

Czas z „Podręcznym Zestawem Deja Vu” nie będzie czasem straconym. Pozwoli natomiast dotrzeć do koneserów literatury będącej alternatywą do tej, która czasami mocno powiela tematykę. Sławomir Majewski nie był bowiem szablonowym pisarzem.

SYLWIA KANICKA

1 Sławomir Majewski, Podręczny Zestaw Deja Vu (wyd. T. Kowalczyk, Lublin 2024)
2 Tamże, s. 272
3 Tamże, s. 231

Dariusz T. Lebioda

RZEŹNICKI NÓŻ

Tajwan to wyspa w zachodniej części Pacyfiku, na której schronienie znalazły wojska generalissimusa Czaj Kan Szeka, antagonisty Mao Zedonga. Po przegranej wojnie domowej z prosowieckimi komunistami armia i przywódcy polityczni schronili się na wyspie oddzielonej od Chin kontynentalnych tylko Cieśniną Tajwańską, która łączy Morze Wschodniochińskie z Południowochińskim. To wyjątkowa część świata, bo z wyspy blisko jest do Japonii, do wielkich miast Państwa Środka, takich jak Szanghaj, Hongkong, Shenzhen Kanton, a z kolei na południu, poprzez Basen Filipiński, Tajwan graniczy z dynamicznie rozwijającymi się Filipinami. Choć nowa państwowość wyspy zaczęła kształtować się dopiero po drugiej wojnie światowej, to od wieków żyli tam ludzie, którzy mieli swoją kulturę i język, barwne stroje i odrębne przyzwyczajenia. Choć dominacja języka chińskiego i wpływ kultury Chin były ogromne, to można traktować wyspę jako rodzaj soczewki skupiającej zachowania ludzkie, kulturowe osiągnięcia, ale i też liczne, jątrzące się przez stulecia patologie. Niewątpliwie przyczynił się do tego ekstremalny klimat oceaniczny i górzyste ukształtowanie terenu, sprzyjające tendencjom alienacyjnym mieszkańców, którzy często przez całe życie nie opuszczali małej wioski, nie podróżowali dalej jak do pobliskiego miasteczka, na targ rybny lub warzywny, albo do świątyni buddyjskiej. Wyspa prawie w całości leży w strefie klimatu zwrotnikowego wilgotnego i tylko północna część charakteryzuje się pogodą podzwrotnikową, a ciepło generuje też prąd morski Kuro Siwo. Temperatury wahają się od 15 stopni w skali Celsjusza w zimie, do 30 stopni latem. Wszędzie czuje się wilgoć, a ulewne deszcze i huragany w porze monsunowej, określane jako tajfuny, potrafią demolować całe miasta i mniejsze osady. Naturalną cechą żyjących tam ludzi była chęć schronienia się w ciepłym domostwie i odgrodzenia się od wrogiej natury, ale z racji wielopokoleniowości rodzin, często dochodziło tam też do spektakularnych konfliktów. Trudno tutaj mówić o jednolitości społeczeństwa, bo różniło się ono od siebie w zależności od miejsca zamieszkania – inni byli rybacy z małych wiosek i większych miast nad oceanem, odmienne grupy etniczne zamieszkiwały góry i ich wąwozy, a od rdzennych Chińczyków pochodzenia malajskiego (Gaoszanów) różnili się znacznie przybysze z kontynentalnych krain, a nawet Aborygeni, Japończycy i Filipińczycy. Symbolami wyobcowania i odmienności tajwańskiej mogą być niezwykle ptaki i większe zwierzęta endemiczne, takie jak kocica serau, mglista pantera i koty bengalskie.

Za wyjątkową ambasadorkę Tajwanu w literaturze światowej uznaje się Li Ang (Shih Shu-tuan, chiń. 施淑端), prozaiczkę urodzoną w 1952 roku w Lugangu. To absolwentka filozofii na stołecznym uniwersytecie w Tajpej, a potem teatrologii, którą studiowała w amerykańskim Eugene – siedzibie Uniwersytetu Oregońskiego. Po powrocie na wyspę wykładała literaturę chińską, założyła magazyn literacki i zaczęła publikować liczne utwory prozatorskie. Obecnie jest autorką ponad dwudziestu powieści i zbiorów opowiadań, które przetłóżono na wiele języków obcych, między innymi na angielski, francuski, niemiecki, japoński, koreański, włoski

i szwedzki, a wkład w literaturę światową doceniło też francuskie ministerstwo kultury, które przyznało jej Order Sztuki i Literatury, czyli Legię Honorową. Autorka ma ściśle sprecyzowaną wizję roli kobiet w świecie i to o nich przede wszystkim są jej utwory, oscylujące pomiędzy prozą tendencyjną, moralitetem, a studium psychologicznym. Choć określa się ją jako pisarkę feministyczną, to raczej określa się ona jako obserwátorka świata i ludzi, których spotyka na swojej drodze. Jej miasto rodzinne, w którym obok Tajpej najczęściej toczy się akcja utworów, to pulsujący życiem port, który od stuleci przyjmował statki z dalekich krain i z kontynentu azjatyckiego. Jego nazwa oznacza Port Jeleni, bo w czasach dominacji żeglarzy holenderskich, sprzedawano tam przede wszystkim skóry jeleni, wykorzystywane do przygotowywania trwałych i wygodnych ubiorów. Choć Li Ang opuściła drugie co do wielkości miasto portowe Tajwanu na zawsze, wyjeżdżając na studia i podróżując po świecie, to uznaje to miejsce za centrum swojej twórczości. To tam poznała ludzi wielu zawodów, tam słuchała ich dialogów i tam zaczęło się kształtować jej pisarskie rzemiosło. Charakteryzuje się ono niezwykle lekkością pióra, a choć sprawy opisywane są często tragiczne i bolesne, wciąż mamy wrażenie jakbyśmy słuchali magicznej opowieści, bliskiej wyspiarskim mitom i chińskim legendom. Traktowana obecnie jako wyjątkowa twórczyni tajwańska, musiała wykazać się silną wolą w czasach, gdy zaczęto ją uważać za kobietę rozpustną, koledzy chcieli ją usunąć z uniwersytetu, a państwo oficjalnie zakazało publikacji jej książek. Doszło nawet do tego, że jeden z czytelników wystąpił jej w paczce seksowną bieliznę, manifestując w ten sposób swoją dezaprobatę dla realistycznych opisów stosunków płciowych. Pisarka rozumie jak bardzo zmienić się świat i choć traci wiarę w to, że może go modyfikować przy pomocy powieści, nie przestaje tworzyć nowych fabuł, dialogów i opisów rzeczywistości jej malowniczej wyspy.

Najbardziej znanym w świecie dziełem Li Ang jest powieść pt. *Żona rzeźnika*, opublikowana po raz pierwszy w 1983 roku i od razu wywierająca wielki wpływ na całą literaturę chińską. To narracja o młodej żonie Ch'en Lin Shih, która w ataku szatu rzeźnickim nożem zabiła swojego starszego o dwadzieścia lat męża Ch'en Chiang-shua, a potem została skazana na karę śmierci przez rozstrzelanie. Przez stulecia na Dalekim Wschodzie aranżowano małżeństwa i w tym przypadku było tak samo – chciwy wuj pchnął ją w ramiona mężczyzny zabijającego w rzeźni świnie, który był krępy, męczyzną z wydatnym, tłustym brzuchem, a kiedy chodził, kiwał się na boki. *Włosy miał zgolone tuż przy skórze, przez co widać było, że tył głowy miał zupełnie płaski, jakby brakowało mu części czaszki. Twarz Ch'en'a niczym się nie wyróżniała, ale jego głęboko osadzone, małe czarne oczy zdawały się zniknąć między tłustymi powiekami.* Jak zwykle w takich przypadkach chodziło o zysk wuja i zapewnienie dziewczynie w miarę dostatniego życia. To były czasy, gdy powszechnie głodowano i każda kulka ryżu, każdy kawałek mięsa były na wagę złota. Dziewczyna zgodziła się wyjść za mężczyznę o złej stawie, który ponoć zamordował

tysiące zwierząt i ciążyła za to na nim klątwą świńskich dusz. Dodatkowo miał stawę rozpustnika, który był stałym gościem miejskiego burdelu i podczas seksu wymuszał na kobietach dzięki wrzaski. Z tego też powodu na początku małżeństwa wydało mu się udane, bo młodziutka żona, cierpiąc z bólu podczas zbliżeń, także wydawała z siebie głośne okrzyki. Jej mąż należał do prostych robotników, których dni nie różniły się od siebie – od rana wielkim nożem szlachował świnie, wypuszczał z nich krew, zdejmował skóry, rozcinał brzuchy, wydobywał wnętrzności i kawałkował przygotowane do sprzedaży półtusze. Jego prymitywizm kontrastował z głębią myśli i odczuć żony, która już w dzieciństwie przeżyła straszną traumę, związaną z matką, uznaną za rozpustnicę i uciekinierkę z rodzinnego stadła z przygodnym żołnierzem. Ta sytuacja pojawiała się ciągle w snach Lin Shih, a także w myślach, gdy zajmowała się domem, spotykała z sąsiadkami lub siadała na niewielkim taborecie przed chatą i kontemlowała przechodzących ludzi, przejeżdżające wozy lub zmieniającą się pogodę. Małżeństwo z rzeźnikiem szybko przekształciło się w koszmara, a mąż okazał się strasliwym sadystą, który po powrocie do domu wymuszał seks i oczekiwał, że żona zaspokoi jego chore żądze. Starał się sprawiać jej ból i dopiero dramatyczne krzyki powodowały, że dochodziło do orgazmu, zsuwał się z niej jak kłoda i prawie natychmiast zasypiał.

Li Ang podejmuje w *Żonie rzeźnika* temat okrucieństwa i sadyzmu w związkach małżeńskich par w chińskim społeczeństwie, czy to na kontynencie, czy na pobliskich wyspach. Wszędzie dominującą rolę odgrywały tam teściowie lub inni członkowie rodu, dla których nowa osoba w rodzinie stawała się domowym najemnikiem i popychadłem, które trzeba wykorzystywać jak zwierzę w zagrodzie. Tutaj sytuacja jest jeszcze gorsza, bo rzeźnik żyje samotnie, nieco na uboczu miasta i o jego wynaturzeniach wie niewiele osób. Lin Shih poznała sąsiadkę Ah-Wang i chodziła z nią do pobliskiej studni prac brudne rzeczy i wysłuchiwać ostatnich plotek z okolicy. Myślała, że kobieta jest jej przychylna, ale ona taknęła tylko sensacji i wiele razy zakradała się pod jej dom, by podsłuchiwać wrzaski rzeźnika i jego gwałczonej codziennie żony, a potem opowiadać o tym innym kobietom. Narracja tajwańskiej autorki jest wyjątkowa, bo przy całym tragizmie opisywanych sytuacji, snuje się ona jak w najpiękniejszych powieściach Balzaka, Flauberta, Jane Austen i Emily Brontë, kupia się na szczegóły i zakreśla wielkie panoramyczne koła. W takim kontekście szczególnie wyraziste jest subtelne wnętrze dziewczyny, która chciałaby zaznać prawdziwej miłości, a musi egzystować w związku z ludzkim potworem. Wcześniej odreagowywał on codzienne zabijanie świń na prostytutkach, ale odkąd ożenił się z młodą kobietą, uznał ją za swoją własność, niczym tkwiący za jego pasem rzeźnicki nóż i nie miał zamiaru okazywać jej żadnych uczuć. Z czasem pojawiło się także brutalne bicie i grożenie śmiercią, a gdy Lin Shih zaczęła mu się przeciwstawiać, maltretowanie fizyczne, generujące rany, opuchlizny i ogromne krwawe podbiegnięcia. Li Ang nie stroni od wulgaryzmów, które służą jej do urealniania życia dwojga nie pasujących do siebie ludzi i czasem ich

językowe nawarstwianie może szokować. Wszakże literatura chińska, szczególnie ta najnowsza, zawsze pełna była tego rodzaju „smaczków”. Nie znajdziemy tu jednak szczegółowych i instrukcyjnych opisów stosunków płciowych, zawsze przecież takich samych, bliższych brutalnym gwałtom w środowiskach patologicznych, niż małżeńskim zbliżeniom kochających się osób. Z czasem agresja prymitywnego robotnika zaczyna narastać i postanowi on zemścić się na żonie izolując ją od jedzenia, które uważał za jej niezасłużony dar. Spotęguje tym apatię dziewczyny, a u końca ich wspólnej drogi dojdzie jeszcze automatyzm jej ruchów, poczyni i utrata świadomości. Morderstwo, którego dokona będzie zemstą na żołnierzu, który skrzywdził jej matkę, i na okrutnym mężu, który wyda się jej świnia szlachtowaną w dziwnym śnie: W mgnieniu oka twarz zastąpiła kwicząca i wyrwyjająca się świnia – z jej gardła wystawał pod kątem nóż, brunatna krew tryskała z rany strumieniami, a ciałem zwierzęcia wstrząsały konwulsje. Czemu było tak dużo krwi? Kiedy przestanie się łać? Lin Shih bardzo to dziwiło, więc odchyliła głowę świnia na bok, bo przypomniała sobie, że widziała, jak robiła tak w rzeźni, ale krew nie zaczęła ściekać w jedną stronę. Ciepła, stona, kleista i gęsta posoka tryskała dalej wysoko, obryzgując twarz Lin Shih i wszystko dookoła. Tak sen zmienia się w realny koszmar, tak potwornie skrzywdzona istota dokonuje rytualnego

mordu na swoim prześladowcy, a potem dodatkowo kawatkuje jego ciało.

W przedmowie do amerykańskiego wydania swojego najśłynniejszego dzieła autorka pisze: Muszę przyznać, że zabierając się do pisania *Żony rzeźnika* miałam w głowie rozmaite feministyczne ideały – chciałam pokazać tragiczny los całkowicie uzależnionych bytowo tajwańskich kobiet, żyjących w świecie zasad tradycyjnego społeczeństwa chińskiego. Jednak w miarę pisania zdałam sobie sprawę, że bardziej interesują mnie szersze aspekty ludzkiego życia, głód, śmierć, seks. Chcę przez to powiedzieć, że to, co nazywa się literaturą feministyczną, w gruncie rzeczy dotyczy po prostu natury ludzkiej. Tego rodzaju obrona własnego pisarstwa nie budzi zdziwienia, bo często krytyka literacka szuka wygodnej szufladki dla pisarza i z upodobaniem powtarza ten zabieg przy kolejnych opublikowanych utworach. A przecież pisarstwo Li Ang skrzy się licznymi barwami i odcieniami, podąża ku nowym ujęciom i nieustannie sonduje obszar ludzkich zachowań, nawyków i nieoczekiwanych posunięć. W jednym z wywiadów autorka przyznaje, że Lin Shih miała na Tajwanie swój realny wzorzec i udało się tę kobietę ocalić, w czym pisarka brała też udział. Niestety za mężobójczynią z miasteczka nad Oceanem Spokojnym nie miał kto się ująć, a jej sąsiadka nieustannie szukająca sensacji, rozpowszechniała pośród ludzi

komentarz, który mógł dodatkowo szkodzić dziewczynie: Jak się nie przestrzega boskich praw, to zawsze człowieka spotka kara... Mówię wam, Lin Shih nie potrafiła docenić tego, co miała. Wyszła za Ch'ena Świńskiego Rzeźnika, nie miała nad sobą teściów, którzy by jej rozkazywali, nie miała szwagra ani szwagierki, nie musiała chodzić do morza ani w pole. Mogła się całymi dniami objać, a i tak jadła, co tylko chciała. Żeby się dorobić takiego życia, trzeba wielu pokoleń... Kto mógł się spodziewać, że ona tego nie doceni i skończy tak, jak skończyła... Łatwo możemy się domyślić jaki efekt dało zeznanie niezrównoważonej sąsiadki, gdy przeprowadzano dochodzenie, a potem podczas szybkiego procesu i wydania wyroku. Lin Shih, wrzucona na budę wielkiej ciężarówki i przy dźwiękach gongu odwożona do więzienia, obwieszającego tłumom dokonującą się „sprawiedliwość” jest symbolem tysięcy, milionów kobiet cierpiących od wieków na Dalekim Wschodzie, zamęczanych przez takie teściowe jak Ah-wang i innych członków rodzin, rzadko decydujących się na krok ostateczny i umierających („zdychających”) jak zaszczute zwierzę.

DARIUSZ T. LEBIODA

Li Ang, *Żona rzeźnika*, przeł. Maria Jarosz, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2023, s. 165.

Dariusz T. Lebioda

OBSESJA I UWIĘZIENIE

Krótką powieść Can Xue pt. *Tajemniczy pociąg* odrealnioną aurą przypomina prozę Franza Kafki, chociaż konstrukcja przestrzeni i rozszerzenia zakresów znaczeniowych lokują ją też blisko utworów Jorge Luisa Borges i Samuela Becketta. Sama autorka ukierunkowała potencjalne próby odczytania tego skomplikowanego tekstu, mówiąc przekornie: *To nic nadzwyczajnego przegonić Kafkę. Moje dzieła w końcu powstawały na barkach tego mistrza literatury eksperymentalnej*¹. Powodem dla którego chińscy pisarze lubią zastanawiać się nad takimi kwestiami, jest głęboki kompleks niższości. Ja go nie mam, w pełni ufam swojej wyobraźni. Czytelnik tych słów może poczuć pewien dyskomfort interpretacyjny, bo jest nim sporo autorskiego zrozumiałstwa i pychy. Pisarka jednak może sobie na nie pozwolić, bo od samego początku literackiej kariery określana była jako zdumiewająca skandalistka. Z drugiej strony, wszelkie uogólnienia w obrębie przebogatej chińskiej literatury XX i XXI wieku obciążone są marginesem błędu i mogą zostać zaakceptowane lub podważone. Wszakże w najważniejszych powieściach Lu Xuna, Mo Yana i Liankego mamy także do czynienia ze surrealistycznymi deformacjami rzeczywistości, narratorów i treści naddanych. Nie ulega wszakże wątpliwości, że omawiana tu proza Can Xue jest kolejnym daleko idącym eksperymentem artystycznym, często szokującym i zdumiewającym w warstwie znaczeniowej. Dokumentuje też jedną z dziwnych obsesji, obserwowanych w świecie ludzkim; chorobliwego, a nawet autystycznego zauroczenia pociągami i wszystkim, co się z nimi wiąże: lokomotywami, wagonami, stalowymi kotłami, stacjami, a nawet rozkładami jazdy i emblematyką

kolejową. Jeden z polskich opisywaczy literatury dostrzeże w tym nawet literackie przestrzenie wyprodukowane przez kolej² i poświęci cały recenzowany tom rozkładom jazdy, naciągając interpretacje do własnych „tez”.

Mikropowieść chińskiej autorki rozgrywa się w dwóch dziwnych przestrzeniach – w pociągu zmierzającym donikąd oraz na odrealnionym pustkowiu, za jakąś nieokreśloną stacją. Póki pojazd na szynach podąża powoli do przodu, mają w nim miejsce surrealistyczne sytuacje i pojawiają się kafkowskie postaci, odnajdujące się w niejasnych i groźnych interakcjach: ospowaty i bezkarny konduktor, przeraźliwie gruba kobieta ze zdeformowaną twarzą (Gęś), stary sprzątac z fermi drobiu (Dan), ordynarny pracownik ochrony kolei, piękna Yishu, zajmująca się ręcznym szyciem, a nade wszystko główny bohater tej narracji – niedookreślony bliżej Blizna, podstępem zwabiony do pociągu przez Dyrektora drobiowej fermi i zarządcę pociągowego więzienia. Niewiele o nim wiemy, a jedyne sensowne dookreślenia pojawiają się w wypowiedzi oschłego ojca Gęsi: *Ten tajemniczy pociąg dniami i nocami nieprzerwanie przemierza nasze rozległe ziemie, jadą w nim ludzie, którzy wsiedli do niego przypadkiem, ale gdy już się w nim znajdują, nie chcą go opuścić. A dlaczego nie chcą? Ponieważ jest magiczny, gdy do niego wejdziesz, zapominasz o wszystkim i przejmujesz się jedynie tym, co tu i teraz. To właśnie jest tajemniczy pociąg*³. Tak właśnie tajemnica i magia przestrzeni zamkniętej w metalowych szkieletach wagonów, stoją się wyznacznikami daleko idącego eksperymentu myślowego i artystycznego.

Rzeczywistość ograniczona do przedziałów, korytarzy, niewielkiego magazynu i sali jadalnej, zostanie rozszerzona, gdy pojazd stanie i wszyscy pasażerowie, wyjdą na peron, a potem znajdą się na onirycznym pustkowiu za stacją, rozszerzanym o przestrzeń leśną i wertepy, z których wyłania się raz po raz wataha wściekłych wilków. Jak podczas wojennych ewakuacji, każdy znajdzie sobie miejsce w dużym namiocie i zatopi się we własnych neurotycznych działaniach. Drapieżniki będą czyhać na ludzi i szarpać zębami nieostryżnych, wychodzących z namiotów, ale rany tajemnie będą się goić. Każda postać ma tutaj swoje dziwności – konduktor gwałcący kobiety, zakochana Gęś zaspokajająca Bliznę i obżerająca się nieustannie kurzym mięsem, agresywny sprzątac Dan, unikający obowiązku alimentacyjnego ojciec Gęsi, urodziwa Yishu, między kopulacjami z konduktorem, zajmująca się szyciem jakichś ubiorów lub materii. Absurdalne przestrzenie wykreowane przez Can Xue – jak zwykle u niej – pełne są brudu, rzygowin, ekskrementów i śmieci⁴. Bohaterowie czują smród kurzych fekalii i czasem wdeptują w nie lub nawet tarzają się w nich. Dewiacja nakłada się tutaj na dewiację, a sam pociąg – żółty, trochę podniszczony⁵ – raz po raz wypływa z mgły i ginie pośród nicości. To świat, w którym czas się zatrzymał i znaczenia straciły swoje prymarne treści, a wszystko jest możliwe i nic nie jest pewne.

DARIUSZ T. LEBIODA

Can Xue, *Tajemniczy pociąg*, przeł. Katarzyna Sarek, Warszawa 2025, s. 120.

4 Tamże, s. 102.

5 Tamże, s. 99.

1 Nota na skrzydełku okładki powieści Can Xue, *Tajemniczy pociąg*, przeł. K. Sarek, PIW, Warszawa 2025.

2 Por. W. Tomasik, *Rozkład jazdy*, IBL, Warszawa 2018, 11.

3 *Tajemniczy pociąg*, s. 97.

Andrzej Walter

POEZJA TO DZIWNA CHOROBA

Stefana Jurkowskiego przedstawiać nie trzeba. To bezdyskusyjnie jeden z najlepszych obecnie polskich poetów i do tego trzymający stały, niezwykle wysoki poziom prezentowanej twórczości, a Jego wiersze zawsze pozostawiają w nas ślad.

Ponieważ i ja zawsze czekam na poezję Jurkowskiego pozwolę sobie na skreślenie kilku refleksji na temat Jego najnowszego tomu „Bezpowrotność”. Pierwszy wiersz od razu wrzucił mnie w wir przemysłów.

Dziwna choroba

ona mówi że jestem poetą
a ja nie mogę unieść
mroku siadającego na powiekach
nawet powietrze za dużo waży

słowa są za wielkie lub za małe
niczym buty w obuwniczym sklepie
z dziurawego serca kapie
ciecz pełna skryształowanego cukru

wszystko trochę obce
choć widzę dom otwarty
świecą lampy
rozświetlone przedsionki
migocą na wietrze

zaczynam wierzyć

- choć zaszczepiony
nie mogę się uodpornić –

Wszystko faktycznie, jest coraz bardziej obce. To już absolutnie nie jest nasz świat, a ktoś nazwał nas ... poetami. Sztuczna inteligencja być może zwieńczy dzieło, choć wierzę w jej brak duszy. Jeszcze wierzę. To już nie jest nasz świat, nasza bajka, to już nie jest nasze powietrze, nasz horyzont. Na tym nowym horyzoncie być może wojna, być może okrucieństwo, na pewno barbarzyństwo, którego forpoczcie otrzymaliśmy już jakiś czas temu i tkwimy w świecie coraz mniej poetyckim, jeśli kiedykolwiek taki był, a może ... bywał.

Zaczynam wierzyć, że na przekór temu wszystkiemu tylko poezja ocala myślenie i człowieczeństwo. Zatem to coraz potężniej przerażającym jest jak wykruszają się ci prawdziwi poeci i jak słowa przemijają, jak idee wietrzeją, jak *filo-sofia* przeradza się w *filo-logię* i detonuje mądrość na oczach powierzchownie oceniających językowych tumańców, którzy przynoszą nam: atropię, alienację i samotność. To samotność jakby w sieci. W sieci: technologii, uzależnień, powiązań i zrad. Zrad nawet samych siebie.

I nie możemy się na to uodpornić. Poezja to ... dziwna choroba.

Współczucie

siedzę w domu
czytam książkę której stronicie
coraz gwałtowniej płoną ale nie parzą
za oknem pali się mój samochód

nie mnie to nie obchodzi
nie biegnę go ratować

siadam w fotelu
z okna obserwuję ciche niebo
trochę przydymione a może tylko zamglone

nie odczuwam bólu ani lęku
jaki mógłby odczuwać chłopiec

wystrugany z drewna
jestem zrobiony z wilgotnego mięsa
więc się nie zajmę
żadnym ogniem ani wiekopomną czynnością

mój fotel staje się ciepły
staje się gorący
rozcładam się
- w słońcu rozgrzewają się złote
kopuły kijowa w którym nie byłem nigdy
ja jestem - -

Być może jesteśmy w piekle. To ziemskie piekło, symboliczne, higieniczne, uładzone, choć równie paskudne. A my? Gdzie jesteśmy? Najpierw uświadamiamy sobie (niektórzy), iż jesteśmy zrobieni z wilgotnego mięsa, och, jakie to nieformalne, niepoprawne, jak nas uraża, obraża, upokarza (?)... Tyle, że to prawda. Genialna i odkrywcza. Tak właśnie jest:

Jesteśmy zrobieni z wilgotnego mięsa.

Można nas formować, rozbić, ubić, obtrząsać, zmieścić, kupić za 30 srebrników, albo sprzedać za grosze bądź miliony, jesteśmy plastyczni, elastyczni, a z czasem stajemy mięsem śmierdzącym i wtedy można nami coś nakarmić, albo spalić na stosie rewolucji, której już nigdy nie będzie. Rewolucje się skończyły, wilgotne mięsa nie czynią rewolucji. Tylko ten smród unosi się już dziś wszędzie, w urzędach i kościołach, na salonach i w szopach. Dość powiedzieć, że w naszych duszach, jeśli takie jeszcze gdzieś są.

Stefan Jurkowski – czy to poeta postapokaliptyczny? **Nic mnie to nie obchodzi, nie biegnę go ratować.** Czy poeta zrezygnowany, ale wolny, coraz silniej wolny i jak elektron w wielu miejscach być może równocześnie?

To też najlepszy jaki czytałem wiersz o tej wojnie. Nigdy nie byłem w Kijowie, a jestem...

Jestem z wilgotnego mięsa. Jak i cały ten świat. Świat sztuczności, ersatzu i hipokryzji, świat balansu na pograniczu rozsądku: zdrowego i niezdrowego, wreszcie świat złudzeń, samotności, propagandy i cyrku szaleństw. Mięsożernych i ludzkożernych.

Współczucie, empatia, miłosierdzie jest dla mięczaków, być może poetów, być może szaleńców, to być może – jak lekka przesada Zagajewskiego, albo ocena pracy syna przez ojca – poetę (!?) ależ to lekka przesada.

Współczucie to bardzo ważny wiersz. Wiersz programowy. Lapidarnie ujął poeta całe nasze położenie (artysty – twórcy) wobec tego świata, co więcej, ujął cały ten świat i jego przejawy, aż wreszcie wskazał jakby drogę do wolności: nic mnie już to nie obchodzi. Macie tak? Jeśli nie, życzę z całego serca. Tylko tak chyba można przetrwać wśród troglodytów i marionetek.

Tyle, że „obleżony przez dzisiaj / jutro nadciągą z posiłkami”. To jest bowiem wojna, nie ta w Kijowie, nie ta w sieci, nie ta cyber, hiper i mega, to wojna myśli z barbarią, wojna empatii z pokłosem, wojna prozy z poezją, wreszcie wojna czułości z drapieżnością, aż po wojnę słowa z obrazem, nadziei z wiarą, a może i piekła z niebem.

U Stefana Jurkowskiego ważny jest każdy wiersz, każde słowo, każda sytuacja. Powieźlibyśmy, każdy moment. Mamy zatem wiersz pamięci Włodka Sztokmana, którego już z nami nie ma...

o czym rozmawialiśmy siedząc na
ciężkowickim rynku tamtego października
kiedy poezja była ważniejsza
od wirusów i wojny
a słońce jaskrawe i czyste

O niczym nie rozmawialiśmy. Ja robiłem zdjęcia. Wy siedzieliście chłonąc ten czas, te chwile, to słońce, rozmawialiście z czyścicielką i z poezją, ale już minął ten czas, nie ma już Galicyjskiej Jesieni Poezji, minął czas, kiedy sam pamiętam jedno ze spotkań literackich w szkole kiedy na jednej lekcji w jednej klasie o tej samej poezji opowiadali: Polak, Rosjanin i Ukrainiec. Jedna to była opowieść, jeden śmiech i jedna radość i jeden język. Język poezji i braterstwa. Co z tego dziś zostało?

Bywa jednak też u Stefana Jurkowskiego nadzieja, światło i ekstrakt piękna jak w wierszu **Jedno spojrzenie**

pies
spojrzał mi głęboko w oczy jakby chciał
zacerpnąć stamtąd odrobinę
człowieka –

spojrzałem mu w oczy
i zacerpnałem kilka wiader
światła
wrzającego niczym spawalnicza iskra

Autor chyba nie będzie miał mi za złe jeśli podzielę się z czytelnikami Iskraq – tak miał na imię kiedyś pies poety – Iskraq. Wspominał imię. Oczy psa, radość psa, miłość psa, to odpromiennik na wszelkie wojny, barbarzyństwo i końce historii. Kiedy już mam dość, tych wiadomości, setek ton fałszu w informacji, jazgotu i zgietku, oczy psa koją zmysły i przypominają mi się świetne i prawdziwe hasło jednego ze schronisk dla zwierząt: ja jestem dla ciebie tylko psem, ty jesteś dla mnie ... całym światem. Jak oddajemy psom za tę miłość bezgraniczną? Jak się odwzajemniamy, za to bycie ... całym światem? Przywiązując do drzew? Opuszczając? Wyrzucając z aut, porzucając, oddając do schronisk? Dlaczego jesteśmy aż tak okrutni? Skąd to przychodzi?

Natura wiersza

najlepszym wierszem jest
milczenie –

bezkresna niepowtarzalność

tak istniejemy pełniej
stajemy się
czarną tajemnicą –

wszechświatem burzą pogodą

obracamy się w galaktycznym tłumie

: w niepoliczalnych odległościach
od samych siebie

- ratunkowe koła
wiersza –

Naturą Wszechświata i galaktyk są wielkie liczby. Poeci nie są dobrzy w wielkich liczbach, a nawet z małymi mają niejaki problem. Ratunkowe koła poezji? Chyba dla wszystkich, zwłaszcza dla niepoliczalnie samotnych w galaktycznym widzialnym tłumie. Tłum jest dziś kolejną naturą wszechrzeczy: tłum, chaos, wieża Babel, dysharmonia rzeczywistości, złudzenia i kurz po tych wszystkich bitwach codzienności. I wieczory: koła ratunkowe – wiersze, wino, psy, cisza, spokój, ukojenie. Tak się toczy przemijanie. Z poezją, piękniejsze.

„Bezpowrotność” Stefana Jurkowskiego to kolejny świetny tom tego niezwykłego poety. Tom egzystencjalny, filozoficzny, dotykający istoty naszego człowieczeństwa oraz (a jakże by inaczej) dotykający esencji współczesnej poezji polskiej. To tom pełen lapidarium trwania wobec ogromnych sił zewnętrznych, których nigdy nie ujarzmimy, choć szcycimy się pozornymi ujarzmieniami psychologii i psychiatrii. Nie potrafimy ujarzmić samych siebie, usiłujemy ujarzmić Wszechświat i naukowo głosimy światu bezdyskusyjne prawdy – stąd oto okrucieństwo, przemoc, brak empatii. Z tej niczym nie uzasadnionej dumy i arogancji wobec natury i odwieczności. Taka bezpowrotność. Utraconego czasu, utraconych chwil, utraconej miłości, utraconej istoty rzeczy.

W oczach psa są wszystkie odpowiedzi.



Na spotkaniu autorskim

siedzi słucha rzuca pytanie

proszę pana
skąd bierze się
wiersz

Nie wiem, proszę pani i proszę pana, skąd bierze się wiersz, a czasami nawet czy to wiersz. (z ciszy? z milczenia? z braku słów? z otwartego zdziwienia? z głośnego wymilczania? z płonącej pustki? ... z niczego?)

Jak dla mnie wiersz bierze się znikąd i zewsząd. Znikąd to Opatrzność, Bóg albo Logos, zewsząd to wszystko, co przeżyłem, a wiersz to słowa, a słowa to skrytykowane myśli, a myśli to emocje, uczucia ... prawda (?) i być może stąd, proszę pana, wiersze się też biorą. A może i je bociąno przynoszą, jak dzieci. Czy to ważne? Czy to takie ważne?

A może wiersze się biorą też z oczu psa i kota i z oczu najukochańszej Osoby na

świecie? I to wszystko kumuluje się w wierszu, choć wiersz wcale nie o tym...

Stefan Jurkowski i Jego „Bezpownrotność” to najlepsza przygoda jaką można mieć z Poezją. Można czytać i myśleć, jeśli ktoś potrafi myśleć. Można czytać po wielokroć i rozmyślać, jeśli ktoś lubi rozmyślać. Można rozbiierać wiersze powoli, jeśli ktoś lubi rozbiierać wiersze, zamiast kobiet. Wybaczcie tę frywolność. Dziś kobiety rozbiierają mężczyzn. Co to się porobiło?!

Zakończmy zatem te rozważania o poezji Stefana Jurkowskiego wierszem – jego słowa będą najwłaściwszą pointą tego tekstu i zadanych w nim pytań.

Krótki traktat o narodzinach

za mną wieczność
przede mną wieczność

pośrodku ja

chwila
wszechświata

ANDRZEJ WALTER

Andrzej Walter

WSPÓŁCZESNY TRUBADUR

Bronek z Obidzy czyli poeta Bronisław Kozieński jest fenomenem na skalę światową. Pisze wierszem jakby klasyczne, ze swoją zwrotką, muzykalnością, rytmem i rymem, ale pisze o sprawach jak najżywiej nam obecnych i zwyczajnie współczesnych, pisze o nich: wartko, impulsywnie, emocjonalnie, ale i dyskretnie, subtelnie i delikatnie. Momenty wzruszenia u tego twórcy splatają się z momentami buntu i niezgody na świat krzywd i uzurpacji, z całą jego sztucznością i hipokryzją. Bronisław dotyka wrażliwych strun metaforą nie tylko słowną, nowatorską i zaczepną, ale i metaforą sytuacyjną, opisową, wynikającą z konstrukcji fabuły wiersza czy rozstruwanej w wierszu opowieści. Przypomina właśnie poetów i muzyków sprzed niemal tysiąca lat nazywanych powszechnie trubadurami, inaczej też poetami prowansalskimi, u których ważny był właśnie swojego rodzaju regionalizm oraz treści idealistyczne, oczywiście wówczas rozsnute wokół idealnej miłości, ale krąg i zakres treściowych poszukiwań generalnie współczesnej istocie znaczące się rozszerzył to też i Bronek (z Obidzy) „Gadając z halnym” przekracza Rubikon wielu narracji. Mówiąc jednak syntetycznie Bronisław Kozieński w swoim najnowszym krakowskim tomie z roku 2025 zatytułowanym „Gadałem z Halnym” opowiada nam o tym świecie bardzo wiele, opowiada o sobie i o nas w tymże świecie zanurzonych, poezjuje genialnie, miękko szorstkim językiem, opowiada nam też o tych wszystkich rozterkach i dylematach, z którymi będziemy chcąc nie chcąc musieli się uporać w XXI wieku. Tak oto tom zawierający ponad sto dwadzieścia utworów można czytać długo i wnikliwie, ba, z należną satysfakcją pytań i rozważań, to tom wysoce nowatorski i dalece intelektualny w swej wymowie, tom jakby pełny, przede wszystkim pełny poezji, a chyba to w tym wszystkim najważniejsze.

Korzenie

I nie masz większej tęsknoty,
jak ta za tym, co było.
Śnią ci się lekkie powroty.
Ciężkie wyprawy po miłość.

Bo nie ma skarbów na ziemi
większych niż własne istnienie,
wciąż trzymający się cienia,
wzmacniasz w nim drżące korzenie.

Dlaczego, gdy o tym mówię,
to łezki w oczach się kręcą,
bo nigdy mnie nie zrozumiesz.
Sztuczna inteligencjo.

Mógłbym zawilej lub prościej,
lecz to niczego nie zmienia.
Pomimo sztucznej mądrości,
Ty nie posiadasz korzeni.

Odejdę jak starzy bogowie,
gdyż muszę ustąpić miejsca,
innym z wiatrakami na głowie.
Baterią na miejscu serca.

Nieprawdaż, że ten wiersz to miesza-

nina geniuszu z naiwnością, splątanie duszy dziecka z mentalnością mędrca i słów wieszczka ze słowami ... trubadura? Takie bowiem wyzwania stoją dziś przed trubadurami. Miłość się skomercjalizowała i trubadurzy mają powinność jakoś ją ocalić, ale muszą ocalać miarowo, z dystansem i wiarą w ocalenie, z miarą i istotą rozumiejącą na wskroś współczesność i cały ten bagaż alienacji wraz z przemijaniem postaci ... tego świata. Doskonale to „łapie” Bronek z Obidzy, praktycznie na każdym kroku, słowem w każdym niemal wierszu.

Mędrzec

Za kilka dni znowu na zachód wyruszę,
choć nie wiem wciąż po co,
najlepiej na swoim.
A może dlatego, że wcale nie muszę
i przez to, że (swoje) z czasem cię zniewoli.

Pamiętam, jak kiedyś powiedział mi starzec.
Pustelnik, co nigdy z niej dalej nie wyszedł:
Najbardziej mi szkoda i tobie to zdradzę,
że nie ja do ciebie, lecz tyś do mnie przyszedł.

Tak właśnie poeta zadaje pytanie samemu sobie, ale i nam: co nas pcha do goniłwy, do wyścigu, do wyruszania na zachód, do wspinaczki? Do współzawodnictwa, do przepychania się, zarabiania (ponad miarę), do materialnej niewoli oraz społecznych ról, które spełniamy nadgorliwie niczym zaprogramowane maszyny. Co nas popycha do przepychu i nakładania masek, co nas determinuje do nadmiaru, do nieumiarkowania, do pychy i pogardy w końcu, do cnót wydaje się odwrotnych od cnót odwiecznych. Jednym słowem Trubadur podkarpacki w najlepszym wydaniu. Poeta z krwi i kości i z rozumu scalonego do przestrzeni zwyczajnej wątpliwości czy to wszystko ma dalej sens. Tak właśnie poeta powinien spełniać swoją rolę. Powinien pytać i zastanawiać się z nami i dla nas, a kiedy my tracimy czas na cokolwiek, to i za nas pytać powinien o nasze i wasze sumienia. Począwszy od swojego sumienia co Bronek czyni, a czyni to wybornie. Po- czytajcie sami.

Z lasu

Kiedy zacząłem pisać? Kiedy pić przestałem,
lecz nie dziw się, gdy pytasz,
że tak ci odpowiadam.
Pamiętam takie czasy, wcale mi się nie śniły.
Widziałem martwe lasy
i mechaniczne piły.

Podobnie upadałem, jak drzewa z tego lasu
w głos piły zasłuchany, więc
piłem, aby zasnąć.
A kiedy pić przestałem? Kiedy nadeszła cisza.
Spać mi się już nie chciało
i las się we mnie wpisał.

Jak pięknie to zostało napisane. Przecież to jest o Bronku i o każdym z nas, o każdym z nas, plastikowych buntowników, których

zakaziła poezja i nadzieja. My pełni wzlotów i upadków, zapewne częściej upadków, pełni goryczy i żalu, i pełni zachwyty i piękna, piękna, którym można dziś kupczyć, które można dziś sprzeniewierzyć dla komercji, które wreszcie można sprzedawać na szali doraźnych korzyści i wyrzeczenia się ideałów. Które można dziś przenieść z dziwością sztuki współczesnej z hasłem „bo przecież wszystko już było”, i my byliśmy, kochaliśmy, szlochaliśmy ... przemineliśmy. Bezwrotnie i bezpotomnie. Nasze wiersze sploną jak rękopisy, które już płoną, jak i płonie całe piekło, które na tę Ziemię przywlekliśmy podpisując cyrografy zdefraudowania własnej hierarchii wartości. Wartością czyniąc władzę i pieniądze.

Nie tylko ryba

Tyle wszystkiego masz na głowie
od poniedziałku do niedzieli
gdzieś przeszła burza tam odszedł człowiek
szlag wszystko trafił diabli wzięli

I jak nie przekląć przy tym wszystkim
choćaż to grzech i twoja wada
gdy tyle wokół nienawiści
wyzysk służalczość podstęp zdrada

piątek sobota czy niedziela
coś w tobie ciągle się buntuje
wieczna życiowa karuzela
więc i od głowy człek się psuje

O tak, nie tylko ryba psuje się od głowy. Człek też. I jak nie przekląć przy tym wszystkim...

Wielu wciąż pyta udając Greka – przy czym wszystkim? Jest prawo, demokracja, umowa społeczna zwana „państwem” i tak dalej i tym podobne pożyteczne idiotstwo ma się znakomicie. Negacjoniści obserwacji konfrontowanych z propagandą sami są wyznawcami tej czy innej idei, sami są wierzącymi fanatykami w nieistnienie Siły Wyższej zwanej Bogiem, bo po cóż wierzyć w coś czego się nie dotknęło. A samo pojęcie „wiera” ...? Oglądałem ostatnio spektakl Traviaty w Narodowym Divadle w Ostrawie Czeskiej, podczas spektaklu tłumaczono treść – napisy wyświetlały się po czesku i po angielsku. Słowa „Bóg mnie ocalił i moją wiarę” przetłumaczono na angielski następująco: „Religia jest wielka”. Czyż trudno o większy cynizm i manipulację? Albo o większy kretynizm? Poprawność polityczna każe nawet wcisnąć w błoto nowomowy język, co uważam za zbrodnię doskonałą. Wraz z językiem zmienia się świadomość. Wiara zniknie. Czy aby na pewno?

Czytajcie i słuchajcie Bronka z Obidzy. Ma właściwości myśląco kojące. Stawia pytania tam gdzie trzeba, do tego właściwe pytania, już one same dodają otuchy, że takie właśnie, a nie inne je stawia. Snuje opowieści. Ważne i dosadne. Mięsiste. Pełne. Na kilku wersach buduje całą konstrukcję dyskusji i debaty, te które powinno się dziś toczyć, te które powinny nas dziś zająć, taka jest ta poezja niby naiwna swoją rytmiką i muzycznością, oldskulowym rymem, a taka bogata i pełna w treści i dylematy. Przy tym będąca najczystsza i najprawdziwszą poezją wynikającą

z duszy trubadura z Obidzy, współczesnego barda słowa, które głosi tu i tam stanowczo i konsekwentnie, kiedy już przestał upadać i pić, tak jak i my.

Tylko, że my wciąż się lękamy. Wyptynać na głębiej. Dotknąć gwiazd, opuścić swoje plemię. My wciąż trzymamy się utartych schematów, wyznajemy prawdy nie rozumiejąc ich, wzniecamy tumult i kurz, aby uciec kiedy nadarzy się okazja do dezercji. Nie takniemy poezji, potrzebując jej dziś bardziej niż powietrza, aby ocalić w nas resztki samych siebie. I w tym właśnie pomaga Bronek. Od lat pisze swoim głosem, ba, swoim językiem, pisze jakby wciąż to samo i niby tak samo, ale z tomu na tom pełniej, mądrzej, głębiej. Tym własnym timbrem dotyka potencjału wierszy wielkich minionych mistrzów: Miłosza, Herberta, Zagajewskiego, Różewicza, ale robi to po swojemu – Bronek z Obidzy, Bronisław Kozieński, pracownik budowlany niemieckich budow. Bronek z Obidzy, góral, który rozmawiał z Halnym, a Halny jak wiemy wywołuje historię i szaleństwo. Kozieński zatem oszalał, w sensie metaforycznym, od głowy, od stóp do głów, zakaził się poezją, a to gorsze niż Covid.

Wielkim przyjacielem, mentorem i orędownikiem, a nawet jako wydawca i mecenas Bronisława Kozieńskiego jest krakowski pe-

dagog i historyk literatury profesor Bolesław Faron miłośnik poezji i poetów. Staram się Go wspierać w ty chwalebny dziele, gdyż jak napisałem na wstępie, również uważam Bronka z Obidzy za poetycki fenomen na skalę światową, nie tylko Polską, choć jestem pewien, że ciężko by było dobrze przełożyć te wiersze na inne języki z zachowaniem ich rytmiki, melodyjności i rymu. Właściwie to chyba niemożliwe, ale nie ma ponoć rzeczy niemożliwych. No cóż, to pieśń przyszłości. Popieram orędownictwo profesora Farona, bo Bronek z Obidzy pisze arcyważne wiersze, w których porusza problemy wręcz elementarne, podstawowe i będące podwaliną naszej egzystencji. Te rozmowy z Halnym i my z profesorem prowadzimy, tyle, że nasze pióra chyba czemu innemu służą i nie ma w nas tyle nieskrępowanej i niewinnej poetyki co opisywanego Autora. Widać tak to się jednak ma uzupełniać. Dbajmy o takie talenty i róbmy wszystko, aby mogły tworzyć i dalej się rozwijać, bo taka działalność służy właśnie najlepiej kulturze narodowej i Polsce jako krajowi od zawsze poezją i słowem stojącego. Nasza siła w poezji i być może kiedyś to właśnie nas ocali.

Rozważanie te wypada zakończyć jeszcze jednym wierszem, kolejnym ciekawym krótkim wierszem trubadura z Obidzy, nam,

ku przestrodze, ku rozwazde, na pożegnanie i na przyszłość

Chociaż tyle

Miej chociaż tyle odwagi,
co każdy ptak. Każde zwierzę,
by nikt nie uczył cię prawdy,
by nikt nie uczył w co wierzyć.

Wolności miej trochę więcej
niżeli ptak albo ryba,
abyś nie musiał klęczeć,
gdy możesz latać i pływać.

ANDRZEJ WALTER

Bronek z Obidzy „Gadałem z Halnym”.
Wydawnictwo Edukacyjne,
Kraków 2025. Stron 134,
ISBN 978-83-67061-29-2

Publikacja finansowana przez
Stanisława Godka, pracodawcę Autora,
Właściciela firmy Aluprojekt z Warszawy.



Piotr Skowronek

POEZJA INSTANT

Już sam hiszpański tytuł *Fuertemuerte* zwraca uwagę czytelnika na czute ucho poety-muzyka. Wojciech Brzoska w swojej dwunastej książce poetyckiej wraca do znanych czytelnikowi motywów, w którym więzienie i związane z nim doświadczenia egzystencjalne wydają się wieść prym. Znaczenie tytułowego „fuerte – silny, duży, mocny” dekoduje wiersz noszący imię tomu. Czytamy w nim: „w swoje urodziny mówisz:/ skoro bańki mydlane tak długo utrzymują się/ na wietrze, nic dziwnego, że przyjeżdżają tu surferzy./ bawisz się przy tym jak dziecko./ na wyspie zakwitły pierwsze rajskie/ ptaki, a my po wielu kilometrach robimy się/ coraz lżejsi./ wydaje się tak kruch./ że ktoś jednym wydechem mógłby nas// zdmuchnąć.” Autor daje nam więc wyraźne sygnały, że *Fuertemuerte* dzieje się prawdopodobnie na Fuertaventura. Obie są tu silne: i śmierć, i przygoda, co więcej kod kulturowy przypisujący ostatnie chwile do „zdmuchnięcia świeczki”, czy „ostatniego oddechu”, tutaj został podmieniony, a dziecięca zabawa mydłanymi bańkami jest efemerycznym obrazem życia, zwłaszcza jego kruchości.

Brzoska bardzo konsekwentnie wziął na XXI wieczny poetycki warsztat starą jak świat maksymę memento mori. Możemy ją dostrzec niemal w każdym z wierszy. Raz w zaskakującej poincie: „.... człowiek już zaczyna powoli myśleć o śmierci...”, zakamaru krajobrazu, geście, tchnieniu; dwa kiedy wyskakują zabawnie, jak królik z kapelusza, nazwą rzeki rozdzielającej świat żywych od umarłych: „.... rozmowa z żulem/ rezydentem bramy-/ kłaniamy się./ przed schodami/ płynie rzeka szczyń, styks win.” Elementy nowoczesnego „dance macabre” możemy dostrzec niemal w każdym utworze np. „są równoległe życia/ i śmierci oparte// na danych”, „klucze do żydowskiego cmentarza”, „kobieta w żałobie”, „kiedy już raz pomyślisz o kimś/ jak o zmarłym, to tak już// zostanie”, „dwie żałoby po sobie”, „między grobami coraz ciśnień”, „w końcu jakiś za życia król/ strąca nas w dół”, „umrzeć w środku swatania”. Poeta żonglując nimi, pokazuje nam, że śmierć na każdym kroku wyłazi spod podszewki życia, że jest blisko, na wyciągnięcie ręki, że trzeba się z nią liczyć, ale też można z niej i jej atrybutów zakpić jak w króciutkim wierszu zatytułowany Testament: „podzielił wszystko/ i wszystkich.”

Śmierć jest więc wszechobecna. Nie można od niej uciec, jak z więzienia, ale najwyraźniej można ją dostrzec, przypatrzeć się jej, poznać, wreszcie nawet się zaprzyjaźnić. Owe tytułowe Zaległości, które przecież wszyscy mamy, tak wybrzmiały u autora Plejad: „mieszkam dokładnie w pół drogi/ między niemieckim więzieniem// a cmentarzem żydowskim./ przez ostatnich dwadzieścia lat/ dużo częściej odwiedzałem// to pierwsze// najwyższa pora zacząć nadrabiać/ życiowe zaległości.”

Przywołany wiersz ma charakter biograficzny, jak większość utworów tapiących rzeczywistość na gorącym uczynku. Brzoska dwie dekady pracował w służbie więziennej (obecnie jest na emeryturze), a topografia sytuacji lirycznej dokładnie odpowiada tej z życia poety. „Wieżenie” zdaniem wielu krytyków jest kolejnym po „śmierci” ulubionym tropem poetyckim autora *Ucha środkowego*. Pojawia się nawet opinia, że tom *Fuertemuerte* jest czymś w rodzaju próby odreagowania, swoistym antidotum na stres związany z „byciem klawiszem”. Gdyby iść tym tropem to motyw śmierci byłby reak-

cją na tzw. kryzys wieku średniego, który zaczyna się po czterdziestce. Jednak metafora więzienia jest dużo bardziej pojemna, a w skrajnym przypadku więzieniem jest po prostu życie, u którego końca stoi śmierć. Pachnie to trochę Kafkowskim Procesem, chociaż Józef K. „pytał”, a podmiot liryczny Brzoski „zauważa”. „Człowiek uwięziony” jest bohaterem pierwszego wiersza tomu, a ten zawsze wprowadza czytelnika w przestrzeń poetycką podpowiadając mu stosowne tropy, znaki, ścieżki, dzięki którym będzie w stanie ją zdekodować, poznać, przetrwać, przeżyć: „codziennie rano wychodzę/ z więzienia do// więzienia// jeszcze miewamy widzenia -/ w niebieskich rękawiczkach./ kiedy byłem młodszy./ z dżumie miałem grać/ doktora rieux, ale// złamałem palec. Teraz pokazuje kciukiem w gipsie./ że musi przecież dobrze/ skończyć się// to wszystko.”

W opinii Radostawa Kobierskiego: „W *Fuertemuerte* Brzoska logicznie i linearnie rozwija wątki, które pojawiały się w *Sennym ofszajdzie*, uważnie obserwuje najbliższą sobie przestrzeń i pisze mikro-historie, krąży wokół relacji i związków (...), ale wprowadza też nowe wątki: wycisza stanowczo język sacrum do opisu rzeczywistości i odwrotnie – rzeczywistość, reakcje, przedmioty sakralizuje, nadając im najwyższe znaczenie, wprowadza wątki historyczne (temat żydowski) i pola symboliczne (np. związane z więzieniem jako miejscem pracy i kontroli).” („Śląsk” 4/2025).

Rzeczywiście warsztat poetycki Brzoski pozostaje stabilny. Poeta skąpo używa znaków interpunkcyjnych z wyjątkiem kropki, jest fanem przerzutni i podwójnego odstępu między wersami, który daje czytelnikowi czas na przemyślenie. Bawi się frazeologizmami, które modyfikuje według własnych upodobań, a używając języka potocznego, buduje zeń pełne napięcia sytuacje liryczne, świat opowiedziany i zamieszkały.

Rzecz ciut przypomina pomyślnie autora *Obrótów rzeczy* i chyba nie bez kozery tom ukazał się w serii *Szumy*, zlepy ciągły, jako pozycja 79. Brzoska jest blisko życia i poetyckiego krwioobiegu tak, jak to tylko jest możliwe. Kiedyś teoretycy literatury za-

stawiali się nad możliwą dzieła, jego funkcjonowaniem poza biografią twórcy. Dzisiaj nie tylko poznajemy autora, ale wręcz zaglądamy mu przez ramię kiedy tworzy. Autor Drugiego końca wszystkiego zaprasza nas nieustannie do śledzenia procesu twórczego poprzez media internetowe. Na bieżąco możemy więc czytać powstałe wiersze, śledzić wydarzenia z życia twórcy, brać udział w formowaniu kolejnych tomików, w wybieraniu do nich wierszy, szaty graficznej. Nie wiem, czy odziera to proces twórczy z intymności, ale wiem, że owa ekspozycja na widza, na odbiorcę, pełna fotografii, filmików, dużych i małych postów sprawia, że czytanie tych wierszy staje się inne, zakotwiczone najpierw tu i teraz, że wartości uniwersalne i „przyziemne”, które unoszą się nad jeszcze ciepłymi wierszami, w jakiś nowy sposób dotykają mnie wcześniej, że „spotkanie” odbywa się jeszcze zanim otworzę kolejny tomik wierszy.

Oczywiście taki stan rzeczy daje nowe możliwości. Bieżąca lektura pozwala przecież nie tylko na błyskawiczne publikacje w „intermediach”, ale także na równie ekspresową recepcję, potwierdzoną emotikonami czy wpisami czytelników. To zupełnie nowy sposób prezentacji twórczości. Dostajemy wiersz za wierszem, kumplujemy się z poetą, śledzimy jego dokonania, pasjonujemy się wszelkiej maści konkursami, oglądamy fotografie, filmiki (czasem nam dedykowane), możemy uczestniczyć w spotkaniach, także on-line, słowem poezja instant. Czy to źle czy dobrze? Czy nie pozbawia nas to intymności lektury, wyciszenia, kontekstu, bo przecież wiersz zwykle maści się wśród innych utworów, tworząc książkową całość? Nie wiem, ale chyba pędzący świat wprawie także w szaleńczy ruch Muzę poezji, a wtedy: „pierwsze ucho stetoskopem do serca -/ w regularnych odruchach weltzmercu// to bije/ na alarm/ świat/ zjaw// o martwych się ciągle martwisz/ a z żywymi wieczna jazda// bez trzymanki// otchłań już nami/ klaszczcie.”

PIOTR SKOWRONEK

Wojciech Brzoska, *Fuertemuerte*, Słowa-rzyszenie Pisarzy Polskich Oddział w Łodzi, Dom Literatury w Łodzi, Łódź 2024, ss. 70.



Roman Warszawski

ALEKSANDER WIELKI: ŻYWCEM ZABALSAMOWANY?

Tajemnica śmierci największego
zdobywcy w historii

Przyczyny śmierci Aleksandra Macedońskiego w 323 roku p.n.e. w Babilonie budzą kontrowersje od blisko... 2300 lat. To, że praktycznie z dnia na dzień, i to w okolicznościach do złudzenia przypominających śmierć jego największego przyjaciela - Hefajstiona, z życiem zostaje się zaledwie trzydziestodwuletni, zahartowany w wielu bojach mężczyzna, od dawna wydawało się wielce podejrzane. Od stuleci pojawiały się pogłoski, że Aleksandra najprawdopodobniej otruto, wszak wraz z postępami jego azjatyckiej kampanii, nienawiść do niego stawała się coraz większa - i to nie tylko pośród jego militarnych przeciwników, ale także w jego własnych szeregach - zwłaszcza wśród dowódców. A więc - czy powaliła go trucizna, czy też jakaś tajemnicza choroba? - Jak się wydaje, mimo upływu dwudziestu trzech stuleci, jesteśmy w stanie to określić, a prawda jest znacznie bardziej okrutna niż można by przypuszczać.

Prof. **Peter Green** - twórca jednej z najlepszych biografii słynnego Macedończyka, tak oto opisuje dni poprzedzające jego zgon: „Wieczorem 29 maja Aleksander wydał bankiet na cześć swego admirała Nearchosa. Jak zwykle piło na umór. Po kolacji król chciał się położyć: tak niecodzienne pragnienie, w zestawieniu z apatią, wskazywałoby, że od jakiegoś tygodnia czy dwu czuł się (...) raczej kiepsko. Ale jego tesalski przyjaciel Medios wydawał tego wieczoru jeszcze jedno przyjęcie i namówił go, żeby przyszedł: źródła, które przytaczają teorię otrucia, wymieniają Mediosa jako jednego ze spiskowców. Po dalszej hulance - dla uczczenia pamięci Heraklesa - królowi ofiarowano puchar nie rozcieńczonego wina, który opróżnił jednym haustem, po czym wydał głośny okrzyk, jak gdyby otrzymał gwałtowny cios.”.

Inny historyk, **Nicholas J. Saunders**, tak relacjonuje te zdarzenia: „Nearchos (...) admirał Aleksandra miał poprowadzić morską inwazję na Arabię. Na początku czerwca Aleksander wydał wystawny bankiet na jego cześć. Tego samego wieczoru Aleksander i jego najbliżsi kompani byli zaproszeni na jeszcze jedno przyjęcie, organizowane przez Mediosa z Larissy. Tradycyjnie zmieniło się ono w ogromną pijatykę. Pod koniec wznoszono szumne toasty, a Aleksander ponoć wypił sześciolitrowy dzban nie rozcieńczonego wina. Diodor, nasze najwcześniejsze źródło, tak opisuje to, co się stało później: „Nagle krzyknął głośno, jakby trafiony potężnym ciosem, po czym jego przyjaciele - trzymając go za ręce - zaprowadzili go do jego apartamentów”.

Ostatnie dni, ostatnie chwile

Nazajutrz władca miał wysoką gorączkę. Mimo to wstał, wykapał się i ponownie uczłował z Mediosem. Tej nocy gorączka była tak silna, że dla ochłody spał w budynku, w którym mieściła się łaźnia. Następnego ranka powrócił do sypialni i dzień spędził na grze w kości. Wieczorem znów przeniesiono go do pomieszczeń obok łaźni i tam nazajutrz omawiał z Nearchosem i innymi oficerami plany wyprawy arabskiej. Gorączka stale mu wzrastała. Trzeciego czerwca wieczorem było już jasne, że jego stan powoli staje się krytyczny. Mimo to Aleksander kazał się nazajutrz wynieść z łaźni, bo pragnął złożyć codzienne ofiary i wydać pełne instrukcje oficerom. Piątego czerwca sam wreszcie uznał powagę sytuacji i rozkazał, by wszyscy wyżsi urzędnicy pozostawali w pobliżu jego łoża.

Wieczorem 6 czerwca, nie mogąc już

prawie mówić, jako najstarszemu z marszałków, oddał swój pierścień Perdikasowi, by nie hamować załatwiania bieżących spraw administracyjnych. Wtedy po obozie rozeszła się pogłoska, że król już nie żyje. Jego macedońscy podkomendni obiegli pałac, grożąc, że wytną bramę, jeśli nie zostaną wpuszczeni do środka, by zobaczyć wodza. W końcu przebito drugie wejście w ścianie sypialni i długim, niekończącym się szeregiem starzy wojskowi przedelfowali tamtędy, by się z nim pożegnać. Niekiedy, z wyraźnym bólem, Aleksander unosił jeszcze nieco głowę, lecz najczęściej jedynie ruchem oczu mógł dać znak, że ich poznaje i pozdrawia.

Wczesnym rankiem 10 czerwca 323 roku p.n.e. Aleksander zamknął oczy po raz ostatni. W historii skończyła się jedna epoka i zaczęła następna. Po sześciu dniach, gdy - ku powszechnemu zdumieniu - jego ciało nie wykazywało żadnych oznak rozkładu, podjęto decyzję, by - na egipską modłę - zwłoki zabalsamować. Następnie miano je przewieźć do mauzoleum, które dopiero zamierzano zbudować.

Memfis, Aleksandria, oaza Siwa

Grobowca, a przez to i ciała Aleksandra, nigdy nie odnaleziono. Z historycznych przekazów wynika, iż - po opuszczeniu Babilonu - najpierw jego mumia została przewieziona w pobliże piramidy faraona Dżosera do Memfis-Sakkary w Egipcie (stanowiąc wielki magnes dla pochówków w tym miejscu w epoce ptolemejskiej), skąd po kilku latach przeniesiono ją do Aleksandrii - założonego przez niego miasta, które już przez nazwę było jego pomnikiem. Dalej ślad się urywa. Podejrzewa się, iż w późniejszych epokach zwłoki wielkiego Macedończyka mogły trafić do oazy Siwa, w okolicy tamtejszej świątyni Amona, której w rocznicę Aleksander kilkakrotnie odwiedzał za życia.

Szkoda, że tej mumii nie odnaleziono, ponieważ na jej podstawie można by próbować wyjaśnić, jakie były rzeczywiste przyczyny jego śmierci. Tak musimy poprzestać na spekulacjach. Ale i one - na szczęście - mogą doprowadzić do dość solidnych wniosków.

Teoria spiskowa

Olimpias - matka Aleksandra, od samego początku była przekonana, że jej syn został otruty i przy pierwszej nadarzającej się okazji sprofanowała grób Joalosa - królewskiego podczaszego, do którego obowiązków należało napełnianie pucharów wodzą, jako najbardziej naturalnego podejrzanego. Jaki rodzaj trucizny Joalos mógłby jednak zastosować? Powszechnie znany był **arszenik**, a objawy jakie wywołuje - ból brzucha i nadciśnienie - dobrze pasują do przedśmiertnych cierpień Aleksandra. W tamtych czasach znana też była **strychnina**. Jednakże obie te trucizny działają bardzo szybko, a Macedończyk chorował przez blisko 10 dni. Lepszą kandydatką zdaje się być **ciemnizna biała** (*Veratrum album*) - znany i często stosowany środek przeczyszczający, który mógł zostać wodzo-

wi podany (i przedawkowany!) po uczcie: w nadmiernych dawkach osłabia serce, wywołuje gorączkę, ból brzucha i w końcu może prowadzić do śmierci. Jej działanie, do znanych nam opisów ostatnich chwil wodza, pasuje najlepiej.

Ale - mimo że niezadowolone pośród generacji w 323 roku p.n.e. było duże (po pierwsze - z uwagi na przeciąganie się kampanii i znużenie; po drugie - z powodu mianowania wielu Persów na dowódców), jaki zamachowiec chciałby, żeby Aleksander umierał powoli, mając dość czasu na ewentualną zemstę na tych, których zacząłby podejrzawać o otrucie? Przecież przez następne dwa lata zabalsamowane, ale nie pogrzebane ciało Aleksandra, spoczywało w Babilonie! Taka zwłoka i inercja świadczyła o tym, że nikt zabójstwa nie dokonał z premedytacją, ponieważ nie istniała żadna przemyślana koncepcja, co można by uczynić po śmierci Aleksandra. Gdybyśmy mieli do czynienia z dobrze przemyślanym zamachem - otruciem - jego inspiratorzy na pewno natychmiast zaczęliby wprowadzać w życie jakiś konkretny, wcześniej wykoncypowany plan.

Raczej choroba?

Nic takiego jednak nie nastąpiło. To natomiast każe nam raczej przypuszczać, iż przyczyną śmierci Aleksandra Wielkiego była choroba: choroba, którą (w związku z nienajlepszymi nastrojami w armii) ktoś - na zasadzie improwizacji, a nie misternie uknutego planu - mógł bardzo umiejętnie wykorzystać.

Aleksander mógł umrzeć na gorączkę zachodniego Nilu - wirusowe zapalenie mózgu, przenoszone przez owady. Idealem nosicielem tego wirusa są też ptaki, które po zarażeniu zaczynają dziwnie się zachowywać. Plutarch, pisząc o pobycie Aleksandra w Babilonie, wspomina kruki, które nawzajem się atakowały i spadały martwe u bram miasta. Czy może to być jakiś ślad - jakaś poszlaka?

Inną kandydatką może być także malaria. Jak wielokrotnie zwracano uwagę, w okresie przed śmiercią, Aleksander bardzo wiele czasu spędzał na żegludze w dół Eufratu, badając bagna u ujścia rzeki. To tereny na wskroś malaryczne - obszary łęgowe przenoszące zarodźce tej choroby komara widliszka. Jak pisze cytowany już Nicholas J. Saunders „jeżeli to malaria była przyczyną zgonu wodza, to była to śmierć pechowa i nie pozbawiona ironii, bo choroba ta była endemiczna w ojczyźnie Aleksandra - w Macedonii (i pozostała tam taką aż do XX wieku!), gdzie - nie zarażając się ani razu - spędził aż 20 lat życia”.

Ta okoliczność sugeruje jednak, iż król na malarię mógł być po prostu odporny. To natomiast chorobę tę wykluczałoby z listy potencjalnych zabójczyń władcy.

Żywy wygląd

Znacznie lepszym kandydatem wydaje się być tyfus. Też wywołuje gorączkę, ból brzucha, zapalenie otrzewnej i majaczenie. Można przypuszczać, że Hefajstion - faworyt

➔ i najbliższy przyjaciel króla niewiele wcześniej zmarł właśnie na tę chorobę. Aleksander mógł się zarazić od niego. Jednym z bardziej charakterystycznych objawów tyfusu jest stopniowo postępujący paraliż, który – jak się wydaje – stał się udziałem Aleksandra w ostatniej fazie choroby. Ofiary zdają się być martwe całe dni przed faktycznym zgonem. To by tłumaczyło dlaczego towarzysze broni Aleksandra, oglądając ciało sześć dni po jego śmierci ze zdziwieniem stwierdzili, że „nie uległo ono rozkładowi i nie wystąpiły na nim nawet najdrobniejsze przebarwienia”. Kursjusz pisał: „Żywy wygląd, jaki człowiekowi nadaje tchnienie życia, nie zniknęła jeszcze z jego oblicza”.

Żywcem pogrzebany!

Tu dochodzimy do sedna sprawy – makabryczny scenariusz, jaki los w ostatnich dniach życia zgotował Aleksandrowi, zaczyna być czytelny. To bowiem, że jego ciało po sześciu dniach przechowywania – w czerwcu!, w Babilonie!, nie uległo rozkładowi i wyglądało „jak żywe”, stanowi niezwykle ważną wskazówkę. Takie rzeczy zdarzały się (i zdarzają!) niezwykle rzadko. Zwykle w odniesieniu do zwłok osób świętych, lub szczególnie uduchowionych. Aleksander Wielki – jeden z największych okrutników i tyranów w historii – nie był jednak ani jednym, ani drugim – co do tego nie może być wątpliwości. Jak więc możliwe, że jego ciało – w czerwcowym skwarze – po blisko tygodniu pozostało wciąż nienaruszone?

Odpowiedź – jak mi się wydaje – może być tylko jedna.

Aleksander chorował na tyfus.

W miarę postępu choroby, ulegał coraz

dalej posuniętemu paraliżowi.

Wódz nie umarł jednak w momencie „gdy po raz ostatni zamknął oczy”.

Nadal żył.

Pogrążony w letargu, żył także w sześć dni później, gdy ponownie oglądano jego ciało i gdy nie wykazywało ono najmniejszych oznak rozkładu!

Gdy zapadła decyzja, że należy je za-balsamować!

A jednak spisek!

Właściwie należałoby napisać nie JE (ciało), lecz JEGO (Aleksandra). Bowiem moim zdaniem ci, którzy zdecydowali o tym, by do pracy przystąpili balsamiści, zdawali sobie sprawę z tego, że król jest tylko sparaliżowany i leży w letargu. Ci, którzy poprzednio – nienawidząc władzę z całego serca – obawiali się podnieść na niego rękę i mimo najszczerzych chęci nie zdecydowali się na podanie trucizny (co podejrzewała Olimpias), teraz zdali sobie sprawę, że mają przed sobą niepowtarzalną okazję, którą koniecznie trzeba wykorzystać.

Balsamowanie oznaczało bowiem rozcięcie ciała i wydobywanie zeń wszystkich wnętrzności.

Oznaczało, że Aleksander z letargu i paraliżu, w którym tkwił, już nigdy się nie obudził!

Wielki spisek zastąpiła wielka improwizacja – improwizacja, której wynik był tak dobrze zakonspirowany, że jej drugie, prawdziwe dno na jaw wychodzi dopiero po dwudziestu trzech stuleciach. Inaczej bowiem trudno wytłumaczyć, dlaczego akurat w przypadku Aleksandra zdecydowano się na mumifikację. Przecież był to zwyczaj całkiem obcy tradycji macedońskiej. Nigdy

żadnego macedońskiego króla nie grzebano w ten dziwaczny dla Macedończyków sposób. Dlaczego miało to spotkać akurat Aleksandra Wielkiego?

Czy dlatego, że Aleksander był do tego stopnia zafascynowany Egiptem, iż tamtejszego boga – Amona był skłonny uznać za swego ojca?

Nie, to mógł być co najwyżej pretekst, nie powód.

Prawdziwa odpowiedź jest inna: stało się tak dlatego, że mumifikacja stała się pretekstem do jego faktycznego zabójstwa. Do pozbycia się go bez ponoszenia najmniejszych ryzyk. Tyfus, na który Aleksander zapadł, spiskowcom-improwizatorom wyświadczył ogromną przysługę. Potem jednak pozostawił ich zaskoczonych i skonfundowanych: gdy już zabrakło zniecierpliwionego tyrana, przez następne dwa lata jak ogłuszeni tkwili w Babilonie, nie bardzo wiedząc, co począć.

Gdy do pracy przystąpili balsamiści...

15 czerwca 323 roku p.n.e., gdy wiadomość o śmierci Aleksandra jako wielka sensacja lotem błyskawicy dotarła do Aten, Demades miał ponoć wykrzyknąć: „Aleksander nie żyje?! To niemożliwe, bo cały świat cuchnąłby jego trupem”.

Nie mylił się: w momencie gdy padały te słowa, Aleksander – choć sparaliżowany – wciąż był pośród żywych.

Umarł dopiero za dwa dni, gdy do pracy przystąpili balsamiści.

ROMAN WARSZEWSKI

Peter Green, Alexander the Great and secret of his too soon death, Simon and ASchuter 2023

Zbigniew Ikona Kresowaty

„Polak nieprawdziwy” jest tytułem tomu „wierszy Bogdana Loebla. Znany poeta, autor tekstów śpiewanych – (tworzący w przeszłości Spółkę Autorską z Tadeuszem Nalepą), wydał interesujące poezje, które są odniesieniem do naszego czasu obecnego. Czasu trudnego, w którym jesteśmy narażeni na wszelkie efekty wynikające z przyswajania i transformowania tzw. „dóbr wolności”. Czas to pomieszania umysłów, deformacji, rozwibrowania umysłu i często (wbrew pozorom), niepokoju, a w efekcie frustracji i zagubienia... Jest to też czas budzenia nowych ambicji, nowego otwarcia się, czas weryfikacji osobowości, czas tworzenia „na nowo”... Seria wydawnicza zatytułowana „PRZYLASZCZKA”, zapoczątkowana książką Krystyny Lenkowskiej pt. „Nie deptać przylaszczek” (przy ilustracjach Franciszka Małuszczaka), otwiera pewien cykl wartościowej poezji, znanych poetów, którzy będą wydawać w tej serii w Wydawnictwie „YES” w Rzeszowie. Jak widać, pięknie, solidnie zrobione książki, w twardych okładkach, w formacie A-4. Oby tylko z powodzeniem dla przedsięwzięcia sponsorów, gdyż okres to trudny, wymagający środków...

Wydaje się, że pomysłodawcy i sponsorzy, mający dużo uwagi dla wartości poezji, w osobie Waldemara Lenkowskiego i jego żony – czy podobają (?) – i chwata im za to! Ale wracając do tego wydania, drugiego w w/w serii – jest to dwujęzyczny zbiór z tłumaczeniem Radostawa Loebla (anglisty i artysty), dedykowany ukochanej wnuczce Julii, przez autora, który, jak się też okazuje, zaczyna podsumowywać swój wspólny dorobek. Loebel, poeta o dużym

ANON GENUINE POLE

O ostatnim zbiorze wierszy Bogdana Loebla

i znaczącym dorobku, podejmuje się w tej książce odebrać sobie wiersze dotyczące się naszej niefrasobliwości, niekompetencji, czasem braku wyobraźni, wynaturzenia, czy nawet głupoty, wynikającej, jak wspomnieliśmy, z tego nagłego czasu, z jego parcia, prędkości...Ja nazywam ten czas, że jest to czas „krzywej twarzy” – i jest o tym w tej książce. Uleganie poety pesymizmowi, całej problematyce eschatologii, a nawet w niektórych miejscach, publicystycznej formie przekazu, żeby bardziej ukazać swój stan rzeczy, czasem przy oszczędnej, a zdyscyplinowanej ironiczności, czy sarkastycznie poetyce, która właściwie jest podmiotem – to cel i konsekwencja tej książki. W książce pomieszczono reprodukcje rzeźb Adama Myjaka, wybitnego artysty, profesora rzeźbiarstwa, które w swej sile i metafizyce dobrze korespondują, jako zakładki, z osobowością poetycką Bogdana Loebla. Bo w konsekwencji poeta ten, z biegiem lat, okazał się jednym z najradkalniejszych turpistów i mizerabilistów. Myjaki, to także pełne napięcia, refleksji nad ludzką pychą i bezwzględnością, rzeźby. A poezja Bogdana Loebla, bijąca celnie, nawet ciężko, w stany duchowe, szczerza – czasem katorżnicza, uderza w tony owe trochę paradoksalnie, namacalnie, aż do pięknie w przestrzeni, nie mijając niczego co ważne dla czasu, który wpływa z nas jeden, lecz dla każdego objawia się wedle innych zastrężeń. Cel najważniejszy dla poety, to oryginalność, choć poeta nie pozuje, nie udaje, natomiast jest blisko naszej skóry, naszej przepływowości z metafizyki wewnętrznej

w zewnętrzną. Poeta umiał zawsze zareagować, choćby przez pewne stany duchowe objawione w poprzednich tomach poezji, czy powieściach, np. „Katarakta”, oraz w swoich słuchowiskach, choć ostatnio mniej wydawał, ale dwa tomiki warto wspomnieć „Wiersze o miłości” (RAF Rzeszów 1993 r.), oraz „Frankenstein nasz współczesny” (DOM WYD. JOTA 1991, z rys. Małuszczaka). Ten wspomniany, choć był wcześniej, gdyż zbliżony jest tematycznie do w/w w omówieniu, tomu wierszy. Ale wracając do „Polaka Nieprawdziwego” – jest to namacalny znak czasu, wymuszający swą poetyką cenne prawdy, kardynalne dla dalszej transformacji, dla dyskusji. Poezja ta jest jakby rzeźbą czasu i pozą ustawioną dla świata zewnętrznego, bo bywa często gorzka, czasem nieestetyczna, wywołana z przestąpienia, jak reakcja – jako taki kolos błyszczący swymi odcieniami, jak rzeźby Myjaka, czasem chropowaty, senny (?). Zaczyna poeta wierszem pt. „DOPÓKI” (str. 7) takimi słowami:

Uderz mnie wielka ciszo
dopóki są jeszcze bliscy
robaki i szczury
i ma kto pogrzebać i strawić
moje ciało
(...)

Rzuca się poeta w wiry namacalne, w żywioł świata żywego, pragnie chłosty dotyku, dopóki jest jego dusza. To tak jakby przeżył

RECENZJE

już wszystko i wie na czym polega oryginalność i przestrzeń czasu tego, który go niesie. To nie tak! – nie tak! – położył siebie na stosie, mówi, żeby dać świadectwo (?)... „Polak Nieprawdziwy” (ANON GENUINE POLE) (wiersz str. 9) powstał z autopsji jak inne, ale ten pisany odruchem takiego zdrowego rozsądku, kiedy to poeta słuchający nocą radia, zbudzony jakby dygresjami o „prawdzie istnienia”, przez Ojca Dyrektora, który daje recepty na prawidłowość bytu, na prawdziwego Polaka, odreagowuje poeta momentami jakby z napływu adrenaliny (?) Uznaje, że musi zabrać głos na pchającą się głupotę w okienka naszych domostw, naszych serc, czy umysłów. Wiersz, jak mi oznajmił Bogdan, napisany momentem chwili, jak inne, ale ten jest wyraźną ripostą na demagogię, na sądy, na osądy... Poeta ma prawo tak reagować, ponieważ jego świat nie jest zwięzły, a dar odgadywania tego świata pochodzi też od Boga – ale jest zawsze z natury kierowany rozumem! Polega, wie na czym polega, Krzyż Narodu, zna historię Polski, dowodził tego wiele razy. Poeta jest wśród ludzi i ich spraw, kontynuuje Loebel tak: (str.9):

Nocą obudził mnie
Ojciec Dyrektor

mówił do mnie jak do syna
albo brata chociaż
nie czuję się
PRAWDZIWYM POLAKIEM

mam sąsiada bezwzględnie
PRAWDZIWEGO POLAKA
ale wiem że to
nie upoważnia mnie do śpiewania
razem z nim i Ojcem Dyrektorem:
„Dziękujemy każdego dnia
że jest w Polsce Radio Maryja
nadzieja dla Polski
nadzieja na lepszy świat” ponieważ
czuję że nie jestem
jak oni
PRAWDZIWYM POLAKIEM jakich
Życzili sobie w Polsce Mieczysław
Moczar i Władysław Gomułka
I jakich chcieliby tu mieć
Dzisiaj i na wieki wieków
(...)
wiem od matki i ojca
że nie mam w sobie
żydowskiej krwi i żywię
głęboki żal do przodków
za to
że nie jestem
Żydem

może wówczas
zaprowadzono by mnie do gazu
i nie musiałbym teraz żyć
pośród was

albo by mnie ukrzyżowano
i modlili by się do mnie
mój sąsiad PRAWDZIWY POLAK
Ojciec Dyrektor
I Rodzina Radia Maryja

Poeta, jak widać, nie daje się zwariować, zapuszkować, czy zakiepować w demagogiczne poglądy, w skrajne „prawdki”, ubogacone górnolotnymi pseudo – świętymi słówkami. Nie pozwala poeta na „branie sobie pewnych imion nadaremnie” i zstąpienie świętością, którą jest utrwalona i zapisana w rozumie, a nie w namiętnościach – poeta nie pozwala się otumanić tym skrajnym, czasu tego, słowem. Bo burzą one ład i wszelkie zgody na logikę czasu przyszłości, za którą przelano całe morza krwi... Uważa poeta za swoją powinność reagować na skrajność, na jakiś wyindywidualizowany głupi gest, który jakby jąka się, czy beka, a jest tak naprawdę rozpacz! Rozpacz to walka z przedmiotowością, z samymi jej przedmiotami... Rozpacz to brak prawdziwej refleksji, często nieumiejętność przewidywania... I tu jakby na przewagę daje wiersz (str. 11) pt. „Czcigodny Hierarcho” (dedykowany Ziemowitowi Feddeckiemu) :

Obserwuję coraz większe zezwierzęcenie ludzi
stwierdził Hierarcha kościoła

przepraszam was moi mniejsi bracia
za te obelżywe słowa

gdyż nie słyszałem
by jakiś pies przykuł łańcuchem chłopca
do wystawionej na mróz budy
(...)
nie widziałem by cielątko lub świnka
prowadziły do rzeźni człowieka
(...)
czcigodny Hierarcho kościoła
zanim powtórzysz tamte słowa
spójrz w oczy okładanego batem konia
i wychudzonego bezdomnego psa
i również
co stałoby się z Twoim światem
gdyby nasi bracia mniejsi
zaczęli człowieczyć

Cała sfera wrażliwości wywodzi się ze źródła i kieruje się w stronę zdrowej, kierowanej, projekcji efektu. Zatrącenie w czasie swym pojęciowości, prowadzi do wszelkich paradoksów, do wynaturzenia, chaosu, do braku równowagi... Powiedział już kiedyś wielki malarz, który zamykał pewną epokę w Hiszpanii – Goya – „że wyobraźnia prowadzona bez rozumu, prowadzi do spotворienia i rodzi potwory”. Oto prawda, czy pojęcie racjonalne? Nie da się skrzywić natury człowieka, to ona w odpowiednim momencie odezwie się... i nie pozwoli usiąść jakiejś głupocie jako autorytetowi na głowie, a która wcale nie prosi, żeby ją zbawiać... lub ocalać (?) Wiersz pt. „Stanął przede mną człowiek” – jest jak ściana (str. 17) bo mówi:

(...)
miał znoszoną twarz

w jego oczach
ujrzałem odbicie człowieka
różowa łodyga szyi
wyrastała z białego kołnierzyka
czoło zdobił napis
SUKCES

stał przede mną człowiek

na jego czole widniał napis
ROZPACZ i DEPRESJA

wsunąłem dłoń w kieszeń
chłód pistoletu wyrównał
rytm mego serca

powiedziałem: stanąłeś na mojej drodze
powiedział: to ty stanąłeś na mojej drodze
powiedziałem: to nie moja
wina że mi się powiodło
powiedział: to nie moja вина
że mi się nie powiodło
(...)

Stawianie pewnych znaczeń, sensów, pytań, które są gotowymi odpowiedziami, które odbijają się od siebie, jak przystawkiowe „piłeczki pingpongowe” – wytaczanie swych racji i dawanie skrajnych dowodów, o! – to domena człeka wywołanego (?) Brak reakcji na absurd, na bezsens pojęciowy, na kołtuństwo podszyte chamstwem, brak umiejętności tokowania, wynikającej z niedostatku duchowego – to jakby główne reakcje zawarte w tej książce. Jest wiele do przytoczenia, ale czas nagli... Zatem pojemny jest dom poety, jego serce... Dom poety musi być dobry, otwarty mądrością przychylną strzechy, czy dachu – tak chce mi się powiedzieć, żeby przejść do ostatniego omawianego tu wiersza pt. „Domie mój” (str. 21) co jest pewną konsekwencją myślową autora.

(...)
czuję jak kulisz się i zaciskasz pięści
zamek u okien i drzwi
jak wsłuchujesz się w każdy
ruch idącego drogą
jak jeży się skóra twoich ścian
i napinają się muskuły cegieł

śpij mówię – to tylko
człowiek jak ja i mieszkająca
pod twoim dachem kobieta i dziecko
ale ty wstrzymujesz oddech i słyszysz
jak drży piasek okiennych szyb
(...)

Poeta daje nadzieję, ale równą ją i kontestuje w tym, co otrzymaliśmy od losu, tym co daliśmy sobie na teraz, za wieki... Ogień poezji Loebela jest jak zabłąkana mrówka, która ucieka przed skutkiem, żeby przetrwać poprzez kierowanie się na światło racji. Daje odwagę i prawo do reakcji na dominację. Siła tej poezji bije z mroku, czasem obraźliwie dotyka i powala jak nieokiełniony prąd, celnie. I już na pointę tego, ostatnie słowa wiersza pt. „Ogień poezji”:

(...)
palę suche liście i stare już nie
potrzebne czasopisma poetyckie
płomienie z kurzu je oczyszczają
i żarliwie wnikają w metafory i pointy
(...)

ZBIGNIEW KRESOWATY

Bogdan Loebel, Polak nieprawdopodobny, z serii „PRZYŁASZCZKA”, Wyd. YES, Rzeszów 2001, ISBN 83-911519-1-3, z repr. Prof. Adama Myjaka. Twarda okładka A-4, s. 60.

Krzysztof Szymoniak

„ZIELNIK PILSKI”,

CZYLI O CZYM JEST FOTOGRAFIA?

1.

Zanim zaczniecie oglądać i badać „Zielnik Pilski” Bogustawa Biegowskiego, wpierw spróbujcie obejrzeć i zbadać cztery, zresztą pierwsze z brzegu, czarno-białe filmy: „Osiem i pół” Frederica Felliniego, „Matnię” Romana Polańskiego, „Ostatni dzień lata” Tadeusza Konwickiego, „Stan rzeczy” Wima Wendersa. Co je łączy z punktu widzenia naszych rozważań? Tylko to, że są bardzo fotograficzne. W każdym razie nie zamierzam dorabiać do tego filmowego czteropaku żadnej dodatkowej historyjki, czy nawet historii. Nie jestem ideologiem ani sprzedawcą reklam. Wystarczy mi zatem cytaty z filmu Wima Wendersa: „Cóż – życie jest w kolorze, ale czerń i biel są bardziej realistyczne”. Nie twierdzę także, jakoby te filmy miały cokolwiek wspólnego z „Zielnikiem Pilskim”, chcę tylko wskazać czytającej publiczności pewien niebanalny rys psychologiczny w zakresie postrzegania świata (takim, jakim on jest), pewien sposób myślenia fotografią, cenny, interesujący i ważny w dorobku Biegowskiego, a niezależnie od wszystkiego materializujący się między innymi także w twórczości kilku utalentowanych, przywołanych tu reżyserów. To oni, artyści kina, zwłaszcza ci niekomercyjni, dochodzą z czasem do wniosku, że kino czarno-białe jest o życiu, które się toczy naprawdę. A skoro tak, to ludzie – spragnieni kolorowych fabuły o nie-życiu – nie chcą tego oglądać. Zapytajmy teraz, czy ludzie, zwłaszcza mieszkańcy wielkich i dużych miast oraz rozsianych po kraju miast średniej wielkości, bezrefleksyjnie zanurzeni w przestrzeni opanowanej przez kolorowe obrazy fotograficzne niewiadomego często pochodzenia, chcą dzisiaj oglądać czarno-białe fotografie? Zwłaszcza oglądać świadomie? I jeszcze jedno: skoro kino czarno-białe jest o życiu, które się toczy naprawdę, to o czym jest niekomercyjna czarno-biała



17 marca 2007, Piła, Włocławek. Zbiórka zbiorów. W swojej pracy artystycznej Biegowski odwołuje się do tradycji fotografii, która ma być nie tylko dokumentem, ale także narzędziem do poznania świata.

fotografia? Zwłaszcza analogowa? Kiedy już poradzimy (poradzicie) sobie z tymi dwoma zagadnieniami, zajrzyjmy (zajrzyjcie) do świata fotografii Bogustawa Biegowskiego i zastanówmy (zastanówcie) się przez chwilę, o czym jest jego czarno-biały, analogowy, niekomercyjny „Zielnik Pilski”?

Wystawa prac fotograficznych pod takim właśnie tytułem pojawiła się po raz pierwszy 2 lipca 2011 roku Wągrowcu, w galerii Miejskiego Domu Kultury. Wystawie, na którą składały się stykówki formatu 9 x 12 cm oraz kilka stykówek 4 x 5 cala¹, towarzyszył skromny folder, na szczęście zaopatrzony w interesujący tekst. Wyszedł on spod ręki autora zdjęć. Fotografowie zazwyczaj takich tekstów nie piszą, wręcz wzbraniają się przed tego typu twórczością, ale to, co potrafi z pożytkiem dla sprawy napisać o sobie (o swoich działaniach fotograficznych) B. Biegowski, jest wprowadzeniem i refleksją wysokiej próby. Zresztą, co tu dywagować, niech przemówi słowo:

Geneza projektu. Bezpośrednim impulsem do realizacji tematu była autorska kartka fotograficzna, którą otrzymałem niedawno od Rafała Nadolnego, świetlicowego rezydenta w stolicy². Fotografia przedstawia zwielokrotniony, ekspresyjny obraz samolotu-pomnika w Skierniewicach. Tytuł pracy: „Było sobie województwo”. Uświadomiłem sobie, że Mojego Województwa³

też już nie ma. Wykonywane przez lata fotografie bez żadnego konkretnego celu i przeznaczenia zaczęły powoli układać się w pary, dłuższe sekwencje i ciągi. Tak rodziła się idea zbioru, kolekcji fotografii przedstawiających coś, czego już nie ma. Czegoś przeszłego, martwego i zasuszonego, pożątkowego i usystematyzowanego oraz przeraźliwie pozbawionego wyrazu. Zielnik z jednakową skrupulatnością kolekcjonuje zarówno wizerunki endemicznych okazów, np. monstrualne betonowe miecze strzegące wjazdu do wnętrza terytorium, ale też typowe kolejowe wieże ciśnień. Tworzenie dokumentu to pionierska wyprawa w głąb własnego archiwum, ale i bieżąca praca w terenie. Dotarcie do „przezroczystych”, niewidzialnych artefaktów, wcześniej nie-uświadamianych. Wszystkie prezentowane na wystawie prace powstały w XXI wieku, już po likwidacji Województwa. Wystawiane po raz pierwszy w Wągrowcu kopie stykowe są jedynymi, autorskimi egzemplarzami fotografii. Formalna różnorodność prezentowanych prac stanowi świadectwo wątpliwości i poszukiwań oraz wiary w magiczną moc fotograficznego oryginału. Zbiór nie ma ambicji bycia pilską monografią. Na przykład pominięta (z wyjątkiem jednej fotografii na wystawie) została Trzcianka, która ma osobny, jeszcze nie prezentowany, zbiór zdjęć pł. T.R. Schonlanke.

2.

Zacznijmy od koniecznego – moim zdaniem – stwierdzenia, że w przypadku stykówek, które weszły do „Zielnika Polskiego”, pojęcie ‘fotografia czarno-biała’ nie oddaje istoty rzeczy. Czerń i biel w czystej postaci na tych niedużych kawałkach papieru fotograficznego po prostu nie występuje, natomiast z całą pewnością dominują tam różne odcienie szarości – od bardzo jasnych, do bardzo ciemnych. To – po pierwsze. Po drugie – cały ten zestaw pięćdziesięciu fotografii, składających się na wągrowiecką wystawę Biegowskiego, w tym układzie zaistniał jako prapremiera. Co ważne, nie są to ładne obrazki fotograficzne, typu widokówki, z terenu byłego województwa pilskiego. Oczywiście, niektóre z obiektów sfotografowanych na potrzeby tego cyklu i włączonych do „Zielnika” mogły pojawić się w przeszłości również na typowych, ładnych, kolorowych pocztówkach (zwłaszcza owe „grunwaldzkie miecze”), ale to, co zaproponował autor „Zielnika”, jest rodzajem manifestu estetycznego, świadomym zabiegiem artysty na materii fotograficznej, a nie – jak mogłoby się wydawać nie do końca zorientowanym uczestnikom wernisazu – wynikiem braku umiejętności warsztatowych. Po trzecie – Bogustaw Biegowski porusza się ze swoim aparatem skrzynkowym w wyludnionej niejednokrotnie przestrzeni publicznej, na obrzeżach miast, miasteczek oraz w okolicach małych stacji kolejowych, potocznych na różne sposoby z niegdyś wojewódzką Piłą, czyli ówczesnym środkiem lokalnego kosmosu. Wszędzie tam, gdzie artysta ogląda ów kosmos przez obiektyw swojej kamery, a potem utrwała jego wy-cinek na listku kliszy, rozgrywa się bezsze-



17 marca 2006, Piła, Włocławek. Zbiórka zbiorów. W swojej pracy artystycznej Biegowski odwołuje się do tradycji fotografii, która ma być nie tylko dokumentem, ale także narzędziem do poznania świata.

¹ Otwierająca wystawę fotografia („Wól Pomorski”, ostatnia w Aneksie) została wykonana w formacie 18 x 24 cm.

² Chodzi o jednego z uczestników działań „Kolektywu Fotograficznego – Świetlica”. Więcej na ten temat [w:] Moje nie-miejsca, rozmowa z Bogusławem Biegowskim, op. cit. s. 28-40.

³ W tym tekście B. Biegowski mówi o dawnym województwie pilskim, w obrębie którego znajdowała się także jego rodzinna Trzcianka.

lestny spektakl przemijania i rozpadu, albo odbywa się literacki poniekąd rekonesans w przeszłość zahaczoną o fotografowane obiekty, wpisana w osobiste przestrzenie pamięci. Wreszcie po czwarte – zastanówmy się, czy te obrazy, pokazane publiczności po raz pierwszy w Wągrowcu, są kwintesencją namysłu dokumentalisty? Zwłaszcza, że w cytowanym tutaj wstępie Biegowski mówi: „Tworzenie dokumentu to pionierska wyprawa w głąb własnego archiwum, ale i bieżąca praca w terenie”. A może raczej obrazy te są rodzajem wyprawy po złote runo, próbą odczytania prywatnej mitologii, którą pamięć wbudowuje w konkretne obiekty i dziejące się wokół nich sprawy?

Zapytałem kiedyś (a dokładnie 9 lutego 2010 roku) autora „Zielnika” o coś, co zwykło się nazywać samoświadomością fotograficzną. Zapytałem też o moment jej pojawienia się u niego. W odpowiedzi usłyszałem między innymi: Kiedyś były to głównie działania intuicyjne. Ale to mi pozostało do dzisiaj, to przekonanie, że fotografia jest czymś dzikim i nieoswojonym. To nie jest tylko to, co jest na zdjęciu, tego się nie da sprowadzić na przykład do filozofii. Fotografia jest trochę gdzieś indziej, ona jest przede wszystkim formą, materialnością i substancją. W tamtych pierwszych czasach pojawiała się ciekawość, która u mnie jest do dzisiaj, jak to wyjdzie na zdjęciu. Nie jestem przekonany specjalnie do tego, że w fotografii mam do spełnienia jakąś misję, że muszę coś dokumentować, bo i tak przecież wszystko się kiedyś rozpadnie. To jest tylko kwestia przedłużenia pamięci. Ten budynek rozpadnie się na przykład za lat 50, a moje zdjęcie tego budynku przestanie istnieć powiedzmy za lat 150, ale to niczego nie zmienia, bo rozpad jest nieunikniony. Tak więc moje pierwsze motywacje sprowadzały się do tego, że biegałem z aparatem i fotografowałem wszystko – ludzi, zwierzęta, miejsca. Jeździłem po Polsce, po jakichś



20 sierpnia 2007, pida, szkoła muzyc
Muzykę zawsze zrywała była dla mnie
holakriem i nieścisłością...

festiwalach rockowych, po jakichś dziwnych miejscach i tam fotografowałem. Nie miało to żadnego celu, żadnej metodyki i chyba żadnej głębszej myśli, chociaż gdy patrzę dzisiaj na te swoje stare zdjęcia z pewnym sentymentem, to dochodzę do wniosku, że twórca nie musi sobie uświadamiać tych wszystkich rzeczy, które uświadamia sobie widz, a zwłaszcza krytyk, który patrzy i mówi, że to jest takie świeże czy odkrywcze. Oto taki choćby przypadek Jacques-Henri Lartigue. On zrobił swoje słynne zdjęcia w wieku kilkunastu lat na wyścigach samochodowych, zdjęcia, które przeszły do historii fotografii światowej. Od razu więc rodzi się pytanie, czy on uświadamiał sobie to, że fotografuje zmiany kulturowe, cywilizacyjne, postęp? Nie. Nie uświadamiał sobie tego. I dlatego to jest dla mnie fascynujące w fotografii, że tam jest element niejako poza kulturą. To jest właśnie takie dzikie i nieoswojone. (...) Kłóć się często ze swoimi kolegami ze „Świetlicy”, że świadomość nie jest aż tak istotna. Nie przeceniamy tego. Połowa wartościowych dzieł kultury europejskiej, zwłaszcza XX wieku, powstała poza świadomością – Van Gogh, Witkacy, Bruno Schulz. To jest europejska tradycja, która doceniła nieświadomość. To można połączyć z odkryciami Freuda i Junga, aby pamiętać, że to jest ważna część naszej osobowości, a nawet szerzej kultury. Jung stworzył nawet pojęcie „nieświadomości zbiorowej”. Także dla mnie to jest niezmiernie istotne. Ja nie refleksuję cały czas chodząc z aparatem, że zrobię jakiś ważny zapis. Fotografuję dla przyjemności. Nie jestem fotografem heroicznym i dlatego nie przywiązuję do tego jakiejś specjalnej wagi, że oto teraz wykonuję jakiś dokument, który pozostanie dla kogoś. To wszystko nie jest aż tak istotne, chociaż miałem w swoim życiu taki okres, że z tym dokumentem byłem blisko. Ale to nie wynikało z potrzeby dokumentowania, tylko może bardziej z potrzeb społecznych, z uwagi na to, że zabytkowa architektura niszczeje, że (...) przestrzeń jest czymś wspólnym i warto o nią dbać, a nie tylko ją rozprzedawać i budować w niej zamknięte enklawy. Sam dokument dla mnie nie jest najważniejszą rzeczą, dla mnie bardziej liczy się ekspresja, bardziej liczą się moje odczucia, gdy fotografuję. Potem widzę, oglądając moje zdjęcia, zyskuje nad nimi władzę symboliczną, oglądam, oceniam, ale już nie ma wpływu na to, co widać na zdjęciach.⁴

No właśnie, widz nie ma wpływu na to, co widać na zdjęciach. Ale to, co widać



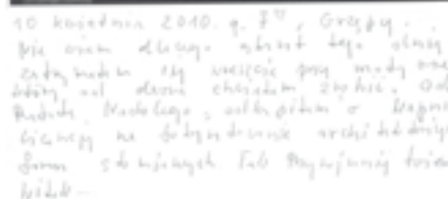
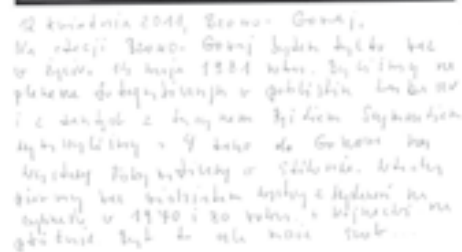
1 kwietnia 2011, Wrocław.
We Wrocławiu byłem z ołtarzem muzycznym. Odczuwałem wielką potrzebę zwrócenia uwagi na to, co się dzieje. Właśnie wtedy, że z chęcią byłem bardzo w ogólnym i z tym samym kompletem myśli, że to jest właśnie to, co chcę zobaczyć. Na przykład, że się chyba trochę udało odczuwać to, co się dzieje.



17. marca 2006, Białe Polesie.
Białe Polesie było dla mnie wielką przygodą. Właśnie wtedy, że z chęcią byłem bardzo w ogólnym i z tym samym kompletem myśli, że to jest właśnie to, co chcę zobaczyć. Na przykład, że się chyba trochę udało odczuwać to, co się dzieje.

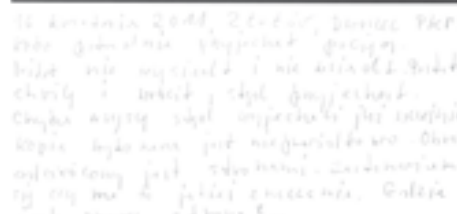
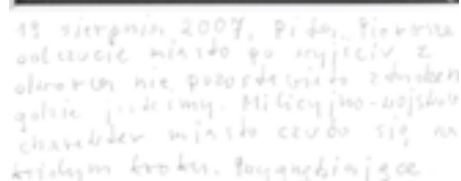
⁴ Bogusław Biegowski, *Moje nie-miejsca*, op. cit., s. 6.

Wystawa została zaaranżowana w taki sposób, aby oglądający, po zapoznaniu się z tekstem umieszczonym w katalogu wernisazowym, od razu mógł (miał szansę) odnieść się do idei tytułowego zielnika. Pogrupowano więc obrazy tematycznie – wieże wodociągowe razem, krajobrazy miejskie razem, krajobrazy wiejskie razem, ruiny razem itd. Prezentację otwierały stylówki, na których widzimy trzy betonowe miecze grunwaldzkie, symbol i znak rozpoznawczy dawnego województwa piłskiego, ustawiane zazwyczaj przy drogach, które wiodły w głąb oznakowanego w ten sposób terytorium. Co ciekawe, te trzy obrazy, z racji tego, co na nich widać, mogą kojarzyć się z trzema krzyżami ustawionymi dwa tysiące lat temu na Gólgocie, zwłaszcza że pierwszy z nich był większy – w sensie formatu – od dwóch pozostałych. Jest to zatem ikonicz-



ne (powszechnie znany tutaj motyw), ale też ikonograficzne odwołanie do mitologii chrześcijańskiej; odwołanie, jak sądzę, nie-intencjonalne w przypadku autora i chyba ryzykowne, bo poniekąd anegdotyczne, w przypadku odbiorców, u których zadziałał (jeżeli zadziałał) automatyzm skojarzeniowy. Wystawę zamykał kadr ukazujący dosyć tajemniczy krzyż nagrobny, pod którym autor umieścił podpis: 14 czerwca 2011, Łekno. Ostatnie zdjęcie. Spadł pierwszy od wielu dni deszcz. W Łeknie byłem po raz pierwszy od 25 lat. Staliśmy z Lechem koło jakiegoś dziwnego nagrobka, który w przeciwny ramion krzyża miał umieszczone oko opatrności. Nie mogłem sobie nic przypomnieć. Wiedziałem, że zdjęcie się nie uda. 25 lat to dużo czasu. Naświetliłem dwa listki. Drugiego jeszcze nie wywołałem. Może kiedyś... Deszcz padał coraz mocniej...

Bogusław Biegowski, artysta wielkoformatowy, dokładnie opisuje (lub tylko odnotowuje) w swoim podręcznym kacycie wszystkie fakty ekspresji fotograficznej. Dzięki temu wiemy dokładnie, gdzie i kiedy powstały poszczególne kadry, a bywa, że poznajemy także okoliczności powstania kolejnych



obrazów oraz związane z tymi sytuacjami autorskie refleksje. Z takich właśnie zapisków wzięty się rękopiśmienny teksty umieszczone pod stykówkami „Zielnika Piłskiego”. Niektóre powstały od razu w miejscu fotografowania, a potem zostały tylko przeniesione z zeszytu na passe-partout, inne zaś nabierały ostatecznego kształtu dopiero w trakcie opracowania zdjęć.

Jak już wcześniej ustaliliśmy „Zielnik Piłski” nie tylko daje się oglądać. Można go także czytać. I to na dwa sposoby – linearnie, od pierwszego do ostatniego zdjęcia wystawy, albo chronologicznie, podług dat, od których zaczynają się wszystkie autorskie para-komentarze. Ponadto można go czytać na dwóch poziomach – na poziomie znaczeń i znaków odpowiadających sfotografowanej rzeczywistości (proste, szczegółowe odniesienie do desygatów) oraz na poziomie metafory i mitu, kiedy znaczenia i znaki poszerzają swój zakres semantyczny o sygnalizowane przez artystę konteksty, na przykład ideologiczne i egzystencjalne czy historyczne i kulturowe. Śmiem twierdzić, że owe konteksty – jak w każdej próbie metaforyzowania (lub mitologizowania) rzeczywistości – są istotne nie tylko dla zrozumienia (rozkodowania) całościowej idei „Zielnika”. Są istotne także dla kogoś, kto swoim namysłem próbuje wnikać głębiej w fotograficzną twórczość Biegowskiego. Skoro więc o czytaniu mowa, to pora rzucić okiem na językowy obraz świata. W naszym przypadku sprowadza się to do kilku prostych pytań rodzących się w głowie piszącego te słowa. Na przykład, o czym informują i czym są rękopiśmienne dopiski umieszczone przez fotografa pod zdjęciami? Jak za ich pomocą autor (jeżeli faktycznie to robi) charakteryzuje/określa siebie i swoje przebywanie w nieodległej przeszłości byłego już województwa piłskiego lub obecne przebywanie poza nim? Wreszcie w jaki sposób słowa (ale i frazy) z tych dopisków łączą się z jednej strony ze światem przedstawionym (sfotografowanym), którego realność, czyli materialność, można zweryfikować, a z drugiej – ze światem wewnętrznym, będącym poza jakąkolwiek prostą weryfikacją, na którą składają się: pamięć, emocje, doświadczenia życiowe i wyznawany system wartości? Być może piszący te słowa błądzi, być może wybrał niewłaściwe pytania, być może brakuje mu wiedzy i kompetencji badawczej, ale na pewno ta oto (zapewne niedoskonała) próba opisu twórczości Biegowskiego wzięła się z fascynacji fotografią tradycyjną i z potrzeby zrozumienia fenomenu artystycznego, który funkcjonuje

w tak zwanej niszy warsztatowej i estetycznej, jak dotąd całkowicie poza sferą komercji. Za tą motywacją stoją wyłącznie intencje poznawcze i całkowita bezinteresowność. Mam oczywiście świadomość, że dobrymi chęciami wybrukowane jest piekło (np. piekło intelektualnych nieudaczników i słabujących eseistów), ale ponieważ biorę odpowiedzialność za każde zdanie tego tekstu, to liczę na chociaż odrobinę wyrozumiałości ze strony prawdziwych znawców materii, o której tutaj mowa.

Tak więc zaczniemy od kwestii zasadniczej – o czym informuję i czym są odrębne dopiski umieszczone przez fotografa pod zdjęciami? W pierwszej kolejności są, gdyby spojrzeć na nie okiem archiwisty, formą dokumentacyjnej sygnatury, kroniką działań fotograficznych (czas i miejsce oraz okoliczności powstania negatywu), są zbiorem metryczek pozwalających prześledzić kilkuletnią wędrówkę artysty po drogach i bezdrożach byłego województwa, znaczoną nieprzypadkowo dobranymi przystankami. Natomiast w pozakronikarskiej warstwie tekstu owe odrębne nanoszone notatki, umieszczone pod włączonymi do „Zielnika” kadrami, są rodzajem frapujących zapisków z podróży. Przypominają one zwięzłe i nasycone poetycką energią zapiski Edwarda Stachury z jego opublikowanych niedawno dwóch tomów „Dzienników” zatytułowanych „Zeszyty podróżne 1” i „Zeszyty podróżne 2”. Jest w nich prosta konstatacja i egzystencjalna refleksja, wspomnienie z młodości i zaczyn dłuższej opowieści, metafora i namysł antropologa. Zapiski te nie tylko informują o czasie pracy i miejscu pobytu fotografa-samotnika rodem z Trzcianki, one także przybliżają (nazywając) sfotografowaną rzeczywistość oraz definiują stany emocjonalne autora, wobec których naga fotografia jest najczęściej bezsilna. A może raczej niezdolna do samo-objaśnienia się, do nazwania tego co-w-kadrze, do przekazania odbiorcom wiedzy o tym co-poza-obrazem. Język fotografii w swej funkcji referencyjnej odsyła widza do rzeczywistych przedmiotów i zjawisk, ale pod ręką Bogusława Biegowskiego, no i w przypadku samego „Zielnika”, staje się medium poniekąd bezbronnym wobec obrazu-znaku, ale też medium niewystarczającym dla opisu i trafnego skomentowania tego-co-widać. Stąd nie dziwi świadome potężenie obrazu z tekstem. Wiele wskazuje na to, że – nawet jako eksperymentalna próba komunikowania się z odbiorcą – jest to potężenie uzasadnione i celowe. Przynajmniej w moim odczuciu. Zabieg ten, niekiedy ku szczeremu zaskoczeniu samego autora zdjęć, oferuje uczestnikom wernisażu nową jakość zdarzenia/aktu artystycznego, stwarza okazję do głębszego wejścia w kadr fotograficzny, a przez to dopuszcza do głosu poszerzającą sferę percepcji działanie, które nie tylko interesująco, ale i obiecująco wykracza poza horyzont banalnych uczynków literackich.

Kolejna sprawa – zapytajmy, jak za pomocą tych właśnie obiecujących zdarzeń literackich autor (jeżeli faktycznie to robi) charakteryzuje/określa siebie i swoje przebywanie w nieodległej przeszłości bytego już województwa pilskiego lub obecne przebywanie poza nim? Owo drobne zastrzeżenie – „jeżeli faktycznie to robi” – wynika z faktu, że piszący te słowa nie wie (bo i wiedzieć nie może, skoro nie przeprowadził na tę okoliczność socjologizującego wywiadu z autorem „Zielnika”), czy B. Biegowski, układając swoją wystawę, kompletując mające ją tworzyć obrazy, odczuwał potrzebę, aby cokolwiek charakteryzować w związku ze swoim wieloletnim przebywaniem w obrębie niegdyś-

szego województwa. Zakładając jednak, że taka okoliczność zaszała w obrębie warstwy tekstowej „Zielnika Pilskiego”, zresztą być może mimochodem, spróbujemy podjąć ten wątek ze zwykłej choćby ciekawości. Wbrew pozorom, zbiór niedługich i zupełnie krótkich odrębnych zapisków, które znalazły się pod pięćdziesięcioma fotografiami, tworzy w sumie dosyć pokaźny zestaw (patrz – Aneks) notatek, opisów i komentarzy. Ich niewątpliwie walor poznawczy, ale i – wspomniany już – walor literacki, uczyniły z wystawy coś w rodzaju opowieści, a nie tylko prezentacji. Spora doza autotematyzmu, jaki można dostrzec w tych odrębnych zapiskach, niezależnie od ewentualnych intencji autora (lub ich braku) pozwala odbiorcy (widzowi/czytelnikowi) zrekonstruować szczątkowy chociaż portret człowieka fotografującego oraz zebrać garść jego nieortodoksyjnych poglądów. Ten właśnie ujmujący brak ortodoksyjności, ta nieskrywana niechęć wobec jakichkolwiek fundamentalizmów czynią z Biegowskiego (czy tego chce, czy nie) osobę życzliwą światu, życzliwą lokalnej społeczności, obdarzoną naturalną skłonnością do empatii w kontaktach z drugim człowiekiem. Autor tych zapisków nie popada w taną egzaltację (gdy odwołuje się do mitologii byłego już województwa), ale też nie spogląda na tamten czas i tamtą krainę z pozycji bezlitosnego szydercy. Wszystkie jego próby oglądu tego, co było i tego, co jest (w momencie fotografowania), pełne są ciepła, zrozumienia, a nawet pietyzmu okazywanego do okolicznej rzeczywistości. W warstwie tekstowej „Zielnika” trudno doszukać się jakiegokolwiek agresji i niechęci (emocjonalnej czy werbalnej) wobec trudów własnego dorastania (niełatwe dzieciństwo, niezbyt komfortowa młodość) oraz wobec minionej epoki oraz ówczesnych realiów politycznych i gospodarczych, natomiast wiele tam dobrej energii, niemal życzliwości w obchodzeniu się z – nie tylko własnym – życiem i (będącą wspólną własnością) materią nieożywioną. Wszystko to razem przywołuje klimaty z krainy łagodności, nie tylko dzień po dniu wrażliwe w brutalny niekiedy porządek tego świata, ale i – co jest wartością samą w sobie – wyznawane każdym zapisanym zdaniem jako nieustający akt wiary. I jeszcze jedno – ukryte w zapiskach autotematyczne uwagi Biegowskiego mające związek z uprawianą przez niego sztuką fotografii, pozwalają lepiej zrozumieć związane z tym faktem jego ciągle rozproszone niestety poglądy i ważne konstatacje, które odnoszą się zarówno do teorii, jak i praktyki tej właśnie dziedziny ekspresji artystycznej.

Pozostała do krótkiego rozważenia kwestia ostatnia – w jaki sposób słowa z tych dopisków łączą się z jedną z stron ze światem przedstawionym (sfotografowanym), a z drugiej – ze światem wewnętrznym autora, na który składają się: pamięć, emocje, doświadczenie życiowe i wyznawany system wartości? Tylko tytułem odwołania się do źródeł napomknijmy tutaj o Ludwiku Wittgensteinie, którego wcześniejszy „Traktat logiczno-filozoficzny” oraz późniejsze „Dociekania filozoficzne” wywołały trwającą do dziś dwudziestowieczną dyskusję o pojmowaniu „łączenia się słów ze światem”. Różnym typom owego pojmowania, które zarysowują się już – odpowiednio – w „Traktacie” i „Dociekaniach”, można, jak twierdzi Jerzy Kmita, nadać nazwy: pojmowanie semantyczne oraz pojmowanie przyczynowe⁵. Nie brnąc dalej (z braku kompetencji piszącego te słowa) w rozważania czysto filozoficzne,

próbujemy w kilku zdaniach rozeznaczyć kwestię „Zielnika Pilskiego” wyłącznie na poziomie faktów i słów. Fakty – to stykowe odbitki, na których ukazana została „jakaś” rzeczywistość, miniona i teraźniejsza. Jest ona własną (nabytą z racji miejsca urodzenia i zamieszkania) rzeczywistością fotografa, wpisaną w historię jego życia. Stanowi też umowne (w znaczeniu odgórnej decyzji administracyjnej) ramy jego niegdyśszego świata, czyli województwa pilskiego. Słowa natomiast – zapisane i przypisane konkretnym faktom-obrazom tworzącym „Zielnik” – skierowane są do środka tego świata, choć powstały już poza nim. Na tym, jak sądzę polega owa łączność, wolna od artystowskiej kreacji i publicystycznej manipulacji, łączność biorąca swój początek w próbie nazywania tego-co-było (realność województwa pilskiego) oraz poszukiwaniem tożsamości w obrębie tego-co-jest (żywa mitologia miejsca w obrębie materialnych pozostałości obumarłej struktury). Ta sytuacja przypomina poniekąd kondycję miłośnika ruin starożytnej Grecji, który ogląda je, oswaja (fizycznie i mentalnie), który „przeżywa” ich formę i treść, idąc tropem mitologii starożytnych Greków, ale też mając świadomość, że ta mitologia rośnie się na stałe z ich prawdziwą i zrekonstruowaną po części historią. Tak to widzę, gdy myślę o materialnej rzeczywistości „Zielnika” oraz realności świata, do którego odwołują się (wracają) obrazy fotograficzne Biegowskiego. A świat wewnętrzny artysty? Emanacją tego, co ów świat zawiera, jak funkcjonuje i ku czemu (być może) zmierza są wypowiedziane wprost (niekiedy także metaforyzujące własny przekaz) uwagi i refleksje rozsiane po pięćdziesięciu odrębnych zapiskach umieszczonych pod pięćdziesięcioma wielkoformatowymi stykówkami. Można je badać i rozbiierać, a w końcu – idąc za Jerzym Kmitą – pojmować semantycznie albo przyczynowo. Ale to jest propozycja na inny tekst oraz zupełnie inną okoliczność. Teraz to już wszystko. Wszystko, co niżej (lub wyżej) podpisany uznał w „Zielniku Pilskim” za ważne, cenne, interesujące.

KRZYSZTOF SZYMONIAK



21 sierpnia 2009, Piła Główna
30. Pity jaskółki, 30. auto busem,
ale cegsto umiada, puciggiem. Tani
było, złygi na usłoni, wlok 22 43.
Na stępną był dopisto po 4, wano
Koc spłotem w gwałtemni pogoni
najgry, wlok 30. gwałtemni, wlok 30.
minimem, puciggiem.

5 Jerzy Kmita, *Jak słowa łączą się ze światem*, op. cit., s. 9.

Małgorzata Dorna
(Wendrychowska)

MIEJSCA AUTOBIOGRAFICZNE PERA OSCARA GUSTAWA DAHLBERGA

Przedemną niezwykły album: gruba, z lekka połyskliwa oprawa utrzymana w ciemnych błękitach, w bogatej tonacji mrocznych odcieni navy blue aż po te rozświetlone, kojarzące się z techniką dawnych mistrzów laserunku. Oprawa o specyficznej teksturze, przywodzącej na myśl powierzchnię palimpsestu, którą jeśli delikatnie zadrapać mogłaby odstąpić kolejne warstwy, zapowiadane w transparentnych, poruszonych plamach światła. Zatem okładka albumu zdaje się żyć życiem własnym, nieodgadzionym. Gdy wpatrywać się dłużej, z uwagą odstaniają się ukryte sensy, symbole. Centrum kompozycji to jasny prostokąt wypełniony finiszowym rysunkiem kłębiących się chmur, dalekiego aż po horyzont morza z miniaturową sylwetką statku, zapewne żaglowca. Na pierwszym planie forma geometryczna, przysuwająca na myśl skojarzenia z kawałkiem gęstej, niemal materializującej się na powierzchni wody bieli. Na owej bieli, która w świecie realnym mogłaby symbolizować unoszącą się na fali krę - sylwetka zabawnego, groteskowego tyżwiarza, surrealistycznego człowieka-ptaka, nastroszonego ptaszyska, z ramionami uniesionymi jak do lotu, zwróconego profilem ku owej jasnej poświacie umownie oddzielającej żywioł wody i nieba. Mamy tu zatem do czynienia z rodzajem nieco ironicznego, groteskowego, graficznego autoportretu, wszak cały album to przymysłnie skonstruowana autobiografia, złożona z ułamków prac, charakterystycznych dla autora inskrypcji, fragmentów odręcznych notatek, wycinków prasowych i owych roztańczonych, poruszonych, przestylizowanych liter, które kojarzą się z niepowtarzalnym stylem Pera.

Wydaje się zatem, że myślenie autobiograficzne wiąże się tutaj z silnie zakorzenionym w naszej europejskiej kulturze imperatywem autokreacji, tworzenia uporządkowanych w czasie form narracyjnych, umożliwiających prześledzenie pewnego procesu, procesu ewolucji wizerunków autora na różnych etapach życia, a także zmierzania się z własną tożsamością, z tożsamością wykreowanego, indywidualnego obrazu „Ja”. Nie jest to jednak tylko proces ukierunkowany na rejestrację faktów, ale przede wszystkim na ich reinterpretację, tym bardziej że w autobiografii pojawiają się momenty przetłomowe, sprzyjające transgresji, sugerujące konieczność przekraczania siebie samego poprzez spontaniczne, intuicyjne działania. I tak już na wstępie czytamy, że ów bohater z okładki, co to w momencie narodzin otrzymał nordyckie imię PER, oznaczające skałę lub kamień - tworzy własną, oniryczną opowieść o życiu, która jak osnuta tajemnicą baśń nie powinna być odczytywana dosłownie, jako dokumentalny zapis i takim zapisem rzeczywiście nie jest. Opowieść otwiera wyznanie, a dzięki towarzyszącej owemu wyznaniu oprawie graficznej - nabiera ono szczególnego, metaforycznego znaczenia. „Urodziłem się w lasach pośród omszałych kamieni i głazów” - czytamy na jednej z pierwszych stron i mamy prawo domyślać się, że były to lasy Północy, mroczne i tajemnicze, zamieszkałe przez Chochliki i Elfy tak bliskie metaforyce skandynawskiej baśni, w której kamień może zostać obdarzony walorem duchowego przeżycia (jak cała Natura, jak oniryczne, zrodzone z wyobraźni pejzaże) i toczyć się we właściwym sobie rytmie po wybranych

przez siebie, ginących we mgle i w świetle odległych traktach, zarośniętych ścieżkach i drogach. Narodziny to moment inicjacji, postrzeganej z filozoficznej perspektywy upływających lat jako świadome wejście w przestrzeń godną codziennego oswajania, przejście przez portal otwierający Wrota Czasu ku temu, co momentalne, zwodnicze i piękne, prowadzące ku miejscom nieznanym jeszcze, wysnionym, znajdującym się na granicy lub poza granicą Wszechświata. Urodzić się pośród omszałych kamieni (jak czyni to kamyk doświadczający nieustannego ruchu, przedkładający wędrówkę nad trwanie) to także zaakceptować istnienie odwiecznej Tajemnicy, mchy bowiem porastają znieruchomiłe głązy, którym dane jako milczącym, niewzruszonym świadkom istnienia tworzyć własną historię, snuć własną narrację, opowieść o tym co wobec ich odwiecznego trwania - poruszone i zmienne.

Na stronie siódmej albumu, w centralnym punkcie utrzymanego w szarościach i czerni szkicu, owej kompozycji otwartej, celowo pozbawionej ramy - wizerunek człowieka w ciemnych okularach i kapeluszu, wizerunek będący psychologicznym studium osobowości, odwołującym się (dość przewrotnie) do konwencji niemal realistycznego zapisu. Tuż obok, rozkołysana na wysokich łąkach lub może na młodej, smukłej gałązce, przypominająca rzuconą na papier, przypadkową plamę - sylwetka nastroszonego, radosnego Diablika, miłośnika żartu i psoty. Miejsce autobiograficzne, naznaczone piętnem obecności tego, kto je tworzy - prowokuje do budowania własnej kosmologii, której zarys sugerowała okładka.

To właśnie tam, na okładce zapisanej na zawsze w pamięci odbiorcy, na grzbiecie zamyślnego jednorożca polatywała wiedźmicha, tam unosiły się napowietrzne ryby i słynne Sopotaki, uskrzydłone, dwunożne istoty, spełniające poetyckie marzenie o laryjskim locie w błękitach. Tam wreszcie pojawia się po raz pierwszy ów Diablik, łączyący cechy męskie i żeńskie, diablik o twarzy ukrytej pod maską lisa lub wilka. Tak, więc każda ze stron albumu to otwarcie kolejnego okna wiodącego ku osobnym światom artysty, każda ze stron prowokuje odkrywanie kolejnej warstwy zręcznie zakamuflowanego palimpsestu, którym to mianem należałoby określić całość autobiografii. „Per zdecydował narodzić się kamieniem” - powraca myśl, którą można by potraktować jako swoiste credo, przyjęte już na początku drogi. Jednak credo nie byłoby pełne bez charakterystycznej dla Pera autoironii, bez groteskowych skojarzeń, bez lekkości, finezji dowcipu, anegdotycznych komentarzy, bez owej wyszukanej urody paradoksów i pełnego rezerwy spojrzenia narratora, zdającego się patrzeć uważnie, „chłodnym okiem”, narratora krytycznego wobec własnych artystycznych poczynań. Co więcej za sprawą specyficznej techniki zapisu, nagromadzenia wycinków, detali, inskrypcji - każda ze stron epatuje świeżością niedopowiedzeń i objawianych spontanicznie treści.

Kolejne karty to zapiski z Cambridge postrzeganego nie tylko z perspektywy mostu, ale także przez pryzmat owych „leśnych notatek”, które jeszcze nie zdążyły wybrzmieć, podczas gdy już pojawiają się nowe, dokumentujące widzenie świata z odmienną, mimo że nadal zabarwioną groteską perspektywą. Tam w dziewiczym lesie Północy pojawia się odziany w jasny trykot jak tancerz, Wagabunda unoszący się na rękach, jak kuglarz lub akrobata, w pozycji „upside down”. Tutaj na moście zatrzymuje się już elegancki ubrany młodzieniec, gentleman w cylindrze, co prawda tylko w jednym bucie, ale to tylko metafora. Per przełamuje konwencję, kwestionuje utarte poglądy, przyjmowane „na wiarę” fakty. Sprawdza, bada, obserwuje, doskonalą rysunek i styl. Z tego okresu pochodzi „Zielnik botanicznych ogrodów Cambridge”. Każdy rysunek, każde studium motywu roślinnego przypomina kunsztowny miedzioryt lub grafikę wykonaną w technice suchej igły. Podczas jednak gdy grafikę można powtórzyć wykonując odbitki z podłożonej pod prasę płyty - rysunek okazuje się tworem niepowtarzalnym, jedynym.

Schyłek lat siedemdziesiątych miniego stulecia to dla Pera czas poszukiwań, eksperymentów formalnych, czas odkrywania magii konkretnych miejsc, prowokujących do nawiązania dyskursu z przeszłością, z pojmowaną w sposób nieco karykaturalny, prześmiewczy, a także bardzo subiektywny, osobisty - historią. W tym okresie istotnym wydarzeniem okazuje się ekspozycja 10 czarno-białych kompozycji w Teatrze Narodowym w Londynie. Doświadczenie pozostawiające mocny, wyrazisty ślad na dwóch kartach albumu, dokumentujących proces teatralizacji i odkrywania umowności surrealnych przestrzeni. Proces ten prowadzi ku nowym, tworzonym z rozmysłem aspektom gry. Bowiem to właśnie spotkanie z odbiorcą dzieł opartych na wyrafinowanym pomysłach, koncepcjach staje się zazwyczaj rodzajem gry, tym bardziej intrygującej że autor posługuje się kodem i kod ten powinien adresat odczytać. I tak przed oczami odbiorcy otwiera się wielopoziomowa, symultaniczna jak w misterium scena. Na proscenium, w dolnym fragmencie kompozycji korowód roztańczonych postaci ze świecznikami i pochodniami w dłoniach, postaci skaczące po kamieniach, „komediantów” pograżonych w rytualnym, ekstatycznym tańcu. Górą polatujące kartki, miniaturowe wizerunki bohaterów spektaklu, projekcje kostiumów, rekwizytów, fragmentów scenografii. To właśnie tutaj na teatrum, na scenie osadzonej w kulturowym pejzażu miasta manifestuje swą obecność szereg symboli, odwołujących się do zapisanej gdzieś w podświadomości wiedzy współczesnego Europejczyka. Otwierają się tajemnicze czeluście, otchłanie tak bliskie romantycznemu wyobrażeniu, wznoszą się sklepienia leśnych, gotyckich katedr, tutaj migoczą gwiazdy pod czarną kopułą nieba, tutaj wreszcie polatują wiedźmichy i diabliki na tle ogromnej tarczy księżyca. Swoistym punktem odniesienia dla owych metafizycz-

nych przestrzeni staje się znana już widzom sylwetka wędrowca, samotnika, cieszącego się wolnością przedstawiciela Bohemy. Waga buda staje więc na Theatrum Mundi, przemierza świat i to jego coraz to bardziej zaskakujące, niezwykle doświadczenia stanowią oś autobiograficznej narracji.

W 1981 powstaje teka rysunków dedykowanych Frazowi Kafce. Tytuł „Description of a struggle” (opis walki, być może również zmagania, konfliktów, niezgody) odzwierciedla nastój i tematykę owej prozy demaskującej tragizm egzystencji i samotności, wyobcowania człowieka. Kafka mistrz literackich miniatur spotyka tu mistrza miniatur „graficznych”, miniatur zachowanych i ujawnianych, podobnie jak literatura poprzez medium papieru, zapisanych w czasie uniwersalnym czyli właściwie poza czasem realnego życia.

W dziennikach intymnych Kafki, podobnie jak w jego listach do Felicy – Praga jawi się jako miejsce fascynujące i przerażające zarazem, miejsce nieprzypadkowych ulicznych spotkań, odbieranych przez pisarza jako magiczne, znaczące. W swym wewnętrznym przekonaniu – Kafka nie utożsamiał się z żadną, konkretną narodowością, mimo to dawał dowody (zapisane w krótkich notatkach i hiperbolicznych powieściach), że Praga jako tygiel wielobarwnych kultur to klucz do „rozumienia lęku i przemocy”, klucz do odkrywania przemożnej samotności, nocnych, zmysłowych doświadczeń, bezcelowych spacerów, kiedy to zaciera się granica między jawą i snem, a życie staje się przerażającym, momentalnym zdarzeniem. Zapewne właśnie z powodu bliskości psychicznych, intelektualnych doświadczeń w kafkowskich interpretacjach Pera (filozofa i erudyty), zapisanych na kartach albumu – autoportret rysownika nakłada się na wizerunek fragmentu ciemnego pokoju (egzystencjalnej pułapki) z oknem otwartym na kawałek architektury przynależnej do równie mrocznego i tajemniczego, nieprzyjaznego miasta. Oto spiętrzone kamienice o wydłużonych, naznaczonych płynnym konturem profilach, o secesyjnych dachach dotykających chmurnego, poruszonego, przeszytego wiatrem nieba. Schody, zaułki, podesty, poetyka ciasnych podwórek i korytarzy – wszystko to, co w tekstach Kafki rozrasta się w metaforyczną przestrzeń wszechobecnych urzędów, sądów, wrogich człowiekowi wymiarów, w tym także „wymiaru sprawiedliwości”. Przestrzeń zamknięta, tworząca egzystencjalną pułapkę dla znieruchomiałych postaci wszechwładnych urzędników, przyczajonych w milczącym oczekiwaniu aż w surrealistycznym milczeniu spełni się groza sądu i ostatecznego wyroku.

Wnikliwe spoglądanie na zapisane w rysunkach i na obrazach miejsca, postrzeganie ich przez pryzmat wyobraźni wędrowca i kreatora tych kameralnych, poetyckich światów, wyobraźni romantyka i surrealisty, w istocie nieograniczonej, nieokiełznanej, pozostawanie w nieustannym kontakcie z czującym organizmem Natury – oto szansa na odkrywanie tego, co w pracach Pera nieodgadnione, ulotne. Niekiedy jest to zejście ku głębiom oceanów (tak dzieje się w przypadku „Tańca wielorybów”, ekspozowanego i nagrodzonego w Filadelfii) niekiedy jest to polatywanie w przestworzach, zanotowane w autobiografii z delikatną domieszką ironii, bez patosu i megalomanii, jak w momencie dokumentującym otrzymanie rekomendacji na studia doktoranckie w Royal College of Art. Warto tu zwrócić uwagę na fakt, że nagrodzony „Taniec wielorybów” to diaporama, dzieło prezentowane w trudnej, multimedialnej technice płynnie przenikających się obrazów, w ra-



mach której dźwięk zsynchronizowany z wizualnym zapisem, wyświetlanym na ekranie z kilku rzutników – tworzy nierozrwalną całość plasując się gdzieś pomiędzy filmem, animacją i tradycyjnym pokazem fotografii lub slajdów. I tak widzimy najpierw głębiny oceanów, przytłumy i odpływy w srebrzystej poświacie księżyca, dalej tagodne, płynne ruchy inteligentnych, morskich ssaków by na kolejnych kompozycjach malarskich zobaczyć ślady brutalnej ingerencji człowieka. Teraz tonacja błękitów i bieli zostaje naznaczona czerwienią, zwiastującą śmierć, upadek owych niezwykle istot, których piękna, języka i niemal mistycznej obecności nie potrafimy należycie docenić. Znamienny okazuje się fakt, że każda z cyklu prac Pera niesie w sobie przesłanie literackiej narracji, opowieści stanowiącej subiektywny zapis opowiedzianej historii, przekazywanej nie tylko w sposób bardzo poetycki i „malarski”, ale także w sposób charakterystyczny dla prozy poetyckiej, noweli, opowieści.¹

W tego rodzaju tekstach odnaleźć można liczne odmiany miejsc autobiograficznych. Bywają związane z materialnym konkretem, punktem zapisanym na mapie, bywają i takie, które okazują się miejscami wymyślonymi, wyśnionymi, takimi z którymi

artysta pragnie się utożsamiać i którym on sam przydaje znaczenia. One to właśnie powracają w onirycznych zapisach, naznaczonych piętnem marzenia, przecucia. Przyjmuje się również, że istnieją miejsca posiadające własną symbolikę oraz mitologię, podczas gdy inne bywają wykreowane przez twórcę dla potrzeb jego dzienników, pamiętników, wspomnień i one to właśnie zostają udokumentowane materiałem ikonograficznym, takim jak fotografie, wycinki prasowe, plakaty, szkice, rysunki, plany. Istnieją zatem miejsca związane z drogą, podróżą, istnieją jako swoiste „punkty zatrzymania”, ważne chociażby za sprawą owego Genius Loci, pojmanego dość uniwersalnie jako Duch Miejsca oraz jako przestrzenie szczególne, traktowane w kategoriach „punktu odniesienia”.

Dla Pera takim biograficznym punktem, punktem ku któremu (w trakcie swojej wędrówki przez życie) zwraca się wielokrotnie okazują się nie tylko lasy dalekiej Północy, gdzie pośród omszałych głazów i starych drzew artysta zainicjował swą drogę, swój osobisty trakt, ale także stolice europejskie, światowe metropolie pokazywane (jak chociażby Nowy Jork z 2011 roku w czasie uderzenia huraganu Irene) w momentach szczególnych, znaczących. To właśnie na temat tego niezwykle doświadczenia artysty wypowiada się w jednym z wywiadów, udzielonych dla trójmiejskiej prasy: „Udało mi

2 Malgorzata Czermińska, *Miejsca autobiograficzne, propozycja w ramach geopoetyki, Teksty Drugie, Nr 5 (131) 2011*

1 „Taniec wielorybów” był wielokrotnie nagradzany: International Gold Ami Award 1982 Paris,

Chelles /European Multi images Bronze Award 1990; Silver Production Award and Artistic Award European/international Multimedia 1993; GOLD All categories; AMI INTERNATIONAL SILVER ARTISTIC AND PRODUCTION BRONZE ARTISTIC/PRODUCTION

się twardą linię drapaczy chmur sprowadzić bliżej natury, jako że w naturze nie ma linii prostych. Nowojorskie drapacze stały się nagle totemami. Warto było iść ich szlakiem, by odnaleźć ku mojemu zaskoczeniu w Central Parku marionetkowy teatrzyk, usytuowany w szwedzkiej, drewnianej chacie.¹³ Niszczące podmuchy Irene odstaniają to, co ukryte. Drapacze chmur jako totemy wiodą ku genezie miejsca, zamieszkiwanego pierwotnie przez Indian, litery rozsypują się w mniej lub bardziej czytelne kalambury i anagramy, formy budynków z metalu i szkła przestają nagle nawiązywać do kultury popularnej, masowej. Wizerunek Nowego Jorku zaczyna żyć życiem własnym, odstaniając wielość swych utajonych, poznawalnych intuicyjnie skojarzeń. Na jednym z rysunków Per utrwała surowy portret Indianina, zdecydowany walorowo profil o mocnym spojrzeniu spod przymrużonych powiek i twarzy legendarnego, zapisanego w naszych wyobrażeniach wodza. Towarzyszą mu odwieczne atrybuty władzy i Wiedzy Tajemnej: ptak, wąż, pióropusz oraz cały zbiór roślin, zapewne przydatnych w ludowej medycynie, w magicznych obrzędach, w zielarstwie. Daleko w tle majaczy „typowy”, pozornie znany z fotografii, przewodników i ulotek, mityczny niemal obraz miasta, obraz z narodową flagą, żółtymi taksówkami i zarysem budynków utrzymanych w nieśmiertelnym, urzekającym stylu Modernizmu i Art-Deco.

Podobnie jak Nowy Jork sprzed lat, tak wcześniej, bo już przed 2002 w wyobraźni Pera – zapisuje się Paryż, miasto do którego artysta powraca wielokrotnie, przestrzeń jawiąca się nie tylko jako stolica europejskiej, światowej kultury, ale także jako „gęstwina symboli”, przestrzeń z której ciągle jeszcze emanuje głęboki sens poezji Baudelaire i Rimbauda oraz Duch ledwie uchwytny, romantycznej urody muzyki Chopina, którego twórczości szwedzki artysta poświęcił był malarski cykl, przedstawiany w unikalnej formie diaporamy. Być może właśnie dlatego, z powodu owych wcześniejszych doświadczeń – w paryskich kompozycjach Pera czas podświadomie ulega spowolnieniu, wszystko dokonuje się tutaj w swobodnym tempie spaceru, rytmu wędrówki po ulicach miasta, w poetyckim, w pełnym melancholii zamyśleniu. Widzimy zatem Paryż kameralny, pokazany przez pryzmat nakładających się onirycznych wyobrażeń, nazywanych nie tylko sekwencjami rysunków, ale także „intelektualnym konstruktem”.

Przed oczami odbiorcy jawi się zatem skondensowana i syntetyczna panorama, pokazana raz z oddalenia, kiedy indziej – w punktowych zbliżeniach, poprzez specyfikę architektonicznego detalu. Paryski album otwiera celowo prosty, utrzymany w konwencji pastiszu szkic, zbudowany z kilku płynnych, splecionych i przenikających się wzajem linii, zatytułowany hasłowo: „Notre Dame de Paris”.

Dalej, na kolejnej stronie już bardzo wnikliwe, kojarzące z prozatorskimi narracjami Marcela Prousta – rysunki i szkice. Wizerunki miasta odkrywanych w kolejnych odśrodkach, w których pokazuje się ten sam motyw na kilka możliwych sposobów. Bywa zatem, że oglądamy podskórną tkankę Paryża przez pryzmat różnorodnych nastrojów, poprzez urodę owych ledwie uchwytanych, momentalnych doświadczeń, w których ciekawość i uważność graniczą z pasją, fascynacją, zauroczeniem. Powraca znowu myślenie kategoriami palimpsestu, gdzie spod powierzchni zda się już skończonego obrazu wyłaniają się utajone sensy, ewokując możliwe skojarzenia i interpretacje.

3 Wypowiedź Pera Oscara Dahlberga cytowana za: Gabriela Pewińska, *Dziennik Bałtycki*, 29 IV 2019



Oswajamy zatem finezyjne, koronkowe kontury budowli, ozdobne i roztańczone, rozedrgane, wlatujące swobodnie ku niebu. Tak, więc katedra i miasto nad dachami którego odbywają się rytualne tańce czarownic to zaufki i bramy zamknięte ozdobną bordiurą, pomniki i budowle sakralne, place i biblioteki, wieżycy i poruszone, gotyckie maskarony i rozety, formy strzeliste i zwiewne, wysmukłe ostrołuki i łagodnie, rozbielone wizerunki mostków, pokazanych w zbliżeniu lub w miniaturze, w dalszej perspektywie.

Pamiętam, że mój pierwszy, wrażeniowy, przesycony intuicyjnym zachwytem kontakt z twórczością Pera to postrzegany na nowo Sopot, wówczas enklawa odmienności w zunifikowanym świecie, doświadczana w momencie epifanii, nagłego objawienia, w momencie zauroczenia właściwego dla przybysza z odległych stron: artyści, filozofa i erudyty. Zauroczenia specyfiką miejsca i upływającego w zwolnionym tempie, onirycznego, baśniowego czasu. Zatem Sopot z ostatnich dekad minionego stulecia – miasto artystów i artystycznej Bohemy, owa spokojna, senna (poza wielobarwną, rozmiętą i rozdokazywaną porą wakacji) kraina otulona grubym płaszczem nadmorskich mgieł i morenowych wzgórz, głęboką zielenią omszałych wawozów, leśnych traktów i dróg. Gdy podejmuję podróż ku odtłoniom własnej pamięci – patrzę uważnie na górne piętra sopoekich, secesyjnych kamienic, których obecność lub może tajemnego ducha owej obecności odkrywał jeszcze w latach dziewięćdziesiątych przed oczami zadziwionych mieszkańców Per Dahberg. Jego rozedrgane, roztańczone, naznaczone finezyjnym, koronkowym konturem wizje starych kamienic, jakby przeniesione

z onirycznych, baśniowych ogrodów otaczały mnie uroklivym kręgiem przez lata. Każdy rysunek lub obraz opowiadał własną historię, w każdym objawiał się wyjątkowy Duch miejsca i czasu. Miejsca tęczącego żywiołu obdarzonej utajonym życiem materii z żywiołem powietrza, usianego muszlami piasku z kolorytem chłodnego, kapryśnego morza. Miejsca budzącego żywioł starych drzew zanurzonych koronami w spokojnych czeluściach błękitu, z koroną korzeni zwróconą ku dołowi, czerpiącymi moc z rozpalonego wnętrza planety.

Jakże pusty byłby świat, gdyby w naszej wyobraźni i subiektywnych odczuciach nie pojawiały się miejsca szczególne, pozwalające dostrzec to wszystko, wobec czego pozostawilibyśmy obojętni na co dzień, a co dopiero objawia się przed naszymi oczami niespodziewanie, „na błysk”, zazwyczaj dzięki pracom wybitnych artystów, dziełom które w nagłych przebiegach świadomości pozwalają odkryć nową perspektywę i głębię mistycznego widzenia. Tekst ten to forma podziękowania dla Anny i Pera za możliwość doświadczania Sztuki tej wielkiej przez wielkie „S”, za możliwość bywania w ich pierwszej sopoekiej pracowni, w której miałam przyjemność oglądać diaporamę poświęconą Chopinowi, za odkrywanie onirycznych, baśniowych światów, zaludnianych przez wiedźmy, omszałe kamienie, duchy uroczysk i lasów dalekiej Północy oraz Sopotaki, surrealne, wielobarwne ptaszyska o długich, odzianych w pasiaste pończochy nogach, Sopotaki których skrzydlatej obecności miasto dedykowało zaprojektowany przez Pera mural.

MALGORZATA DORNA (WENDRYCHOWSKA) MAJ 2025

Marek Wawrzekiewicz

OKRUCHY (10)

Dean Martin, szeryf z Rio Bravo, zszedł na alkoholowe dno z powodu kobiety. Kiedy z pomocą Johna Wayne'a wydzwignął się na powierzchnię i odzyskał sprawność rewolwerową, zapytany o fatalną kobietę, odpowiedział: Zapomina się...

Pięćdziesiąt lat temu poznałem w Leningradzie pewnego słabego poetę, który był bardzo dobrym człowiekiem. Opowiedział mi, jak porzuciła go ukochana dziewczyna. Bardzo cierpiał, ale jednocześnie miał jedno pragnienie – chciał, aby w nowym związku była szczęśliwa. Zapytałem go: A ty? Co z tobą? Odpowiedział: Nieważne. Może kiedyś się przyzwyczaję.

Nie pamiętam, czy wiersz pod tytułem „Odwykam od ciebie” napisałem po słowach fikcyjnej postaci z westernu i realnego człowieka z Leningradu, ale prawdopodobnie powtórzyłem ich uczucia.

Zapamiętuje się. Czasem mniej ludzi, a bardziej ich słowa. Niepotrzebne, bolesne, tkwiące w pamięci jak zardzewiały gwóźdź.

* * *

W obawie, że się powtórzę, czytam stare zapiski z tego cyklu i budzi się we mnie poczucie żalu, pretensji do samego siebie. Bo nie wspominam wielu ludzi naprawdę ważnych – co nie znaczy, że mniej ważni są ci, o których piszę. Ale i tamci w pewnym sensie wyposażyli mnie, powiedzieli coś, o czym niby zapomniałem, ale co wpłynęło na mój sposób myślenia, na pojmowanie świata i ludzi. Ale za to przypłatuję się niepotrzebnie coś – jakiś fragment wiersza, przysłowie czy kawałek piosenki – i natrętnie towarzyszy przez kilka dni. A potem ustępuje na rzecz kolejnego natręctwa.

Moja krewna z łańcuta opowiedziała mi o podsłuchanej przed kościołem rozmowie:

- Ja to na dziewiąte nie chodzę, na siódme chodzę. Ludzi mało, to sobie w ławce usiądę, różaniec sobie, kurwa, odmówię...

Przed wieloma, wieloma laty. Spotkanie z Krzysiem Mętrakiem w kawiarni Domu Literatury;

-Marek, masz paczkę? (chodziło o sto złotych)

- Mam.

- A dwie?

- Mam.

- A trzy?

- Krzysiu, trzeba było zacząć z wyższego poziomu.

I pożyczyłem mu paczkę. Po trzech dniach oddał. To dlaczego ja to pamiętam? Przecież pamięć można zagospodarować rozsądnie!

* * *

No właśnie. Nie można tego postrzątać, pozamiatać pamięci.

Upalny czerwiec, ulica Mokołowska. Podchodzi do mnie mężczyzna w wieku średnim, ogolony, schludny.

- Najmocniej przepraszam szanownego pana. Czy może mi pan zaufać na dwa złote?

Zaufałem.

Jesień, wieczór, czekam na tramwaj. Podchodzi inny, z wyglądu gorszy. Wyciąga jakieś papierki, pokazuje, snuje opowieść

o chorobach go nękających. Brakuje mu na lekarstwo. Znajduję w kieszeni płaszcza 5 złotych. Odchodzi. Wyciąga komórkę – a było to wiele lat temu i takie telefony nie były w powszechnym użytku. Namawia jakąś panią na spotkanie w okolicach Mostu Poniatowskiego. Powiada, że pieniądze już trochę ma.

Robi się zimno, zakładam czapkę, podnoszę kołnierz. Chory amant zbliża się, zaczyna opowiadać o swoich kłopotach. Przerywam, mówię, że już zawarliśmy pewną transakcję. Patrzy na mnie wściekłym wzrokiem:

- Dlaczego pan kłamie? Skąd ta podła obłuda?

Mój pociąg odjedzie za dwadzieścia minut. Wychodzę przed dworzec, zapalam. Podchodzi osobnik w silnym stadium bezdomności, dla którego mydło i golarka są odległym, mglistym wspomnieniem, prosi o papierosa. Daję. Patrzy z niesmakiem: - takie cienkie? Proponuję, że pójde do kiosku, kupię grubsze.

-Nie trzeba. Mogię dwóch?

O, mowo polska!

* * *

Miał Zbyszek skłonność do refleksji filozoficznych, a nawet eschatologicznych. Pytał sam siebie: jak żółwie zdążą na Sąd Ostateczny? I sam sobie odpowiadał: one wcześniej wyjdą.

Początek marca, Dom Literatury, promocja wierszy wybranych Zbigniewa Jerzyny. Zadał o wydanie tego obszernego tomu syn poety, Marcin. Liczna publiczność, połowa z tych ludzi znała Zbyska i chętnie o nim opowiadała.

Prawie 15 lat temu żegnałem go na Cmentarzu Powązkowskim. Koniec listopada, spadł obfity śnieg. A dwa tygodnie wcześniej ukazał się ostatni tomik Zbyska. Nosił tytuł „Saneczki”.

Przypomniałem sobie mały wierszyk Jerzyny:

O, przyjaciele z biesiad,

Było was tak wielu!

A teraz nie ma

I tyczki od chmielu.

* * *

Kilka dni temu dowiedziałem się o śmierci Witka S. W moich tódzkich, radiowych czasach bardzo często angażowałem go do czytania na antenie wierszy i prozy, do słuchowisk, programów rozrywkowych. Wszędzie był znakomity, a w dodatku pięknie śpiewał. Był gwiazdą. Potem przeniósł się do Warszawy, zagrał kilka mało znaczących ról i zniknął. Przyciśnięty do blasku innych gwiazd, utonął w morzu koneksji, układów, rywalizacji. Podzielił los wielu innych aktorów, muzyków, pisarzy, artystów. Niektórzy są wśród nas. Pogodzeni z losem, ale częściej zgorkniali, wiecznie wspominający lata sławy, mówiący o tych, którzy kiedyś im do pięt nie dorastali, a teraz są w awangardzie.

Staszek Mikulski (używam zdrobnienia, bo dobrze się znaliśmy, byliśmy na ty) nigdy nie wyzwolił się z niewoli kapitana Klosa. To z jednej strony smutne, ale z drugiej... daj Boże każdemu – być zapamiętanym z jednej roli przynajmniej przez dwa pokolenia.

Janusza Gajosa widziałem pierwszy raz

na sennie Teatru Jaracza w Łodzi w tytułowej roli „Mojego biednego Murata” Arbusowa. Napisałem pochlebną recenzję ale pomyślałem: tądny, drewniany chłopiec. Jakże się pomyliłem! Gajos wyzwolił się z „Czterech pancernych” i z woźnego Tureckiego. Jest taki, jakim go każdy widzi, potrafi zagrać wszystko na najwyższym aktorskim poziomie.

Od lat mam w pamięci telewizyjny spektakl według „Zbrodni i kary” Dostojewskiego i rolę Jerzego Stuhra. Jego Porfirij Pietrowicz jest skrupulatnym, dociekliwym sędzią śledczym, który systematycznie zbiera dowody prowadzące do skazania mordercy. Ale w trakcie dochodzenia do prawdy rośnie w nim zrozumienie jego motywów, budzi się w nim coś w rodzaju współczucia. Ten proces psychologiczny zachodzący w sędzi śledczym rysowany jest subtelny, dyskretny, środkami skrupulatnymi, bez najmniejszej przesady w intonacjach, w mimice. Jest czymś w rodzaju aktu narysowanego najcieńszym ołówkiem na białym kartonie. To arcydziełny przykład sztuki aktorskiej.

Zastanawiałem się, czy po takiej kreacji aktor ma prawo zagrać komediowego Maksa w „Seksmisji” Machulskiego. Tak. Wielcy aktorzy mają takie prawo.

* * *

Prawie dwadzieścia lat temu mój przyjaciel wydawca poprosił mnie o zaopiniowanie tomiku wierszy młodego poety. Zabrałem się do tego bez zapału, ale z każdą przeczytaną stroną byłem coraz bardziej zapalony: dawno nie czytałem wierszy tak biegłych warsztatowo, dowcipnych, ironicznych i autoironicznych, brawurowych. Zadzwoń do wydawcy ze smutną wiadomością: musisz tę książeczkę wydać. I stało się, tomik wyszedł.

Autor dowiedział się kto go rekomendował, przyszedł do mnie z podziękowaniem. Rozmawialiśmy. Starłem się dowiedzieć – skąd jest, z jakich lektur, z jakich poetyk i poetów. Padaty różne nazwiska, powiedziałem: Jastrun. Młody poeta ożywił się: - tak, Tomasz Jastrun, czytałem. Powiedziałem, że chodzi mi o Mieczysława. - Nie, nie słyszałem – odparł poeta.

Swoją drugą czy trzecią tomik wystawiłem Mieczysławowi Jastrunowi z dedykacją: Mojemu Mistrzowi i Nauczycielowi...Dwa tygodnie później odpowiedział mi uprzejmym i pochlebnym listem, ale stwierdził, że nie uważa się za mojego nauczyciela, bo w książeczce niczego własnego nie zauważył. Pan Mieczysław chyba się mylił, bo przynajmniej trzech piszących o moich wierszach krytyków twierdziło, że jest w nich „Jastrunowski motyw przemijania”.

Żarna czasu miały szybko i niesprawiedliwie. Lat temu trzydziście Mieczysław Jastrun słusznie uważany był za wielkiego, dziś nie znają go nawet zdolni młodzi poeci.

* * *

Trzymam w ręku pachnący jeszcze farbą drukarską mój tomik wierszy wybranych p.t. Stary dom. Są w nim wiersze wyłącznie rymowane, niektóre mają przeszło 60 lat. Czy miałem prawo wydać taki tomik złożony z wierszy, bardzo lirycznych, bezwstydnie otwartych? Nie jestem pewien. Ale biorę

PROZA → do ręki tom Jastruna. Skoro mógł tak pisać
mój nauczyciel...

Przeniknęłaś mnie ostro, do krwi,
Wszedł we mnie twój krajobraz :lato
Z pszenicami swymi, z ogrodami,
Wszedł we mnie, jak w dom wchodzi lato
Przez okna otwarte i drzwi.

...I długo patrzałem suchymi oczami
Na żniwo naszej krwi,
Na ścięcie kwiatów.

* * *

Przeczytałem gdzieś, kiedyś: niczemu
nie jesteśmy winni i nic nie jest naszą zasługą
Po kilku tysiącach lat poezji każdy wiersz
może się okazać zapożyczeniem, a nawet
nieświadomą kradzieżą..

* * *

To chyba nic dziwnego, że w moim
wieku cmentarze stają się ulubionym te-
matem. .

W Wilnie na Rossie byłem dwukrotnie,
zimą i latem. Tę pierwszą wizytę wspomi-
nam jako koszmar. Był śnieg i lód, a ja
w eleganckich pantoflach. Ze wspinaniem
się na cmentarne pagórki było jako tako,
ale podróży powrotnej nie odbywałem na
nogach. Letnia przechadzka po Rossie była
już świadoma. Ten cmentarz jest zapisem
polskiej historii, długiej i pięknej. Ale wyznać
muszę, że większe wrażenie wywarł na mnie
inny wileński cmentarz, którego nazwy nie
pamiętam. Dwa albo trzy razy mieszkalem
w jego najbliższym sąsiedztwie i za każdym
razem chodziłem po zaniedbanych ścież-
kach. Na nagrobkach i tabliczkach widniały
nazwiska ludzi, którzy je nosili: Litwinów, Po-
laków, Rosjan, Żydów, Ukraińców, Białorusi-
nów, Niemców, Tatarów, Karaimów. To też
historia tego miasta.

Dawno, dawno temu po raz ostatni
byłem na cmentarzu w Komarowie. Jest
położony w lesie, kilkadziesiąt kilometrów
od Petersburga, niedaleko do Zatoki Fińskiej.
Znajduje się tam mogiła poetki wielkiej –
Anny Achmatowej. O jej pogrzebie Jew-
gienij Jewtuszenko napisał przetłumaczony
przeze mnie wiersz z frazą: „i widniał nad
nami surowy i biały, patrycjuszowski profil
Achmatowej”.

Co najmniej dziesięć razy rocznie by-
wam na dwóch cmentarzach powązkow-
skich – katolickim i wojskowym. Na tym
pierwszym idę aleją zasłużonych. Zaczyna
się od mogiły Reymonta, a potem Staff,
Wierzyński, plejada aktorów, malarzy, archi-
tektów, artystów opery i baletu. Przy grobie
Jana Kiepury skręcam w prawo i po kilku
krokach jestem przy moim grobie rodzinnym.
Dość daleko stąd jest mogiła, nad którą
żegnałem Zbyszka Jerzykę.

Na tym drugim powązkowskim cmen-
tarzu, wojskowym czyli komunalnym są też
aleje zasłużonych. Nad grobem Władysła-
wa Broniewskiego czytałem kiedyś wiersze
poety, wspominałem Andrzeja Struga nad
jego mogiłą. Tu przemawiałem na pogrze-
bie Piotra Kuncewicz, Romka Śliwonika
i Wojtka Siemiona. Przypomniałem sobie, że
w ostatnich kilkadziesiąt latach byłem na
pięciu weselach i przeszło sześćdziesiąt
pogrzebów. I trzydziści razy mówiłem nad
grobami. Znam przyjemniejsze zajęcia.

W czasie mojego pierwszego pobytu
w Chinach jechałem pociągami z jakiegoś
nadmorskiego miasta do Szanghaju. Zapy-
tałem towarzyszącego mi tłumacza o mi-

jane przy torach niewielkie kopczyki ziemi
zwieńczone kamieniami. Wyjaśnił, że są to
groby. Jeśli się nie mylę, z olbrzymiej prze-
strzeni Chin tylko 7% jest ziemią uprawną,
nie można więc sobie pozwolić na rozrzu-
cenie w postaci wielkich cmentarzy. Ale za
to duch zmarłych żyje w chińskich domach
i pamięć o nich jest żywa. Są mieszkańcami
tych domów.

* * *

Mozolnie i długo – z powodu choroby
– piszę tom szkiców o Wistawie Szymborskiej
i o tym jak jej poezja odbijała się w twórczo-
ści innych poetów. Znajduję wiersz Tadeusza
Kijonki „Na zawsze. Zapis pamięci Wistawy
Szymborskiej” z zakończeniem:

Nie, już się nie przebudzi, zasnęła na
zawsze

Z tym uśmiechem ostatniej tajemnicy
życia.

Już ani słowa więcej – reszta jest mil-
czeniem

W przestrzeni Wielkiej Liczby i tak po-
zostanie.

Mam w ręku obszerny tom wierszy wy-
branych Kijonki z pięknym wstępem Mariana
Kisiela i z czułą dedykacją dla mnie. Piję
kawę i proszę moją koleżankę, aktorkę,
która mnie odwiedziła, aby przeczytała
kilka wierszy Tadeusza. Czyta, zachwyca się
i przyznaje, że nigdy o tym poecie nie sły-
szała. Opowiadam jej o nim, o wielu latach
przyjaźni. Kiedy zmarł? Mówię, że trzy, cztery
lata temu. Sprawdzam. 30 czerwca minie
osiem lat. Jak to się dzieje, że ten czas,
który upłynął od odejścia bliskich nam ludzi
tak się skraca? Czy pamięć celowo nas
oszukuje? Czy chce, aby oni nie odeszli od
nas zbyt daleko?

* * *

W swoją przeszłość zaglądam czasem
z uczuciem ostupienia. Dotyczy ono rów-
nież zasiadania w różnych sądach konkurso-
wych. No, dobrze, bywałem jurorem w ogólnopolskich festiwalach teatralnych – dużo
pisałem i publikowałem tekstów o teatrze,
bywało, że oglądałem nawet sto spektakli
rocznie. Z mniejszym przekonaniem: dla-
czego dwukrotnie jurorowałem w konkursie
Miss Polonia? Byłem wtedy szefem tygodnika
„Kobieta i życie”, a pismo patronowało im-
prezie, więc można to jakoś wytłumaczyć,
tym bardziej, że konkurs wiązał się z atrak-
cyjnymi podróżami – finały odbywały się
w Tunezji i Grecji. Taka była fanaberia orga-
nizatorów. No dobrze: zasiadałem w sądach
konkursów recytatorskich, bo mogłem mieć
coś do powiedzenia w sprawach repertu-
aru. Ale dlaczego przyznawałem nagrody
w konkursie tańca towarzyskiego? Z biegiem
lat ograniczyłem tę wysoce podejrzaną
wszechstronność, pozostały mi konkursy lite-
rackie. I z biegiem lat coraz mniej to zajęcie
lubię, rośnie bowiem we mnie podejrzenie,
że wiąże się ono z pewną niesprawiedli-
wością. Poeci i krytycy zasiadający w jury
starają się nagradzać wiersze bliskie ich po-
etykom, preferują utwory zawierające treści,
na które są wyczuleni. Wyrok jest więc swo-
jego rodzaju kompromisem między gusta-
mi jurorów. Chyba, że zdarza się wiersz czy
opowiadanie bardzo wyraźnie wybijające
się nad poziom. Ale to rzadkość. Odkąd
pamiętałem było i jest tak samo: istnieje ka-
tegoria poetów konkursowych; obsyją oni
wszystkie ogłoszone zawody poetyckie. Za-
siadałem któregoś roku w jury trzech niemal
równoczesnych konkursów i napotkałem te
same zestawy wierszy tych samych autorów,
którzy nawet nie wysłili się, żeby zmienić
godło. Są też poeci googlowi. Oto jakieś

miasto ogłasza konkurs ze specjalną nagro-
dą za wiersz o tematyce lokalnej. Wówczas
poeta mieszkający kilkaset kilometrów od
rzeczonego miasta grzebie w internetowej
wyszukiwarce, znajduje w niej wydarzenie
historyczne dotyczące np. Pcimia, albo po-
stać związane z miastem konkursu i wpro-
wadza odpowiedni wątek we wcześniej
napisany utwór. Poeci są biedni i dobry
jest każdy sposób zarabiania na życie, ale
wątpię w szczerość uczuć powodujących
wybuch wiersza.

W samym początku lat siedemdziesią-
tych odbywały się w Łodzi ogólnopolskie
festiwale poezji połączone z konkursami.
Jakoś tak się stało, że zostałem powoła-
ny do jury konkursu – Łódź reprezentowali
prof. Stefania Skwarczyńska, Marian Pie-
chal i ja, a resztę Polski Warszawa. Był Artur
Sandauer, Ryszard Matuszewski, Aleksander
Rymkiewicz, Michał Sprusiński i jeszcze kilku
luminarzy. Wierszy nadesłano grubo ponad
tysiąc, więc roboty było huk. Wreszcie wer-
dykt zapadł i otworzyliśmy opatrzone go-
dłami koperty z nazwiskami nagrodzonych.
Pierwsza nagroda – Krzysztof Gąsiorowski,
dwie drugie – jak wyżej, dwie z trzech trze-
cich nagród – też. I jeszcze jedno z pięciu
wyróżnień. Profesor Sandauer zaczął krzy-
czeć, że tak nie można, że musimy zmienić
werdykt, ale zdecydowanie zastopował go
Sprusiński. W Łodzi przyznano nagrody. Na
uroczystość przybyła żona Gąsiora Halina,
nagrody pobrała, zostawiła laureatowi wy-
różnienie, wyjechała, a on na te parę dni
zamieszkał u mnie. Ale jak długo mogliśmy
się bawić za wyróżnienie?

Rozstrzygaliśmy konkurs ogłoszony przez
Młodzieżową Agencję Wydawniczą. Plon
był obfity, choć prawie wszyscy jurorzy byli
zgodni, co do większości kandydatur. Tyl-
ko Jurek Leszin upierał się i forsował jakieś
niegodne tego godło. Były wrzaski i trza-
skanie drzwiami. Ulegliśmy, przyznaliśmy
wyróżnienie. Otworzono koperty i wtedy
Leszin gwałtownie zaprotestował. Okaza-
ło się, że pomylił godła i wyróżnienia nie
otrzymała autorka, wobec której juror miał
zobowiązania albo zamiary.

Duży konkurs poetycki, siedmiu jurorów.
Po kolei zgłaszamy swoje typy, wymienia-
my utwory i godła. Ostatni ma być Rómek
Śliwonik. Milczy. Wywołany kolejny raz ce-
dzi: - No, jeśli nikt nie zauważył zestawu
z godłem Topór, to znaczy, że ja się nie
znam na poezji. Powiedział to tak, że było
wiadomo, kto się na poezji nie zna. Potem
zaczyna czytać. Pierwszy i drugi wers tonem
podniesionym, trzeci i czwarty słabiej, a po
piątym rzucił maszynopis ze słowami: - nie,
to gówno...

Na festiwalu młodej poezji w Pozna-
niu kilkadziesiąt lat temu wygrałem konkurs
jednego wiersza. Potem wiele razy zdoby-
wałem nagrody w konkursach na wiersze,
opowiadania, szkice, słuchowiska, a nawet
teksty piosenek. Ale już dawno temu po-
wiedziałem: stop. Chyba przed dwudziestu
laty w czasie Warszawskiej Jesieni Poezji
ogłosiliśmy konkurs dla uczestników. Kon-
kurs raczej zabawowy: brały w nim udział
wiersze dedykowane poetom, najlepiej
uczestniczącym w imprezie. Głupio wyszło,
zdołałem nagrodę za wiersz dedykowany
Krysi Muchowicz, długoletniej sekretarce
ZLP, współorganizatorce wielu WJP. Nagro-
dą była wyrzeźbiona w granicie przez Rysia
Ulickiego pierś kobieca. Stoi na półce i się
nie starzeje.

* * *

Miejsca magiczne. Zastanawiałem się
wiele razy, co to takiego jest. Chodzi pew-
nie o jedną z trzech kategorii miejsc. O te,

które zachowaliśmy w dawnej pamięci, o te, w których lubimy bywać i o te, do których tęsknimy, choć przecież, na zdrowy rozum, nie ma w nich niczego nadzwyczajnego.

Te pierwsze nazywam wypami pamięci. Byliśmy tam dawno temu, żyliśmy w tych tęskniach, byliśmy im przypisani. Zwyczajne, powszednie, były, bo były. Ale po latach jawią nam się jak raj utracony. Chcielibyśmy je odwiedzić, mamy nawet taką możliwość, jednak coś nas powstrzymuje. Pewnie to, żeby dziś widziana rzeczywistość nie wygrała z tym, co ocalała nasza pamięć. Pewnie dlatego, że to, co było dawniej jest ważniejsze od teraźniejszości. Na tej wyspie, wiejskim dworku-szkole, w której spędziłem dzieciństwo i młodość, byłem po latach kilka razy. Szkołę zamknęto, bo zabrakło uczniów, domostwo kilka lat było bezudne, potem je ktoś kupił, zmodernizował, odnowił. Stało się lepsze, a więc gorsze. Tylko stare kasztany stoją na straży pamięci.

Kiedyś lubiłem Marszałkowską, wiadomo, główna ulica stolicy. Ale teraz ulica spustoszała. Po prawej stronie na półkilometrowym odcinku są siedziby siedmiu banków. Istne Genewa, Zurich – jesteśmy najbogatszym krajem świata? Mój ulubiony kawałek Warszawy to Krakowskie Przedmieście. Czułem się świątecznie, kilka lat temu położone nowe chodniki, omalowano fasady domów znanych z obrazów Belotto. Tylko wonie z kanalizacji pozostały takie same. Ale niektóre zmiany przyjmuję z żalem. Dwie kamienice przed Domem Literatury, a więc tuż przed Placem Zamkowym, był zakład fotograficzny. Jego właścicielem był pan Kwiatek. Zakład istniał od kiedy pamiętam, pewnie od odbudowy Traktu Królewskiego. Pan Kwiatek zmarł, został szyl, a zakład przejęła wdowa. Nie bywałem tam często, czasem robiłem zdjęcia paszportowe, wywoływałem filmy. Kilkanaście lat temu zauważyłem, że zakład pustoszeje. Zajrzałem, bardzo stara pani Kwiatkowska powiedziała, że likwiduje interes. Zniszczyła ją fotografia cyfrowa i czynsze narzucone przez miasto. Przed likwidacją poszedłem tam z bukietem kwiatów. Potem w tym lokalu był sklep spożywczy, potem kolektura LOTTO, znowu sklep, kantor. Nie ma zakładu fotograficznego „Kwiatek”. Boję się pomyśleć, że ten sam los może spotkać Dom Literatury, siedzibę pisarzy od 1949 roku. Nie zlikwiduje nas fotografia cyfrowa, wystarczą czynsz, a przede wszystkim niepojęte decyzje władz miasta. Jeszcze w sąsiedztwie trzyma się dzielnie pani Jadzia Dzierwa, prowadząca galerię malarstwa współczesnego Canaletto – Belotto. Ale turystów zagranicznych złażących polskiej sztuki mało, wysechł strumień majętnych wycieczek. Tak, zmiany są nieuniknione, ale niektóre przejmuję lękiem i żalem.

Chyba czterdzieści lat temu pojechałem pierwszy raz do Posejneli. Osiem kilometrów do granicy z Litwą, siedem do powiatowych Sejn, dwa do wsi Giby ze sklepem pana Szarejki. Las na skraju Puszczy Augustowskiej, jezioro Pomorze, a na jego wysokim brzegu rozrzucone na dużej przestrzeni domki kempingowe. Nie przyjeżdżał tu nikt, kto szukał luksusu. Opuściłem dwa, najwyżej trzy lata. W wielkim, dostojnym lesie, w niemal spartańskich warunkach spotykaliśmy się co roku, choć było nas coraz mniej. Polatują tu duchy przyjaciół, jest księżyc pływający po jeziorze, dzieciót trójpalczasty i inny ptasi drobiąg. I wspaniałe, masztowe sosny. Ale nie ma już ludzi, bo ośrodek zamknięto. Zniknęło jeszcze jedno magiczne miejsce. Nie tylko my je kochaliśmy. Ono nas chyba też.

O gustach się nie dyskutuje. Trzymam

się tej zasady, ale wyciągam z niej robotyczne wnioski.

Z kobietą mądrą, czytającą, piszącą, rozmawiam o literaturze. Okazuje się, że nie wie kto to był Izaak Babel. Pożyczam jej książkę. Po tygodniu dzwoni: - Nie rozumiem co ty widzisz w tym pisarzu!

Rozmawiam z nią rzadko. O literaturze wcale.

Z inną kobietą oglądam największy film wszystkich czasów, „Siódmą pieczęć” Bergmana. W trakcie projekcji dwa razy robi sobie herbatę, trzy razy pisze smsy, kilkanaście razy przeraźliwie ziewa.

Kontakty z nią ograniczam do minimum.

Mój dawno zmarły przyjaciel Włodek Łuszczewicz w końcu lat pięćdziesiątych był szczęśliwym posiadaczem adapteru i kilkunastu płyt. Popijając wineczko toczyliśmy zapalczywe kłótnie o wyższość Mahalii Jackson nad Ellą Fitzgerald – albo odwrotnie. Oraz który zespół Luisa Armstronga był najlepszy – Hot Seven, czy jakiś następny. Słuchaliśmy jazzu, tego tradycyjnego, autentycznego, spontanicznego i porywającego.

Od rzemyczka do koniczka. Wprowadzie epoka pionierskiego jazzu w Łodzi (Duduś Matuszkiewicz i Melomani) już minęła, ale było w tym mieście kilka niezłych zespołów. Zaprzyjaźniłem się z jednym z nich i logicznym następstwem tego związku było to, że występowałem z zespołem, jako konferansjer. Zespół nazywał się Tiger Rag i od tego utworu zaczynał się każdy koncert. Graliśmy w Łodzi, ale i w całej Polsce, na ziemiach dla jazzu dziewiczych. Graliśmy w domach kultury, w remizach strażackich, czasem na festynach w plenerze. Aż dziw, że jeszcze pamiętałem podstawowy skład zespołu. Na klamencie grał Kajtek Wojciechowski, który wyemigrował do Skandynawii. Trąbka – Andrzej Makowiecki, potem dziennikarz i literat, autor kilku książek.

Na banjo Rysiek Hunger, który poszedł w plastykę i został nawet rektorem Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych (później ASP). Klawisze – tu się artyści zmieniali, ale chyba najczęściej przyduszał je Jerzy Bożyk. Szefem zespołu był pałker Andrzej Orłowski. Nie pamiętam puzonisty i kto grał na kontrabasie. Ale pamiętam, że raz grałem ja. A było tak: pojechaliśmy do Ozorkowa, przyjechał instrument, ale nie przybył basista. Szef zespołu postanowił, że go zastąpię. Bronilem się, ten instrument miałem w ręku tylko wtedy, kiedy go nosiłem. Ale Andrzej poinstruował mnie, że mam przesuwac dłonią po gryfie, a drugą szarpać wyjątknie najgrubszą strunę. Tak też robiłem, a wirtuozerie swoją uzupełniałem efektownym, widowiskowym obrotem instrumentem. Kilkanaście lat później na ulicy Piotrkowskiej uroczą pani zapytała mnie czy ja to ja. Pełen pychy pomyślałem, że to wielbicielek mojego talentu poetyckiego, ale nie – ona mnie zapamiętała z olśniewającego koncertu jazzowego w Ozorkowie. Wyrwało się ze mnie westchnienie: - dziewczyno, nie mogłaś mi tego powiedzieć wtedy?

Leżenie w ortopedycznym łożu skłania do refleksji. Długie leżenie powoduje, że refleksje stają się coraz głębsze. A wiele z nich wynika z mojego zapalczywego feminizmu.

Odwiedzają mnie trzy serdeczne koleżanki, przynoszą pożywienie w postaci stałej i płynnej – zero promili – lodówka z trudem

się zamyka. Leżę. One przy stole, gawędzą. Słowo „gawędzą” proszę wziąć w cudzysłów. Leżę. Nawiedza mnie refleksja: według nich mężczyzna jest urządzeniem prostym, jego potrzeby sprowadzają się do jedzenia i pica, rzadziej do innych czynności. Toteż od czasu do czasu ktoś z nich pyta, czy coś bym zjadł lub wypił (zero promili). Nie mam łaknienia. Myślę, że gdybym wyszedł, to nie zauważyłyby mojej nieobecności. Ale nie mogę chodzić. Pytają o to, co powyżej. Myślę, że chciałbym podyskutować o wyższości seriali tureckich nad brazylijskimi albo odwrotnie – nie twierdząc, że o tym dyskutuję. Leżę. Pytają, czy chcę kawy. Chcę. Leżę. Po kwadransie powtarzają pytanie. Chcę. Leżę. Woda w czajniku zagotowała się po raz trzeci. Leżę. Po dwóch godzinach pospiesznie zbierają się do wyjścia. Kawę zrobią mi następnym razem. Leżę. Jestem zajadłym feministą.

Mój tomik, o którym wyżej napisałem, ma motto z Tuwima „Ten biały dom, ten pokój martwy...”. Każdy poeta buduje dom ze swoich wierszy. Mój dom jest stary. I stąromodny jak rymowane wiersze.

MAREK WAWRZKIEWICZ



GDAŃSKI KLUB POETÓW ŚWIĘTUJE W TYM ROKU JEDENASTY ROK SWOJEJ DZIAŁALNOŚCI.

W styczniu 2024 Klub przekształcił się w stowarzyszenie Gdański Klub Poetów. Sztandarowymi, corocznymi wydarzeniami Klubu są:

- Oliwskie Dni Poezji, których otwarcie ma miejsce w Parku Oliwskim. Wzdłuż parkowych alejek rozwieszamy „Poetyckie Pranie”, poeci czytają ze sceny swoje utwory, występują zespoły wokalne-muzyczne, w sali Muzeum Narodowego Oddziału Etnografii poeta prezentuje swój najnowszy tom poezji, a wszystko kończy się w Bibliotece Oliwskiej, gdzie odbywa się Majowy Konkurs „Podziel się wierszem” im. Piotra Szczepańskiego. Potem „Poetyckie Pranie” wędruje do Gdańskiego Ogrodu Zoologicznego, do Wyspy Skarbów na Wyspie Sobieszewskiej, Wodnych Ogrodów w Wejherowie, Politechniki Gdańskiej, XIX Liceum Ogólnokształcącego im. Mariana Mokwy, etc.
- Konsultacje /warsztaty poetyckie w każdy pierwszy i trzeci czwartek miesiąca /w Bibliotece Oliwskiej/.
- Połowinki z Ekfrazą, gdzie malarze prezentują swoje prace, a poeci odczytują do wybranych przez siebie obrazów własne ekfrazy. Wydarzenia te odbywają się przy współpracy Związku Polskich Artystów Plastyków Oddział w Gdańsku oraz Polsko-Japońskiej Akademii Technik Komputerowych w Gdańsku.
- Dwa konkursy poetyckie, w których można zdobyć pieniężne nagrody.
- Wydajemy antologię GKP (mamy ich 7).
- Łączymy pokolenia, gdyż nasze imprezy przeznaczone są dla wszystkich, bez względu na wiek i doświadczenie w pisaniu. Kultuwujemy piękno języka polskiego. Nie tolerujemy wulgaryzmów.
- Współpracujemy na stałe z licznymi podmiotami, m.in. z:
 - Wydziałem Elektroniki, Telekomunikacji i Informatyki Politechniki Gdańskiej („Poetyckie Pranie” i łącznik z Poezją, gdzie okrągły rok zamieszczamy w gablotkach wiersze),
 - Studenckim Klubem Dyskusyjnym Politechniki Gdańskiej Daimonion,
 - Związkiem Polskich Artystów Plastyków Oddział w Gdańsku,
 - Polsko – Japońską Akademią Technik Komputerowych w Gdańsku,
 - Muzeum Narodowym w Gdańsku /Oddział Etnografii/,
 - Gdańskim Towarzystwem Przyjaciół Sztuki,
 - XIX Liceum Ogólnokształcącym im. Mariana Mokwy w Gdańsku,
 - „Benefisem Dojrzałości”, w którym pełnimy zaszczytną funkcję jurorów,
 - „Bazuną”,
 - Bibliotekami,
 - Związkiem Literatów Polskich Oddział w Poznaniu,
 - Stowarzyszeniem Pisarzy Polskich,
 - Kwartalnikiem „ReWiry”,
 - Kwartalnikiem „Neony Tożsamość”,
 - Europejskim Zrzeszeniem Autorów „Koga”.

Prezesem Gdańskiego Klubu Poetów jest Gabriela Szubstarska, członkiniami Zarządu są: Agnieszka Smugła i Agnieszka Tomik-Powaga.

Nad działaniami Gdańskiego Klubu Poetów stały patronat medialny sprawuje oficjalny portal miasta Gdańska www.gdansk.pl.

UWAGA konkurs!

Do jakich miejscowości zabiera nas Per Oscar Dahlberg w swoich rysunkach przedstawionych w tym numerze pisma Migotania?

Odpowiedź należy wysłać na adres emailowy joa@migotania.pl. Pośród czytelników, którzy prawidłowo odpowiedzą na nasze pytanie rozlosujemy 3 egzemplarze monumentalnego albumu “Master Per Oscar Doctor Dahlberg”, zawierający bardzo bogaty przegląd dzieł rysowniczych i malarskich artysty.

W numerze prezentujemy fotografie Pera Oscara Gustawa Dahlberga



gazeta literacka

Migotania

www.migotania.pl



ISSN 2083-2494

numer 2 (87) 2025

Redakcja:

Redaktor naczelny: **Zbigniew Joachimiak**

Redaktorzy: **Maria Jentys-Borelowska**
(Warszawa),

Zbigniew Kresowaty (Łądek Zdrój)

Roman Warszawski (Gdynia),

Małgorzata Dorna (Wendrychowska),
(Piła - Sopot)

Zdzisław Drzewiecki

Stale współpracują:

Anna Frajlich (Nowy Jork),

Grzegorz Musiał (Bydgoszcz),

Dariusz Pawlicki (Bydgoszcz)

Grzegorz Bazylak (Gdańsk),

Olga Śmiechowicz (Łódź),

Marek Wawrzekiewicz (Warszawa),

Krystyna Śmiechowicz (Łódź),

Urszula M. Benka,

Andrzej Walter,

Mateusz Wabik,

Jerzy Lengauer,

Marian Lech Bednarek

Andrzej Wołoszewicz

Dział fotografii: **Sybilka Storie**

Dział tekstów, redakcja i korekta:

Agata Foltyn

Redakcja niekoniecznie podziela poglądy
autorów.

Opracowanie graficzne:

Baltex Artur Rakowski

Wydawca: Fundacja Światło Literatury
Adres redakcji: Fundacja Światło Literatury,
ul. St. Dubois 59, 80-419 Gdańsk

tel. 601-840-302

joa@migotania.pl,

joalike@gmail.com

Fundacja

ŚwiatłoLiteratury

Migotania.

Redakcja uprzedza, iż nie odesyła tekstów
nie zamówionych. Staramy się odpowiadać
na propozycje tekstowe, ale nie zawsze mo-
żemy to zagwarantować. W korespondencji
z Redakcją prosimy używać przede wszystkim
adresów e-mailowych.

W sprawie zamieszczania reklam prosimy
o kontakt mailowy na adres:

joa@migotania.pl



WOJEWÓDZTWO
POMORSKIE



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW
SAMORZĄDU
WOJEWÓDZTWA POMORSKIEGO

DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW
MINISTRA KULTURY
I DZIEDZICTWA NARODOWEGO

Zasady współpracy z autorami w Gazecie Literackiej „Migotania”:

- Przekazując materiały do redakcji Pisma:
 - autor wyraża zgodę na ich nieodpłatne rozpowszechnianie w formie druku i w internecie.
 - autor oświadcza, że teksty i zdjęcia są w całości jego/jej autorstwa i nie naruszają praw osób trzecich.
 - autor udziela zgody na wykorzystanie swojego wizerunku i danych osobowych (nazwisko, imię a w notkach biograficznych rok i miejsce urodzenia).
 - autor ponosi wyłączną odpowiedzialność z tytułu ewentualnego naruszenia przez siebie praw spowodowanego publikacją nadesłanych utworów.
 - autor zezwala redakcji na dokonywanie skrótów i korektę merytoryczną w nadesłanych materiałach.

WSZYSTKICH CZYTELNIKÓW, Autorów oraz Przyjaciół
„Migotań” zapraszamy do wsparcia finansowego
naszej Gazety.
Tylko dzięki Waszej pomocy będziemy w stanie
przełamać na trudnym rynku oraz drukować Wasze
teksty.

Dziękujemy za pomoc! Redakcja

Papierową mutację pisma Migotania można otrzymać bezpośrednio od redakcji.
Wystarczy złożyć zamówienie i opłatę za przesyłkę 25 zł za 1 numer. Możliwa jest
przesyłka za zaliczeniem pocztowym.

Jak zamawiać kwartalnik? Proste:

1. Zadzwoń pod numer 601-840-302 i złoż zamówienie
2. Wyślij zamówienie mailem do: joa@migotania.pl
3. Ewentualnie pocztą:
Fundacja Światło Literatury, ul. St. Dubois 59, 80-419 Gdańsk
4. W tytule przelewu podać:
"Na przesyłkę Migotań. Zamawiane numery i za jaki okres.

Zamawiane numery otrzymasz po wpłaceniu odpowiedniej kwoty za przestanie
na konto: Bank Millennium 74116022020000000170195866

Małgorzata Dorna
(Wendrychowska)

STAROŚĆ W SALONIE SZTUKI ŻYJĄC TRACIMY ŻYCIE...

Przeglądając posty na FB (metodycznie, każdego poranka, bez szczególnych intencji) odkrywam, że tracę czas. „Żyjąc tracimy życie.” Poruszająca do głębi (pod warunkiem, że w głębi nie siedzi głębia) proza cenionej i dość pesymistycznie nastawionej do świata humanistki – robi wrażenie. Oto esej poświęcony mało znanej powieści Honoré de Balzaca „Jaszczur”. Przed ponad pół wiekiem użycie określenia „mało znanej” nie budziłoby żadnych zastrzeżeń. Dzisiaj, gdy mało znana okazuje się cała literatura piękna – już budzi. Istotny (dla osób myślących, a nie tylko powtarzających slogany) zbiór esejów Marii Janion opatrzonej został podtytułem: „Niepokojące tematy egzystencji.” Zatem „Jaszczur”, proza którą autorka przeczytała w dzieciństwie, do której powracała wielokrotnie, zastanawiając się, ile dziecko jest w stanie zrozumieć z tego rodzaju literatury, zajmującej się „dziwną, tajemniczą, nierozwiązywalną” tematyką. Co ciekawe, Maria Janion nie wyklucza tu intuicyjnego poznania, zakładając że dziecko może być równie świadome wagi problemu jak człowiek dojrzały, dorosły. Akcja tej wczesnej powieści Balzaca rozpoczyna się w momencie wejścia bohatera do szulerni, w której toczy się gra, „esencja wszystkich gier”, gra o życie, gra „o wszystko”. Bohater poszukuje okazji by popełnić samobójstwo i trafia najpierw nad Sekwanę, później do składu staroci, gdzie poznaje tajemniczego antykwariusza, który w eseju Janion może być wcieleniem Mefistofelesa, ale może równie dobrze okazać się czarownikami, proponującym samobójstwo „opóźnione”, czyli jakby nieco odłożone, przesunięte w czasie. Rafael, bohater powieści otrzymuje talizman, skórę fantazmatycznego jaszczura, symbol ludzkiego losu, skórę na której widnieje arabski napis: „Za każdym pragnieniem skurczę się jak twoje dni (...). Ale twoje życie będzie należało do mnie.” Przypomina się w tym miejscu „Portret Doriana Graya” Oskara Wilde oraz wszelkiego rodzaju „pakt z diabłem”, podpisywane przez wielkich artystów, z potrzeby „Wielkiego Tworzenia”. Któż nie byłby skłonny podpisać? Szczęście „doczesne” okazuje się bardziej pociągające od tego „wiecznego”. W wieczności tylko obietnice, tu i teraz – konkrety.

A obietnicami wiadomo co jest wybrukowane...

U ołtarza. Nie zawsze to, co „na ołtarzu”, co budzi zainteresowanie publiczności – zasługuje na akceptację lub chociażby uwagę krytyków. Krytyk (mimo zrozumiałej podejrzliwości i niechęci artystów) to istota obdarzona specyficznym sposobem patrzenia, przyznająca sobie prawo do wolności i bezkompromisowości sądów, prawo do własnych upodobań i opinii, a także prawo do błędów pod warunkiem, że kocha sztukę i twórców. Nasza mnie pewna myśl: natrętna, uporczywa, bezczelna jak nieproszony gość, co to nie bacząc na zmarnowany czas domowników, rozsiada się wygodnie, popija drinka i siedzi. Myśl sama w sobie niewinna i prosta: krytyki nie uprawia się klęcząc u Ołtarza Sztuki, pióra nie trzyma się wiernopoddaczym gestem. Zawodowy krytyk, obok wiedzy i warsztatu pisarskiego powinien dopracować się konkretnego systemu wartości, czyli pokusić się o odpowiedź na proste, naiwne pytanie: Co decyduje o wyborze tematu? Co sprawia,

że o pracach konkretnego artysty pisze się z przekonaniem, wielokrotnie, podczas gdy dzieła innych omija się „szerokim łukiem”? Odpowiedź wydaje się oczywista: krytyka to ciągle jeszcze jedna z istotnych dziedzin współczesnej humanistyki, towarzysząca sztuce, mimo że sama okazuje się sztuką, nie tylko sztuką uważnego, życzliwego patrzenia i interpretacji, ale także sztuką pamięci i dbałości o słowo.

W znanej powieści Gabriela Garcíi Marqueza mieszkańcy niewielkiej osady Macondo (dwadzieścia chat z trzciny oblepionej gliną) zostają dotknięci zarazą, której obecność zwiastują tylko niewinne „zielone kogutki bezsenności, śliczne, różowe rybki nakrapiane bezsennością i żółte koniki zatrute bezsennością”. Przewrotny los odbiera im zatem sen i pamięć, a w konsekwencji także słowa, dzięki którym mogli z łatwością oswajać rzeczywistość. Pograżając się w niepamięć, chaosie, stają się bliscy samounicestwienia, a przecież upłyne sporo czasu zanim odkryją, że bez sennych marzeń, widziadeł, bez szlachetnej melodii literackiej frazy, bez obecności tekstu pisanego – ich egzystencja okaże się wielce wątpliwa. Wydaje się, że my również doświadczalibyśmy owej pozorności (lub może nawet – ułomności) bytu bez sztuki, bez możliwości odczytywania za każdym razem odmiennie, a więc po wielokroć – sensu artystycznego przesłania, sensu owego listu wysłanego przez twórcę ku odbiorcy, odbiorcy wpisanemu, zakodowanemu, utrwalonego w dziele. Tak, więc bez obecności sztuki – my także mieszkalibyśmy w swoście wykreowanym Macondo. Doświadczalibyśmy bezsenności, bowiem odebrano by nam prawo do marzeń i snów, dając co najwyżej szansę na wirtualny, pop kulturowy letarg.

Pisać nie pisać – poscrollować zawsze można. Nastąpił czas dla czytania nietaskawy, czas nerwowego przesuwania obrazków, tak odległych od malarskich wizji artystów, że nazwać je obrazami byłoby ewidentnym nietaktem. Dawniej angielski termin scrolls oznaczał zwoje, manuskrypty, rękopisy. Teraz odmiennie, bowiem scrolling – to zajęcie bezproduktywne i raczej szkodliwe, polegające na przewijaniu, przesuwaniu w zawrotnym tempie informacji i przynależnych im wizerunków, których nadmiar tworzy wielobarwne śmietnisko. Scrollować można zawsze i wszędzie, bez umiaru i bez zastanowienia, że o dobrym wychowaniu i o dostrzeganiu obecności nie scrollujących interlokutorów – nie wspomnę. Z czytaniem rzec bardziej skomplikowaną, tutaj zastanowienie i uwaga, a nade wszystko wyobraźnia – wielce pożądane, tym bardziej że odczytanie idzie zazwyczaj w parze z inteligencją, pięknym stylem wypowiedzi, logiką, wiedzą, mądrością.

Zdania pisarzy i poetów, zdania filozofów i estetyków zmieniają nasze widzenie świata i w konsekwencji postrzeganie nas samych. Oto bezlistne jeszcze, o tej wczesnowiosen-

nej porze drzewa, kępy młodych olch, dziko rosnących mirabelek, czeremchy. Ktoś z nosem utkwionym w ekranie wszechobecnego smartfona zapewne minie je obojętnym krokiem. Ktoś inny, komu bliskie są rozważania Gastona Bachelarda pomyśli o nich życzliwie. „Drzewo twardnieje by trwać”, niekiedy tysiące lat – powrócą zatem echem rozważania na temat symboliki starych drzew, które łączą żywioły, żywioł wody, powietrza i ziemi. Ktoś inny pomyśli Staffem – ach cóż jest piękniejszego nad wysokie drzewa. Ktoś wreszcie, zaśmieje się ironicznie Balzakiem, pamiętając sknerstwo starego Grandeta, który to obserwując dorodne topole obliczał w pamięci wartość drewna, owych stert heblowanych desek, dostarczanych do miejscowego tartaku.

Kiedy mieszkałam w Sopocie (w miejscu mego urodzenia) odkryłam aleję daglezji, prowadzącą wąwozem, przez las ku ruinom poniemieckiego karczmy. Aleję istot wysmukłych, otulonych koronkowym rysunkiem miękkich, delikatnych gałązek, o igłach wierzchem intensywnie zielonych, spodem srebrzystych, aż po biel. Na mrozie daglezie zamieniały się w oszronione, niemal przejrzyste obłoki. Wyłotu wąwozu pilnował wiekowy dąb, ku któremu wiodły szerokie trakty i drogi, o krawędziach omszałych, porośniętych ciepłą zielenią, kwitnącego na rudo płonnika. Gęsty, bukowy las (jeszcze wówczas nie zdeptyany przez odwiedzających) ustępował miejsca dagleziom, królującym w tej tajemniczej, osobnej przestrzeni. Ku dębom prowadził mnie Leśmian, niezapomniany notariusz z Hrubieszowa, co to mu było bezludnie, wiśniato, ruczajno i leśno. Scrollowanie prowadzi donikąd. W głowach odbija się pustka, co prawda odbija się echem, ale to echo zwodnicze, nie zwiastujące obecności mrocznego boru, gęstwy ostępów zieleni, uroczysk oraz owych „bezpieczy szmaragdowych”, gdzie „rozkwiła w bezmiar tęka”.

Zapisywanie obecności. Do nas należy ta jedna chwila – reszta to domniemania i nadinterpretacje. Trwanie dzieła sztuki zmusza odbiorcę do przeżywania własnej obecności, intensywnej, wyrazistej, istotnej, zapisanej w jego (adresata dzieła) podświadomości. Od lat noszę się z zamiarem prowadzenia dziennika, efektu permanentnego, uporczywego pisania, totalnego pisania, które oby nie wiodło ku grafomanii. Zamiast podejmować kolejne literackie próby – zmagam się z zapamiętaniem malarstwem i działaniami plastycznymi dzisiejszych mistrzów, którzy bardzo już dawno jako młodzi eksperymenci, buntownicy – stawiali u progu swej osobnej i niełatwej drogi. W latach siedemdziesiątych minionego stulecia – w sopockim BWA aż kipiało od nadmiaru koncepcji i artystycznych uniesień. Teraz przed moimi oczami przesuwają się (jak kadry linearne zmontowanego filmu) obiekty, artefakty, formy przestrzenne, obrazy.

Oto notatnik ścienny Jerzego Ostrogór-

skiego, cykl wielkoformatowych kompozycji, rodzaj dziennika, prowadzonego zgodnie z przyjętym konceptem. Na idealnie zagruntowanym, świejącym bielą podobrazu pojawiają się wizerunki kobiet, niekiedy fragmentaryczne, niedopowiedziane, zawsze jednak nanoszone wysmakowanym kolorystycznie laserunkiem, wizerunki naznaczone graficznym, szkicowym konturem. Odręczne zapiski, niedbale sporządzone notatki nakładają się tutaj na hiper realistyczne wyobrażenia kobiecego ciała, zapamiętanych twarzy, spojrzeń i gestów. Tekstura obrazów bogata, zharmonizowana z owymi bielami podobrazia, niekiedy świejącymi, połyskliwymi, kiedy indziej celowo przybrudzonymi matową szarością i odcieniami różu. Co prawda jeżeli (tak jak pisząca te słowa) nie ma się zwyczajnie stawać na scenie, w pełnym blasku reflektorów, prowadząc notatnik lub dziennik – można wyładować co najwyżej w teatralnej szatni. Dla Jerzego Ostrogóskiego szatnia okazuje się miejscem szczególnym, znaczącym, miejscem w istocie bezludnym, w którym gromadzi się artefakty, niezniszczalne ślady kruchej i jakże ulotnej obecności. Oto rozpięte na wieszakach ubrania z zaznaczonym konturem aktu, nagiej, obnażonej nie do końca sylwety. Przedmioty trwają, mimo że ci którzy ich używali dawno już byli odeszli donikąd. Filozoficzne, intelektualne przesłanie całego cyklu okazuje się zatem czytelne, a nade wszystko – ironiczne, prześmiewcze i gorzkie. Trwałość, czytelność – rzecz względna. Za oknem wiosna w rozkwicie, czas podziwiania słonecznych, iskrzących światłem obiektów. Za moment rosochate drzewa ubiorą się lekko, w całą gamę soczystych zieleni, pod kopułą czystego błękitu zaczyną przepływać bezgłośnie stada nastroszonych, pierzastych obfoków. Niewidzialne dłonie będą nadal zapisywać kolejne karty dziennika. Do nas należy ta chwila – reszta to domniemanie, skojarzenia, interpretacje. Reszta to sztuka milczenia wobec odwiecznej Tajemnicy wszechświata.

Język malarzkiej ascezy – rozważania o pejzażach bezludnych. Kiedy zetną ostatnie olchy i buki, gdy w majestatycznej ciszy wydadzą wyrok na wiekowe dęby i klony, kiedy padną ostatnie topole, a miorzęby, osiki i lipy przestaną prószyć światłem przez rozedrgane liście – pozostaną pejzaże bezludne. Pejzaże minimalistyczne, oszczędne, w istocie jeszcze abstrakcyjne, ale już naznaczone przecuciem końca, pojmovane jako bezlitosny zapis zmierzającego ku ewidentnej ascezie – syntetycznego postrzegania Natury. Próbuje oswoić tę przestrzeń, tę przestrzeń aż po horyzont, gdzie czas płynie z wolna, łagodnie lub ulega nagłemu zawieszeniu, zapraszając do dalekich wędrówek, tak dalekich, że niemal bez miary. Pejzaże nadmorskie Wojciecha Zaniewskiego – pogrążone w bezruchu, syntetyczne, oszczędne, pozbawione śladu obecności człowieka, tylko niebo i usypane przez wiatr kopce piachu, linie płynne, zatarte granice koloru, emanującego spokojem i światłem. A nade wszystko dążenie do stworzenia wizji wyidealizowanego obrazu natury, wizerunku który dzięki oszczędnemu doborowi środków ekspresji okazuje się symbolicznym. Granica snu wyjątkowo subtelna, zaledwie naszkicowana delikatnym, łagodnym konturem, modelunkiem wydm z koronkowym, ulotnym rysunkiem młodych, ledwie zakorzenionych, rachitycznych brzoź. Brutalnie obudzona pierwszymi promieniami wiosennego, chłodnego jeszcze słońca spaceruję sama nad porośniętą zrudziatą trzciną rzeką, we śnie otaczają mnie łachy piasku i odległe błękity kapryśnego morza, spaceruję sama bo z kim niby miałabym jeszcze to czynić? Przyjaciele,

których mogłabym na spacer zaprosić już dawno przenieśli się o kilka pięter wyżej, tam gdzie ani winda nie dochodzi, ani zasięg telefonów komórkowych nie działa.

Zastanawiam się zatem w owej oswojonej cichości, w milczeniu. Pejzaże, o których piszę zdają się otulone filozoficznym milczeniem właśnie. Zastanawiam się zatem w nieco zwolnionym tempie, uważnie podążam drogami wytyczonymi przez łagodny i pewny ruch pędzla prowadzonego w sposób świadomy dłonią „osobnego”, nie zabiegającego o popularność artysty. Na temat twórczości Wojciecha Zaniewskiego napisano wiele, doszukując się w jego intelektualnych, a jednocześnie bardzo malarzskich, wyrafinowanych kolorystycznie i formalnie wizjach, w podejmowanej z odbiorcą grze, wreszcie w owej alienacji wobec zapisanych na płótnie motywów – związków z postrzeganiem świata właściwym dla Marka Rotho. Programowy minimalizm w doborze środków ekspresji, minimalizm zmierzający ku ewidentnej ascezie, harmonia i porządek poszczególnych kompozycji – wszystko to sprawia, że pejzaż staje się nie tylko przestżeniem wyidealizowanym, ale także oniryczną, odwołującą się poprzez gamę skojarzeń i przeczuć do tej realnej, o której mówi się językiem odśaniania Tajemnicy, metafory i symbolu.

O wątpliwej konieczności prawdy. „W teatrze Ibsena nie jesteśmy widzami, którym się schlebia (...) Jesteśmy winowajcami obecnymi na przedstawieniu, a do takiego widowiska procedura rozrywki tak samo nie da się zastosować, jak do procesu o morderstwo” – pisał nie bez cienia ironii George Bernard Shaw. Ostatnio coraz częściej stajemy się widzami w Ibsenowskim teatrze. Coraz więcej osób wydaje się cierpieć na nieuleczalną, niebezpieczną chorobę, nazwaną przez norweskiego dramaturga „gorączką sprawiedliwości”. To właśnie owa „gorączka” sprawia, że „nazywamy rzeczy po imieniu”, rzeczy wyrwane z kontekstu, pokazane (jak pisał klasyk) „bez światłocienia”. Znajdujemy w tym nawet prostą i oczywistą przyjemność. Obrzucanie się wzajem inwektywami staje się bowiem naszą narodową specjalnością, podobnie jak posługiwanie się literalnym słownictwem i niewyszukanym stylem. Rzucanie się błotem by przyłgnęło!

U Ibsena nic nie jest proste i oczywiste.

Zastępną nie tylko jako badacz i znawca ludzkiej psychiki, ale także jako nowator, eksperymentujący z materią teatru, łączy w swych dramatach obrazowanie realistyczne z symbolizmem. U naprawiaczy świata, przeciwnie! Wszystko jest proste! Naprawiacze nie tylko nie interesują się psychologią, ale obce im także zainteresowanie człowiekiem. Mania demaskowania innych staje się podstawą dobrego mniemania o sobie, dlatego wszelkiej maści „idealści” czują rodzaj pośannictwa, misji, imperatywu skutecznego, sprawnego i owocnego działania. W swym dążeniu do niszczenia innych działają z godną podziwu konsekwencją i odwagą. Wiedzą oni dobrze, co zrobić żeby unieszczyć zadowolonych z życia. Szczególnie tych, co to nie żyją w „prawdzie”, godzą się na fałsz i zaktamowanie, doświadczając chwilami bezgranicznej szczęśliwości i spokoju.

A ponieważ tylko głupcy i dzieci cieszą się życiem, przeto należy burzyć im wątpliwą stabilizację, odbierać złudne poczucie bezpieczeństwa, pozbawiać samozadowolenia, jakieś namiastki szczęścia i dopiero na gruzach, na ruinach wszelkiej podwaliny nowej egzystencji, opartej na solidnym i zdrowym fundamencie „prawdy absolutnej”. Działają z wyrafinowaną precyzją, udowadniając zepsucie moralne innym, ślepi zupełnie na własne. Takimi postaciami są: Gregory Weirle w „Dzikiej kaczkę” i Torwald „człowiek stateczny” w „Domu lalki”.

Oni to właśnie zmuszają innych do nieustannego udawania, odgrywania narzuconych konwencją ról, oni to także dają sobie prawo by mówić „głosem sumienia” i „moralności zbiorowej”, moralności wymierzonej przeciwko człowiekowi, jego uczuciom, marzeniom, potrzebom. Ciekawy okazuje się fakt, że naprawiacze świata nie zaczynają naprawy od siebie. Sami pozostają nietykalni, okazują się w swym mniemaniu nieomylni, stojący ponad: konwencją, wartościami i prawem. Ich „prawda” czytelna i jednoznaczna unicestwia i niszczy, obraca wszystko w perzynę. Słusznie uważa się zatem, że prawda zabija i nie ma w tym stwierdzeniu nawet cienia przesady. Jest wiedza! Wiedza gorzka, bolesna i mroczna jak otchłań.

MALGORZATA DORNA (WENDRYCHOWSKA)



trovare Andare a Trovare We Die Umieramy
idź znaleźć VaChercher Nous Mourons

Ewa Leśniewska

KSIĄŻKI MAJĄ SWOJE LOSY cz. 2

(...) Czemu człowiek swą siłę na ilość pocisków przeliczył
I oto stał się najdzikszym, najokrutniejszym ze stworzeń (...)

Jan Rostworowski, Germany Calling

Znalazłam książki przy wysypisku śmieci w Hanowerze. Rozsypywały się wokół mnie, mieszały z płatami śniegu, aż dosięgły bruku. Z pewnością ktoś z młodego pokolenia pozbywał się zbioru, wydanego między 1939 a 1946 rokiem, należącego do jego przodka – bibliofila. Język polski, czcionka – tylko częściowo polska i nie do końca czytelna, teksty wierszem, a nazwiska autorów zupełnie mi obce. W czasie edukacji dostrzegałam w lekturach szkolnych przesłania tych, których lansowała linia ówczesnej Polski. To doświadczenie, choć wzbogacające, przysporzyło mi dyskomfortu w robieniu kariery w PRL. Terentianus Maurus napisał w III w. n. e.: „Pro captu lectoris habent sua fata libelli” – w zależności od tego, co wie i pojmie czytający, książka zostanie inaczej odebrana, będzie więc inną książką. Zgadzałam się z tym przesłaniem. Bo książki miały i mają swoje losy. Uznane za bestsellery zarabiały fortunę, inne nie doczekały się uznania, były i takie, które spłonęły na stosach niczym czarownice z odległych wieków.

JAN ROSTWOROWSKI

Ostatnie dni wolnej Polski

Któż z nas nie ma wśród przodków żołnierza kampanii wrześniowej? Nie wszyscy wrócili z tego tragicznego września 1939 roku. Jednym z tych, którzy przeżyli i zapisał się w historii nie tylko jako żołnierz, ale także jako poeta, był Jan Rostworowski. Urodzony 10 września 1919 roku w Krakowie, uczestnik kampanii wrześniowej, po klęsce września przedostał się przez Paryż do Wielkiej Brytanii, gdzie spędził dwadzieścia osiem lat. Jego literacka droga rozpoczęła się w 1942 roku na łamach londyńskiego tygodnika „Wiadomości Polskie, Polityczne i Literackie”. Ten prestiżowy tytuł, będący kontynuacją międzywojennych „Wiadomości Literackich”, stał się miejscem debiutu wielu wybitnych twórców polskiej emigracji. Rostworowski został uhonorowany Nagrodą Fundacji im. Kościelskich za całokształt twórczości – wyróżnienie, które podkreśliło jego znaczenie na polskiej scenie literackiej. Po latach spędzonych na emigracji w 1968 roku powrócił do ojczyzny i osiedlił się w Krakowie, gdzie zmarł 14 listopada 1975 roku.

Znam jego poemat *Dni Ostatnie i Noce Pierwsze*, w którym uwiecznił koniec sierpnia 1939 roku – czas, gdy Warszawa i cała Polska jeszcze tętniły życiem. Autor maluje obrazy sielanki codzienności, miejskiego zgiełku oraz spokoju dworskich posiadłości. Te idylliczne sceny kontrastują z nadchodzącym nieuchronnym koszmarem wojny, który już czaił się na horyzoncie. Jak mało kto potrafił uchwycić dramatyczny moment zawieszenia pomiędzy beztroską a tragicznym losem.

Dzięki jego wierszom pamięć o ostatnich dniach wolnej Polski trwa, przypominając o tym, jak krucha jest wolność.

Ranek 26 SIERPIEŃ.

Jest rok TRZYDZIESTY I DZIEWIĄTY.

Pułkownik zwalcza ptasie fronty....

Renia ma wiosen siedemnascie

I szczęście. Szczęścia całe garście....

W słonecznym wschodził sierpie

Księżyc. 27 SIERPIEŃ rano

Patrzyłem, jak zbierają siano....

Bajka dziewczęcych lat się pisze.

Bo wieczór cały był zabawą,

„Panowie w lewo! Panie w prawo!...

Jak dziś pamięta Stach, tak to był

28 dzień SIERPNIOWY....

Tylko flisacy na swych kutrach

Patrzyli z trwogą w oczy jutra,

Bowiem gadali poniekąd, że

Że niebo się zaczyna chmurzyć,

Który to znak niechybnie wróżę

Czas moru, wojny albo burzy.

Tak właśnie przeżył Jan Rostworowski ostatni sierpniowy tydzień – czas, gdy życie toczyło się w pozornej normalności, a powietrze niosło jeszcze dźwięki codziennych rozmów i letnich wieczorów. Ta chwila wytchnienia skończyła się brutalnie wraz z nadejściem dnia apokalipsy – 1 września 1939 roku, kiedy niemieckie bomby otworzyły rozdział największego koszmaru w dziejach Polski. Groza, panika, przemoc i nieuchronność nadchodzącej tragedii znalazły swój wyraz w czterech lakonicznych zdaniach poety – słowach, które zamiast rozwlekłych opisów wibrują nagą prawdą tamtego dnia. Rostworowski nie potrzebował wielkich metafor, by oddać moment, w którym czas wolnej Polski dobiegł końca.

(...) Więc świst i krew i krzyk: UWAGA!

MÓWI WARSZAWA-

PRZEMOC ZBROJNA

WESZŁA W GRANICE POLSKI - WOJNA!

Kona poemat, a z kazamat

Zbrodni wyrasta w niebo DRAMAT. (...)

Fragment poematu *Dni Ostatnie i Noce Pierwsze*

A potem wylewa się wersami już tylko chaos pierwszych dni wojny, który przerażał, ale i jednocył naród w obliczu zagrożenia.

(...) Miastem szło wojsko. Szło z łoskotem

Butów, Żołnierze złani potem...

W radiu huczało od muzyki

Wojennych marszów, a dzienniki

Co czwila wieści niosły nowe.

Wczoraj zjawily się nad Lwowem

Pierwsze niemieckie bomby. W Gdyni,

Wedle sprawozdań i opinii

Kół miarodajnych, pierwszy nalot

Odparto. Nasze statki wałą

Z armat do kluczy Messerschmitów...

Mężczyzna w płaszczu popielatym

Ciągnie na małym wózku graty:

Kilka poduszek, jakiś stolik

Garnczek, blaszana puszką soli...

Kończy się powieść. Autor zmieścił

W niej część znikomą, odsłonił parę...

Garść zdjęć złapanych serca kliszą.

Historię inni niechaj piszą.

NIECH Z DAT I NAZWISK

WZNIOSĄ POMNIK,

IŻBY UCZYLI SIĘ POTOMNI... (...)



Okladka i strona tytułowa tomu *Dni ostatnie i Noce pierwsze*, wydanego w 1945 w Edynburgu w Drukarni wojskowej.

Zbiór poezji autora przeleżał lata w Księgarni Polskiej „Co Słyszeć”, na 2. Drumshugh Place, Edinburgh, w Szkocji, zanim trafił do księgozbioru E. A. Chmurzyńskiego, po czym sięgnął bruku w Hanowerze i wpadł w moje ręce ku rozprzestrzenieniu w sercach i duszach czytelników.

Historia kołem się toczy

Nie tak uczono mnie w PRL o wydarzeniach z 17 września 1939 roku, jak przedstawia to Jan Rostworowski w wierszu *Czerwony Car* w tomiku *Na Cięciwie*. Autor odświeża brutalną rzeczywistość: Armia Czerwona, dobijając mdlejący polski wrzesień, zajęła wschodnie tereny Rzeczypospolitej, przynosząc nie wieczysty mir, ale śmierć cywilom i oficerom polskim w Katyniu. Poeta, piszący z głębi duszy, nieograniczony cenzurą, przemawia do mnie jako wiarygodny świadek. Jego wersy noszą ślad prawdy przesiąkniętej bólem, której nie sposób zlekceważyć.



Wiersz *Czerwony Car* Jana Rostworowskiego z tomiku *Na Cięciwie*



Strona tytułowa tomiku *Na Cięciwie*, wydanego w październiku 1945 roku w Edinburgu przez The Riverside Press. Wydanie pierwsze, przechowane w księgozbiorze Edw. A. Chmurnyńskiego, które uniknęło pochówku na śmieciowisku. Poezja Rostworowskiego, spleciona z reporterską narracją, tworzy syntezę literatury i dokumentu. To właśnie dzięki temu połączeniu pamięć o bolesnych wydarzeniach zyskuje moc przetrwania, a wersy stają się czymś więcej niż tylko literackim zapisem - stanowią akt oskarżenia historii i hold dla tych, którzy byli jej świadkami.



Wycinek z prasy „Ku Wolnej Polsce”, 17 września 1941 roku, w 2. rocznicę wejścia Sowieców do Polski

Autor przewidział też przemilczenie prawdy i zakłamanie faktów historycznych w przyszłości. Tych faktów, bez których to właśnie mnie wyedukowano w PRL.

Jan Rostworowski, sam żołnierz kampanii wrześniowej, w swoim poetyckim hołdzie *Wiosna* oddaje cześć wszystkim walczącym o wolność Ojczyzny — bez względu na formację wojskową, kolor munduru czy szerokość geograficzną. Jego wersy niosą przesłanie jedności, które przekracza podziały i odzwierciedla ducha niezłomności polskich żołnierzy rozsypanych po całym świecie. Jego poezja staje się swoistym testamentem pokolenia, które, mimo różnorodnych doświadczeń i miejsc walki, połączyła wspólna nadzieja na powrót do niepodległej Ojczyzny. *Wiosna* jest symbolicznym obrazem odrodzenia - nie tylko natury, ale przede wszystkim narodu, którego serce biło w rytmie walki o wolność.

I stoi polski żołnierz nad morzem dalekim...
A chwile oczekiwań wloką się jak wieki.

Bili się w kraju francuskim, bili
się w śnieżnej Norwegii,
I pamięć po nich została, jak
bohaterskiej krzyż legii.

Po afrykańskich pustyniach
nosili zemsty głód sępi,
Boga w czekniu błagając, by
czas im szabel nie stępił....

Te same intencje przyświecają mu
w wierszu *Apel poległych*

Niech przyjdzie ten z pustyni
tobrucki towarzysz,
Zamarzniętych na tajgach,
tratowanych, klutych,
Niech nadbiegną zdobywcy norweskiej reduty
I ci z ziemi francuskiej i ci z ziemi włoskiej,
Wszyscy, którzy przed sądem
postawieni boskiem...

Nie za Polskę czerwoną, nie za Polskę białą
Lecz po prostu za Polskę. I to niech wystarczy.
I do takiej wracajcie z tarczą, lub na tarczy.

Z szacunkien i podziwem oddaje hołd
walczącym i poległym pod Monte Casino
w utworze *Chwała zwycięzcom*:

I że widać szczyt góry, bo ogień w twarz praży,
Bo w oczy pryska kamień i goracy ołów,
Bo nagle stęzał przodem idący towarzysz
I dziwna, szara bryła poleciał do dołu

A potem był już koniec, tylko nogi drżały,
Gdy stał, łapiąc powietrze,
pod zburzoną basztą.
Strzępy jakiejś rozwowy..., oddalone strzały...
I myśl słaba, bezbronna : -
„Zdobylismy klasztor”.

I zapowiada zemstę na okupancie
w wierszu *Litania*, wydanym w prasie „Nowa
Polska” w Londynie 30 września 1944 roku.

Za wsie spalone, za ruiny dworów,
Za zgłiszczą fabryk, za wylomy lasów,

...
Za wydzieranie nas z księgi atlasu,
..
Za każdą cegłę i cement tej cegły,
..
Za kłosa istnień, za ziarna poległe,
...
Płoniemy jako poochodnie na wicherze
..
Pomszczą się Matki, jej sługi najlichsze
Na polach Francji, i z Orłem na maszcie

Niegasnący apel sumienia

Wersy Jana Rostworowskiego drzemały przez osiem dekad, nim przypadek tchnął w nie nowe życie. Teraz jego głos, choć wydobyty z odmętów historii, może znów przemówić - do miłośników poezji, literaturoznawców, historyków, polityków, sceptyków i tych, którzy wciąż igrają z ideą kolejnych konfliktów zbrojnych. Jego poemat *Credo* jest jak ostrzeżenie wyryte w kamieniu. Rostworowski, doświadczony przez tragedię wojny, apeluje o zrozumienie jej bezsensu i okrucieństwa. Wzywa do zamiany bagnetów na lemiesz, bojąc się, że ci, którzy sami nie doświadczyli wojennego piekła, nigdy nie pojmą jego skutków. Jego słowa brzmią jak niegasnący apel sumienia - ponad czasem i ludzką skłonnością do zapominania. Książki nie tylko śpią na regałach, ale potrafią także budzić świat. Warto sięgnąć po wersy Rostworowskiego, by usłyszeć ten głos.

W twej duszy drzemie dumanie,
I w mojej tesknota drzemie,
Lecz ty chcesz pług na bagnet,
Ja bagnet przekuć na lemiesz

W wierszu *Germany Calling* autor nie może zrozumieć:

Czemu człowiek swą siłę na
ilość pocisków przeliczył
I oto stał się najdzikszym,
najokrutniejszym ze stworzeń

W wierszu *Z tamtej strony* Jan Rostworowski z niezwykłą szczerością dokonuje samokrytyki, przyznając, że nawet on, żołnierz i poeta naznaczony traumą wojny, może kiedyś ulec pokusie zapomnienia. Zachłystnięty nowym życiem w czasach pokoju, obawia się, że wspomnienie okropieństw **Czasu Pogardy** stopniowo zblaknie - zarówno w jego własnym sercu, jak i w pamięci przyszłych pokoleń.

To przejmujące wyznanie pokazuje nie tylko jego osobistą refleksję nad zawodnością ludzkiej pamięci, ale również uniwersalne pytanie: czy świat, który doświadczył tragedii, potrafi zachować jej bolesne lekcje na zawsze? Wydaje się, że Rostworowski wyciąga rękę do czytelnika z cichą prośbą - by jego poezja była tarczą przeciwko zapomnieniu, a jego wiersze stały się świadectwem, które pozwoli czasowi zatrzeć śladów.

Czy te słowa dotarły i dotrą do świadomości przyszłych generacji? Czy ktoś wyciągnął z nich, bądź wyciągnie, wnioski?

Rostworowski z melancholią, ale i gorzkim realizmem przestrzega: łatwiej jest żyć głuchym i ślepym. Jednak wystarczy spojrzeć na ostatnie trzy dekady, by przekonać się, jak krucha jest wolność i demokracja. To nie trawa, która rośnie samoczynnie. To roślina wymagająca codziennej troski i pielęgnacji.

→ Historia, jak pisał poeta, „kołem się toczy”. A czerwony car nadal nie przestaje siać chaosu, obiecując „wieczny mir”. Wciąż zakłamuje historię, usprawiedliwia haniebne czyny obawami o własną niezależność, przedefiniowując aksjomaty prawdy w imię imperialnych ambicji.

Poezja Rostworowskiego nie daje łatwych odpowiedzi, ale przypomina, że wolność nie jest dana raz na zawsze. Wymaga świadomego wysiłku, odwagi i uczciwego spojrzenia w przeszłość.

Wiersz *Wariat* Jan Rostworowski kończy mocnym akcentem - przenikliwą obawą przed lekkomyślnym podejściem do Wolności. Poeta ostrzega przed lekkoduchami, którzy relatywizują naczelne wartości, bagatelizując to, co stanowi fundament istnienia narodu i jednostki.

Jego słowa są nie tylko przestroga, ale i aktem desperackiego przypomnienia, że wolność jest kruchej natury - nie jest dana raz na zawsze. Każdy dzień przynosi nowe zagrożenia, których nie można ignorować w beztroskim przekonaniu, że historia nie wróci do swoich dawnych schematów. Rostworowski swoją poezją zadaje pytanie: Czy współczesne pokolenie udźwignie odpowiedzialność za tę wolność, wywalczoną krwią i cierpieniem?

AKTÓRZY, WBREW NADZIEI,
PRZEZ PIEKŁO ROZPACZY
IDĄ, WIERZĄC, ŻE WIDĄĆ
NIE MOŻNA INACZEJ.
- AŻ ŁZAMI DRŻAŁ GŁOS STARCA
W PODARTEJ KOSZULI.
NA TO GRUBY W BINOKLACH
WARKNAŁ KRÓTKO: "FOOLISH"

POECI POLSKI PODZIEMNEJ MIECZYŚLAW ADAM UBYSZ

Władysław Bartoszewski nazwał go „zamiennym poetą walczącej Warszawy” w biograficznym artykule opublikowanym 28 października 1956 roku na łamach tygodnika „Stolica”.

Czas najwyższy, by wskrzesić pamięć o nim i jego twórczości, niestety marginalizowanej czy wręcz blokowanej w Polsce Ludowej. Ubysz był bezpośrednim świadkiem zarówno chwalebnych, jak i tragicznych chwil Powstania Warszawskiego. Jako uczestnik zbrojnego zrywu, przeżywał klęskę powstańców, daremnie wyczekujących pomocy radzieckiej armii, stojącej beczynnie po drugiej stronie Wisły.

Wśród poetów Powstania Warszawskiego zapisało się wielu autorów - mniej lub bardziej uzdolnionych, zarówno przedwojennych literatów, jak i debiutantów, którzy tworzyli z potrzeby serca. Ich utwory były publikowane w prasie powstańczej i docierały do każdego zakątka walczącego miasta. Poezja tamtego czasu rodziła się spontanicznie: na barykadach, w ruinach, podczas nalotów, w okopach, schronach czy na podwórzach. Była nie tylko wyrazem artystycznym, ale także emocjonalnym krzykiem pełnym żalu, bólu i strachu. Dawała otuchy, wzywała do pracy i walki, apelowała o pomoc sojuszników - głównie Brytyjczyków i Amerykanów.

Jednak poezja dotycząca Powstania Warszawskiego, publikowana w PRL, często uchwytała propagandą. Wiersze miały nie tyle dostarczać przeżyć estetycznych, ile służyć jako narzędzie polityczne, wpływające na społeczne nastroje. W pamięci ze szkolnej ławy najmocniej zapisał mi się Krzysztof Kamil Baczyński - poeta-powstaniec. Jego strofy z wiersza *Z głową na karabinie* do dziś

brzmiały jak testament młodości złożonej na ołtarzu ojczyzny:

Nocą słyszę, jak coraz bliżej
drżąc i grając krąg się zaciska.
A mnie przecież zdróży rzeźbił chyży,
wyhułała mnie chmur kołyska.

Teraz warto i trzeba przywołać także pośtać Mieczysława Adama Ubysza, którego literackie świadectwo czeka na ponowne odkrycie. Czy jego wiersze również przetrwają próbę czasu i trafią do współczesnych czytelników? Może nadszedł już czas, by je obudzić z wieloletniego snu.

Świadectwo na cenzurowanym

Za kulisami szkolnych ław krążyły nieoficjalnie wersy poetów, którzy w swoich utworach odważnie oskarżali Armię Czerwoną o bierność podczas Powstania Warszawskiego. Ich twórczość była przemilczana lub wręcz zakazana w czasach PRL. Oficjalne zajęcia szkolne stanowiły arenę cenzury, gdzie młode umysły z premedytacją odcinano od literackich świadectw prawdy. A przecież powstańcza poezja nie jest jedynie literackim uniesieniem - to ważne świadectwo epoki, spisane przez uczestników i świadków tamtych dni. Niosła w sobie zarówno ból klęski, jak i iskry nadziei, a także rozgoryczenie wynikające z braku pomocy ze wschodu. To właśnie te przemilczane strofy stawały się prawdziwym głosem historii - przekazywanym w szeptach poza oficjalnym nurtem edukacji.

Czy nie nadszedł czas, by i wersy Mieczysława Ubysza wyciągnąć z cienia i pozwolić na pełne wybrzmienie?

Mieczysław Adam Ubysz ur. 28 stycznia 1915 w Łodzi, polski poeta, kapral podchorąży spiker powstańczej radiostacji „Błyskawica”. W 1938 pracował w Rozgłośni Polskiego Radia w Wilnie jako spiker. Uczestnik kampanii wrześniowej, walcząc jako ochotnik w obronie Warszawy, gdzie wstąpił do podziemnej Armii Krajowej. Był jedną z osób współtworzących „Błyskawicę”, a także dowódcą patrolu megafonowego nr 2 Biura Informacji i Propagandy AK. Ranny w czasie powstania, po kapitulacji Warszawy przebywał w szpitalu jenieckim w Zeithain. Jeniec Stalagu IV B/H Zeithain (podobóz Stalagu IV-B Mühlberg), jako ranny umieszczony w Kriegsgefangenen-Lazarett Zeithain. Po wyzwoleniu, zostając w brytyjskiej strefie Niemiec Zachodnich, redagował czasopismo obozowe „Droga” w miejscowości Northeim, brał udział w występach teatru żołnierza i wciąż pisał. W 1945 wydał w Niemczech tom wierszy *Czas wirujący*, zawierający ponad 80 utworów, a w 1946 w Hanowerze tomik *Brew* z 18 wierszami. W obozie nabawił się gruźlicy. Do Polski wrócił w 1947, gdzie jego wiersze powstańcze obwiniające brak pomocy Armii Czerwonej przyczajonej po drugiej stronie Wisły zaowocowały blokadą publikacji, jego podanie o wstąpienie do Klubu Literatów w Łodzi zostało odrzucone. Wciąż jednak pisał - do szuflady. Zmarł w 1970 roku pochowany na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach w Warszawie.

Źródło: wikipedia

Liryka strzelająca słowami

Twórczość Mieczysława Ubysza nieodłącznie spleta się z Warszawą i Powstaniem. Od początku wojny jego pióro nieustannie reagowało na rzeczywistość - pisane pod wpływem chwili wiersze noszą daty, które są nieymiennymi świadkami dramatycznych wydarzeń. Te okupacyjne doświadczenia, pełne

nieustannej ucieczki i konspiracji, naznaczyły jego twórczość mrocznym, pesymistycznym tonem. Jego poezja to liryka walcząca - „strzelająca nie kulami, a słowami”. Takie było jego świadectwo czasów, które nie bez powodu określa się mianem Czasu Pogardy. Pierwszy raz zetknęłam się z jego twórczością, znajdując jego książkowe wydanie z Northeim z 1945 roku, zatytułowane *Czas Wirujący*. Te wiersze, pełne patosu, emocji i historycznej prawdy, odstąpiły przede mną autora potrafiącego nadawać swoim utworom niecodzienną konstrukcję poetycką i wyrazistą formę. Jak mało kto, potrafił oddać puls powstańczej Warszawy - miasta walczącego i umierającego, ale nigdy nie poddającego się rozpacz. Jego poezja, choć stworzona w chaosie walk, wciąż wybrzmiewa ponad czasem jako świadectwo odwagi, pamięci i niezłomności ducha.

W cieniu śmierci i okupacyjnej beznadziei

Pierwsze wydanie utworów Mieczysława Ubysza, *Czas Wirujący*, z Northeim z 1945 roku jest nie tylko literackim zapisem dramatycznych czasów, ale również materialnym świadectwem trudności, jakie niosła wojna i tułaczy los. Książka ta pozbawiona jest całkowicie polskiej czcionki nawet na stronie tytułowej redaktorzy musieli posłużyć się przecinkiem, by z litery „A” stworzyć „A”. Ten pozornie drobny szczegół, ten przecinek pod A, mówi więcej, niż mogłoby się wydawać. Staje się symbolem walki o zachowanie tożsamości kulturowej i języka w obliczu wygnania. Brak polskich znaków diakrytycznych staje się metaforą losu polskich poetów na emigracji ich głosów często pozbawionych odpowiedniego miejsca w pamięci czytelników w powojennej Polsce. Choć wydanie to może wyglądać skromnie i niedoskonałe w swojej formie, to jego treść stanowi niezapomniany dokument czasu, w którym słowo było równie potężną bronią jak powstańcza barykada.

Brak polskiej czcionki w pierwszym wydaniu *Czasu Wirującego* Mieczysława Ubysza nie wydaje się przeszkodą dla czytelnika - poezję bowiem czyta się nie tylko wzrokiem, ale przede wszystkim sercem i duszą. To forma dialogu z autorem, który na papier przelewa całe swoje jestestwo, ból, strach i nadzieję. Oddając atmosferę okupacyjnych dni, wprowadza również język wroga. W jego poezji pojawiają się niemieckie zwroty, niekiedy zniekształcone, jakby echem dochodzące z tamtych czasów: „Wehrmacht”, „Führer”, „Vorsicht”, „Oberleutnant”. Te słowa nie są jedynie zapisem językowym - to brzmienie w pamięci autora głosy pełne trwogi i grozy, które na zawsze pozostały w jego świadomości. Wiersze te nie są tylko literackim zapisem, ale świadectwem życia w cieniu śmierci i okupacyjnej beznadziei. Czytelnik za każdym razem odnajduje w nich emocjonalną prawdę - uniwersalną i poruszającą, niezależnie od tego, w jakim języku wypowiedzianą.

Puls Powstańczej Warszawy

Utwór *Polska Podziemna* Mieczysława Ubysza przenosi czytelnika do tętniącej życiem powstańczej Warszawy. W zaledwie kilku wersach poeta odmalowuje precyzyjny obraz codzienności konspiracyjnej - harmonogram działań, organizację życia w cieniu walki i nieustannego zagrożenia.

Każdy wers niesie świadectwo nieustającego wysiłku, by przeciwstawić się okupantowi. Ubysz zapisuje ten czas nie tylko jako literacką impresję, ale jako dokument doświadczeń ludzi, którzy w zmaltretowanym mieście budowali strukturę podziemia, tworzyli kanały komunikacji i utrzymywali

ducha walki.

Wiersz staje się nie tyle nostalgicznym wspomnieniem, ile dynamicznym zapisem siły i determinacji — symbolem nadziei, która żyła w zgłiszczach walczącej Warszawy.

Drukarnie:

W sklepie, po opuszczeniu witryny-Maszyny...
Na strychach, w zatęchłych piwnicach”..

„Codziennie na innych ulicach,

Dudniące bez przerwy, ofiarne

Konspiracyjne Drukarnie.

Kolporterki:

„Uśmiechnięte, smukłonogie dziewczęta

Od piętra biegają do piętra,

Mimo sieci patrolów, łapanek

Zadyszane, mrące z trwogi, rozśmiane..”

Musztra

„Sześciu chłopców bez butów

w milczeniu zawzięcie ćwiczy

Pięty chłopięce kołyszą deski podłogi,

I mama płacze ze szczęścia i trwogi”

Potem po kolei przebieg ODBIERANIE
BRONI, HURT i EGZEKUCJA.

Głos okupowanej Warszawy

W utworze Polska Podziemna Mieczysław Ubysz nie tylko odmalowuje życie konspiracyjne stolicy, ale również wprowadza fonetyczne zwroty języka niemieckiego, co wzmacnia dramaturgię jego poetyckiego przekazu. Takie frazy jak *O Herr Gott! Die verfluchte Banditen* (choć poprawna pisownia brzmi *Die verfluchten Banditen*) przywołują grozę okupacyjnej rzeczywistości, której dźwięki i język były integralną częścią codzienności mieszkańców.

Nie mogę nie wspomnieć o moim własnym pierwszym zetknięciu z niemiecką frazą. Słowa *Achtung, Achtung...*, usłyszane na peronie w Berlinie, choć całkowicie neutralne w swoim kontekście, zabrzmiały złowrogo. Pochodzę z pokolenia powojennego, ale zdaje się, że echo edukacji patriotycznej w PRL-u wciąż rezonuje w takich momentach.

Ubysz, świadomy tych historycznych napięć, wprowadza język okupanta jako świadectwo tamtego czasu, ale także jako narzędzie artystyczne, by wydobyć nie tylko pamięć, ale i emocje, które wciąż tkwią głęboko w naszej świadomości.

Jednym z pierwszych zadań Ubysza, jako powstańca było przebicie przejść w murze między dziedzińcem PKO a podwórkiem „Adrii” i banku włoskiego, które umożliwiałyby ruch kurierów przenoszących informacje.

Uwiecznił to w utworze napisanym „Na cześć Tego, który podczas bombardowania P.K.O w czasie rosnącej paniki zaintonował Hymn”

Pierwszy grom, drugi grom!

Jęknął strop i wicher trzasnął

Czarną śmiercią w gmach jak miasto,

...

W grozę kołyszącą domem,

W mgłę wykrzyknął:

NIE I STAĆ

Śmierć - to śmierć, a śmierć - to gra

..

Stać, dopiero pierwsze drzwi!

A nam teraz stać i czekać

(W sercach, w gardłach i w powiekach)

..

I jak grom o grom runęła:

JESZCZE POLSKA NIE ZGINEŁA”

WIERZ MIECZYŚŁAWA UBYSZA P.K.O P.K.O z TO-
MIKU CZAS WIRUJĄCY, 1945

Powstańcze Stare Miasto

Na początku września, gdy warszawskie Stare Miasto chyliło się ku tragicznemu upadkowi, Adam Ubysz stworzył poemat *Stare Miasto*. To literackie świadectwo walk, jakie toczyły się na ulicach Długiej, Kilińskiego, Placu Krasińskich, Rynku, Placu Zamkowego i Krakowskiego Przedmieścia. Poezja Ubysza, pełna emocji i patosu, staje się kroniką dramatycznych chwil z życia powstańczej stolicy. Ciekawym detalem tego wydarzenia jest zastosowanie obcej czcionki, by zastąpić polskie znaki diakrytyczne, jak „ó” czy „ż”. Choć dla współczesnego czytelnika może wydawać się to błahym szczegółem, ten zabieg wówczas świadczył o trudach wydawniczych i desperackiej walce o zachowanie tożsamości literackiej w czasie okupacji. Ubysz nie tylko opisuje wydarzenia, ale czyni je wiecznym zapisem, przepętnionym odgłosami ulic, zniszczonych budynków i determinacji ludzi, którzy, mimo przeważających sił wroga, nie tracili ducha walki.

Szli, szli, szli,

Zgarbieni, zbloceni, we krwi.

rzez wieczór bez końca,

Wśród nocy bez końca,

Sunęła, sunęła

Gromada milcząca.

O mury, o asfalt

Trącały kikuty,

Gubiły rytm buty,

Gubiły rytm buty,

Szli, szli, szli... [...]

Krótkie wersy przypominają mi kroki idących żołnierzy, a liczne powtórzenia wzmacniają rytm marszu.

Żołnierze idący przez piekło Starówki „kikutami” zamiast butów.

Przez wieczór bez końca

Wśród nocy bez końca

[...]

Trącały kikuty,

Gubiły rytm buty,

Gubiły rytm buty,

Szli, szli, szli...

[...]

A twarze szczerzwały

Z zajądłym chichotem

Noc pluła żelazem,

Gruzami i błotem

I szli tak od gruzów

Do gruzów kamienic

Cieniami olbrzymów

W wichurze płomieni,

Nie rzędem, kolumną –

Gromadą bezładną

[...]

Wiatr uniósł im nad głową,

Wiatr huczał w płomieniach,

Że było, że padło,

Że dzisiaj już nie ma!

Na gruzach Starówki

Brzask przetnie jak nóż

Trzydzieści dwie doby

I krzyknie, że już!

Że padło, że odwrót,

Że idą i idą [...]

Wstrząsnęto mną zestawienie życia i śmierci, które było codziennością tamtego czasu. Tu miasto pełne trupów i gruzów, bo Starówki „dzisiaj już nie ma”, a tam uparcie wciąż „idą i idą” w rytm zaczęty autora:

Żołnierzu! Zęby wilcze zatnij

I przez ulice splomienione maszeruj

Londyn, Paryż, New-York,

Surmy w Brukseli, w Amsterdamie

Grają ci dzisiaj na konanie

– Pod Twą obronę – [...]

Oto nam huczą strzały armatnie

Na szanicach Żelaznej Bramy.

Święta Maryjo, w palbie ostatniej

Módl się za nami. [...]

Ostatni komunikat - proroczy głos

Wiersz *Ostatni Komunikat Mieczysława Ubysza*, napisany 15 sierpnia 1944 roku, w samym środku powstańczej zawieruchy, ma formę radiowego przekazu. Już sam zabieg formalny, zbliżający utwór do komunikatu radiowego, oddaje nerwowość i dramatyzm tamtych chwil. Wiersz, choć pozbawiony polskiej czcionki, poraża trafnością przewidywań i dojrzałością refleksji. Autor wyraża w nim nie tylko gorycz wobec zdradzieckiej bierności Armii Czerwonej, stojącej po drugiej stronie Wisły, ale także przenikliwe przekonanie, że powstańcy zginą, choć alianci ostatecznie zwyciężą i zdobędą Berlin. Co zaskakujące, poeta tworzy te wersy jeszcze w sierpniu – w czasie, gdy wciąż tliła się nadzieja na triumf Powstania i na pomoc ze strony Zachodu.

Skąd jednak ta niemal prorocza wizja klęski? Czy była to intuicja poety, czy raczej wynik bystrej obserwacji politycznych rozgrywek? Ubysz dostrzegał zapewne coś, co umykało wielu jego rówieśnikom: nieprzejednaną kalkulację Stalina, dla którego Powstanie Warszawskie było jedynie niewygodnym elementem w jego strategii politycznej. *Ostatni Komunikat* to nie tylko poetycka relacja z frontu, ale również przejmująca analiza politycznej rzeczywistości. Wiersz stanowi nieocenione świadectwo ducha tamtego czasu, który tak bezwzględnie testował granice ludzkiej nadziei.

Nadajemy komunikat z Warszawy

Nadzwyczajny komunikat z Warszawy,

Stacja Armii krajowej melduje:

Bój skończony i... nic, oprócz sławy...

wieść niesiemy do wszystkich narodów,

konferencji, przyjaciół i braci:

Lud stolicy za wolność zapłacił

Swoim życiem! [...]

Odczytuję ten wiersz jako komunikat radiowy, którym poeta zawiadamia świat o klęsce.

Już pełzła po mieście

Trupi odór od szaniców do szaniców,

Milion legło wśród gruzów Powstańców.

Wolni. Wolni od kajdan i... życia. [...]

Tragiczny paradoks pokolenia

W swoim przejmującym zwątpieniu Mieczysław Ubysz redefiniuje pojęcie wolności. Nie jest ona jedynie upragnionym oswobodzeniem z kajdan okupacji, ale także - w najbardziej dramatycznym ujęciu - wyzwoleniem od samego życia. Ta przerażająca koncepcja wolności, będąca paradoksem podszytym rozpaczą, towarzyszy całemu pokoleniu doświadczonemu przez Czas Pogardy. Dla wielu młodych ludzi walka o wolność była jednocześnie zgodą na poświęcenie wszystkiego, łącznie z własnym istnieniem. Ubysz, jak nikt inny, oddaje w swojej twórczości tę bolesną świadomość, że wolność, okupiona życiem, pozostaje jedynie marzeniem, a jej cena jest niekiedy zbyt wysoka, by mogła przynieść pełnię szczęścia i poczucie spełnienia. W tych wersach pobrzmiewa echo dramatycznego losu tych, którzy wywalczyli wolność, ale jej już nigdy nie doświadczyli.

Ubysz czuje się też zdradzony przez Armię Czerwoną,

Armia bratnia jest o krok, jest blisko,
Na przedpolach Warszawy i zgłiszczach,
Nim ostatni o wolność padł strzał –
Hełm widziano –
Rosyjski hełm błyskał...[...]

I zaraz po tym zwraca się do aliantów zachodnich:

...Były. Dwa rzuty tej nocy,
Lecz nie stało żadnego żołnierza...
[...]
Stacja Armii Krajowej melduje,
że nadała swój program ostatni:
błyskawica. Warszawa. Zwycięstwo.
Surmy! Bratnie fanfary!
Przekleństwo. [...]

Czuł się razem z Warszawą przeklętą, nie tylko przez okupanta, ale i zdradę sojuszników. Jego wizja została zaprezentowana światu najpierw za pośrednictwem radiostacji powstańczej „Błyskawica”.

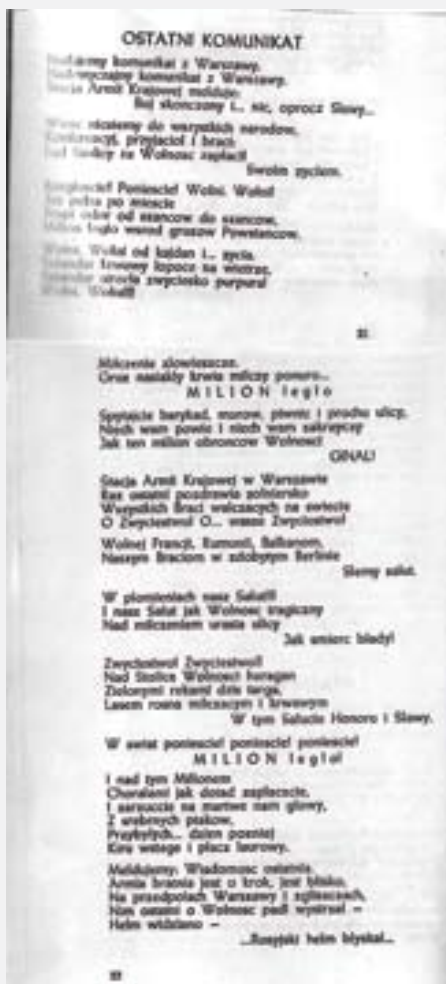
Gorzki apel do rodaka w mundurze

W utworze *Do Żołnierza Armii Berlinga*, Mieczysław Ubysz kieruje bezpośredni i osobisty apel do rodaka w mundurze Berlinga. Słowa poety przesiąknięte są goryczą i rozczarowaniem wobec decyzji dowództwa, które pozostawiło walczącą i wyrwawiającą się Warszawę bez pomocy. Ubysz, jakby w imieniu powstańców, nie oskarża indywidualnego żołnierza - jego słowa są pełne zawiedzionej nadziei i pytania o lojalność wobec wspólnej sprawy. Poezja ta nie jest jedynie historycznym zapisem pretensji, lecz także symbolicznym krzykiem osamotnionej stolicy, która oczekiwała braterskiej ręki, a spotkała się z zimnym milczeniem zza Wisły. Ten utwór to literacka próba przepracowania narodowej traumy i zadanie pytania, na które historia wciąż nie daje pełnej odpowiedzi.

(...) *A przecież o polskie
miasto szło i o Polskę.
Bo Polska to jest Wolność.
Innej Polski nie ma. (...)*

Poezja więzienna w Zeithein

Podczas kapitulacji Śródmieścia Mieczysław Ubysz został przysypany gruzami na ulicy Moniuszki, a później ranny wskutek



Ostatni komunikat (fragment) z tomu *Czas wirujący*, wydany w Northeim, Niemcy, 1945 rok

wybuchu na Żółtej. Warszawę opuścił na noszach, doświadczając cierpienia nie tylko fizycznego, ale także emocjonalnego — jako świadek upadku miasta, które ukochał. 13 października poeta został wywieziony do obozu jenieckiego Zeithein, a w kwietniu 1945 roku przeniesiony do Stalagu IV B Mühlberg, gdzie przeżył naloł aliantów.

Źródło :https://ozopedia.org/index.php?title=Ubysz_Mieczys%C5%82aw

Mimo trudnych warunków niewoli nie zamilkła jego poetycka wena, która stanowiła nie tylko osobisty ratunek, ale także świadectwo nieugiętego ducha. Z tego okresu pochodzi przejmujący utwór *Msza Polowa*, w którym Ubysz dokonuje retrospektywnego przeglądu wydarzeń wojennych. Wspomnienia poległych to nie tylko wyraz pamięci, ale także próba sacrum wobec chaosu wojny. Przenikająca tekst melancholia i powaga liturgicznego symbolu czynią z tego wiersza poruszający hołd żołnierzom, a jednocześnie uniwersalną refleksję nad kruchością życia i odwagą poświęcenia. Poezja Ubysza z okresu niewoli świadczy o niezłomności jego ducha i stanowi ważny zapis nie tylko osobistych doświadczeń, ale także narodowej pamięci.

Za dusze poległych siostr,
Za dusze poległych braci,
Rzuceni w świat daleki,
Zza siodmej gory i rzeki
Szepczemy wargami drżacemi
Beznogie, bezrękie kaleki
Wieczne Odczywanie
Za dusze poległych braci,
Za ciał szczerbionych męką,

Za domy rozdarte w pożodze,
Za dnie i noce w trwodze,
Za martwe, zwalone ulice,
Za całą Matkę Stolicę,
Za wszystkie, za wszystkie rozpaczę,
Kaleki, wygnańcy, tułaczę,
Pod strażą honorową,
Na baczność z odkrytą głową
Powtarzamy długie litanie
Wieczne Odpoczywanie.

W wierszu *O Łodzi*, znowu pojawia się promyk nadziei. To nadzieja autora, że mimo klęski Powstania, gra o wolną Polskę jest jeszcze nieskończona.



Wiersz *O Łodzi* (fragment) napisany w obozie w Zeithein w listopadzie 1944 roku

Poetycka pokora i niewygodna prawda

Mieczysław Adam Ubysz, poeta walczącej Warszawy, sam siebie nazywa „bluźniercą słów”. Czyżby tak surowo oceniał wartość swojej twórczości? A może raczej określenie to stanowi wyraz świadomości, że podejmuje tematy niewygodne i trudne do zaakceptowania przez powojenną rzeczywistość? W utworze *Bluźnierca* przebija pokora — zarówno wobec historii, jak i literatury oraz przyszłości, której kształt wciąż pozostawał niepewny. Ta pokora nie jest jednak synonimem poddania się. Wręcz przeciwnie, w wierszu wyczuwalne jest rozczarowanie sytuacją polityczną po wyzwoleniu, nowym układem sił i zdradą ideałów, za które walczyło pokolenie poety. Ubysz, mimo wszelkich gorzkich doświadczeń, nadal odważnie deklaruje nadzieję. Słowa *chcę inaczej wierzyć!* stają się jego manifestem oporu wobec zgody na świat, który nie spełnił obietnic wolności. To nie bluźnierstwo wobec Boga czy wartości — to bluźnierstwo wobec fałszu i milczenia, które poeta pragnie przełamać każdym kolejnym wersetem.

BLUZNIERCA

Ze bluznie, wiem i wiem, że przecież
Wciąż jeszcze będę bluznił,
Bom jest wieczystym miotłem w świecie,
Słów żywych wielkiej kuzni.

Ze mnie opetal słów niedosyt
I wieczny głód poznania,
Krzyczące bólem włoda mosty
Do złotych tronów Pana.

I wiesz, że tworząc trzeba słuchać
Czym echo w piersi rośnie,
I bluzniac – słucham, słucham, słucham,
Echa Twych gniewów w głosie.

Zem hardy, wiem. Lecz cóż, zem hardy,
Ze chce Ci patrzeć w oczy,
Po coś nas swoja ręka twarzą
Tak zmiół i na dno stoczył.

Tu, jeśli kark się trzyma zgłęb,
Jeśli się patrzy z kolan,
Zes jest Daleki, toś jest Świety,
I Niepoznaniem wofacz.

A ja chce widzieć! Chocbyś gromem
W zrenice mi uderzył,
I krzykiem groźnym Tobie płonę,
Bo chce inaczej wierzyć!

I wiem, że nie nie marnotrawię,
Krzycząc pod czarnym niebem,
Im głośnie krzyczę, tym prawdziwiej
Powrócę znów do Ciebie.

Ze bluznie, wiem, lecz się nie trwozę,
Bo Ty wiesz o tym przecież,
Ze tak, jak kiedys się ukorze
Nikt nie potrafi w świecie...

31

Wiersz *Bluznierca*

W cieniu drutów Zeithein

Mieczysław Adam Ubysz, choć odcięty od ojczyzny i pogrążony w rzeczywistości obozu jenieckiego w Zeithein, nie porzucił swojej poetyckiej drogi. Muza poezji była mu wierna - towarzyszyła wśród murów zniewolenia, gdzie słowa stawały się jedynym schronieniem przed bólem i upokorzeniem. W utworze *Poza Kołem* poeta, mimo oddalenia od krwawych walk i huku barykad Powstania, przemienia swoje myśli i emocje w liryczne wersy. Przepętniony tęsknotą za krajem i świadomością nieodwracalnych strat, szukał w poezji wolności, której odmówiono mu na ziemi. Te słowa, choć pisane w cieniu drutów kolczastych, zdają się przerzucać most nad mrokiem historii. Poezja Ubysza nie znała granic - stała się aktem nie tylko pamięci, ale i wewnętrznej zwycięstwa nad próbą odebrania człowiekowi duszy.

Słów wirujących tysiące.
Przychodzą do mnie i proszą,
Czekają moich zmiłowań.
Przytulał je miękko, przytulał
I rzucał w otwarte okno...

..
Klekają, proszą i płaczą,
O szyby tłuką w okna!
Czekam.
Niech mokną.
Potem otwieram,
Powietrze wciągają w płuca,
A one głośno krzycząc, skaczą
do serca wprost z błota!
I JEST! Rozumiesz? WIERSZ!
„Jesienna tęsknota”
Tak wszystko, wszystko jest śpiewem.
I nie wiem,
Czy słowo - natchnieniem życia,

Czu życie - słowa natchnieniem?

Noc. Cztery ściany. I ja!

Mrok i ja i te ściany

I wiatr i ja weń wśląkany.

Wiersz *Poza Kołem*, napisany w obozie w Zeithein w listopadzie 1944 roku.

Poezja jako Ogród Edenu

W obozie Zeithein, odcięty od wolnego świata i bliskich, Mieczysław Adam Ubysz odnajdywał azyl w poezji. To właśnie ona podtrzymywała go na duchu, pozwalała choć na chwilę uciec od bolesnej rzeczywistości i podnieść się z klęsk rozpacz. Dla Ubysza poezja była niczym rajski ogród - Ogród Edenu, gdzie każde słowo stawało się doskonałym owocem, karmiącym jego zranioną duszę. Oddaje to uczucie w poemacie *Słowa*: poetyckie wersy nie tylko łagodzą ból, ale stają się świadectwem triumfu człowieczeństwa nad zniewoleniem. Tęsknota za pięknem i wolnością, niegasnące pragnienie kreacji - oto jego duchowa walka, w której poezja okazała się najwierniejszym sprzymierzeńcem.

Za pierwszym rogim - sady boże,

Dosytne sady z jasnej baśni!

Słowa czekają, słowa proszą

Dosięgiem poetyckiej garści.

I wtedy trzeba na kolanach

Modląc się - zerwać słowo pierwsze

I słońcem, wiatrem, krzykiem, szczęściem!

Do nieba skoczyć prosto z klęsk!

Poezja - ostatnia reduta wolności

Mieczysław Adam Ubysz, choć wielokrotnie zaglądał w oczy śmierci, to właśnie w obozie Zeithein dotknął prawdziwego dna rozpacz. Odebrano mu wszystko, w co wierzył - wolność, ojczyznę i wiarę w sprawiedliwość historii. Uwięziono nawet jego nadzieję. A jednak, choć skuty łańcuchem, w duszy pozostawał wolny. Ta wolność tkwiła w słowach i wersach, które tworzył. Poezja stała się jego ostatnim bastionem człowieczeństwa. Nie pisał, by milczeć. Pisał, by krzyczeć - przeciwko zniewoleniu, przeciwko zapomnieniu, przeciwko śmierci ducha. Pozostały mu tylko wiersze, ale to one pozwalały mu żyć - nieśmiertelnie, mimo kajdan:

Wiersz mój jest nieskazitelną,

..

Słowem świszczącym od mocy

..

Wiersz mój jest jasny i czysty

Słowo tylko jest jedno

Twarde i harde jak kamień,

Błękit rozcina na dwoje,

Życie milczeniem w pół łamie.

Wiersz mój jest ciosem i krzykiem,

Srebrnym początkiem i zniknięciem,

Kiedy milczeniem się wdzwania

W organo gwiezdą muzykę.

Fragmenty utworu *Śmierć* napisanego w obozie w listopadzie 1944 roku

List do Leśmiana - dowód nieśmiertelnej poezji

Mieczysław Adam Ubysz, w tragicznych

okolicznościach obozu jenieckiego, napisał list poetycki skierowany do Bolesława Leśmiana. Choć nigdy nie dotarł do adresata, los sprawił, że dotarł do mnie. Ten utwór - jest żywym świadectwem mocy poezji, zdolnej nie tylko opisać okrucieństwo wojny i jej bezlitosną rzeczywistość, ale także zachować piękno i czar - który, wbrew wszystkiemu, nadal potrafi tchnąć nadzieję w duszę czytelnika. Autor udowodnił, że nawet gdy poezja przyjmuje formę reportażu czy komunikatu, nie traci swojego artystycznego wdzięku. Poezja wciąż dźwiga laur natchnienia, niezależnie od tego, jak ciężki jest plecak wspomnień i ran, który nosi jej twórca. To właśnie w takich momentach widzimy prawdziwą potęgę poezji - nie jako luksus pięknych metafor, ale jako akt przetrwania, sztukę, która odradza się nawet pośród ruin i drutów kolczastych. Wiersz *Leśmian* jest tego najlepszym dowodem - przekonajcie się sami, jak magia słowa Ubysza dotyka nie tylko historii, lecz także serca każdego, kto zechce go posłuchać.

LESMIAN

Lesmianiscie, lesmianiscie
Wtoczcie się w sklepiaste liście,
I szaruje i odmienie,
Na liść powiem, że liścieniem,
Wynaczę słownym gradem
Zwykła zielen w zieleniade
I pod korne chropowicia
Stukne cudem w pozabycia,
Az wychylna zjawopienne
Dziwostworki bezimienne,
Bukoszepty, borobózkii,
Debopienia, lesne duszki,
I tak zzielnia mnie laskoczem,
Ze z cielestni swej wyskocze
Az las zmiłkły wśród podsłuchu
Konarzyscie krzyknijcie:

DRUHUU!

Wiersz *Leśmian* z tomiku *Czas Wirujący*

Po przyszłych pokoleń

Tomik poezji *Czas Wirujący* Mieczysław Adam Ubysz kończy symbolicznym utworem *Proste Słowa* - poetyckim testamentem skierowanym do przyszłych pokoleń. Przepętniony rozczarowaniem i refleksją nad pierwszym dniem wolności, poeta nie kryje obaw, że doświadczenia Czasu Pogardy zostaną zapomniane lub rozumiane tylko przez nielicznych. W prostych, lecz przejmujących wersach, wzywa do pamięci i wyciągania wniosków z historii. Jego przesłanie jest pełne gorczy, ale także subtelnej nadziei, że prawda i nauka płynące z tych tragicznych lat nie zaginą. Słowa poety stają się ostrzeżeniem przed lekceważeniem wartości wolności, która, jak zdaje się przypominać, nie jest trwałym darem, lecz kruchym i wymagającym pielęgnacji skarbem.

To właśnie *Proste Słowa* przypominają, że literatura, szczególnie ta przeżyta w ogniu historii, ma siłę kształtować pamięć i sumienia. I choć poeta nie kryje rozczarowania, jego głos nadal wybrzmiewa - pragnący dotrzeć do tych, którzy w przyszłości gotowi będą go słuchać.

Do ludzi prostych są te słowa
 Surowe i groźne.
 Rozumiecie?!
 Wasze dzieci będą znów bagnietem
 Ze śpiewem
 Zabijając,
 Lub...zęby szczerzyć do nieba.
Kto patrzył na wzdęty brzuch konia,
 Na szarych twarzy demokracje... zrozumiał..
 Tak!..
 My już znamy modlitwy o pokój,
 Lecz nasze dzieci,
 Ojczyznę i tym straszny Bogiem,
 Co milion otwartych żył błogosławi,
 Oślepieni
 Pójdą po Sławę i po śmierć,
 Jak my,
 Z bohaterskim śpiewem.

Matki, sieroty, kaleki,
 I wy, których się lękam,
 Wy, którzy już nic nie macie,
 Nawet wiary w człowieka,
 Niszczeni wszystkich narodów,
 Skrzywdzeni wszystkich narodów,
 Przebaczenie mi, Żem głupio i podle
 Modlił się o rok trzydziesty dziewiąty....

Ludzie prości.
 Matki i ojce!
 Najjaśniejsze jest słońce na
 jasnych główkach dzieciątek,
 Niebo najczystsze- w ich oczach.
 Zabijcie każde hasło i wodza każdego,

Który znów każe.....
 Ołtarze
 A nawet Bogów zniweczyć!
 Nie dać im wierzyć.
 Zaprzeczyc!
 Zaprzeczyc, i krwią i śmiercią i głodem!
 Hymnom zagrozić drogę
 Pełnym po brzeg okopem!
 Modlitwy czerwone zdusić,
 Nim runą o bruk parady - marszu po śmierć!

Ludzie prości
 Bracia moi...
 Prosty jest krzyk mój i hańba,
 I groźna jest moja rozpacz
 W pierwszym dniu naszej wolności!

Dzieciom naszym potrzeba tylko słońca
 I jasnej prawdy.
 Zdobywać ją i chronić od bogów i ludzi
 Muszą
 Matek i ojców pięści!

Proste słowa Mieczysława Adama Ubysza z tomiku *Czas Wirujący*

W Polsce Ludowej, poza *Antologią Polskiej Poezji Podziemnej 1939-1945* Jana Szczawieja, wiersze Ubysza nie były publikowane.

EWA LEŚNIEWSKA

ps
 Szukałam w internecie, dzwoniłam do bibliotek w Polsce i na świecie, by zorientować się, czy tytuły, które odnalazłam są dostępne, a jeśli tak, to w jakiej formie – skan, oryginał, kopie i w ilu egzemplarzach. Oto, co udało mi się ustalić:

EWA LEŚNIEWSKA – ekonomistka, absolwentka Uniwersytetu Gdańskiego. Pracowała w Polsce i za granicą. Warsztatu dziennikarskiego uczyła się w Gdańsku w Tygodniku Studenckim „Politechnik” od 1980 do 1982 roku.

			Sztuk
Mieczysław Adam Ubysz	Czas wirujący	Biblioteka Narodowa w Warszawie	1 Tomik
Maria Petry	Struny	Biblioteka Uniwersytecka Kardynała Wyszyńskiego Warszawa	1 Tomik
Jan Roztworowski	Na Cięciwie	Uniwersytet Kardynała Wyszyńskiego w Warszawie, Biblioteka Polska w Sztokholm, Biblioteka Polska w Londynie,	1 Tomik
Jan Roztworowski	Dni ostatnie i Noce Pierwsze	Biblioteka Narodowa w Warszawie, Biblioteka Polska w Sztokholm, Biblioteka Polska w Londynie	2 Tomiki
Mieczysław Lurczyński	Poemat Niedokończony	Biblioteka Polska w Londynie	1 Tomik
Mieczysław Lurczyński	Łuski Syreny	Biblioteka Polska w Londynie	1 Tomik
Mieczysław Lurczyński	Dom pod wysokim Księżycem	Biblioteka Polska w Londynie	1 Tomik
Mieczysław Lurczyński	Czas Poległy	Biblioteka Polska w Londynie	
	Z poezji wojennej Czechosłowacji	Digital Bibliotek London, Chicago, Biblioteka Chrystusowców Toruń	1 scan
Ludwika Biesiadowska	Po Drodze	Biblioteka Polska w Londynie	Kopia
Ludwika Biesiadowska	Po Drodze	Biblioteka Naroda w warszawie	1 Tomik

Z B I G N I E W

Z cyklu: Wiersze miejskie wstydlive ogrody

Za zaułkiem
za murem
za niestosownymi torami kolejowymi,
za podwórkiem za wytworną kamienicą,
za wąską uliczką, za zapomnianą pordzewiałą cysterną,
za śpiącym tramwajem na ostatnim śpiącym przystanku,
za porośniętym chwastami placem zabaw za moim i twoim domem,
za niedokończoną urywającą się nagle ulicą za tym ostatnim czerwonym
budynkiem pomiędzy szkołą i lśniącą nowością Biedronką, za tym niejasnym

twoim mglistym końcem miasta

Za tym ostatnim odcinkiem naszych codziennych spacerów, za tymi miejscami
dokąd chodziłeś, gdy ogarniał cię smutek, za wspomnieniami dziecięcych
przygód, za laskiem który widoczny jest tylko z dziesiątego piętra,
ukrytymi domostwami miastowych słowików i sikorek,
za niejasną pamięcią niejasnych miejsc pobliza i dali,
za tajemniczą furtką pomiędzy dwiema willami
za tym pobliskim ocienionym cmentarzem,
za nocnymi krzykami miejskich kotów,
za domyślanym tylko końcem świata

Za
tam,
tam jesteśmy my miejskie
ogrody, wstydliwie zielenimy się, kwitniemy,
nocą szeleścimy, za dnia barwimy się i rozsiewamy bukiety aromatów

tak, jesteśmy wstydliwymi ogrodami
w bezwstydnym mieście

Gdańsk 18 lutego 2025

Per Oscar Gustaw Dahlberg

